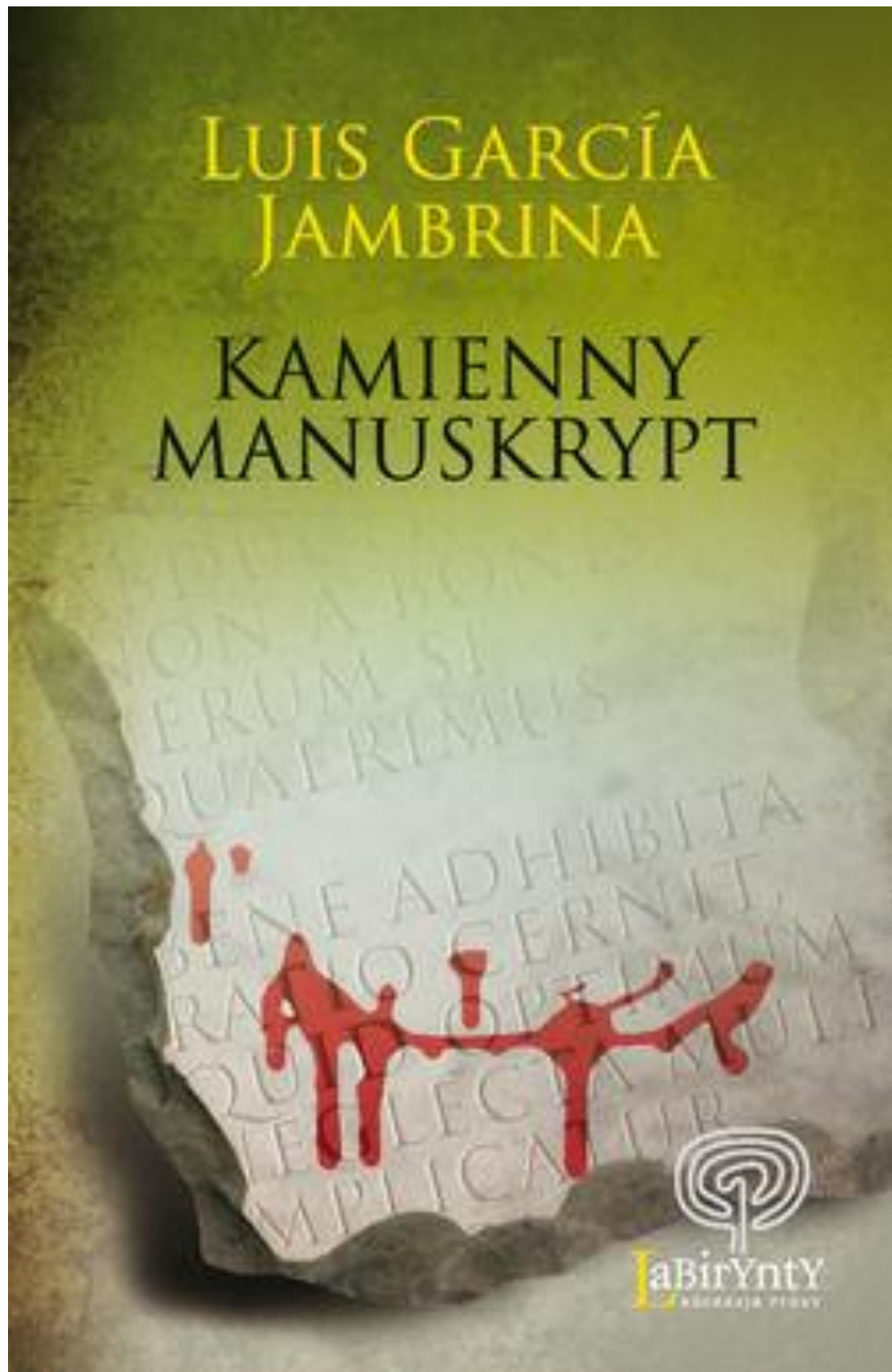


LUIS GARCÍA  
JAMBRINA

KAMIENNY  
MANUSKRYPT



**LUIS GARCIA JAMBRINA**

**KAMIENNY**

**MANUSKRYPT**

\*\*\*

Opis z okładki.

Salamanka, rok 1497.

Fernando de Rojas, student prawa, bada sprawę zabójstwa profesora teologii. Wkrótce ofiarą morderstwa pada następca tronu, a kilka dni później uliczna dziewczka. Wszystko wskazuje na to, że zbrodni dokonał ten sam sprawca.

Prowadzenie dochodzenia w gąszczu intryg politycznych, rozgrywek między Inkwizycją a władzami kościelnymi i nieokiełznanych namiętności, wymaga nie lada inteligencji i sprytu. Najmniejszy popełniony błąd może zrujnować karierę młodzieńca, a nawet pozbawić go życia.

\*

Książka KAMIENNY MANUSKRYPT uhonorowana została Międzynarodową Nagrodą Ciudad de Zaragoza za najlepszą powieść historyczną 2009 roku.

\*

LUIS GARCIA JAMBRIN (ur. 1960) doktor filologii hiszpańskiej, wykładowca i kierownik Katedry Literatury Hiszpańskiej Uniwersytetu w Salamance.

Jest autorem licznych esejów i artykułów naukowych na temat literatury (w 1999 roku zdobył nagrodę im. Fray Luisa de León za najlepszy esej roku), redaktorem opracowań i antologii klasyków hiszpańskiej poezji.

\*\*\*

Dla Alby i Mercedes, które zawsze są ze mną.

Wszystko rodzi się w walce i zmaganiach.

Fernando de Rojas Celestyna.

\*

Umysł nie jest naczyniem, które należy napełniać, lecz ogniem, który trzeba rozniecić, żeby zapłonął umiłowaniem prawdy i zapalem do badań.

Plutarch.

\*

Choćby lekarz nie wiem ile wiedział, zawsze pojawia się coś niespodziewanego - niczym biały kruk - obracając wniwecz zawartość wszystkich ksiąg...

Paracelsus.

## Wstęp.

(Salamanka, 20 września 1497 roku).

Nie zaczęło jeszcze dobrze świtać, kiedy fray Tomas de Santo Domingo wstał z postłania w swojej klasztornej celi u świętego Stefana. Noc spędził fatalnie: co rusz budził się zlany potem, przerażony nękającymi go koszmarami, które nie pozwoliły mu prawie zmrużyć oka. Jednak to nie zmęczenie po nieprzespanej nocy gnębiło go teraz, lecz dominujący lęk spowodowany dziwnym poczuciem niepokoju i całkowitego zagubienia. Fray Tomas był profesorem głównej katedry teologii - najbardziej prestiżowej katedry salmantyńskiego Studium Generale\*. Przejął ją od samego biskupa Salamanki, Diega de Dezy, podobnie jak on sam teologa i dominikanina, przeobrażając w krótkim czasie w jeden z głównych bastionów Kościoła w mieście. Ten niewysoki zakonnik o wydatnym brzuszku, okrągłej jak bochen chleba i pomarszczonej twarzy oraz drobnych, niewieścich dłoniach traktował uniwersytecki pulpit jak kazalnicę, z której z elokwencją bronił prawd wiary i wzywał do wymierzania sprawiedliwości wszelkiego rodzaju heretykom, czarownicom czy wreszcie nawróconym Żydom podejrzanych o wyznawanie dawnej wiary (rejudaistom, jak zwykł ich określać).

\* Profesorowie głównych katedr, nazywanych dosłownie Catedras de Prima, czyli katedrami porannymi, prowadzili zajęcia wcześniej rano, co było uważane za oznakę prestiżu, a katedry teologu były w ogóle uznawane w średniowieczu za najważniejsze na uniwersytetach - nota bene nie wszystkie uczelnie posiadały uprawnienia do wykładania teologii.

(Wszystkie przypisy w niniejszej książce pochodzą od tłumaczki).

Kiedy tylko stawał na podium sali wykładowej, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przeobrażał się w płomiennego obrońcę wiary katolickiej, w zacieklego wojownika zbrojnego w potężny arsenał słów, ciskanych niczym śmiercionośne włócznie z fortecznych murów. Niektórzy uważali go za wybitnego i porywającego mówcę, podczas gdy inni wyrzucali mu zbyt rygorystyczny i bezkompromisowy; w każdym razie nikt na Uniwersytecie nie był w stanie pozostać obojętny wobec jego wykładów. Nawet kiedy na tonących w błocie ulicach Salamanki zaciągał deszcz ze śniegiem lub kiedy hulał po nich lodowaty mroźny wiatr z północy, do Aula Magna wydziału teologii, gdzie odbywały się wykłady fray Tomasa, niezmiennie ściągał tłum zawsze chętnych do wysłuchania go studentów. Podczas wykładów część publiczności wychwalała go, urządzając prawdziwe owacje, podczas gdy inni go krytykowali lub wręcz ubliżali mu pod nosem. Liczni też byli ci, którzy słuchając, wpadali w

ekstazę lub wręcz odwrotnie - byli prawdziwie zgorzeleni. Nieraz też dyskusje rozpętane jego słowami kończyły się najzwyczajszymi pyskówkami czy nawet bijatykami. Tymczasem, gdyby ktoś nieznający bliżej fray Tomasa ujrzał go przypadkiem z dala od sali wykładowej, z pewnością nie byłby w stanie wyobrazić sobie, że ten niski i beczułkowaty jegomość, brzydki i odrażający jak ropucha, może wzbudzić w słuchaczach tyle entuzjazmu lub być powodem karczemnych awantur. W każdym razie sława, jaką zyskał dzięki swym wykładom, sięgała tak daleko, że trybunał inkwizycji w Valladolid mianował go doradcą Świętego Oficjum.

Przez dłuższą chwilę fray Tomas przechadzał się z posępną miną po krużgankach klasztoru, oddany bez reszty zawiłym rozważaniom. W głębi serca coś nie dawało mu spokoju, coś, do czego nie miał odwagi przyznać się nawet sam przed sobą. Nie był w stanie ustać spokojnie w jednym miejscu. Jego duszą zawładnęła bolesna trwoga i wydawało mu się, że wszystko wokół źle mu wróży. Raptem poczuł potrzebę oddania moczu, co sprawiło, że skierował się w stronę niewielkiej furtki w narożniku dziedzińca, prowadzącej do ogródka. Nie chciało mu się iść do ustępu, mieszczącego się po przeciwnej stronie klasztoru, tuż przy ogrodzeniu oddzielającym zabudowania od Potoku Świętego Dominika, do którego spływały wszystkie miejskie ścieki - postanowił więc załatwić potrzebę na jednej z grządek uprawianych przez fray Antonia de Zamorę, pełniącego w klasztorze Świętego Stefana funkcję zielarza. W swoim ogródku brat zielarz z wielkim entuzjazmem i oddaniem hodował rośliny, których nasiona Krzysztof Kolumb przysłał klasztorowi w darze po powrocie ze swoich dwóch pierwszych wypraw do Indii. Był to z jego strony skromny gest podziękowania za wsparcie, jakiego swego czasu udzielili mu dominikanie, umożliwiając realizację jakże ryzykownych zamierzeń. Chodziły słuchy, że to właśnie Diego de Deza, były przeor klasztoru Świętego Stefana, spotkawszy się kilkakrotnie ze śmiałym żeglarzem w klasztornej sali zwanej De Profundis oraz w należącym do dominikanów wiejskim majątku w Valcuevo, nie dalej niż dwie mile od Salamanki, przekonał parę królewską do sfinansowania tej podróży.

Fray Tomas gardził bratem zielarzem. Nie mieściło mu się w głowie, że ktoś noszący dominikański habit może wkładać tyle sił w uprawę i studiowanie roślin, zamiast poświęcić się studiom teologicznym i głoszeniu słowa Bożego. Obecnie największą ambicją fray Antonia było skielkowanie nasion przywiezionych z Nowego Świata i wyhodowanie owoców nieznanych tu roślin, podczas gdy przedmiotem działań fray Tomasa było - ni mniej, ni więcej - sławienie imienia Pańskiego poprzez plewienie chwastów herezji i bezustanną walkę z Szatanem. No a poza tym, czegóż dobrego można się spodziewać po czymkolwiek, co pochodzi z ziemi zamieszkałej przez niewiernych? Fray Antonio był święcie przekonany, że należy działać w dokładnie przeciwnym kierunku, rozpoczynając jak najszybciej

przeszczepianie słowa Bożego do Nowego Świata. Wychodził z założenia, iż wiara, której się nie krzewi i która nie kwitnie bez ustanku, to wiara martwa.

Oddając mocz, nie był w stanie powstrzymać westchnienia ulgi, co sprawiło, że poczuł się zgorzony. Oto on, człowiek, który tak bardzo gardzi koszmarami cielesnego zniewolenia, odczuwa tak przeogromne ukojenie, opróżniając pęcherz. „Gdyby to samo można było zrobić z duszą”, westchnął w myślach. Otworzyć zawór i bez żadnych dodatkowych zabiegów wypróżnić gdzieś swoje sumienie, oczyścić je z poczucia winy i z wyrzutów natury moralnej, bez potrzeby uciekania się do sakramentu spowiedzi. Jednak już sama ta myśl była niebezpieczną herezją, tak że natychmiast wymazał ją z pamięci. Nie dało się ukryć, że były takie grzechy, które niełatwo jest opisać słowem, ciężary, których nie bardzo wiadomo jak się pozbyć, choćby nie wiem jak bardzo się chciało.

Kiedy tylko znalazł się z powrotem na klasztorным dziedzińcu, poczuł, że już najwyższa pora, żeby podzielić się z kimś swymi lękami i... grzechami. Niewątpliwie przeor nie był najodpowiedniejszą ku temu osobą - fray Tomas potrzebował kogoś bardziej godnego zaufania, lepiej przygotowanego i obdarzonego większym autorytetem. Przypomniał sobie, że podczas pobytu w Salamance biskup niemal codziennie chodzi skoro świt pomodlić się w jednej z kaplic katedry. Jeżeli więc się pospieszy, spotka się z nim przed wejściem do kościoła. Tak, biskup jako jedyny był w stanie go zrozumieć i wybaczyć, choć z drugiej strony był też jedyną osobą, która mogła zrobić użytek z wstydliwego sekretu fray Tomasza. Równocześnie jednak Diego de Deza był przecież jego przyjacielem i mistrzem, a na dodatek winien mu był niejedną przysługę. Ale jeżeli okaże się, że pomimo to... Cokolwiek miałyby się stać, nie mógł dłużej zwlekać. Mimo iż był ciągle jeszcze bez śniadania, wybiegł pędem na dwór i nie wzywając żadnego ze sług, żeby mu towarzyszył, ruszył przed siebie, jakby niosła go iście czarica siła, choć w rzeczywistości jego zamiarem było przecież umknienie przed zakusami Złego.

Kiedy tylko znalazł się na ulicy, poczuł w kościach poranny wilgotny chłód. Otulił się płaszczem i szybkim, zdecydowanym krokiem ruszył w stronę katedry. Świątynia nie znajdowała się daleko. Po przejściu przez mały mostek nad Potokiem Świętego Dominika i po przecięciu ulicy Świętego Pawła, fray Tomas zaczął ociężale wspinać się podejściem Biczowników. Mniej więcej w połowie wznoszącej się do góry drogi przechodziło się tu przez otwarte podwoje jednej z bram należących do starych miejskich murów; była to brama pod wezwaniem świętego Sebastiana. Dominikanin prześlizgnął się przez nią cichaczem, jakby obawiał się natknąć na kogoś, po czym zagłębił szybko w labirynt ciemnych uliczek.

O tej porze, kiedy noc ustępowała miejsca światłu dnia, Salamanka miała w sobie coś mrocznego i widmowego, była niczym uspiony wielki potwór, który w każdej chwili może się obudzić i to w złym humorze. Jeżeli nadstawiło się ucha, można było usłyszeć oddech bestii, a nawet poczuć fetor jej ohydnych tchnienia. Nagle fray Tomasowi wydało się, że ktoś go śledzi, czając się wśród ulicznych cieni. Zaczął się rozglądać: popatrywał to w jedną, to w drugą stronę, nie zwalniając przy tym kroku. Spieszyło mu się. Bez względu na wszystko powinien się jak najszybciej wypowiadać, żeby uwolnić się wreszcie od strasznego ciężaru, będącego teraz realnym zagrożeniem dla jego zdrowych zmysłów. Nagle gdzieś w pobliżu zaczęła pohukiwać sowa, wzbudzając w nim uczucie panicznego lęku. Na wysokości Kolegium Świętego Bartłomieja jeszcze bardziej przyspieszył, gdyż zdało mu się, że dojrzał jakiś podejrzany cień, przemykający niczym jaszczurka po ścianie budynku. Musiał jeszcze tylko prześlizgnąć się obok ostatniej grupy domów po lewej stronie. Umyślnie stąpał głośno, żeby nie czuć się tak samotnie, jednak echo jego własnych kroków, dochodzące do niego gdzieś z tyłu, sprawiało, że bał się jeszcze bardziej. Wreszcie zza zakrętu wyłonił się plac Azogue Viejo, a w głębi przyjazna sylweta katedry.

Fray Tomas postanowił wejść do świątyni przez bramę Azogue, znajdującą się od strony placu, ale okazało się, że jest zamknięta. Nie miał innego wyjścia: musiał okrążyć wieżę dzwonnicy, kierując się w stronę głównej bramy. Po drodze najpierw o mały włos nie wpadł do rowu wypełnionego wodą, a potem potknął się o wystającą kamienną płytę. Kiedy wreszcie dotarł do Portyku Pokuty, zatrzymał się na moment, żeby nieco odpocząć. Ledwo dyszał. Wtem zdało mu się, że poza własnym sapaniem słyszy odgłosy zbliżających się kroków. Było za późno, żeby próbować uciec. Z gęstego mroku otaczającego wejście do kościoła wyłonił się nagle jeszcze ciemniejszy cień, który rzucił się na niego, powalając na ziemię. Ze swojej nowej pozycji całkiem wyraźnie zobaczył, jak napastnik wyjmując spod opończy nóż i bez słowa zaczyna dźgać go raz i drugi w brzuch, w pierś i w bok między żebrami. Sparaliżowany strachem, nie był w stanie nawet zawołać o pomoc. Gdy wykrwawiał się, leżąc na ulicy, miał jeszcze czas, żeby z konsternacją pomyśleć o tym wszystkim, co mu się właśnie przydarzyło. Nie martwił go tak bardzo fakt, że został zaszyty u samych wrót katedry, ile to, że umiera bez spowiedzi, obciążony ponurym sekretem i poczuciem winy, od których nie będzie się w stanie uwolnić na wieki wieków.

- Spowiednika! - wyszeptał, wydając ostatnie tchnienie.

Niedługo później znalazł go zakrystian. W pierwszej chwili pomyślał, że to żebrak, który postanowił wstać o świcie, żeby zająć najlepsze miejsce do zbierania jałmużny, po czym, znużony, przysnął. Jednak niemal natychmiast zdał sobie sprawę, jak bardzo się myli.

Ciało leżało w wielkiej kałuży krwi. Lewa ręka poszkodowanego, zgięta w łokciu, spoczywała na brzuchu, jakby próbował dłonią zatamować krwotok; druga zaś leżała na ziemi, wyciągnięta w stronę bramy, z palcem wskazującym ku wnętrzu świątyni. Zorientowawszy się, że ma przed sobą fray Tomasa, zakrystian skierował wzrok ku niebu i przeżegnał się. Potem przykucnął obok leżącego, żeby sprawdzić, czy jeszcze oddycha. Dominikanin miał oczy i usta szeroko otwarte, zastygłe na zawsze w grymasie przerażenia. Na jego obnażonym języku, niczym hostia, błyszczała moneta. Kościelny pochylił jeszcze niżej głowę i stwierdził, że to tylko mały miedziak o niewielkiej wartości, postanowił więc go nie dotykać.

\*\*\*



## Rozdział 1.

Jak co roku, po krótkich wakacjach spędzonych w rodzinnych stronach, Fernando de Rojas wracał do Salamanki, żeby kontynuować naukę na Uniwersytecie. Zanim muł, na którym podróżował, wkroczył na stary łukowy most, jeszcze z czasów rzymskich, Fernando zatrzymał się na chwilę, zachwycając malowniczą panoramą miasta rozciągającego się po drugiej stronie rzeki. Niemal naprzeciwko, odrobinę w prawo, droga zaczynała piąć się w górę, prowadząc najpierw obok tak zwanego Krzyża Skazańców, a potem przez bramę Rzeczną aż do katedry pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, zwanej potocznie Santa Maria de la Sede. W jej sylwetce zwracała szczególną uwagę kopuła zwieńczona prawdziwym kurkiem - symbolem Kościoła wiecznie czuwającego - która dzięki swym blankom i przyciętej wieży przypominającej fortecę świetnie harmonizowała z resztą budynku. Jednak, mimo swych walorów architektonicznych, kościół wydawał się stanowczo za mały jak na katedrę miasta liczącego dwadzieścia tysięcy mieszkańców - z których siedem stanowili studenci - i posiadającego uczelnię o tak doniosłej sławie jak Uniwersytet w Salamance - jeden z najznamienitszych, obok paryskiego i bolońskiego, uniwersytetów w całym chrześcijaństwie. Należy wspomnieć, że od jakiegoś czasu istniał projekt budowy nowej katedry, znacznie większej, smuklejszej i wytworniejszej niż obecna, jednak biskup oraz rada miejska, która od dziesięcioleci czyniła próby wyzwolenia się spod jurysdykcji biskupiej, mając w tym względzie poparcie części salamantyńskiej magnaterii, nie byli w stanie dojść do porozumienia na temat najodpowiedniejszej lokalizacji dla nowej świątyni, przez co roboty nie posuwały się do przodu.

Nie była to zresztą jedyna dysputa dzieląca mieszkańców miasta. Jeszcze dobrze nie ostygł tak zwany konflikt stronnictw, który na dobrych kilka lat skłócił z sobą największe rody lokalnych możnowładców, narażając na niebezpieczeństwo ciągłość istnienia salamantyńskiej uczelni, kiedy zaczęły się pojawiać nowe spięcia, zrodzone na zupełnie innym podłożu. Moźnowładcy, za wszelką cenę próbujący utrzymać swoje dawne przywileje, wchodzili w ciągłe konflikty z zyskującymi na znaczeniu mieszczanami, którzy tylko myśleli, jak pozbawić tych pierwszych ich dotychczasowych praw, uzyskując przy tym nowe uprawnienia dla siebie. Oczywiście nikt spośród uprzywilejowanych nie miał zamiaru z niczego zrezygnować, w rezultacie całe rzesze ludzi nie chciały porzucić odchodzących mrocznych czasów, wzbraniając się z całych sił przed wkroczeniem w nową, świetlaną erę,

jaką niosła z sobą debiutująca monarchia Isabeli i Fernanda, którym papież Aleksander VI dopiero co przyznał tytuł Królów Katolickich. W samej Salamance dojście do władzy królewskiej pary zakończyło co prawda długoletnie spory pomiędzy stronnictwem świętego Benedykta, wywodzącym się z najstarszej części miasta, gdzie mieściła się katedra i Uniwersytet, a stronnictwem świętego Tomasza (dawniej świętego Marcina) zawiązanym w nowych dzielnicach powstających na jego północnych obrzeżach, jednak polityka prowadzona przez nowych władców przyczyniała się do powstawania nowych niesnasek. W sumie pod koniec XV wieku Salamanka była areną wielu złożonych konfliktów, choć trzeba też przyznać, że lata te stanowiły dla miasta początek okresu największego splendoru.

Wsparty o blanki balustrady mostu - tego samego, przez który dawniej prowadził rzymski Srebrny Szlak, a obecnie chroniona edyktem królewskim cañada real\* - Rojas mógł dojrzeć na obu brzegach Tormesu grupy praczek, którym na pozór obce były strapienia gnębiące resztę mieszkańców miasta. Na pierwszy rzut oka Fernandowi wydało się, że to te same kobiety, które obserwował jedenaście lat wcześniej, kiedy to, będąc jeszcze niemal dzieckiem, po raz pierwszy przyjechał do Salamanki. Miał wrażenie, że czas, zmęczony ciągłym uciekaniem, zatrzymał się w obrazie tej grupy kobiet, przeobrażając je w wiecznie trwające istoty, podczas gdy wokół nich świat nie przestawał kręcić się i zmieniać.

Również w życiu Fernanda zaszły w ostatnich latach wielkie zmiany. Urodził się 30 lipca 1473 roku w La Puebla de Montalban, miejscowości leżącej około siedmiu mil od Toledo, gdzie przez jakiś czas mieszkali jego rodzice. Należał do czwartego pokolenia nawróconych Żydów i od dziecka miał świadomość, że jest inny. Powodem tego był nie tylko fakt, że należał do rodziny czy też grupy społecznej, którą od niepamiętnych czasów uważano za wysoce podejrzaną, ale również jego rozbudzone zamiłowanie do nauki oraz niepohamowana ciekawość. Czytać i pisać nauczył się od pewnego księdza kanonika, któremu od czasu do czasu pomagał przy różnych drobnych pracach w kościele. Tenże ksiądz zapoznał go z podstawami gramatyki łacińskiej. Dzięki pomocy wpływowych krewnych oraz listowi rekomendacyjnemu dobrego znajomego księdza kanonika udało mu się dostać stypendium w jednej ze szkół podlegających Uniwersytetowi w Salamance, gdzie rozpoczął naukę w wieku zaledwie trzynastu lat.

\* Cañada real (hiszp.) - dosł. królewska ścieżka; sieć dróg, którymi dzięki królewskiemu dekretowi hiszpańscy hodowcy mieli prawo przepędzać swoje stada owiec na sezonowe pastwiska w innych częściach kraju. W Kolegium Mniejszym zaliczył przedmioty obowiązkowe wydziału sztuk wyzwolonych: poszerzył znajomość gramatyki, zgłębiając równocześnie tajniki retoryki i dialektyki, liznął też co nieco z filozofii naturalnej i moralnej

według doktryny Arystotelesa i jego późniejszych komentatorów. Uczestniczył również w niejednym wykładzie na temat rzymskich pisarzy, które prowadzili od czasu do czasu profesorzy włoskiego pochodzenia. W tym względzie ze szczególną uciechą wspominał lekturę komedii Terencjusza, dzięki którym zainteresował się teatrem; nie na próżno dialog był formą wypowiedzi, która najbardziej mu się podobała i którą szczególnie cenił. Tak bardzo łaknął wiedzy, że czasem chadzał też w tajemnicy na wykłady prowadzone na wyższych wydziałach. W owym okresie został stałym słuchaczem Sycylińczyka Lucjusza Marynejskiego, udało mu się też wysłuchać ostatnich wykładów Antonia de Nebriji, zanim jeszcze słynny uczony odszedł z Uniwersytetu\*.

\* Antonio de Nebrija (1441-1522) - słynny hiszpański humanista, autor pierwszej gramatyki oraz pierwszego słownika języka hiszpańskiego; w Salamance wykładał retorykę i gramatykę, pomógł też sprowadzić do miasta pierwszą drukarnię.

Jednak wszelkie plany naukowe Fernanda o mało co nie zakończyły się kompletnym fiaskiem, kiedy to w październiku 1488 roku, tuż po rozpoczęciu drugiego roku studiów, otrzymał list od matki, mający na zawsze odmienić koleje jego losu. W pisany drżąca ręką liście matka oznajmiała, zbytnio się nie rozwodząc, że ojciec chłopca, Hernando de Rojas, został uwięziony przez inkwizycję pod zarzutem judaizowania. Kiedy Fernando skończył czytać ostatnie słowa matki, poczuł, jakby ziemia nagle zaczęła osuwać mu się pod nogami, próbując go pochłoniąć. Doskonale wiedział, że ojciec jest niewinny, ale zdawał sobie też sprawę, że wystarczył najdrobniejszy donos, żeby puścić w ruch potężne tryby inkwizycji, i że kiedy machina ta raz zacznie działać, niezwykle trudno ją zatrzymać, chyba że ma się wsparcie kogoś znacznego w Kościele i listy uwierzytelniające najwyższej próby. Oczywiście nie po raz pierwszy zdarzało się, że fałszywi świadkowie - z zawiści, chciwości czy też nienawiści - donosili do Świętego Oficjum na kogoś z rodziny Rojasa. Zaledwie trzy lata wcześniej jego trzech kuzyni zostali skazani na publiczne poniżenie, jakim był akt rekonyliacji\*. Dlatego Fernando postanowił natychmiast pójść porozmawiać z rektorem Uniwersytetu, który darzył go sporym poważaniem, żeby poprosić o radę i wsparcie.

\* Rekonyliacja - ceremonia publicznego pojednania się grzesznika z Kościołem.

W wyniku tych zabiegów udało mu się zdobyć listy popierające firmowane przez fray Diega de Dezę, który był już wtedy preceptorem królewicza don Juana, przez samego rektora oraz przez kilku profesorów Wyższego Wydziału. Następnie, pomimo swojego młodego wieku, Fernando wniósł o wysłuchanie go jako świadka popierającego w procesie toczącym się przeciw jego ojcu, którego więziono w otoczonych tajemnicą kazamatach inkwizycji w Toledo. Młodzieniec dowiódł już z nawiązką w aulach uniwersyteckich swoich wielkich

zdolności oratorskich, przemawiając wielokrotnie po hiszpańsku i po łacinie, trzeba jednak przyznać, że w dzień wystąpienia przed Świętym Trybunałem natchnienie szczególnie mu sprzyjało i jego mowa obrończa okazała się wyjątkowo przekonująca. Ciągłe jeszcze pamiętał, słowo po słowie, w jaki sposób bronił na sali sądowej honoru i prawości ojca. Prawdą jest, że jego przemówienie było śmiałe, a nawet ryzykowne, niemniej przyznać należy, że zaistniała sytuacja właśnie czegoś takiego wymagała, gdyż na ostatnim etapie śledztwa ojciec, nie będąc w stanie znieść dłużej bezlitosnych tortur, przyznał się do wszystkiego, o co go oskarżano.

- Musicie wiedzieć - oświadczył uroczystym głosem przewodniczący Świętego Trybunału, zanim dopuścił Fernanda do głosu - że wasz ojciec przyznał się do winy. Czy jesteście w posiadaniu jakiegokolwiek istotnego faktu dowodzącego niepodważalności jego chrześcijańskiej wiary?

- Wasza wielbność - rozpoczął Fernando swój wywód - najzupełniej zasadnie proszę mnie o dowody, które mogłyby zaświadczyć o prawdziwości wiary mego ojca, na co z należną pokorą jestem zmuszony odpowiedzieć, iż najlepszym jej dowodem jestem ja sam.

- Chciałbym przedstawić tu kilka listów - dodał po chwili dramatycznego milczenia - jakie opowiedzą waszej wielbności znacznie rzetelniej niż mój własny język o niektórych zasługach i przymiotach, jakimi poszczycić się może moja skromna osoba. Jeżeli Wysoki Trybunał da wiarę, czemu głęboko ufam, opinii znakomitych osobistości, które listy te firmują, będzie musiał przyznać, iż u kogoś w tak młodym wieku i mającego tak mało doświadczenia jak ja wszystkie zasługi i przymioty, o jakich w listach tych jest mowa, mogą być jedynie wynikiem dobrego przykładu danego mi przez moich rodziców oraz nieskazitelnej czystości przekazanego mi przez nich duchowego dziedzictwa. Jeśli prawdą jest, jak niejedną już raz wykazał Najwyższy Trybunał Świętego Oficjum, że grzechy i przewinienia rodziców mogą obarczyć winą ich potomstwo, równie słuszne powinno być założenie mówiące, iż cnoty dzieci, przynajmniej w niektórych przypadkach, mogą być zapisane na konto rodziców. Co za tym idzie, kiedy czyjś honor lub dobre imię jest podawane w wątpliwość, przymioty jego potomstwa mogą świadczyć na jego korzyść, będąc gwarancją szlachetności jego rodu i postępowania. Siła przekonania słów wygłoszonych przez Fernanda okazała się tak ogromna, że członkowie Trybunału musieli deliberować przez czas znacznie dłuższy niż zazwyczaj, a na koniec poczuli się w obowiązku przyjąć Salomonowe rozwiązanie. Oskarżony został oczywiście uznany za winnego i skazany na spalenie na stosie, ale, biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące, wykonanie wyroku pozostało w zawieszeniu.

Trzeba przy tym podkreślić, że nie był to zabieg często spotykany w orzeczeniach Świętego Oficjum.

- Tak więc to wy i nikt więcej - uprzedzono Fernanda zaraz po ogłoszeniu wyroku - jesteście teraz jedynym gwarantem życia i honoru waszego ojca. Tym samym od tej chwili i do końca życia ojca macie pozostać do naszej dyspozycji, tak żebyśmy mogli, kiedy tylko uznam za stosowne, zażądać waszej ofiarnej pomocy na rzecz wiary katolickiej. Na razie możecie wrócić do Salamanki, żeby kontynuować tam wasze studia.

Tak też Fernando uczynił, szczęśliwy, że udało mu się uratować in extremis życie ojca, choć równocześnie pełen obaw z powodu zawarcia paktu, którego być może przyjdzie mu kiedyś żałować. Z drugiej strony wieści na temat wyniku procesu szybko dotarły na Uniwersytet, zaskarbiając młodzieńcowi sympatię całej uczelnianej społeczności, a w szczególności fray Diega de Dezy, który widział w nim przyszłego współpracownika.

- Masz szansę zajść daleko, synu - przepowiedział mu - jeżeli tylko nie zbroczysz z wytyczonej drogi.

Wyglądało na to, że z czasem sprawa ojca poszła w zapomnienie. Rodzina Fernanda spokojnie mieszkała w La Puebla de Montalban, gdzie jego rodzice definitywnie się przeprowadzili, uważając, iż ta niewielka miejscowość będzie nieco bardziej bezpieczna dla rodziny konwertytów niż wielkie miasto w rodzaju Toledo.

Po ukończeniu trzeciego roku studiów w Kolegium Mniejszym, Fernando de Rojas wstąpił do Kolegium Świętego Bartłomieja. Udało mu się to jedynie dzięki posiadanym rekomendacjom, gdyż nie tylko nie mógł się wykazać odpowiednim pochodzeniem - teoretycznie wymagał tego statut czystości krwi, który jednak nie był rygorystycznie przestrzegany - ale nie osiągnął też jeszcze przepisowego wieku. Kolegium, oprócz innych przywilejów, miało prawo nauczania w obrębie swoich murów oraz posiadania własnej, nawiasem mówiąc znakomitej, biblioteki, w zbiorach której znajdowało się wiele cennych manuskryptów. Przychylając się do rad swoich opiekunów, Fernando zdecydował się na studia prawnicze, jakie uznawano w owym czasie za najbardziej przydatne Koronie i jakie niewątpliwie zapewniały najpomyślniejszą przyszłość. Jednak młodzieniec był tak bezgranicznie ciekawy i żądny wiedzy, że na własne ryzyko i odpowiedzialność uczestniczył również w wykładach z teologii, medycyny, a zwłaszcza z astrologii, która obejmowała zarówno astronomię sfer niebieskich, jak i teorię planet, arytmetykę i geometrię, kosmografię, geografię oraz wróżbiarstwo astrologiczne. Fascynowało go również wszystko, co miało jakikolwiek związek z botaniką i farmaceutyką, a szczególnie z uzdrawiającą mocą ziół. Stąd też przestudiował dogłębnie dzieła Dioskurydesa mówiące o roślinach leczniczych i trujących

oraz o możliwościach przeciwdziałania tym ostatnim (w bibliotece Świętego Bartłomieja znajdował się przepiękny ilustrowany manuskrypt tegoż autora, pisany oryginalną greką). Dla Fernanda, podobnie jak dla jego uwielbianego Arystotelesa, nie istniało nic wspanialszego niż nauka, dlatego też nie było dla niego lepszego miejsca pod słońcem niż Uniwersytet w Salamance, alma mater, matka karmicielka wszelkich nauk.

Jadąc przez most, Fernando pomyślał sobie, że nie przystoi mu dłużej przeciągać swej uprzywilejowanej sytuacji na Uniwersytecie. Jeszcze przed wyjazdem na te krótkie letnie wakacje do La Puebla de Montalban biskup oświadczył mu, że dzięki swej inteligencji i wykształceniu może zabiegać o najwyższe stanowiska w nabierającym właśnie ostatecznych kształtów Królestwie Hiszpanii. Nalegał przy tym, by chłopak jak najprędzej skończył studia i uzyskał tytuł bakałarza nauk prawnych. Gdyby to od Fernanda zależało, pozostałby na zawsze na Uniwersytecie i poświęciłby się uprawianiu najróżniejszych dyscyplin nauki. Zdawał sobie jednak sprawę, że to niemożliwe - już wiele lat wcześniej zdecydowano za niego.

Znalazłszy się na drugim brzegu rzeki, Fernando zatrzymał się przy kamiennym posągu byka, stojącym przy zjeździe z mostu. Przypomniał sobie, co mu się przydarzyło na krótko po tym, jak po raz pierwszy zawitał w Salamance. Pewnego popołudnia pod koniec października spotkał się właśnie tutaj z grupką starszych od siebie studentów. Przywitali się, po czym jeden z żaków powiedział mu, żeby przyłożył ucho do posągu, to usłyszy dochodzące z jego wnętrza głośne szmery. Oczywiście Rojas w swojej naiwności zrobił, co mu polecono. Tymczasem student, kiedy tylko stwierdził, że głowa młodszego kolegi znajduje się wystarczająco blisko pomnika, walnął nią o kamienny posąg, aż huknęło, po czym jeszcze mu pogroził:

- Pamiętaj, głuptasie, że prawdziwy student Uniwersytetu w Salamance musi być sprytniejszy niż sam Diabeł.

Na te słowa wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem, oczywiście oprócz biednego Rojasa, który o mały włos nie stracił przytomności. Później dowiedział się, że był to typowy kawał, jaki studenci wyższych lat robili świeżo upieczonym żakom. Większość z nich znosiła te głupie żarty obojętnie i z rezygnacją, on jednak poczuł, jakby ktoś ściągnął go nagle z obłoków na ziemię. Potraktował zajście jako naukę na przyszłość: od tej chwili będzie miał oczy i uszy szeroko otwarte. Teraz, chociaż od owego wydarzenia upłynęło już dobrych parę lat, zdał sobie sprawę, że musi się jeszcze wiele nauczyć.

Mimo iż lato dobiegło końca, o tej porze dnia wciąż jeszcze było gorąco. Pod topolami rosnącymi nad rzeką Fernando dojrzał grupkę studentów, którzy rozsiedli się na

trawie wokół starszego człowieka, czytającego coś na głos z trzymanyh w ręce kartek. Gestykulował przy tym żywo, modulując głos w zależności od przebiegu akcji i nastroju bohaterów utworu. Od czasu do czasu któryś ze studentów przerywał lekturę jakimś żartobliwym komentarzem, podczas gdy inni głośno protestowali albo rzucali w niego czapkami, żeby przestał przeszkadzać. W takich chwilach czytający spoglądał na chłopców z udanym niezadowoleniem, gdyż zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę wszyscy są zachwyceni lekturą i tylko starają się nie dać tego po sobie poznać. Sam Rojas bardzo chętnie zszedłby nad rzekę, żeby rozerwać się trochę w towarzystwie kolegów, dać się porwać akcji czytanego utworu i po rozkoszować wiejącą z wody bryzą oraz nieustającym szmerem rzeki i liści na drzewach, jednak spieszyło mu się: chciał się jak najprędzej dowiedzieć, co nowego zaszło w mieście. Po drodze słyszał od mulników jadących w przeciwną stronę kilka plotek, które trochę go zaniepokoiły. Tak więc popuścił cugli mułowi, na którym podróżował, i zaczął się zagłębiać w uliczki Salamanki.

\*\*\*

## Rozdział 2.

Po tylu latach spędzonych w Salamance Kolegium Świętego Bartłomieja stało się dla Fernanda prawdziwym domem - czymś więcej niż tylko miejscem nauki: było zacisznym schronieniem, gdzie można się ukryć przed zasadzkami, jakie gotował młodym ludziom świat w tych niepewnych czasach, tak bardzo zmiennych i pełnych konfliktów.

Kolegium Świętego Bartłomieja zostało założone przez don Diega de Anayę Maldonado w 1401 roku, kilka lat wcześniej, zanim Studium Generale całkowicie uniezależniło się od kapituły katedralnej, zyskując większą autonomię. Było pierwszą tego typu instytucją w Hiszpanii i to właśnie na jego wzór zakładano później inne kolegia. Nie była to zwykła bursa dla niezamożnych studentów, lecz prawdziwy ośrodek naukowy, dysponujący znacznymi środkami i cieszący się pewną niezależnością w stosunku do Uniwersytetu. Nie na próżno spośród uczniów Kolegium Świętego Bartłomieja wywodziła się znaczna część ówczesnych urzędników kościelnych i państwowych, co z czasem przyczyniło się do powstania popularnego powiedzonka: Cały świat pełen jest bartłomiejczyków. Przyznać trzeba, że fasada jego budynku była raczej skromna: cegły wyraźnie dominowały tu nad kamieniem, nie było żadnych szczegółów mogących jej dodać uroku. W zamian za pobierane nauki, utrzymanie i wszystkie przywileje, jakie dawała przynależność do społeczności Świętego Bartłomieja, uczniowie byli zobowiązani do prowadzenia niemal klasztorowego trybu życia, poświęcając się bez reszty nauce i rozwijaniu najróżniejszych cnót. Uczestniczyli też w różnych wspólnych ceremoniach, jak codzienna msza święta, wspólne posiłki w refektarzu czy tak zwane konkluzje, czyli dyskusje o charakterze naukowym.

Zaraz po wkroczeniu na podworec swej uczelni Rojas odprowadził muła do stajni i taszcząc ciężką walizę, ruszył w stronę pary studentów, których wcześniej zauważył w pobliżu bramy wejściowej.

- A kogóż to moje oczy widzą, przecież to Fernando we własnej osobie. Jak się miewasz? - wykrzyknął na jego widok jeden z chłopców.

Był to wyrośnięty młodzian o rudych włosach i bystrym spojrzeniu. Miał kilka lat mniej od Rojasa i był jednym ze sług, którzy łączyli naukę w Kolegium Świętego Bartłomieja z pracą lokaja. Przybył tu zaledwie rok wcześniej, ale zdążył już prześcignąć w nauce wszystkich swoich rówieśników.



- Myślę, że nie tak dobrze jak ty, drogi Hilario, choć widzę, że nieco zmizerniałeś, ani chybi, spędziłeś wakacje nad książkami. Gdzie się podział twój brzuszek, który przypominał, mający zaraz pęknąć z przepelnienia, bukłak wina?

- Widzę, że nic się nie zmieniłeś - odparł adresat przytyku ze śmiechem. - A jak się miewają twoi rodzice i rodzeństwo?

- Dzięki Bogu, wszyscy mają się jak najlepiej.

- Zwłaszcza od chwili, kiedy stracili cię z oczu.

- W tym względzie masz całkowitą rację, Hilario. Obawiam się, że uważają mnie za straszego ponuraka.

- Za ponuraka, ciebie? A to od kiedy?

- Od dnia, w którym się urodziłem, a nawet jeszcze zanim przyszedłem na ten świat - odparł Roj as tajemniczo. - A kimże jest młody człowiek, który ci towarzyszy? Nie masz zamiaru mi go przedstawić? - zapytał, żeby zmienić temat. - Ma na imię Francisco i właśnie wprowadził się do Świętego Bartłomieja. I choć wcale na to nie wygląda, jest mocniejszy w łacinie niż niejeden z tutejszych magistrów.

- To niezbyt wielka pochwała w naszych czasach. Sam wiesz, jak niewielu uczniów umie się porządnie wysłowić po łacinie: większość nie jest w stanie sklecić jednego zdania bez błędu, a co gorsza, jakoś nikt się z tego powodu nie wstydzi. W każdym razie witam cię w naszej świątyni bogini Wiedzy - zwrócił się do nowego, który spoglądał na niego z takim podziwem, jakby naopowiadano mu niesamowitych wspaniałości na jego temat.

- To dla mnie prawdziwy przywilej, móc was poznać - pozdrowił go z entuzjazmem młodzieniec.

- Widzę, że spędziliście kilka ostatnich tygodni na winobranii - zauważył Rojas.

- Tak, pracowałem w winnicy od rana do nocy. Ale skąd to wiecie? Czyżbym tak bardzo pachniał moszczem? - spytał zdziwiony młodzian.

- Wystarczy zwrócić uwagę na wasze dłonie albo przyjrzeć się spalonej słońcem skórze.

- Jak zwykle nic nie umyka twej uwadze - skwitował Hilario. - Ale byłbym zapomniiał: biskup czeka na ciebie w pałacu. Mówił, że to coś pilnego.

- Na mnie?

- Tak, na ciebie. Potrzebują cię, choć nie udało mi się dowiedzieć, w jakim celu.

- Czy plotki, które doszły do mnie po drodze, są prawdziwe?

- Nie mam pojęcia, co ci powiedziano, ale na uczelni panuje spore zamieszanie. Wczoraj zamordowano fray Tomasa.

- A więc to prawda! - wykrzyknął Rojas. - Stało się to przed samą bramą katedry. Prawdziwa tragedia! Ale idź już, Jego Ekscelencja niecierpliwie oczekuje twojego przybycia. Jak wrócisz, jeżeli tylko będziesz miał ochotę, znajdziemy okazję, żeby dłużej pogadać.

Przed udaniem się na spotkanie z biskupem Rojas zdjął z siebie zakurzone podróżne ubranie i przywdział zwykły strój ucznia Świętego Bartłomieja, składający się z opończy z popielatego sukna oraz szerokiej szarfy tego samego koloru ze zwisającymi końcami i charakterystycznym zapięciem. Jego koledzy zwykli okrywać nią głowy, on jednak wolał kapelusz z szerokim rondem. Na koniec założył pozbawione ozdób trzewiki z czarnego kurdybanu. Choć nie uważano go za szczególnie próżnego, lubił nosić stroje dodające mu powagi i wyróżniające spośród studentów, którzy chodzili w togach, na które nakładali wspomniane już opończe, okrywając często głowy czterograniastym hiszpańskim biretem o nazwie bonete. Rojas był wysoki i barczysty, stąd też raczej trudno było go nie zauważyć. Miał twarz o regularnych rysach, piękne zęby i bardzo jasną cerę, która ostro kontrastowała z ciemnym kolorem oczu i włosów. Zwykle chodził szybkim, choć nie nazbyt wydłużonym krokiem, z nieobecnym wzrokiem, jakby był głęboko pogrążony we własnych myślach. Jednak kiedy skupiał na czymś swą uwagę, nie umykał mu żaden szczegół.

Pałac biskupi znajdował się na wprost zachodniej fasady katedry, niedaleko od Kolegium Świętego Bartłomieja. Był to oczywiście okazały budynek, jednak ani zbyt wielki, ani przesadnie zbytkowny, gdyż biskupi nie spędzali wiele czasu w swojej oficjalnej siedzibie, pozostawiając ją zwykle pod zarządem wikariusza. Kiedy tylko Fernando przedstawił się przy wejściu do pałacu, jeden ze służących zaprowadził go do prywatnych komnat księdza prałata, prosząc, by zaczekał w przedpokoju. Drzwi do gabinetu były lekko uchylone i Rojas mógł dojrzeć biskupa, rozprawiającego o czymś z przejęciem z jednym ze swoich sekretarzy.

Diego de Deza był korpulentnym mężczyzną o prostym nosie, wysokim czole oraz bystrym, przenikliwym spojrzeniu. Miał jakieś pięćdziesiąt pięć lat. W mieście krążyły plotki, według których pochodził z rodziny nawróconych Żydów, jednak żadnemu z jego nieprzyjaciół nie udało się dotąd tego dowieść. W przeszłości pełnił przez jakiś czas stanowisko przeora klasztoru Świętego Stefana, był też wykładowcą głównej katedry teologii na Uniwersytecie. Mimo iż starał się zawsze podkreślać swe dobre maniere, ugodowy charakter oraz postawę skora do dialogu, bez wahania uciekał się do intryg, żeby dopiąć swego, jako że był równie inteligentny, co ambitny. Prestiż, jakiego dorobił się na Uniwersytecie, był powodem powołania go na preceptora następcy tronu Królów Katolickich, królewicza don Juana. Zadanie to pochłonęło go bez reszty na dziesięć lat, po czym, w

nagrodę za oddane Koronie przysługi, w 1494 roku został mianowany biskupem Salamanki. W rzeczywistości objął nowy urząd dopiero w maju 1497 roku, po wzięciu udziału w zaślubinach królewicza z dołą Margaritą Austriaczką. Królewska para pragnęła, żeby Deza pełnił nadal, przynajmniej teoretycznie, obowiązki preceptora królewicza, którego zresztą kochał jak własnego syna, żeby następca tronu mógł od czasu do czasu korzystać z uroków Salamanki i jej Studium Generale. Biskup zaś w ciągu tych kilku miesięcy, które spędził, piastując swój nowy urząd, zdążył już zwołać synod diecezjalny i podjąć porzucony projekt budowy nowej katedry, jaka miała stanąć w niedalekiej odległości od świątyni istniejącej do tej pory.

Wreszcie Rojas zobaczył, że sekretarz wychodzi, niosąc w rękach wielką teczkę z dokumentami. Wstał i skierował się w stronę drzwi. Właśnie miał zapukać, kiedy usłyszał polecenie biskupa:- Wejdźcie proszę, drogi przyjacielu, i zamknijcie dobrze drzwi za sobą. Wybaczenie, że kazałem wam tak długo czekać. Nie macie pojęcia, jak się cieszę, że jesteście już z powrotem w Salamance.

- Ja też miałem wielką ochotę zobaczyć się z Waszą Ekszelencją - mówiąc to, Fernando uklęknął, by ucałować pierścień biskupa.

- Podnieście się, proszę, i siadźcie tu koło mnie; muszę pomówić z wami o pewnych bardzo ważnych i poufnych sprawach. Pewnie dotarły już do was słuchy o straszliwych okolicznościach śmierci fray Tomasa, niech Bóg zachowa go w swojej opiece.

- Po drodze słyszałem jakieś pogłoski na ten temat, a potwierdzono mi je teraz w Kolegium Świętego Bartłomieja, choć bez wdawania się w szczegóły.

- Został w okrutny sposób zamordowany - zaczął swoją relację biskup - tuż przy głównej bramie katedry: zadźgano go szpadą lub zasztyletowano.

- Czy wiadomo już, kto to zrobił? Jest ktoś podejrzany?

- Jeszcze nie. Jak zwykle został ogłoszony dekret, w którym wzywa się każdego, kto mógłby cokolwiek wiedzieć na ten temat, żeby poinformował o tym władzę, gdyż w przeciwnym razie zostanie uznany za współnika.

- Czy znaleziono jakieś ślady? - spytał niecierpliwie Rojas, podczas gdy biskup szukał czegoś w jednej z szuflad biurka.

- Patrzcie - odparł biskup, pokazując mu niewielki przedmiot, który właśnie odnalazł.

Rojas stwierdził, że jest to zwykła moneta, bardziej miedziana niż srebrna, a co za tym idzie, znikomej wartości.

- Znalaziono ją w ustach fray Tomasa - poinformował go biskup. - A dokładnie na języku, jakby chodziło o Najświętszy Sakrament. Straszliwe świętokradztwo!- Czy Wasza Ekscelencja uważa - spytał Rojas - że pozostawiona w ten sposób moneta coś oznacza?

- Jedynie w najprzewrotniejszym umyśle mógł zrodzić się taki pomysł. W każdym razie, mój drogi przyjacielu, jest to jedna z rzeczy, które będziecie musieli wyjaśnić.

- Wyjaśnić? Ja? - krzyknął zdumiony Rojas.

- Nie wiem, czemu jesteście tak bardzo zdziwieni - biskup wpadł mu w słowo. - W przeszłości daliście nam przecież niejednego dowód waszej nadzwyczajnej inteligencji. Czy to nie wy odkryliście, kto ukradł kielich z kaplicy Studium Generale? Czy nie za waszą sprawą schwytano rabusiów szkatułki, w której przechowywano dokumenty tak ważne dla Uniwersytetu?

Była to aluzja do dwóch spraw, w których Rojas wspomógł rektora, przyczyniając się do odnalezienia sprawców kilku tajemniczych kradzieży, które zdarzyły się na łonie Uniwersytetu; w obu przypadkach zaskarbił sobie szacunek niektórych członków grona profesorskiego oraz, jakżeby nie, zazdrość wielu z nich.

- Ale przecież, w porównaniu z obecną sprawą, oba te przypadki to zwykła dziecinada - nieśmiało zaprotestował Rojas. - Zająłem się nimi tylko dla zabawy, żeby wystawić na próbę mą inteligencję. Tutaj chodzi o coś znacznie poważniejszego.

- Oczywiście, że tak - zgodził się biskup, podnosząc nieco głos. - Dlatego właśnie postanowiłem zwrócić się z tym do kogoś obdarzonego tak wyjątkowymi zdolnościami jak wy.

- Ależ ja nie mam ku temu odpowiedniego przygotowania - odparł Rojas bez cienia fałszywej skromności w głosie.

- Poza tym nie posiadam przecież należnych uprawnień.

- Muszę stwierdzić, że w tym względzie bardzo się mylicie - przerwał stanowczym głosem biskup - gdyż właśnie zostaliście mianowani nadetatowym zausznikiem\* Świętego Oficjum i zostały wam przyznane wszelkie uprawnienia niezbędne przy śledztwie w sprawie tej tajemniczej zbrodni. Zostaliście przy tym zwolnieni z obowiązku zdawania sprawy z wyników śledztwa komisarzowi inkwizycji w Salamance, co oznacza, że będziecie informować na ten temat tylko i wyłącznie mnie oraz inkwizytora trybunału w Valladolid, jeżeli on uzna to za stosowne.

\* Mianem zauszników (familiares) określano w Hiszpanii cieszących się dużym autorytetem świeckich urzędników czy też pomocników inkwizycji (w zasadzie można by powiedzieć, że pełnili oni rolę agentów policji religijno-politycznej); ci z nich, którzy nie

posiadali stałego etatu, byli nazywani familiares supernumerarios, czyli zausznikami nadetatowymi.

- Ja mam być zausznikiem inkwizycji?! - wykrzyknął szczerze zaskoczony Rojas. - Czyżby Wasza Ekszelencja zapomniał już, że jestem konwertytą?

- No właśnie - zaczął wyjaśniać biskup z prostotą. - Mianowanie was na to stanowisko oznacza ostateczne stwierdzenie czystości krwi, zarówno waszej, jak i wszystkich członków waszej rodziny, nie mówiąc o innych przywilejach, jakie niesie z sobą ten urząd, jak na przykład prawo noszenia broni. Musicie też mieć świadomość - pogroził - że jeśli odmówicie, postawicie pod znakiem zapytania status prawowiernego chrześcijanina, i to nie tylko wasz, ale i waszych rodziców.

- Ale przecież wszyscy dobrze wiedzą, że...

- Skończcie z wymówkami! - przerwał mu biskup. - Kościół i Korona potrzebują waszej pomocy, a wy macie dług do spłacenia wobec inkwizycji, nie zapominajcie o tym. Życie i dobre imię waszego ojca zależą od waszej postawy i zachowania, to przecież wasze własne słowa. Poza tym, zarówno wasze nowe stanowisko, jak i prowadzone przez was śledztwo będą utrzymywane w całkowitej tajemnicy. Jedyne, czego się od was wymaga, to żebyście zrobili jak najlepszy użytek z waszej inteligencji i ze stosowanych przez was metod, doprowadzając do wykrycia przestępców. Święty Trybunał oraz świecki wymiar sprawiedliwości uczynią potem, co do nich należy. Jak pewnie wiecie, urząd zausznika inkwizycji nie niesie z sobą żadnych honorariów, jednak daje cały szereg innych przywilejów. Nie mówiąc już, że w waszym przypadku może on stanowić pierwszy krok ku znacznie zaszczytniejszym stanowiskom, które pewnie staną przed wami otworem, oczywiście dopiero kiedy zakończycie studia na Uniwersytecie. Możecie również być pewni, iż ja, ze swej strony, będę umiał was stosownie wynagrodzić.

- Ale co takiego właściwie mam zrobić? - spytał Rojas, wyraźnie zaniepokojony tym, co go czeka.

- Wyobraźcie sobie, że jesteście psem gończym - wrócił do słowa biskup. - Czyż nie tak sami się przy jakiejś okazji nazwaliście? Jedyne, czego się od was wymaga, to żebyście obwąchali w należyty sposób zdobycz i, podążając jej tropem, odnaleźli norę, w której się ukrywa, upolowali mordercę oraz jego ewentualnych podżegaczy i współników. Nie zapominajcie też pod żadnym pozorem, że wszystkie wasze ruchy muszą być otoczone całkowitą dyskrecją.

- No cóż, jeżeli takie jest życzenie Jego Ekszelencji... - przytaknął Rojas, żałując, że w przeszłości zachciało mu się chwalić swoimi sukcesami w roli psa gończego.

- Byłem pewien, że staniecie na wysokości zadania. A teraz posłuchajcie mnie uważnie. Za dwa dni zagości w Salamance królewicz don Juan, który mimo wielkich chęci nie mógł towarzyszyć rodzicom w podróży do Valencia de Alcantara, na ślub swej siostry Isabeli, gdyż powraca właśnie do zdrowia po chorobie. Nie chcę, żeby pomyślał, że nasze miasto nie jest miejscem bezpiecznym, a tym bardziej że tego typu zbrodnia mogłaby pozostać bezkarna. Jak najbardziej przychyliam się w tej kwestii do woli królewskiej pary, pragnąc równie gorąco jak oni, by od tej pory królewicz spędzał jak najwięcej czasu w Salamance, co skądinąd będzie źródłem znacznych zysków i zaszczytów zarówno dla miasta, jak i dla Uniwersytetu. Na razie następcą tronu zatrzyma się w moim pałacu i życzę sobie, żeby nic nie zakłóciło jego wypoczynku. Rozumiecie teraz powód moich zmartwień i niepokoju?

- Jak najbardziej - przyznał Rojas, z rezygnacją przystając na podjęcie się powierzonej mu misji. Nie miał zresztą innego wyjścia. - Wracając do fray Tomasa, chciałbym poprosić Waszą Ekszelencję o jedno. Pragnę jak najprędzej zbadać jego zwłoki.

- Zwłoki?! Na miłość boską, co pragniecie uczynić?

- Stwierdzić, w jaki sposób umarł.

- Nikt nie wymaga od was, żebyście ustalili jak umarł, tylko kto go zamordował.

- Jednak dokładne zbadanie zwłok mogłoby mi wiele wyjawić, a nawet dostarczyć dowodów...

- Dowodów? - przerwał mu biskup z irytacją w głosie.

- My nie potrzebujemy dowodów i dobrze o tym wiecie. Powiedzcie mi, kim są mordercy, a już inkwizycja będzie się martwić, jak publicznie udowodnić im winę.

- A jednak - nie przestawał nalegać Rojas - jestem przekonany, że zwłoki fray Tomasa mają mi wiele do zaoferowania. Starożytni mędrcy twierdzili, że umarli mówią, trzeba jedynie umieć ich 'wysłuchać. Z pewnością Wasza Ekszelencja zna to powiedzenie: Najlepsze rady żywym dają ci, co wiecznie odpoczywają.

- Gdyby nie to, że znam was od tylu lat, pomyślałbym, że jesteście czarnoksiężnikiem - zażartował biskup. - Nie macie chyba zamiaru zabrać się do otwierania zwłok, żeby grzebać we wnętrznościach, nieprawdaż?

- Nie będzie to konieczne - zapewnił Rojas.

- A cóż wy w ogóle wiecie na temat anatomii?- Wiem to, co udało mi się wyczytać w dziełach Galena i Awicenny, oraz to, czego nauczyłem się na wykładach na Uniwersytecie.

- Nieraz już przestrzegałem was, że wasza przesadna żądza wiedzy może się okazać czymś grzesznym. Gdybyście poświęcili studiowaniu kanonów i praw tyle samo czasu i

wysiłku, ile wkładacie w uczenie się tych wszystkich dziwnych rzeczy, to wy bylibyście pewnie teraz sekretarzem królewskiej pary, a nie ten konwertyta o nazwisku Zapata. No cóż, jeżeli faktycznie przykładacie tak wielką wagę do zbadania zwłok, zwróćcie się do przeora Świętego Stefana, zaznaczając, że osobiście wyraziłem na to zgodę. Jestem pewien, że mu się to nie spodoba, ale nie będzie miał wyjścia i będzie musiał przystać na waszą prośbę. Jeszcze coś?

- Czy mogę zabrać tę monetę?

- Możecie. Niech to będzie zaliczka na poczet waszych honorariów - zażartował biskup, który czuł się już znacznie spokojniejszy, wiedząc, że Rojas jest skłonny podjąć się powierzonego mu zadania.

- Macie tu też list polecający napisany własnoręcznie przeze mnie. Nakazuję w nim, by wszystkie drzwi stawały przed wami otworem i żeby, gdziekolwiek się udacie, należnie was przyjmowano. A gdybyście jeszcze czegoś potrzebowali, możecie zgłosić się do mojego sekretarza.

- Na razie zupełnie wystarczy mi błogosławieństwo Waszej Ekscelencji.

- Wiecie przecież, że je macie. Możecie też liczyć na moje zaufanie i opiekę. I nie omieszkajcie stawić się u mnie, kiedy tylko uda się wam odkryć coś godnego uwagi. A teraz idźcie już, mam jeszcze wiele ważnych spraw do załatwienia. Wyobraźcie sobie, że kiedy biskup znajduje się w swojej siedzibie, nie ma czasu na odpoczynek. To dlatego większość z nas woli mieszkać z dala od biskupiego pałacu.

\*\*\*

## Rozdział 3.

Fernando de Rojas zdał sobie sprawę, że właśnie skończyły się dla niego beztroskie studenckie czasy. Nadeszła chwila wyjścia na arenę i podjęcia konkretnych działań i to na rzecz sprawy, która nie przypadła mu szczególnie do gustu. Na nic jednak się zdadzą skargi i lamentsy. Miał świadomość, iż - przynajmniej w pewnym sensie - to nie on sprawuje kontrolę nad swoim własnym życiem, nie mówiąc już o czekających go zadaniach. Ale nie było wyjścia - należało wziąć się do roboty. Postanowił, nie zwlekając, udać się na miejsce zbrodni. Od czegoś trzeba było zacząć, a miejsce to znajdowało się najbliżej pałacu biskupa. Od chwili, kiedy doszedł do wniosku, iż nie ma wyjścia i musi podjąć współpracę z inkwizycją, ze wszystkich sił starał się znaleźć dobre strony powierzonej mu misji. Przede wszystkim stanowiła ona wielkie wyzwanie dla jego inteligencji, coś w rodzaju egzaminu, podczas którego będzie mógł wystawić na próbę swe zdolności i sprawdzić skuteczność stosowanych przez siebie metod; przy okazji będzie mógł zaskarbić sobie przychyłność różnych wpływowych osobistości. Na dodatek, choć miał świadomość, że rozwiązanie zagadki nie będzie łatwe, wiedział też, iż jeśli misja zakończy się sukcesem, udowodni biskupowi, że jego wiedza do czegoś się przydaje. I może dzięki temu będzie mógł szybko powrócić do swoich studiów na Uniwersytecie.

Postanowił na początek dotrzeć do człowieka, który znalazł zwłoki. Zapytał o niego w zakrystii, gdzie mu powiedziano, że kościelny znajduje się na wieży dzwonnicy. Skierował się więc w stronę wejścia do dzwonnicy, zauważając przy okazji, że dzwony biją żałobnym tonem zarezerwowanym dla profesorów Uniwersytetu, nieco odmiennym od uderzeń, którymi honorowano zwykłych śmiertelników.

- Czy moglibyście zejść na chwilę na dół? Muszę z wami pomówić - krzyknął Rojas z pierwszych stopni schodów, kiedy zamilkły ostatnie dźwięki dzwonów.

- Kto tam? - dobiegł go z góry podejrzliwy głos zakrystiana.

- Przysłała mnie Jego Ekscelencja - odkrzyknął Rojas - z poleceniem, żebym was przepisał w związku ze śmiercią fray Tomasa.

- Opowiedziałem już dziekanowi, biskupowi i rektorowi wszystko, co miałem możliwość zobaczyć.

- Mimo to jednak muszę z wami porozmawiać - powtórzył Rojas, tym razem dużo bardziej stanowczym tonem.



W końcu usłyszał kroki kościelnego schodzącego po stromych schodach. Kiedy jego sylwetka pojawiła się na dole, Fernando stwierdził, że ma do czynienia z niskim człowieczkiem kulejącym na prawą nogę, co niewątpliwie utrudniało mu zwinne poruszanie się po zakamarkach dzwonnicy. Od pierwszego wejrzenia wydał mu się osobnikiem ponurym i zamkniętym w sobie; podobne wrażenie sprawiała zresztą większość ludzi obracających się na co dzień wśród kanoników i innych dostojników Kościoła.

- Chciałbym zadać wam kilka pytań - poinformował go Rojas. - Wiem, że opowiedzieliście już wszystko Jego Ekscelencji, jednak być może są pewne szczegóły, które mogły się wam wydać nieistotne, a nam mogłyby pomóc w szybszym odnalezieniu winnego. Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, gdzie dokładnie znaleźliście zwłoki. Byłbym wdzięczny, gdybyście zgodzili się pójść ze mną. - Mam tu jeszcze mnóstwo pracy - próbował się opierać kościelny. - Wiecie pewnie, że pogrzeb ma się odbyć jeszcze dziś wieczorem.

- Zapewniam was, że nie zajmę wam zbyt wiele czasu i że dobrze was wynagrodzę.

Zakrystian ruszył niechętnie przed siebie. Wyglądał na niezbyt przekonanego co do rzeczywistych intencji bartłomiejczyka. Nie ufał mu, co często zdarza się prostym ludziom w stosunku do kogoś wykształconego. Bał się, że Rojas mógłby go oszukać.

- To tutaj go znalazłem - wskazał, kiedy znaleźli się przed katedrą. - Fray Tomas leżał tuż przed bramą, w wielkiej kałuży krwi. Patrzcie, ciągle jeszcze widać ślady. Jeden ze sług próbował wyczyścić plamy, ale wygląda na to, że nieco krwi wsiąkło w kamień.

Jeszcze nie skończył mówić, kiedy ze zdumieniem ujrzał, iż jego rozmówca opada na czworaki i z nosem przyziemi zaczyna badać miejsce wokół resztek krwawych plam. Oczywiście Rojas chciał sprawdzić, czy zostały tam może jakieś ślady, choć zważając na to, ile czasu upłynęło od dnia zabójstwa, było to mało prawdopodobne. Pragnął jednak działać metodycznie. Zakrystian spoglądał na niego ze zdumieniem. Nieraz słyszał opowieści, że niektórzy studenci tracą zmysły od ciągłego czytania i rozmyślenia - ani chybi ten bartłomiejczyk był właśnie jednym z takich przypadków. W żaden sposób nie mógł pojąć, co ten młody człowiek może mieć wspólnego ze sprawą i z jakiego powodu biskup przysłał go do niego.

- Czy oprócz monety znaleźliście jeszcze coś, co zwróciłoby waszą uwagę?

- Nie, panie - odparł, nie ukrywając, że czuje się nieco urażony tym pytaniem.

- Ciekaw jestem, skąd wiedzieliście, że fray Tomas nie żyje? - Po pierwsze się nie ruszał. No a potem zbliżyłem się i stwierdziłem, że nie oddycha.

- Czy dotknęliście jego ciała? Pamiętacie, czy było zimne?

- Musnąłem je tylko ręką, ale zdało mi się, że jest jeszcze ciepłe.

Rojas położył się na ziemi tuż obok resztek krwi, uważając, żeby nie zabrudzić płaszcza.

- Moglibyście dokładnie opisać, w jakiej pozycji było ułożone ciało?

Zakrystian nie wierzył własnym oczom. Teraz był już pewien, że student zwariował.

- Kiedy go znaleźliście, leżał na plecach czy na brzuchu? - nie dawał za wygraną Rojas.

- Leżał twarzą do góry, tyle że trochę skurczony - odpowiedział w końcu.

- Leżał przodem czy tyłem do bramy?

- Przodem, przodem - odparł zniecierpliwiony natłokiem pytań mężczyzna.

- W ten sposób? - dopytywał się dalej Rojas.

- Tak. Mniej więcej - przytaknął niechętnie - tylko że nogi miał nieco bardziej podkurczone i skręcone w prawo.

- A ręce?

- Jedną rękę miał opartą na brzuchu, a drugą, prawą, wyciągniętą na ziemi, o w ten sposób - dodał, zaciskając palce z wyjątkiem wskazującego - jakby wskazywał w stronę wejścia do katedry.

- Wygląda na to, że zamordowano go, kiedy kierował się do kościoła; sprawca pewnie krył się w cieniu portyku albo tutaj w kącie.

Miał na myśli załom, gdzie fasada kościoła łączyła się z murem wieży dzwonnicznej. Miejsce to znajdowało się tuż obok głównej bramy i niewątpliwie pod osłoną nocy stanowiło świetną kryjówkę dla kogoś, kto planował zamordowanie fray Tomasa. Jednak, jeżeli rzeczywiście ktoś na niego czyhał, dlaczego nie spróbował zabić go gdzieś wcześniej, w którejś z ciemnych uliczek albo w jakimś innym miejscu, bezpieczniejszym dla zabójcy. Chyba że z jakiegoś powodu chciano zasztyletować go właśnie tutaj, obok bramy katedry, czyli w miejscu świętym. Jeżeli do tego dorzucić historię monety pozostawionej na języku zamordowanego, można by wnioskować, że coś się za tym kryje. Rojas był pewien, że jeśli uda mu się odkryć, o co chodzi, w krótkim czasie będzie w stanie odnaleźć sprawcę zbrodni.

- Czego mógł szukać fray Tomas o tej porze w katedrze? - spytał zniecka kościelnego.

- Jediną osobą, która bywa tu tak wcześnie rano, jest Jego Ekscelencja, choć już od kilku dni go u nas nie było. Wcześniej przychodził codziennie o świcie, żeby pomodlić się w kaplicy świętej Barbary; w tej, w której odbywają się egzaminy bakałarskie.

- Słyszałem niedawno od jednego ze służących - dodał tajemniczym głosem - że od jakiegoś czasu Jego Ekscelencja woli modlić się w pałacowej kaplicy.

- Czyżby więc istniała możliwość, że fray Tomas, nic nie wiedząc o zmianie zwyczajów biskupa, przyszedł tu, chcąc się z nim zobaczyć?

- O to powinniście zapytać Jego Ekszelencję we własnej osobie - odparł kościelny z przekąsem.

- A może zauważyliście ostatnio w katedrze coś dziwnego?

- Coś dziwnego, mówicie?

- Cokolwiek, co zwróciłoby waszą uwagę.

- Jedyne, co mogę powiedzieć, to że odczuwa się tu pewien niepokój związany z projektem nowej katedry.

- Nie bardzo rozumiem, o co wam chodzi.- A o to, że miejsce wyznaczone na budowę przez radę miejską zakłada nie tylko zburzenie samej katedry z krużgankami, ale też części pałacu biskupiego, w związku z czym biskup grozi, że powstrzyma budowę i odda sprawę do rozpatrzenia królewskiej parze oraz nadwornym architektom.

- Czy fray Tomas miał z tym coś wspólnego?

- O ile mi wiadomo, to nie. W każdym razie otwarcie nie mieszał się do tej sprawy, choć wszyscy wiedzą, że nie był w najlepszych stosunkach z radą miejską. Poza tym - dodał jakby mimochodem - był w zażyłej przyjaźni z biskupem.

- A wy, co wy o tym wszystkim sądzicie?

- To, co myśli ktoś taki jak ja, jest tu zupełnie bez znaczenia.

- A może widzieliście ostatnio w katedrze kogoś, kto zwróciłby waszą uwagę?

- Przez kościół przewija się tylu ludzi, że trudno mi coś na ten temat powiedzieć - odparł niechętnie. - A teraz, za pozwoleniem, muszę wracać do pracy.

- Przyjmijcie tych kilka monet - powiedział Rojas. - To żeby wynagrodzić wasz stracony czas i żebyście zachowali naszą rozmowę w tajemnicy. Niewykluczone, że jeszcze się zobaczymy.

Kościelny bez słowa przyjął pieniądze, upewniwszy się wcześniej, że nikt ich nie obserwuje. Rojas pozostał jeszcze przez chwilę na miejscu, łudząc się, że może uda mu się jednak wytropić jakiś ślad pozostawiony przez zabójcę. Gdy rozglądał się w poszukiwaniu czegoś interesującego, nagle spostrzegł, że ktoś obserwuje go z okna pałacu biskupa. Kiedy ponownie rozległo się bicie dzwonów, stwierdził, że najwyższy czas, aby udać się na oględziny zwłok.

\*\*\*

## Rozdział 4.

Za murami klasztoru Świętego Stefana panowało wielkie poruszenie, spowodowane przygotowaniem do uroczystości żałobnych ku czci fray Tomasa. Pogrzeb miał się odbyć jeszcze tego samego dnia wieczorem i wszędzie kręcili się rozgorączkowany zakonnicy oraz służba, a od czasu do czasu dołączali do nich jeszcze wysłannicy pałacu biskupiego i Uniwersytetu. Większość dominikanów przybrała poważny i zbolący wyraz twarzy, jakby śmierć fray Tomasa stanowiła okropny cios dla zakonu. Jednak na obliczach innych, przede wszystkim młodszych braci, widać było raczej niepewność i żal. Jediną osobą, która wydawała się zachowywać spokój pośród tego zamieszania, był brat zielarz. Już dobrą chwilę temu odźwierny poprosił Rojas, żeby zechciał poczekać na przeora w niewielkiej salce przy wejściu, jako że w tej chwili był on zajęty odprawianiem egzekwii. Przez jedno z okien widać było zielarza pracującego spokojnie na grządkach z rozsadami, jakby nie miał pojęcia o zamieszaniu panującym w klasztorze. Był to siwy staruszek o spalonej słońcem skórze, bystrym spojrzeniu i wesołej twarzy, chudy jak szczapa, niezbyt wysoki i trochę przygarbiony. W końcu Rojas nie wytrzymał i zdecydował się wyjść do ogrodu, żeby przyjrzeć się z bliska rosnącym tam roślinom.

- Wybaczcie, że ośmieliłem się wtargnąć tu, żeby wam przeszkadzać - zagaił, podchodząc do staruszka. - Byłem przekonany, że znam się nieco na botanice, ale muszę przyznać, że nigdy nie widziałem żadnej z tych roślin. - To całkiem naturalne, gdyż wszystkie one pochodzą z Indii. Ich nasiona dotarły do klasztoru przysłane w darze przez żeglarza Krzysztofa Kolumba, po powrocie z jego niezwykłych podróży.

- Ciekawe, w jaki sposób udało wam się je wszystkie wyhodować?

- Myślę, że ostry klimat Salamanki nie najlepiej im służy, ale jestem dość upartym człowiekiem i udało mi się doprowadzić do tego, że kilka z nich zaowocowało.

- Ależ moim zdaniem wyglądają wręcz wspaniale! - wykrzyknął Rojas, zachwycony tyloma nowościami.

- Ta tutaj - poinformował go zakonnik, nie przerywając kopania - pomimo swojego niezbyt ciekawego wyglądu posiada niezwykle smaczny korzeń. Miałem już okazję go spróbować i wróżę mu wspaniałą przyszłość na naszych stołach. Jeżeli uda mi się ją ujarzmić i udomowić, poproszę moich zwierzchników, żeby pozwolono mi urządzić plantację w zakonnym majątku nieopodal rzeki w Valcuevo.

Zielarz wyglądał na bardzo zadowolonego ze znalezienia kogoś, z kim może odbyć miłą pogawędkę na temat swoich pasji i sukcesów.

- A to ziele o wielkich liściach, co to takiego? - spytał Rojas, zaskoczony kształtem i rozmiarami rośliny.

- Indianie ponoć nazywają je tabaco i stosują w celach leczniczych. Ścinają i suszą liście, a kiedy są już gotowe, zwijają je w ciasne rulony; potem podpalają jeden koniec, a z drugiej strony wdychają dym. Z tego, co słyszałem, ziele to ma działanie odprężające i usypiające. Nie miałem jeszcze okazji, żeby je wypróbować, ale jeżeli to wszystko prawda, mam zamiar stosować je codziennie przed spaniem.

- A nie obawiacie się, że któremuś z waszych braci mogłoby się to nie spodobać, a nawet że mogłoby na was donieść do Świętego Oficjum? Słyszałem, że w Sewilii inkwizycja pojmała jednego z towarzyszy podróży Kolumba, oskarżając go o czary, właśnie z powodu wydychania dymu z jakichś liści. Ponoć inkwizytorzy, którzy są obdarzeni niezwykle bujną fantazją, uznali to za czarci wynalazek, stwierdzając, że jedynie diabeł może sprawić, żeby człowiek ział dymem. Nie wydaje się wam, że to śmiechu warte?

- A na dodatek chorobliwe. Zwróćcie uwagę, że roślina ta jeszcze do nas nie dotarła, a ci głupcy już nazywają ją diabelskim - ziele. Co tu dużo gadać, po inkwizytorach wszystkiego się można spodziewać. Wiem coś o tym, bo sam jestem dominikaninem. Mają tak wielką obsesję na temat zdrowia naszej duszy i czystości naszej wiary, że w końcu zabronią nam nawet sjeisty, żebyśmy nie mogli mieć nieczystych snów. Szczęśliwie nie muszę się ich obawiać, bo w klasztorze nie mogą się beze mnie obejść. To ja przygotowuję leki i maści, kiedy dokucza im jakaś dolegliwość lub któryś z cielesnych organów daje się we znaki.

- Z wielką przyjemnością porozmawiałbym z wami jeszcze trochę na temat wszystkich niezwykłych właściwości ziół, które tu hodujecie, jednak na razie przyjdzie mi się pożegnać, gdyż muszę się pilnie zobaczyć z przeorem.

- Ojciec przeor znajduje się pewnie w kaplicy, gdzie modli się za fray Tomasa, niech Bóg ma go w swojej opiece. Nawiasem mówiąc, fray Tomas nie darzył zbytnią sympatią moich roślin, co jednak nie jest wystarczającym powodem, żeby go zamordować, nie uważacie? - dodał z ironicznym uśmiechem.

- Zależy, co z nimi robił. Dla niego były to pewnie tylko chwasty, które należałoby wytępić.

- Wygląda na to, że dobrze go znaleźcie - potwierdził brat zielarz, śmiejąc się serdecznie. - Możecie mnie odwiedzać, kiedy tylko będziecie mieli ochotę. Suszę właśnie

kilka liści owego tabaco i mam dokładne instrukcje, jak je spreparować.- Z pewnością was jeszcze odwiedzę. Nazywam się Fernando de Rojas.

- Ja jestem fray Antonio z Zamory, do usług.

Krótką rozmowę z bratem zielarzem nastroiła Fernanda tak optymistycznie, że przez chwilę zapomniał, po co przyszedł do klasztoru. Stojący na progu odźwierny wymachiwał do niego obiema rękami, żeby się pospieszył. W krużgankach czekał już na niego przeor. Był wysoki i kościsty, jego skóra przypominała pergamin, a oczy, głęboko zapadnięte w oczodołach, spoglądały jakby z dna studni.

- Proszę o wybaczenie - przeprosił Rojas. - Wdałem się w rozmowę z bratem zielarzem i muszę wyznać, że zapomniałem o bożym świecie. Rośliny to jedna z moich pasji...

- Mam nadzieję, że to nie one są powodem waszej niestosownej wizyty - przerwał mu przeor oschłym głosem.

- Oczywiście, że nie. Otóż biskup zlecił mi odkrycie winnych śmierci fray Tomasa. Mogę wam przedstawić list napisany własnoręcznie przez Jego Ekscelencję, w którym...

- Nie będzie to konieczne - przerwał mu gwałtownie przeor. - Powiedzcie mi tylko, o co dokładnie wam chodzi?

- Na razie chciałbym jedynie oglądnąć zwłoki fray Tomasa.

- Nie wydaje się wam, że trochę już na to za późno?

Wydawało się oczywiste, że przeor nie miał zbyt wielkiej ochoty, żeby przychylić się do prośby Rojasa i nawet nie próbował tego specjalnie ukrywać; mimo to jednak nie mógł zrobić nic, żeby odwieść go od tego zamiaru.

- No cóż, jeżeli taka jest wola biskupa - powiedział w końcu - nic na to nie mogę poradzić, choć nie jestem w stanie pojąć, co zamierzacie przez to osiągnąć.

- Szukam jedynie śladów, które mogłyby doprowadzić mnie do sprawcy zabójstwa.- Czyż nie lepiej byłoby poszukać ich gdzie indziej? Zgromadzić świadków, zatrzymać podejrzanych...

- Tym zajmuje się już rektor. Jak wam wiadomo, jest on osobą odpowiedzialną za wymierzanie sprawiedliwości na terenie Uniwersytetu, nie licząc oczywiście mera i sędziów miejskich, którzy w miarę potrzeby mogą również interweniować w podobnych sprawach. Moim zadaniem jest przeprowadzenie śledztwa, które ma wyjaśnić zaistniałe fakty oraz okoliczności śmierci, a jego ostatecznym celem jest odkrycie...

- Widzę, że macie na wszystko gotową odpowiedź - przerwał mu z rezygnacją przeor.

- Bądźcie łaskawi mi towarzyszyć.

Ciało fray Tomasa zostało umieszczone na katafalku w jednej z klasztornych kaplic, otoczone licznymi świecami, gromnicami i zniczami. Czuwała przy nim grupa zakonników, którzy na zmianę wznosili żałobne śpiewy i odmawiali modlitwy za spokój duszy zmarłego. Była to osobliwa scena, kontrastująca w oczywisty sposób z sielankowym wizerunkiem ogrodu brata zielarza, którym jeszcze przed chwilą zachwycił się Rojas.

- Proszę - przemówił przeor do zakonników - przerwijmy na chwilę modły. Wasz sześcioro - dodał, zwracając się do niewielkiej grupki - zostanie na miejscu. Reszta może się oddalić do zaległych zajęć.

Większość zakonników z ulgą przyjęła słowa przeora, choć żaden z nich nie dawał tego po sobie poznać. W kaplicy panował nie tylko ponury nastrój, ale i straszna duchota, stąd też najpewniej wykorzystali okazję, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, zasłaniając się pretekstem pójścia za potrzebą lub odrobienia zaległości w pracach w ogrodzie.

- Będziecie musieli przenieść ciało fray Tomasa - rozkazał przeor pozostałym na miejscu zakonnikom - do Panteonu Teologów, żeby ten człowiek, który został tu przysłany przez biskupa, mógł obejrzeć jego rany. Tylko bardzo proszę, żebyście uważali, by w żadnym razie nie przekroczyć granic przyzwoitości.

Czterech braci zabrało się do przenoszenia ciała leżącego na marach, w rogach których paliły się wielkie gromnice. Przed nimi szedł zakonnik niosący krzyż, a z tyłu inny brat z kadzielnicą. Rojas podążył za nimi wszystkimi. Panteon Teologów znajdował się na końcu wschodniego skrzydła krużganków. Od ponad wieku chowano tam profesorów teologii oraz innych wydziałów Studium Generale, jak również nielicznych braci, którzy w oczach dominikańskiej społeczności wyróżnili się szczególnymi cnotami.

- Za pozwoleniem - poinformował ich Rojas, kiedy mary spoczęły na stole na środku kaplicy - muszę zdjąć habit, żeby przeprowadzić oględziny ran zmarłego.

- Jesteście pewni, że to, co macie zamiar zrobić, jest godne chrześcijanina? - spytał zakonnik niosący krzyż.

- Bez wątplenia. Jak wiecie, mam na to pozwolenie samego biskupa.

Zakonnicy ustawili się dookoła zmarłego, jakby nadal przy nim czuwali. Stali ze spuszczonej głowami i wzrokiem zagubionym w płytach posadzki.

- Nie powinniście odczuwać wstydu, widząc waszego brata nago - zaczął tłumaczyć Rojas. Wypowiadane przez niego słowa odbijały się od sklepienia kaplicy, dudniąc niczym jakiś głos z zaświatów. - Prawdą jest, że człowiek nie powinien się zbyt przyglądać ani słońcu, ani śmierci, jednak nagie zwłoki nie mają w sobie nic wstydlivego ani tajemniczego.

Nieboszczyk jest jak księga: żeby móc coś z niego wyczytać, najpierw należy go otworzyć lub odkryć - mówiąc to, skończył rozbierać zmarłego - a następnie rozszyfrować jego alfabet.

Mówiąc to, nie przestawał badać uważnym wzrokiem ciała zakonnika. Na bladoniebieskiej piersi odcinały się podłużne otwory ran. Policzył je po cichu, stwierdzając, że fray Tomasowi zadano dwanaście ciosów, w większości głębokich; niektóre z nich trafiły w ważne organy. Z kształtu i wielkości ran wywnioskował, że narzędziem zbrodni musiał być niezwykle ostry sztylet. Na jednej z nich siedziała mucha, znęcona przedstawieniem. Rojas delikatnie odgonił ją dłonią, starając się nie zwrócić uwagi zakonników.

- Czasami - mówił dalej, żeby zająć czymś ich zmysły - należy też czytać między wierszami. Zdradzę wam pewną tajemnicę. Oglądając ciało zmarłego człowieka, doświadczony lekarz jest w stanie dowiedzieć się o nim więcej niż ktoś, kto spędził u jego boku całe życie. Ale nie przejmujcie się, w tym przypadku tak nie będzie. Tym razem chodzi mi tylko o to, żeby dokładnie obejrzeć rany i spróbować odkryć coś interesującego.

W tym momencie mucha wróciła, siadając na policzku zmarłego. Rojas zbliżył się, mając ochotę schwytać ją zwinioną dłonią. Od dziecka trenował łapanie much w ten sposób i miał w tym względzie spore doświadczenie. „Chwileczkę, cóż to takiego?!” - pomyślał nagle. - „Wygląda to na powierzchowną ranę”.

Rzeczywiście, na lewym policzku zmarłego można było dojrzeć niezbyt głębokie draśnięcie. Było to ledwo widoczne poziome zadrapanie, długie na trzy palce. W pierwszej chwili w ogóle go nie zauważył, być może z powodu licznych zmarszczek na twarzy zakonnika.

Poprosiwszy o pomoc jednego z braci, odwrócił ciało zmarłego, żeby zbadać jego plecy, na których nie znalazł jednak nic ciekawego. Już miał ponownie go zawołać, żeby odwrócić ciało z powrotem na wznak, kiedy nagle dojrzał coś, co przykuło jego uwagę. Zarówno na wewnętrznej powierzchni pośladków, jak i w górnej części ud widać było otarcia i sińce. Starając się nie dać niczego po sobie poznać, Rojas zbadał okolice odbytu, zauważając niewielkie blizny na otaczającej go skórze oraz śluzówce. Choć oczywiście obrażenia te nie miały nic wspólnego ze śmiercią fray Tomasa, chętnie przyjrzałby się im dokładniej, nie chciał jednak robić tego na oczach zakonników, którzy zaczynali się już niecierpliwić, i widać po nich było, że czują się coraz bardziej niezręcznie. Nie mógł też ich poprosić, by zostawili go sam na sam ze zwłokami. Zresztą na nic by się to zdało, gdyż w tej właśnie chwili w kaplicy pojawił się przeor.

- Czy możemy już dać naszemu bratu odpocząć w pokoju? - zwrócił się do Rojas.

- Raz jeszcze proszę was o wybaczenie. Właśnie kończę oględziny.



- I cóż, znaleźliście coś nowego?

- Muszę przyznać, że niezbyt wiele.

- Czyżbyście oczekiwali, że znajdziecie podpis mordercy na skórze fray Tomasa? - pytał złośliwie przeor. - A może napis głoszący: „Zrobił mi to taki a taki”, jakby chodziło o znak firmowy wygrawerowany przez garncarza?

W tej chwili Rojas o mało nie podskoczył, jakby nagle zdał sobie sprawę z czegoś, na co do tej pory w ogóle nie zwrócił uwagi. Słowa przeora sprawiły, że przyszło mu na myśl, iż zarówno zadrapanie na twarzy, jak i moneta w ustach mogły być znakami pozostawionymi świadomie przez mordercę, być może nawet było to jakieś sekretne hasło dla wtajemniczonych. W każdym razie było jeszcze stanowczo za wcześnie na wyciąganie jakichkolwiek wniosków, stąd też postanowił stłumić swój entuzjazm.

- Czy potrzebujecie jeszcze czegoś? - spytał nieufnie przeor.

- Czy mógłbym gdzieś tutaj umyć ręce? - poprosił z prostotą.- Fray Ambrosio - rozkazał przeor zakonnikowi trzymającemu krzyż - zaprowadźcie, proszę, gościa do ogrodu, żeby mógł się umyć, a następnie opuścić klasztor. Zaraz potem wróćcie do kaplicy na nabożeństwo żałobne. Ja wezmę krzyż.

- Zanim was opuszczę, chciałbym zadać jeszcze jedno, jedyne pytanie - Rojas wrócił do natarcia. - Wiecie może, czy fray Tomas miał jakiegoś nieprzyjaciela?

- My, prawowierni chrześcijanie - zaczął wyjaśniać przeor - mamy jednego jedyne nieprzyjaciela: to Szatan, który może przybierać najróżniejsze i najbardziej nieprzewidziane postacie, w zależności od człowieka, którego chce skusić i pogrążyć w grzechu.

- Rozumiem - odparł Rojas z cieniem ironii w głosie. - Ach, zapomniałem poprosić was o jeszcze jedno. Czy mógłbym popytać wśród zakonników, czy może zauważyli coś szczególnego w zachowaniu fray Tomasa w ciągu ostatnich dni przed śmiercią?

- Gdyby cokolwiek wiedzieli, zostałbym o tym poinformowany i bez wątplenia przekazałbym wam tę informację - odpowiedział przeor z przekąsem.

- Oczywiście pod warunkiem - zareplikował Rojas - że nie wyjawili wam tego podczas spowiedzi, nieprawdaż?

- Idźcie już sobie, nie chcę was tu więcej widzieć! - krzyknął rozwścieczony przeor. - Nie tylko wtykacie nos w nieswoje sprawy, ale na dodatek zachowujecie się zuchwale. Poskarżę się na was Jego Eksceleencji.

- Oczywiście nie mogę wam tego zabronić. W każdym bądź razie bardzo wam dziękuję. Niechcący bardzo mi pomogliście.

- Cieszę się - dodał przeor ze złością.

Do tego stopnia przywykł do wydawania rozkazów, że to zawsze do niego musiało należeć ostatnie słowo.

\*\*\*

## Rozdział 5.

Rojas doznawał sprzecznych uczuć w związku z utarczką z przeorem. Z jednej strony zupełnie przypadkiem odkrył pierwszy ślad: dowiedział się czegoś, na czym będzie mógł oprzeć śledztwo. Z drugiej jednak strony mógł być teraz pewien, że nie dostanie pozwolenia na dalsze indagacje wewnątrz klasztoru. Po drodze fray Ambrosio odmówił odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania. W korytarzu prowadzącym do wyjścia natknęli się na grupę zakonników zmierzających do kaplicy i Rojas stwierdził, że wszyscy oni spoglądali na niego nieufnie czy wręcz podejrzliwie, jakby po klasztorze rozniosła się wieść, iż wkradł się doń jakiś intruz.

Studnia znajdowała się tuż przy bramie do ogrodu, pod krzewem winorośli. Rojas wyjął chusteczkę z jednej z wewnętrznych kieszeni płaszcza, tymczasem zakonnik wyciągnął z cembrowiny wiadro wody i nalał jej trochę do kamiennego zbiornika przy jednej ze ścian.

- Bardzo wam dziękuję za uprzejmość - zwrócił się do nich Rojas.

Kiedy już kończył się myć, podszedł do nich zielarz. Wyglądało na to, że przez cały ten czas nie odstąpił ani na krok od swoich grządek z rozsadamami. W prawej ręce trzymał niewielką motykę, a po czole spływały mu strużki potu.

- To wy jeszcze tutaj? - przywitał Rojasa.

- Właściwie już wychodzę.

- Z polecenia przeora ma zaraz opuścić klasztor - sprecyzował fray Ambrosio.- Pewnie macie jeszcze dużo pracy - zwrócił się do niego fray Antonio. - Możecie zupełnie spokojnie się oddalić. Nie przejmujcie się, ja odprowadzę gościa do wyjścia.

- Pozostawiam to w waszych rękach. Ale uważajcie, kiedy będziecie z nim rozmawiać. To prawdziwy szarlatan - dodał, stojąc już w bramie ogrodu.

- Cóż takiego zrobiliście przeorowi? - spytał Rojasa fray Antonio z ironicznym uśmiechem.

- Coś mi się wydaje, że niezbyt mnie polubił - przyznał Fernando.

- Nie miejcie mu tego za złe; jest bardzo porywczy w kwestiach dotyczących bezpieczeństwa swoich owieczek.

- W takim razie powinien z ochotą dopomóc mi w polowaniu na wilka, który upolował jedną z nich, a przynajmniej nie robić mi szczególnych trudności.

- Pewnie teraz pragnie jedynie, żeby reszta stada poczuła się bezpiecznie i żeby nikt obcy nie zakłócił spokoju klasztoru. Bez względu na to, jakie ów obcy miałby mieć zamiary.

- Na nic się zdaje zamykanie oczu na widok tego, co się nam nie podoba, drogi przyjacielu. Człowiek, który zamordował fray Tomasa, może przecież planować nową zbrodnię. Im wcześniej go zdemaskujemy, tym mniej prawdopodobne, że zdąży ponownie wkroczyć do akcji.

- Pewnie zauważyliście już, że mnie nie interesuje nic poza moimi roślinami, jednak gdybym mógł wam w czymś pomóc...

- Nie chciałbym nadużywać waszego zaufania ani prosić was o nic, co mogłoby napytać wam biedy, chętnie jednak rzuciłbym okiem na celę fray Tomasa. Może moglibyście mi towarzyszyć, zwłaszcza że w tej chwili wszyscy zajęci są nabożeństwem i przygotowaniami do pogrzebu?

- Gdybym zadośćuczynił waszej prośbie, zerwałbym śluby posłuszeństwa - wyjaśnił mu fray Antonio - i mógłbym stracić zaufanie nie tylko przeora, ale i całej klasztornej wspólnoty. Jednak uwzględniając wagę sprawy, którą się zajmujecie - dodał natychmiast z ironią w głosie - wątpię, żeby Bóg miał mi to za złe.

- W takim razie chodźmy, nie traćmy czasu.

Na szczęście cela fray Tomasa znajdowała się w znacznej odległości od kościoła i krużganków, na drugim piętrze jednego z budynków klasztornych, w skrzydle zarezerwowanym dla wykładowców teologii. Żeby się tam dostać, musieli przemierzyć skomplikowane labirynty schodów oraz zalatujących wilgocią, krętych i pełnych ciemnych zakamarków korytarzy, w które nie odważyłby się zapuścić nikt nieznający klasztoru.

- To tutaj - poinformował go wreszcie zakonnik, kiedy znaleźli się przed jakimiś drzwiami. - Wejdźcie, proszę, w klasztorach nie używa się zamków ani kłódek.

Rzeczywiście, drzwi nie stawiały żadnego oporu. Cela była niewielka i do tego stopnia zarzucona księgami i manuskryptami, że trudno było zrobić krok, nie potykając się przy tym o coś. Poza tym stały tam jedynie łóżko, dwa krzesła oraz skrzynia, a na ścianie wisiał krucyfiks. Większość opasłych tomów stanowiły traktaty teologiczne lub zbiory kanonów, nie brakowało też podręczników przeznaczonych dla inkwizytorów, jak na przykład ręcznie skopiowane Directorium inquisitorum Nicolau Aymericha czy drukowany egzemplarz Malleus maleficarum (Młota na czarownice), napisanego przez dominikanów Heinricha Kramera i Jacobusa Sprengera. Fray Tomas miał też książki traktujące o innych dyscyplinach. Rojas ze szczególnym zdumieniem odkrył kilka dzieł matematycznych i astrologicznych zabronionych przez Święte Oficjum, o czym nie omieszkał powiadomić towarzyszącego mu

zakonnika.- Z tego, co wiem - wyjaśnił mu fray Antonio - fray Tomas był obeznany z wieloma dziedzinami nauki; podejrzewam, że w ten sposób mógł je skuteczniej zwalczać z katedry uniwersyteckiej oraz pracując jako doradca inkwizycji.

Rojas nie mógł się oprzeć pokusie i zaczął przeglądać niektóre księgi. Na stronach większości z nich znalazł podkreślone zdania i odręczne zapiski na marginesach, co dowodziło, że zostały sumiennie przestudiowane. Wyglądało jednak na to, że notatki były robione jakimś szyfrem - nie był w stanie ich odcyfrować. W rogu stołu, pod stertą teczek, znalazł manuskrypt Traktatu astrologicznego don Enriquego de Aragon, markiza Villeny. Znał dobrze tę książkę: już jakiś czas temu zamówił ją u kopisty, żeby móc spokojnie przestudiować. Kiedy wziął tom do ręki, wypadła z niego złożona kartka. Podniósł ją i przeczytał. Był to krótki liścik bez podpisu:

Zrezygnujcie z pracy na Uniwersytecie, jeżeli nie chcecie, by w klasztorze dowiedziano się o waszej tajemnicy.

W tej chwili zza drzwi dał się słyszeć jakiś hałas.

- Zdaje się, że mamy gości - szepnął zakonnik.

Obydwaj mężczyźni zastygli w bezruchu, nie odzywając się do siebie. Obserwowali jak ktoś, po chwili wahania, z wielką ostrożnością otwiera drzwi. Wkrótce oczom ich ukazała się figura młodzieńca, wyglądającego na nie więcej niż siedemnaście czy osiemnaście lat. Chłopak stanął w progu, ale kiedy tylko zdał sobie sprawę, że ktoś jest w celi, natychmiast wziął nogi za pas.

- Kto to? Czy to któryś z nowicjuszy? - spytał Rojas.

- To chłopak z zakonnej służby, służący fray Tomasa - wyjaśnił fray Antonio.

- Biegnijmy za nim, być może wie coś ciekawego.- Andres, zaczekaj - krzyknął fray Antonio, kiedy znaleźli się na korytarzu. - Nic ci nie chcemy zrobić, ale jeżeli natychmiast się nie zatrzymasz, powiem przeorowi, że przyłapałem cię na kradzieży.

Kiedy chłopak usłyszał te słowa, zatrzymał się, odwracając w ich stronę. Wyglądał na bardzo wystraszonego.

- Podejdź no tu i nic się nie obawiaj - powiedział fray Antonio przekonującym głosem.

- Wiem, że dobry z ciebie chłopak i że z całą pewnością nie chciałeś zrobić nic złego. Ten pan został tu przysłany przez biskupa, żeby wyjaśnić sprawę śmierci fray Tomasa. Bądź tak dobry i porozmawiaj z nim w celi. Ja zaczekam na zewnątrz, stanę za zakrętem korytarza i będę pilnował, czy ktoś nie idzie.

Kiedy Rojas został sam na sam z młodym sługą, wskazał mu ręką, żeby usiadł na łóżku, podczas gdy on sam zajął miejsce na krześle, ustawivszy je tyłem do okna. Wiedział z

doświadczenia, że jedną z podstaw skutecznego przesłuchania jest możliwość obserwowania emocji malujących się na twarzy przesłuchiwanego, nie okazując przy tym swojego własnego oblicza, a w tym celu najlepiej usadowić się pod światło.

- Słuchaj, Andres, bo masz na imię Andres, prawda?

Chłopak skinął głową.

- Chciałbym tylko chwilę z tobą porozmawiać.

- Ze mną? - zapytał chłopiec, robiąc zdziwioną minę. - Ale przecież ja nic nie wiem.

- Jak możesz mówić, że nic nie wiesz, skoro nie powiedziałem ci jeszcze, o czym będziemy rozmawiać.

- Domyślam się, że chodzi o śmierć fray Tomasa - wybełkotał, robiąc przy tym dłonią znak krzyża.

- I czego to nie wiesz na temat śmierci fray Tomasa, jeśli można wiedzieć?

Sługa natychmiast zdał sobie sprawę, że było to podstępne pytanie. - Jak to... czego nie wiem? - zawahał się. - Nie rozumiem, o co wam chodzi.

- Za to ja zaczynam rozumieć, że masz coś przede mną do ukrycia.

- Nie, panie - zaprotestował chłopak. - Ja tylko przyszedłem, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w celi, gdyż przechodząc korytarzem, usłyszałem jakieś szmery.

- Widzę, że nie zrozumiałeś, o co mi chodzi - zaczął od nowa Rojas, próbując zachować spokój. - Przyszedłem tu, żeby wyjaśnić, kto zamordował fray Tomasa i w tym celu muszę się dowiedzieć pewnych szczegółów na jego temat: jak mu się mieszało w klasztorze, z kim się spotykał... Dlatego chcę, żebyś mi opowiedział wszystko, co wiesz na jego temat.

- Jestem niewinny - zaczął się usprawiedliwiać chłopak, przybierając wyraz twarzy naiwnego dziecka. - Nie uczyniłem nic złego. Jestem tylko służącym, który robi to, co mu rozkażą.

- Czy ktoś poprosił cię, żebyś tu przyszedł?

- Nie, panie.

- W takim razie?

- Już wam mówiłem, że wydało mi się, iż słyszę jakiś hałas w celi.

Wobec uporcu chłopaka, Fernando postanowił zacząć z innej beczki, próbując go w ten sposób zaskoczyć:

- No dobrze, zostawmy ten temat. Od jak dawna służyłeś fray Tomasowi?

- Będzie ze dwa lata.

- Czy zauważyłeś ostatnio coś dziwnego w jego zachowaniu?

- O co wam chodzi?

- O to, czy zauważyłeś, żeby zachowywał się w jakiś dziwny sposób lub żeby był bardziej niż zwykle niespokojny czy zmartwiony.- Przez ostatnich kilka dni wydawał się czymś zaniepokojony.

- Wiesz może, co go tak niepokoiło?

- Nie, panie. Fray Tomas nic mi nie opowiadał.

- Czy widziałeś kiedyś tę kartkę? - spytał Rojas, pokazując mu znaleziony wcześniej anonim.

- Nie, panie, nigdy - odparł służący stanowczo.

- A jakąś inną podobną kartkę?

- Też nie.

- Czy towarzyszyłeś kiedyś fray Tomasowi w wyprawach poza klasztor? - nie pozwalając mu odetchnąć, Rojas zadał następne pytanie.

- Nie, nigdy.

- Czy ktoś przychodził do niego do celi?

- Od czasu do czasu zachodził do niego pewien student - odparł sługa po chwili milczenia. - Fray Tomas powiedział mi, że to jeden ze studentów Uniwersytetu i że pomaga mu w redagowaniu pism. Za każdym razem, kiedy przychodził, fray Tomas prosił, żebym im nie przeszkadzał, i zamykali się na kilka godzin w celi.

- Czy wiesz może, jak ma na imię lub gdzie mieszka ów student?

- Nie, panie. Chociaż kilka razy słyszałem, jak rozmawiali o jakiejś karczynie nad rzeką, gdzie ponoć w lecie spędzał dużo czasu.

- Mógłbyś mi go opisać?

- Widywałem go zawsze z daleka i z nakrytą głową, ale jestem pewien, że jest starszy ode mnie, a poza tym nieco wyższy i cięższy niż ja. Moim zdaniem to był podejrzany typ - odważył się nagle dodać.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo ja wiem? Mam takie przeczucie.

Słowa klasztornej służby dały Fernandowi wiele do myślenia. Zdał też sobie sprawę, że jeśli chce dowiedzieć się czegoś więcej, nie powinien odwoływać się do pamięci chłopca ani do jego uczciwości, lecz do jego serca. Potwierdzały to ostatnie słowa.

- A co łączyło go z fray Tomasem?

- Nie wiem na pewno - zaczął chłopak. - Ale widać było, że całkiem go usidlił, jakby pozbawił go własnej woli. Na początku wyglądało na to, że fray Tomas wcale się tym nie przejmuje. Jedyne, czego pragnął, to móc spędzać z nim jak najwięcej czasu. Wszystko

zmieniło się dopiero jakiś tydzień temu. Nieraz słyszałem przez drzwi, jak się kłóć. Fray Tomas jakby coś podejrzewał i bardzo się denerwował. W każdym razie nie był w stanie zerwać z nim; jakby się obawiał, że tamten mógłby na niego donieść.

- Czyżbyś insynuował, że utrzymywali... nieprzystojne lub grzeszne stosunki?

- Nie rozumiem. O co wam chodzi? - zapytał sługa zdziwiony.

- A tobie o co chodziło?

Służący zdał sobie sprawę, że znów dał się złapać za słowo. Rojas był przekonany, że w końcu zdradzi go potrzeba ulżenia sobie i opowiedzenia wreszcie komuś wszystkiego, co mu leży na duszy.

- Mnie, panie? Jedyne, co wiem, to że oni...

- Że oni co? No, wyduś to wreszcie z siebie.

- Nie zmuszajcie mnie do tego - jęknął prosząco.

- Jeżeli nie powiesz mi tego z własnej woli - zaczął mówić Rojas z pogroźką w głosie - rozkażę pojmać cię i torturować, aż powiesz prawdę.

- Dobrze już, dobrze! - krzyknął wystraszony sługa. - Ale wiedcie, że mówię pod przymusem. Chcecie się dowiedzieć, co ten student i fray Tomas robili tu, w tym pokoju? Oni... oni... - wydawało się, że nie umiał znaleźć stosownego słowa.

- Chcesz powiedzieć, że uprawiali sodomię? - spytał Rojas, nie mogąc dłużej czekać.

- Tak, na Boga, tak! - przytaknął w końcu chłopak. - Właśnie to robili.

- I widziałeś to kiedyś na własne oczy?

- Nie, panie, widzieć to ich nie widziałem.

- W takim razie jak możesz mieć pewność, że właśnie to robili? - Rojas zauważył, że chłopak aż poczerwieniał ze wstydu. - No, chyba że ty też... - odważył się zasugerować.

- Nie, ja nie - zaprotestował młody sługa z rozpaczą.

- W tym względzie możesz być najzupełniej spokojny, mnie nic a nic nie obchodzą twoje grzechy. Nie jestem ani zakonnikiem, ani księdzem i nie mam w zwyczaju mieszać się w cudze sprawy. Chcę, żebyś wiedział, że wszystko to, co powiesz mi w tej celi, zostanie potraktowane jak na spowiedzi i pozostanie naszą tajemnicą. Jednak - zaznaczył jasno, niemal sylabizując każde kolejne słowo - jeżeli nie opowiesz mi wszystkiego, a mnie samemu uda się dowiedzieć o tym, co z takim uporem pragniesz przede mną ukryć, nie będę miał wobec ciebie żadnych zobowiązań i będę mógł wszystko publicznie wyjawić.

Wobec tej groźby młody sługa całkiem się załamał i zaczął gorzko szlochać. Nie mógł już dłużej wytrzymać. Musiał czym prędzej zrzucić z siebie straszliwą tajemnicę, która tak bardzo go gnębiła.



- Płacz, płacz, ile tylko zechcesz - zachęcił go łagodnym głosem Rojas. - Płacz oczyszcza i przynosi ukojenie; przy mnie możesz sobie ulżyć i spokojnie się wypłakać.

Pośród łez, szlochów i pochlipywań Andres zaczął wyjawiać Rojasowi dokładnie to, co ten już wcześniej sobie wyobraził: wstydliwą słabość fray Tomasa oraz wykorzystywanie młodego sługi. Ten zaś, choć na początku nie miał innego wyjścia i z rezygnacją musiał na wszystko przystać, z czasem przywiązał się do zakonnika. W zamian za usługi oraz żeby zapewnić sobie milczenie chłopaka, fray Tomas podarował mu parę koszul i kilka par pończoch oraz nauczył go czytać i pisać, z czego chłopak był niezwykle dumny. Pojawienie się studenta w jednej chwili zniszczyło wszystko to, co z takim trudem sobie wypracował. Mimo tej zdrady nigdy nie podniósłby ręki na zakonnika; pomimo swego młodego wieku wiedział już, że miłość jest ślepa i nachodzi człowieka gdzie i kiedy chce oraz w sposób zupełnie niemożliwy do przewidzenia. Owego studenta, o tak, jego chętnie by zasztyletował, gdyby tylko zdobył się na odwagę i gdyby nadarzyła się ku temu sposobność; niestety tak się nie stało.

- Czy myślisz, że to ten student go zabił? - spytał Rojas po wysłuchaniu opowieści do końca.

- Nie przysięgłbym z ręką na Biblii - stwierdził, już spokojniejszy. - Nie odważyłbym się też powiedzieć tego w sądzie, jednak jestem przekonany, że miał coś z tym wspólnego.

\*\*\*

## Rozdział 6.

Właśnie miała się zacząć msza żałobna za duszę fray Tomasa de Santo Domingo. Rojas ledwie zdążył przegryźć coś naprędce w kuchni Kolegium Świętego Bartłomieja i zdrzemnąć się nieco w swoim pokoju. Przyjechał do Salamanki zaledwie przed kilkoma godzinami, a wydawało mu się, że upłynęło już dobrych kilka dni. Po przeprowadzeniu rozmowy z młodym sługą dokończył rewizję w celi fray Tomasa, podczas gdy brat zielarz dalej pełnił straż na korytarzu. Fernando przerzucił stosy ksiąg i papierów, przeglądał notatki, sprawdził zawartość kufra, przeszukał łóżko i resztę rzeczy osobistych, jednak nie udało mu się znaleźć nic szczególnego, a przynajmniej nic, co miałoby jakikolwiek związek z tajemniczym studentem albo z grzesznymi praktykami zakonnika, ani nic, co wyjaśniałoby znaczenie monety czy też anonimu. Na stole leżały papiery świadczące o tym, że fray Tomas przygotowywał właśnie pismo lub wykład, w którym rozprawiał się z pewnymi heretyckimi teoriami związanymi z sakramentem spowiedzi. Rojas właśnie zabierał się do czytania, kiedy fray Antonio, lekko zaniepokojony, dał mu znak, że muszą się już zbierać, gdyż w korytarzach prowadzących do klasztornych cel zaczyna się ruch. Wyszedł więc w pośpiechu, nie zabierając z sobą niczego. Przed opuszczeniem klasztoru przez dziurę w płocie ogrodu poprosił jeszcze tylko brata zielarza, żeby bacznie obserwował wszystko, co będzie się od tej pory działo w klasztorze, i żeby przede wszystkim dobrze pilnował służącego.

Kiedy Fernando obudził się po krótkiej sjeście, pomyślał, że dobrze byłoby przejść się nad brzegiem Tormesu i spokojnie poukładać w myślach wszystko, co się do tej pory wydarzyło. Nie miał jednak na to czasu - pod żadnym pozorem nie mógł przegapić uroczystości żałobnych. Wierzył, że mordercy lubią wracać na miejsce zbrodni, a może nawet uczestniczyć w pogrzebie ofiary. Biorąc pod uwagę fakt, że w tym przypadku uroczystości żałobne miały się odbyć w miejscu, gdzie doszło do zbrodni, było wielce prawdopodobne, że przestępca się tam pojawi. Rojas wiedział, że musi mieć uszy i oczy szeroko otwarte.

Wedle obowiązujących zwyczajów dziekan, jako bezpośredni zwierzchnik wszystkich wykładowców, był osobą odpowiedzialną za organizację pogrzebu. Do jego obowiązków należało między innymi otwarcie specjalnej skrzyni zamykanej na dwa zamki, w której przechowywano grube, ważące po półtora funta świece z żółtego wosku, i rozdanie ich wśród kolegów zmarłego. W normalnych warunkach mszę odprawiono by w przyklasztornym kościele, jednak tym razem biskup zarządził, że ma się ona odbyć w katedrze, w związku z

czym musiano przenieść tam ciało zmarłego. Zgodnie z tradycją, najstarsi wykładowcy katedry teologii wynieśli je z klasztoru na marach. Byli to w większości dominikanie. Reszta braci podążała za nimi w procesji z płonącymi gromnicami w dłoniach, śpiewając Miserere, a ludzie po obu stronach ulicy klękali, żegnając się na widok żałobnego orszaku.

Nabożeństwo żałobne miało być odprawione przez samego biskupa w asyście przeora dominikanów, któremu ta drugorzędna rola oczywiście niezbyt przypadła do gustu (dziekan, jak można się było spodziewać, odmówił podobnego zaszczytu). Do katedry przybyło gros ciała profesorskiego Uniwersytetu. Zgodnie ze statutem uczelni, wszyscy wykładowcy w stopniu doktora i magistra mieli obowiązek uczestniczenia w uroczystościach pogrzebowych pod karą grzywny w wysokości czterech reali przeznaczaną na cele dobroczynne. Chór był w całości zajęty przez dominikanów. Dla Rojasas zarezerwowano miejsce tuż przy głównym wejściu. Na wstępie prałat wygłosił wzruszającą mowę pochwalną na cześć fray Tomasa, wspominając jego osiągnięcia jako profesora teologii oraz kaznodziei. Bez końca wychwalał jego wykłady i dzieła, wymienił też cały szereg cennych zalet i cnót, jakimi mógł się poszczycić zmarły. Po wysłuchaniu kazania nikt nie mógł wątpić, że na fray Tomasa czeka jedno z najznakomitszych miejsc w samym sercu raj.

Ze swojego miejsca Rojas starał się śledzić reakcje malujące się na obliczach przybyłych. Większość twarzy nie wyrażała nic szczególnego; prawdę powiedziawszy lwia część audytorium najzwyczajniej przysypiała bądź też rozmyślała o bardziej przyziemnych sprawach. Kiedy zgromadzeni na chórze zakonnicy zaintonowali liturgiczne śpiewy, Rojas opuścił swój punkt obserwacyjny w kościele i wyszedł na zewnątrz, żeby się rozejrzeć. Na nabożeństwo przybyło tylu zwolenników fray Tomasa oraz zwykłych ciekawskich, że świątynia okazała się stanowczo za mała, by ich wszystkich pomieścić, w związku z czym musiano zostawić otwartą główną bramę, żeby ci, którym nie udało się dostać do środka, mogli uczestniczyć w mszy, stojąc na dworze. Część przybyłych przywdziała na znak żałoby okrycia z białego samodziału - według zwyczaju kastylijskiego. Wszędzie dostrzec można było grupki gapiów, których nigdy nie brakuje na tego typu uroczystościach, jednak większość tłumu stanowili oczywiście studenci. Jakiś zapaleniec wspiął się na kolumnę, wygrażając stamtąd na całe gardło zabójcom fray Tomasa i domagając się sprawiedliwości. W końcu, żeby sprawy nie posunęły się za daleko, musieli interweniować strażnicy.

Jeszcze dobrze nie zdążono uspokoić krzykacza, kiedy w jednym z wejść do świątyni nastąpiło zamieszanie. Z miejsca, w którym się znajdował, Rojas nie był w stanie dojrzeć, co się dzieje, i mógł się tylko domyślać po reakcjach stojących bliżej ludzi, o co chodzi. Wyglądało na to, że ktoś próbuje za wszelką cenę dostać się do kościoła przez wejście od

Azogue, tłum jednak nie miał zamiaru mu na to pozwolić. Rojasowi przyszło do głowy, że być może jest to właśnie ów podejrzany student, i zaczął przepychać się w stronę bramy. Niestety jednak, kiedy znalazł się na miejscu, mężczyzna zdążył uciec. Nie było go widać, ale po zamieszaniu, jakie robił, przedzierając się przez tłum, można się było domyślić, którądy ucieka. Plac był tak nabity ludźmi, że pościg okazał się niezwykle trudny. Za każdym razem, kiedy Rojas próbował posunąć się odrobinę dalej do przodu, formowało się wokół niego coś na kształt wielkiej fali, która groziła powaleniem go na ziemię.

- Uważajcie no, bartłomiejczyku! - krzyknął na niego jakiś człowiek, którego niechęć popchnął. - Co wy sobie w ogóle wyobrażacie?

- Pozwólcie mi przejść, idę z ważną misją - prosił bezskutecznie Rojas.

Niczym rzeczny wir tłum próbował wessać go i pogrzebać gdzieś na dnie. Szczęśliwie jego głowa wystawała ponad prawie wszystkie inne, dzięki czemu był w stanie oddychać. Po kilku potknięciach i mocniejszych szturchnięciach udało mu się wreszcie dotrzeć do miejsca, gdzie było trochę więcej luzu. Rozglądnął się, stwierdzając, że znajduje się na końcu północnej ściany katedry. W tej chwili udało mu się dostrzec, że uciekinier skręca właśnie w jedną z uliczek za apsydą. Podtrzymując jedną ręką pelerynę, rzucił się biegiem w ślad za nim, kiedy jednak dotarł do rogu uliczki, zobaczył, że podejrzany zdążył już skręcić w następną. Historia siępowtórzyła, kiedy Rojas dotarł do zakrętu. Jeżeli nie chciał stracić go z oczu, musiał natychmiast przyspieszyć; na dodatek zaczął już zapadać zmrok. Wyglądało na to, że próbując go zmylić, uciekinier kluczy zygzakami po krętych uliczkach. Rojas spróbował więc przewidzieć jego dalszą trasę i ruszył na skróty jedną z przecznic. Na nic się to jednak zdało - kiedy dotarł na miejsce, ścigany zdążył już skręcić w następny zaułek. Nagle odgłos jego kroków umilkł.

- Mam cię - krzyknął Rojas, zdając sobie sprawę, że znaleźli się w ślepej uliczce.

Kiedy jednak dobiegł do końca zaułka, okazało się, że nie ma tam nikogo. Popatrzył w jedną i w drugą stronę, rozglądnął się dookoła, ale nie dostrzegł ani śladu zbiega.

- Niemożliwe - mruknął sam do siebie. - Przecież nie wyparował.

Zmarkotniały usiadł na ławeczce stojącej przy jednej z bram. Musiał trochę odetchnąć i zastanowić się co dalej. Próbując się pocieszyć, pomyślał, że ściganie kogoś w tym labiryncie jest prawie niemożliwe. Podobnie jak w innych częściach miasta domy stały tu w zupełnym bezładzie, ściśnięte wokół kościoła (w obrębie miejskich murów było ponad pięćdziesiąt świątyń), tworząc coś w rodzaju osady, z której wychodziła ulica prowadząca prosto do którejś z bram miasta lub też do placu Świętego Marcina, gdzie znajdowała się siedziba rady miejskiej i główny targ, stanowiący coś w rodzaju wspólnego podwórka. Na

dodatek pomiędzy domami, w większości jednopiętrowymi, często mieściły się ogródki lub małe pólka uprawne, nie mówiąc o szopach i zagrodach dla bydła dodatkowo utrudniających ruch.

Nagle Rojas usłyszał gdzieś w oddali przenikliwy jazgot stada jerzyków, które wydawały się z niego naśmiewać. Przypomniało mu się, że w jego ojczystych stronach nazywano jerzyki diabelskimi ptakami. Niebo zaciągnęło się chmurami zwiastującymi burzę. Fernando podniósł się więc, żeby wrócić do katedry. Szedł wolnym krokiem, smętny, pośród szarych cieni przepowiadających nadejście nocy. Wszystko wskazywało na to, że tym razem intuicja go nie zawiodła - morderca powrócił na miejsce zbrodni, żeby móc cieszyć się zwycięstwem, on zaś był zaledwie o krok od pojmania go, ale w końcu wracał z pustymi rękami. Tymczasem zbieg mógł spokojnie opuścić miasto albo, co gorsza, popełnić następną zbrodnię, jeśli tylko przyjdzie mu na to ochota.

Kiedy dotarł do katedry, nabożeństwo już się skończyło, a orszak żałobny kierował się z powrotem do klasztoru Świętego Stefana, gdzie miał się odbyć pogrzeb. W tym momencie zaczął padać deszcz. Początkowo tylko lekko kropało, jednak już po chwili zaczęło lać jak z cebra, tak że w końcu świece zaczęły gasnąć, a ostatni kawałek trasy przebyto w zupełnym bezładzie. Pierwsze błyskawice nie dały na siebie długo czekać. Rojas, któremu udało się schronić w portyku klasztoru, pomyślał, że oto gniew Boży daje znać o sobie. Nie był jednak pewien, czy wymierzony on jest przeciw mordercy, czy przeciw ofierze. A może przeciw niemu, gdyż nie wywiązał się z powierzonego mu zadania? Była już ciemna noc, kiedy bracia zakonni zaintonowali Miserere w klasztornych krużgankach.

\*\*\*

## Rozdział 7.

Dzień wstał jasny i słoneczny, zupełnie jakby niebo postanowiło wymazać ponure ślady poprzedniego wieczora. Fray Tomas spoczywał już pod kamienną płytą w Panteonie Teologów, a wraz z nim legła tam jego tajemnica. Pomimo wczorajszego zmęczenia Rojas obudził się wcześniej, próbując uporządkować natłok myśli kłębiących się w jego głowie. Musiał przyznać, że na razie nie dowiedział się zbyt wiele, jednak było kilka spraw wymagających głębszego przemyślenia. Oparł policzek na dłoni. Wiedział, że fray Tomasa zamordowano o świcie, tuż przed wejściem do katedry, gdzie najprawdopodobniej miał zamiar spotkać się z biskupem, z którym był zaprzyjaźniony. Nie wiedział jednak, że biskup od kilku dni nie zaglądał już do kaplicy Świętej Barbary, jak do tej pory miał w zwyczaju. Nie ulegało wątpliwości, że fray Tomas chciał porozmawiać z prałatem w jakiejś niecierpiącej zwłoki sprawie, gdyż w przeciwnym razie z pewnością wybrałby rozsądniejszą porę i dyskretniejsze miejsce na spotkanie. Równie oczywisty był fakt, iż napastnik - zakładając, że nie było ich więcej - czekał już na niego ukryty koło bramy świątyni, co wskazywałoby, że chodziło o morderstwo z premedytacją.

Jak ujawniły oględziny zwłok, poza monetą znaną z ustach fray Tomasa na jego lewym policzku widniała dziwna szrama. Rojas znalazł również anonimowy list, w którym grożono ofierze wydaniem jakiegoś sekretu, jeżeli nie zrezygnuje ze stanowiska na Uniwersytecie. No i wreszcie rozmowa ze służącym wyjawiała pewne mroczne aspekty życia fray Tomasa, mianowicie jego grzeszne stosunki ze studentem oraz z samym sługą. Chłopak podsunął mu poza tym ewentualnego podejrzanego, którego niestety nie udało się schwytać, kiedy zauważył go krążącego wokół miejsca zbrodni. Jeżeli Salamanka w coś obfitowała, byli to właśnie studenci, co nie ułatwiała poszukiwań. Czy jednak tajemniczy student miał coś wspólnego z anonimowymi pogrózkami, a co za tym idzie, ze śmiercią fray Tomasa? I o czym dominikanin nie chciał, żeby dowiedziano się w klasztorze? Czy chodziło o ów nieprzystojny grzech? Jeśli chodzi o pracę na Uniwersytecie, Rojas wiedział jedynie, że zakonnik objął katedrę teologii po Diego de Dezie. W tym momencie z rozmyślań wyrwało go pojawienie się fray Antonia, brata zielarza, który przyszedł do niego z wizytą.

- Cóż za niespodzianka, drogi przyjacielu! Wy tutaj? - wykrzyknął zaskoczony Rojas.  
- Wejdźcie, proszę.

- Mam nadzieję, że nie zjawiam się nie w porę. Przyniosłem wam skromny upominek - powiedział zakonnik, wskazując na trzymaną w dłoni sakwę. - Myślę, że ukoji on choć trochę wasze niepokoje i oderwie na jakiś czas uwagę od wszelkich kłopotów i zmartwień. Są to liście tabaco, o których wczoraj wam opowiadałem.

- Wypróbowaliście już ich działanie?

- Wczoraj wieczorem nie mogłem zasnąć z powodu całego tego zamieszania związanego z pogrzebem i stwierdziłem, że nie ma co dłużej zwlekać. Mogę więc zapewnić was, że są skuteczne. Na początku miałem pewne kłopoty z dymem, gdyż gryzł mnie w oczy i powodował kaszel, ale szybko się przyzwyczailem. Dziś rano zabawiłem się w zwijanie liści i mam wrażenie, że z nie najgorszym skutkiem. Ale ciekaw jestem waszego zdania na ten temat.

Rojas był zaskoczony nie tylko zdolnościami manualnymi zakonnika, lecz również jego otwartym charakterem i chęcią próbowania nowych wrażeń. Wyglądało na to, że zielarz rozumie w sposób prosty i skuteczny: jeżeli sam Bóg stworzył tę błogosławioną roślinę, a Indianie stosują ją od niepamiętnych czasów z dobrym skutkiem, oznacza to, że roślina sama w sobie nie może być zła.

- Weźcie - rzekł zakonnik, wyciągając w stronę Rojasa zrolowane liście. - Podpalcie jeden koniec płomieniem świecy i spróbujcie mocno wciągnąć dym, aż porządnie napelnicie nim płuca. Potem wypuszczajcie dym bardzo powoli, kreśląc nim w powietrzu kręgi i spirale.

Rojas nie był szczególnie przekonany, że jest to najlepszy moment na próbowanie tego rodzaju nowości, jednak nie chciał zawieść fray Antonia. Postanowił spróbować. Za pierwszym razem wciągnął dym z takim impetem, że trafił on nie tam, gdzie trzeba, wywołując silny atak kaszlu.

- Spokojnie, nie przejmujcie się, nic się nie dzieje. Jak wam już mówiłem, na początku to najzupełniej normalne. Spróbujcie mnie naśladować.

Fray Antonio zaczął mocno wciągać powietrze, aż drugi koniec zwitka liści rozżarzył się na czerwono. Rojas spróbował zrobić to samo.

- Tak, świetnie, właśnie tak - zachęcił go zakonnik, kiedy tylko wydmuchał z siebie cały dym. - Wdychajcie powoli, aż poczujecie, że dym wchodzi w was i dokładnie wypełnia od środka. Poczujecie, że ogarnia was delikatne przyjemne uczucie i że lekko kręci się wam w głowie. A teraz siadajcie sobie wygodnie i spróbujcie cieszyć się tym uczuciem.

Rojas oparł się wygodnie na krześle, próbując stosować się do wskazówek fray Antonia. Rzeczywiście, po chwili poczuł się dziwnie odprężony, jakby wszystkie zmartwienia odpłynęły gdzieś daleko.

- Zdajecie sobie sprawę - przemówił brat zielarz - iż być może jesteśmy pierwszymi mieszkańcami chrześcijańskiego kraju, którzy delektują się dymem z tych błogosławionych liści?

- To bardzo prawdopodobne - przyznał Fernando - bo, jak słyszałem, ów żeglarz, o którym wczoraj mówiliśmy, skończył w kazamatach inkwizycji, oskarżony o próbowanie ich na statku, w drodze powrotnej do kraju, z czego wnoszę, że później nie miał już ku temu okazji.

- Jeżeli ktoś nas tu teraz zaskoczy, najprawdopodobniej zostaniemy spaleni na stosie razem ze zbiorami z mojej plantacji. Jeśli się dobrze zastanowić, byłaby to bardzo stosowna kara, gdyż umieralibyśmy, robiąc właśnie to, za co nas skazano: wdychając dym. Ale zanim przyjdzie nam pójść na męki, musimy jak najlepiej wykorzystać każdą chwilę. Jestem przekonany - dodał westchnąwszy - iż nadejdzie taki dzień, kiedy będzie można cieszyć się do woli tą skromną rozkoszą.

- Obawiam się, że zawsze i wszędzie znajdą się inkwizytorzy, którzy będą próbowali jej zabronić - skomentował Rojas, obserwując z melancholią kółka dymu.

- Nie mam pojęcia, co za szaleństwo ogarnęło ostatnio Kościół, żeby prześladować dosłownie wszystko, co popadnie. Jakby nieliczne dobre rzeczy istniejące na tym świecie były dziełem samego szatana. Doprowadzą do tego, że jego postać zrobi się tak atrakcyjna, iż Kościół zostanie całkiem pozbawiony wiernych.

Rojas nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Pomimo lekkiego zawrotu głowy oraz uczucia błogości, jakie go ogarnęło, nie przestawało nurtować go pytanie, którego jednak nie odważył się zadać, nie chcąc zmącić otaczającej ich atmosfery ciszy i spokoju. Widział swojego nowego przyjaciela poprzez gęsty obłok dymu, co sprawiało, że wszystko wokół wydawało się z lekka nierealne. W końcu jednak odważył się spytać:- Co sądzicie na temat fray Tomasa?

- Widzę, że nawet tabaco nie jest w stanie oddalić od was wszystkich trosk. No cóż - westchnął z rezygnacją zielarz - spróbuję wam dogodzić. Otóż uważam, że fray Tomas był wyśmienitym mówcą, ale bardzo przeciętnym teologiem oraz osobą bardzo nietolerancyjną w stosunku do innych. Czy to was zadowala?

- Wiecie może, czy miał jakieś kłopoty w związku ze swoim stanowiskiem szefa katedry teologii?

- Nie, nie miał żadnych specjalnych kłopotów. W każdym razie nic, czego nie można by uznać za normalne, drogi przyjacielu. Główna katedra teologii, która, jak pewnie wiecie, jest jednym z najbardziej smakowitych kąsków na Uniwersytecie, stanowi prawdziwe feudum



dominikanów, odkąd w 1416 roku po raz pierwszy na jej czele stanął jeden z nich, niejaki Lope de Barrientos; i obawiam się, że nieprędko się to zmieni. Jedyne odstępstwo od reguły stanowił krótki okres, kiedy katedrą kierował poprzednik Diega de Dezy, Pedro Martfnez de Osma, szerzej znany po prostu jako Pedro de Osma. Był to wybitny teolog, wielki erudyta i nota bene był uczeń Kolegium Świętego Bartłomieja. Objął katedrę w 1463 roku, stając się jedynym jej szefem w tym stuleciu wywodzącym się z niezakonnego kleru, jednak już w dwa lata później dominikanom udało się usunąć go ze stanowiska. Najpierw spróbowali wysłać go na wcześniejszą emeryturę, powołując się na jakiś niezbyt klarowny paragraf statutu uczelni, on jednak stanowczo się temu sprzeciwił, kontynuując wykłady aż do 30 kwietnia 1479 roku, kiedy to musiał wyruszyć do Alcala de Henares, żeby stawić się przed Radą Teologiczną z powodu donosu złożonego przez jego własnych kolegów z uczelni. A co było przyczyną owego donosu? Otóż chodziło o domniemane głoszenie herezji na temat odpustów i spowiedzi. Skarżący mieli niestety swoje poparcie pewien precedens, gdyż nieco wcześniej trybunał inkwizycji w Saragossie wszczął postępowanie przeciw de Osmie w tej samej sprawie. Chodziło o to, że w ostatnich latach Pedro de Osma zaczął się wypowiadać, zarówno ustnie, jak i na piśmie, przeciwko temu, co uważał za błędy Kościoła w niektórych kwestiach związanych z kościelną władzą sądową oraz naukami Kościoła na temat grzechu śmiertelnego i pokuty. Jeżeli chodzi o tę ostatnią, twierdził, że spowiadanie się na głos przed kapłanem to proceder wprowadzony przez człowieka, a nie sakrament nakazany bezpośrednio przez Chrystusa, co - jak możecie sobie łatwo wyobrazić - stało się powodem wielkiego skandalu. Wszystko nie wyszłoby jednak poza zwykłą anegdotę, gdyby nie fakt, że w 1475 roku napisany przez niego Tractatus de confessione ukazał się drukiem, opublikowany przez drukarnię Juana Parixa z Segowii. Nawiasem mówiąc, najprawdopodobniej żaden egzemplarz tego dzieła nie zachował się po przeprowadzonym kilka lat później procesie. Co do Juana Parixa, jak pewnie wiecie, ten niemiecki drukarz był założycielem pierwszej drukarni w naszym królestwie, a namówił go do tego sam biskup Segowii, Juan Arias Davila, człowiek bardzo wszechstronnie wykształcony i, jak niesie plotka, pochodzący z rodziny przechrzczonych żydów.

Choć w owym czasie nikt nie mógł tego przewidzieć, faktem jest, że dzięki opublikowaniu Tractatus de confessione został błyskawicznie rozpowszechniony w całym kraju, wywołując liczne i często ostre dyskusje wśród teologów, co w końcu sprawiło, iż władze kościelne niektórych miast zaczęły się mocno niepokoić. Tymczasem w Segovii coraz częściej odzywały się głosy przeciwko biskupowi - oskarżano go, iż wyraził zgodę na publikację traktatu. Mówi się też, że ta sprawa przyczyniła się bezpośrednio do decyzji Juana

Pariksa, by opuścić miasto i przeprowadzić się razem ze swoją drukarnią do Tuluzy, gdzie z całą pewnością mógł cieszyć się większą swobodą i szacunkiem dla swojej pracy. W kilka miesięcy po ukazaniu się książki zjechał do Salamanki dominikański teolog Juan López z zamiarem przeprowadzenia publicznej dysputy z Pedrem de Osmą, której celem było ograniczenie siły oddziaływania głoszonych przez niego teorii. De Osma nie podjął jednak wyzwania: świetnie zdawał sobie sprawę, iż nie jest wystarczająco dobrym mówcą, a jego mocną stroną jest słowo pisane czy wręcz, w miarę możliwości, drukowane. Tym razem skończyło się więc na wymianie inwektyw pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami jego doktryny. Juan López nie dał jednak za wygraną i spróbował zaatakować de Osmę przy pomocy jego własnej broni, publikując w 1477 roku krytykę traktatu zatytułowaną *Defensorium fidei Christi contra garrulos preceptores*, która jednak przeszła bez echa. Znacznie skuteczniejszy okazał się atak ze strony Pedra Jimeneza Prejano, wyrazem którego było dzieło *Confutatorium errorum contra claves ecclesiae*, opublikowane w 1478 roku. Jednak najdrastyczniejsza okazała się reakcja inkwizytorów królestwa Aragonii, którzy tegoż roku zainicjowali w Saragossie proces przeciw de Osmie. Ten właśnie moment wykorzystwała część salamantyńskich teologów, donosząc na swego kolegę do najwyższych władz kościelnych królestwa, jako że w Kastylii pierwszy trybunał inkwizycji został powołany dopiero dwa lata później, w 1480 roku.

- Czy wiadomo, kto go zadenuncjował?

- Wśród donosicieli znaleźli się z pewnością: franciszkanin Pedro de Caloca, który współzawodniczył z de Osmą w konkursie na kierownictwo katedry, oraz dominikanin Pedro Ocaña, który wziął razem z nim udział w uniwersyteckich konkluzjach, których tematem była istota oraz ojcostwo Boga, ewidentnie ośmieszając się podczas dyskusji. Na dodatek Pedro de Osma pozwolił sobie na napisanie zjadliwej satyry na temat ich obu, tytułując ją: *W odpowiedzi na kilka bzdurnych twierdzeń głoszonych przez dwóch współczesnych nudziarzy*. W piśmie tym, nawiązującym stylem do dzieł Lukiana, nadał zakonnikom przezwiska „*Licet loca*” i „*O caña*”\*, co, jak możecie sobie wyobrazić, nie przypadło im zbyt do gustu. Ale za wszystkimi donosami i oskarżeniami kryła się ponad wszelką wątpliwość ręka fray Diega de Dezy, pragnącego jak najprędzej osobiście objąć katedrę, którą miał już okazję kierować, zastępując kilkakrotnie Pedra de Osmę podczas jego nieobecności, oraz fray Tomasa de Santo Domingo, który również marzył, by móc kiedyś zasiąść na tym uczelnianym tronie.

\* *Licet loca* (łac.) - dosł. na miejscu, odpowiedni, adekwatny, w sam raz. Nieprzetłumaczalna gra słów, bo *loca* w języku hiszpańskim znaczy „wariatka”. Nieco

żargonowo mógłby to być „Miejscowy Świr” lub młodzieżowo „Świrnięty ziomal”, o caña (hiszp.) - dosł. o, szklanica.

Jakkolwiek było, arcybiskup Toledo zwołał Radę Teologów w Alcalá de Henares, żeby zbadać sprawę. Wśród członków rady znajdowali się fray Tomas oraz sam Diego de Deza, który kilkakrotnie zabrał głos, wypowiadając się z życzliwością na temat oskarżonego, jednak za kulisami obrad przeprowadził całą serię potajemnych manewrów, których celem było uznanie go za winnego i definitywne usunięcie z katedry. Na zakończenie trwającego kilka miesięcy i pełnego sprzeczności procesu teorie Pedra de Osmy zostały potępione i uznane za fałszywe, błędne, heretyckie i skandaliczne, choć sam wyrok, ogłoszony w maju 1479 roku, był dosyć łagodny, jako że wzięto pod uwagę zaawansowany wiek oskarżonego oraz prawdopodobieństwo, że zgodzi się je odwołać. Jeden z punktów wyroku dawał mu miesiąc na to, żeby stawić się w Alcalá de Henares i publicznie wyprzeć błędów, co też mimo wstępnych oporów uczynił, choć tylko i wyłącznie po to, żeby uniknąć większych problemów. W tym celu zorganizowano wielką procesję, w centralnym miejscu której kroczył Pedro de Osma z wielką świecą w dłoni, ulegle chyląc głowę. Dotarłszy do klasztoru Świętego Franciszka wstąpił na kazalnicę, po czym jasno i klarownie wyparł się swych teorii, stosując obowiązujące przy tego typu okazjach formuły.

Oczywiście, jak nakazywało jedno z postanowień wyroku, na pastwę płomieni zostały wydane zarówno wszystkie istniejące egzemplarze traktatu, jak również wszelkie pisma powstałe na jego temat, tak żeby nie pozostał żaden ślad po zawartych w nim błędnych twierdzeniach. Uroczyste palenie ksiąg odbyło się już w kilka dni po ogłoszeniu wyroku, przed główną bramą Escuelas Mayores\* w Salamance, po uroczystej mszy odprawionej w kaplicy Świętego Hieronima, na którą stawili się liczni doktorzy, magistrzy i studenci Uniwersytetu. Jeżeli chodzi o same idee Pedra de Osmy, to zostały one zebrane w dziewięć punktów i jednoznacznie potępione przez papieża Sykstusa IV, tego samego, który rok wcześniej dał naszej parze królewskiej pozwolenie na ustanowienie inkwizycji, której zadaniem miało być prześladowanie fałszywych konwertytów. A wiecie już pewnie, iż mówi się, że zaczyna się od fałszywych konwertytów, a kończy na prawowiernych chrześcijanach... Na dodatek zabroniono Pedrowi de Osmie wstępu do Salamanki, a nawet zbliżania się na pół mili do miasta przez okrągły rok.

\* Escuelas Mayores - dosł. wyższe szkoły; budynek mieszczący wyższe wydziały uniwersyteckie.

W końcu więc musiał przenieść się do Alby nad Tormesem, gdzie miał przyjaciół i gdzie zmarł kilka miesięcy później, 16 kwietnia 1480 roku, z powodu ciężkich dolegliwości i

schorzeń wywołanych nie tyle przez sam wyrok, co przez przymusowe wyparcie się swych idei. Na wyraźną prośbę kapituły (bo trzeba pamiętać, że Pedro de Osma był od 1471 roku prebendariuszem katedry w Salamance) został pochowany w katedrze, co spowodowało bolesny spór z władzami Uniwersytetu. W tym czasie Diego de Deza zdążył już objąć upragnioną katedrę, która zresztą stanowiła dla niego kolejny stopień, mający być jedynie punktem odbicia w drodze na jeszcze wyższe stanowisko. Kiedy kilka lat później opuścił Uniwersytet, żeby zająć się edukacją królewicza don Juana, osobiście wyznaczył swojego spadkobiercę czy też następcę. I tutaj wkracza do akcji fray Tomas de Santo Domingo, w przypadku którego oficjalny konkurs na Uniwersytecie okazał się jedynie zwykłą formalnością. Według wszelkiego prawdopodobieństwa przekupiono niektórych studentów przybyłych w celu wysłuchania pokazowego wykładu, co zresztą jest dosyć częstym procederem. Z waszym długoletnim doświadczeniem na Uniwersytecie mieliście już pewnie niejedną okazję, żeby się przekonać, iż wybieranie profesorów poprzez głosowanie studentów nie tylko nie przyczyniło się do wyeliminowania niesprawiedliwości, ale wręcz stało się powodem wielkiej korupcji wśród społeczności uniwersyteckiej.

Tym razem do konkursu stanął również jeden z uczniów Pedra de Osmy i jego główny obrońca w procesie w Alcala de Henares, Fernando de Roa. Już w owym czasie piastował on stanowisko profesora katedry filozofii moralnej, jednak ze względu na swoją przeszłość i przekonania polityczne nie miał najmniejszych szans, mimo iż był znacznie bardziej wartościowym wykładowcą i o wiele lepszym teologiem niż fray Tomas, co zresztą głośno deklarowało wielu uczestników konkursowych wykładów, ostro protestując. Skończyło się jednak na tym, że dominikanie mają nadal w swoim władaniu główną katedrę teologii.

- Mani rozumieć, iż waszym zdaniem zabójstwo fray Tomasa może być zemstą za całą tę historię?- Istnieje taka możliwość. Chociaż, jeśli mam być szczery, wątpię, żeby właśnie to było prawdziwym powodem śmierci fray Tomasa. Musi tu chodzić o coś więcej. Zdaję sobie sprawę, iż dokonanie skutecznej zemsty wymaga czasu i zimnej krwi, ale wydaje mi się, że minęło już zbyt wiele lat od wspomnianych wydarzeń.

- W każdym razie może to tłumaczyć tak wielkie zainteresowanie biskupa, by jak najszybciej odkryć, kto zamordował fray Tomasa.

- Tak, możliwe że i on czuje się do pewnego stopnia zagrożony.

- Z tego co wiem, przestał przychodzić rankiem do kaplicy Świętej Barbary, co wcześniej miał w zwyczaju.

- I co rzeczywiście można by zinterpretować jako środek ostrożności z jego strony.

- Jeżeli tak jest w istocie, nie rozumiem, dlaczego nie wspomniał mi ani słowem na ten temat.

- Może nie chce, żeby rozniosła się wieść o tym, że czegoś się obawia, albo pragnie, byście sami na to wpadli. Istnieje też możliwość, że nie do końca wierzy, iż zabójstwo fraya Tomasa ma z nim coś wspólnego.

- Opowiedzcie mi coś jeszcze na temat Pedra de Osmy - poprosił Rojas, wielce zaintrygowany. - Do tej pory prawie nic na jego temat nie słyszałem.

- To najzupełniej normalne. Musicie pamiętać, że jedno z jego dzieł zostało wyklęte i spalone prawie dwadzieścia lat temu w publicznym auto de fe, jego teorie zostały uznane za herezję i potępione, a jego główni uczniowie są od owego czasu prześladowani przez inkwizycję. Powinniście jednak wiedzieć, że Pedro Martinez de Osma studiował właśnie tu, w Kolegium Świętego Bartłomieja, do którego wstąpił, jeżeli mnie pamięć nie myli, w 1444 roku, i gdzie z całą pewnością są jeszcze ludzie mogący pamiętać go i podziwiać, choć żaden z nich nie ośmielił się pewnie otwarcie tym chwalić. W Studium Pedro de Osma był uczniem Alfonsa Fernandez de Madrigal, zwanego el Tostado, a zanim objął główną katedrę teologii, w latach 1457-1463 był wykładowcą filozofii moralnej. Najważniejsze jednak jest to, że dzięki de Osmie po 1470 roku w nauczaniu teologii zaczęły dać się odczuwać świeże powiewy wiatru. Skorygowano jej dotychczasowe wady, za jakie zaczęło się uważać zbyt dużą skłonność do spekulacji i dialektyki, i zastąpiono je poważną egzegezą Pisma Świętego, zwracając uwagę nie tylko na naukę języków, w których zostały napisane oryginalne teksty, ale również prawo Ojców Świętych do ich interpretowania. Jednak najważniejszym rysem tej nowej teologii, mój drogi Fernando, było to, że uznawała ona człowieka - który nie na darmo przecież został stworzony na podobieństwo Boga - za podstawę i punkt centralny wszelkich rozważań, nadając mu w ten sposób należną godność duchową.

- Zналиście osobiście Pedra de Osmę?

- Kilkakrotnie miałem możność słuchania jego wykładów. Nie można powiedzieć, żeby był szczególnie błyskotliwym mówcą, ale jego argumenty miały wielką siłę przekonywania. I bez względu na to, czy popełnił błędy i jakie, był znakomitym teologiem. Poza tym był najprawdopodobniej pierwszym człowiekiem w Kastylii, który przeczuł, jak wielką rolę w rozprzestrzenianiu idei będzie miało drukowane słowo. Stąd też w związku z publikacją swojego Traktatu o spowiedzi przeniósł się na jakiś czas do Segowii, gdzie już wcześniej wyszło drukiem inne jego dzieło. Zdaje się, że tym razem chciał prześledzić z bliska cały proces drukowania książki. Kto wie, do czego człowiek jego pokroju mógłby dojść,

gdyby przyszło mu żyć w królestwie, w którym panowałyby większa wolność i tolerancja niż w naszym.

- A co możecie mi powiedzieć na temat jego uczniów?- Z pewnością jego ulubieńcem był Fernando de Roa. Jest on, przynajmniej w pewnym sensie, kontynuatorem i duchowym spadkobiercą Pedra de Osmy.

- Do tego stopnia, żeby pomścić go, zabijając człowieka?

- Nie bardzo chce mi się w to wierzyć, ale być może sprawa ma się inaczej z niektórymi ludźmi z jego otoczenia.

- Co chcecie przez to powiedzieć?

- Mówi się, że Fernando de Roa ma w Salamance bardzo wielu zwolenników i że popiera go część kupców i rzemieślników, jak również niektórzy możnowładcy, zwłaszcza ci, którzy nie są szczególnie zadowoleni z rządów królewskiej pary. Defacto krążą słuchy, że Roa interesuje się bardziej polityką niż filozofią czy teologią.

- Również teologia może być jednym ze sposobów uprawiania polityki, nie sądzicie?

- Ależ oczywiście. Dlatego właśnie jest tylu chętnych do obsadzenia niektórych katedr teologii. Ale wracając do Fernanda de Roi, słyszałem, że w swoich wykładach omawia Politykę Arystotelesa w wydaniu Bruniego i że, opierając się na zawartych tam wywodach, kwestionuje władzę królewską i jej dziedziczny charakter. Nawiasem mówiąc, niektórzy niegodziwcy twierdzą, iż posługuje się w tym celu komentarzami i notatkami na temat dzieła Arystotelesa, które pozostawił po sobie jego mistrz, Pedro de Osma.

- Jak to możliwe, że zwykły brat zielarz wie tyle na ten temat?

- Bowiem zanim został zielarzem, był kiedyś teologiem.

- Naprawdę? - spytał Rojas, udając niedowierzanie.

- Choć pewnie trudno wam w to uwierzyć, był taki czas, kiedy również ja miałem zamiar poświęcić się nauczaniu teologii, w końcu jednak postanowiłem oddać się znacznie bardziej przyziemnym sprawom, takim jak zbieranie i klasyfikacja ziół, uprawa ogrodu, a ostatnio również próby wprowadzenia do uprawy nowych roślin wyhodowanych z nasion przywiezionych zza morza.

- Ale przecież to powinno dać się pogodzić z teologią.

- Prawdę powiedziawszy, jestem zbyt niesforny, żeby zaakceptować narzucanie mi pewnych rzeczy, a równocześnie zbyt tchórzliwy, żeby publicznie mówić to, co myślę. Jednak nade wszystko czułem się przygnębiony, widząc jak z czasem najbardziej wartościowi ludzie odchodzą z Uniwersytetu. Jedni dlatego, że zostali w niegodziwy sposób pozbawieni katedry, tak jak się to przytrafiło Pedrowi de Osmie; inni z własnej woli, żeby uniknąć

prześladowania czy wręcz więzienia, jak w przypadku żydowskiego kosmografa Abrahama Zacuta, który dowiedziawszy się, że podpisano dekret wydalający go z uczelni, wyjechał do Portugalii, stając się członkiem kolegium matematycznego króla Jana II Doskonałego (podczas gdy tutaj w swoim czasie nie dostał pozwolenia na wstąpienie do Kolegium Świętego Bartłomieja); lub po prostu dlatego, że nie znaleźli tu odpowiedniej atmosfery dla swoich studiów czy badań, jak Antonio de Nebrija, który porzucił katedrę gramatyki, żeby przenieść się na skromny dwór don Juana de Zuñigi, wielkiego mistrza zakonu Alcantara, któremu udało się zgromadzić w swoim zamku w Zalamea de la Serena niewielkie grono wybitnych naukowców. Jak widać, drogi przyjacielu, otaczają nas ludzie, którym zależy na tym, byśmy nadal żyli pogrążeni w mrocznych ciemnościach.

- Muszę przyznać, że nie brak wam racji - skomentował Rojas, wyraźnie poruszony słowami fray Antonia, gdyż skierowały one jego myśli ku ustępstwom, jakie on sam był niedawno zmuszony uczynić.

- Ale nie dajmy się ponieść smutkowi i, nade wszystko, oddalmy od siebie wszelkie transcendentalne tematy, żeby móc spokojnie dokończyć nasze ostatnie liście tabaco.- Póki pamiętam, czy moglibyście zrobić mi jeszcze jedną, ostatnią przysługę?

- Jeżeli tylko jest to w mojej mocy - zgodził się zakonnik.

- Czy moglibyście zaglądnąć raz jeszcze do celi fray Tomasa i wypożyczyć dokumenty leżące na stole?

- Muszę wam coś wyznać - odparł fray Antonio spoważniawszy nagle. - Zamierzałem zrobić to właśnie dziś rano, ale dokumentów tam już nie było. Miałem właśnie wam o tym powiedzieć.

- Na Boga, na cóż więc czekaliście?

- Miałem zamiar natychmiast was o tym powiadomić, ale nie przestawaliście zasypywać mnie pytaniami.

- Macie pojęcie, kto mógł je stamtąd zabrać?

- Czy naprawdę nie umiecie robić nic innego poza zadawaniem pytań? Podejrzewam, że jest to ktoś, kto nie chce, żeby dowiedziano się, co trapiło fray Tomasa w ostatnich dniach życia.

- Być może był doradcą w jakimś procesie inkwizycji?

- Możliwe - przyznał zakonnik.

- Co by oznaczało, że niektóre z teorii Pedra de Osmy są nadal aktualne.

- Mówiłem wam już, że był on bardzo podziwianym i nadzwyczaj lubianym człowiekiem.

- Wygląda na to, że również mocno znieawidzonym, przynajmniej przez niektórych, z powodu głoszonych przez siebie idei. A, nawiasem mówiąc, jakie jest wasze zdanie na temat teorii spowiedzi Pedra de Osmy?

- Dlaczego przyszło wam to teraz do głowy? Jeszcze dobrze nie nagrzeszyliście i już myślicie o spowiedzi? Nacieszcie się najpierw spokojem, jaki sprowadziły na nas te błogosławione liście. A jeśli rzeczywiście nie możecie się obejść bez pokuty - zażartował - niech wam przypadkiem nie przyjdzie do głowy wyznać waszemu spowiednikowi, zeto ja namówiłem was do grzechu. Mam już wystarczająco złą sławę w klasztorze.

W tej chwili ktoś zaczął głośno dobijać się do drzwi.

- Widzicie? Mamy już na karku zauszników Świętego Trybunału - powiedział zakonnik ze śmiechem.

- Fernando, jesteś tam? Nic ci się nie stało? - zawołał ktoś za drzwiami. - Zauważyłem, że jakiś straszny dym wydobywa się z twojego pokoju.

- Nic się nie dzieje, wszystko jest w najlepszym porządku - pośpiesznie odkrzyknął Rojas, rozpoznawszy głos Hilaria. - Palę tylko stare papiery.

- Jeśli tak bardzo lubisz palić papiery - odparł przyjaciel kpiącym tonem - powinieneś zostać członkiem Świętego Oficjum.

- Na pewno to zrobię, kiedy tylko zabraknie mi papierów w pokoju. Nie przejmuj się, proszę, możesz spokojnie wrócić do siebie.

- Lepiej już sobie pójdę - powiedział zielarz. - Nie chcę zabierać wam więcej czasu ani sprowadzić na głowę dodatkowych kłopotów.

- Ależ skąd, nawet sobie nie wyobrażacie, jak bardzo mi pomogliście; i wy, i te wasze liście. Zauważyłem, że nie tylko mnie uspokajają, ale również pomagają w rozumowaniu, zupełnie jakby dym przyczyniał się do porządkowania myśli i ułatwiał odcięcie się na chwilę od reszty świata.

- W takim razie będziemy musieli powtórzyć nasze doświadczenie. Wiecie, gdzie możecie mnie znaleźć - dodał zakonnik na pożegnanie.

- Na pewno wkrótce się zobaczymy - obiecał Rojas.

\*\*\*



## Rozdział 8.

Salamanka była jednym z miast, które Królowie Katoliccy przekazali synowi, królewiczowi don Juanowi, włączając je do majątku wniesionego przez następcę tronu do małżeństwa z Margaritą Austriaczką. W tym celu miasta te musiały zostać wydzielone z dóbr koronnych i przepisane do osobistego majątku infanta. W rezultacie dziewiętnastoletni następca tronu, dotąd książę Asturii i Gerony, stał się teraz również panem wielu miast i miasteczek, pośród których znalazły się między innymi: Alcaraz, Almazan, Baeza, Caceres, Ecija, Logroño, Loja, Oviedo, Ronda, Toro, Trujillo, Ubeda, no i oczywiście Salamanka. Od tej pory królewicz musiał się też osobiście zajmować ich administracją, co miało stanowić jeden z ważnych aspektów jego wykształcenia jako przyszłego monarchy.

Zdopingowany przez swego preceptora Diega de Dezę następca tronu od samego początku bardzo troszczył się zarówno o Salamankę, jak i o prestiż i przywileje jej słynnego Studium Generale, dbając szczególnie o to, by nikt nie odważył się ich kwestionować. Ze swojego skromnego dworu w Almazanie kilkakrotnie przyszło mu już pośredniczyć w sporach pomiędzy radą miejską i Uniwersytetem, powodem których były częste bójki uliczne wszczynane przez studentów. Nieraz dał też na piśmie wyraz swej trosce o czystość ulic miasta, na których nierzadkim widokiem były baraszkujące w najlepsze świnie; narzekał też, że niektóre ulice nie zostały do tej pory wybrukowane. Wobec braku reakcji ze strony rady miejskiej na owe skargi już przed kilkoma miesiącami królewicz osobiście zlecił uporządkowanie i wybrukowanie kilku ulic, nakazując przy tym, by koszty robót zostały pokryte przez właścicieli mieszczących się przy nich budynków, co oczywiście niektórym niezbyt przypadło do gustu. Wśród dotkniętych ową dyspozycją znaleźli się członkowie kapituły katedralnej, posiadający nieruchomości w różnych częściach miasta.

Innym przedmiotem ogólnych sporów i niezadowolenia części mieszkańców była kwestia domów publicznych. Otóż królewicz postanowił (z tego co wiadomo, na wyraźną prośbę biskupa), iż wszystkie burdele mieszczące się w pobliżu szkół uniwersyteckich mają zostać zamknięte; nakazał równocześnie, żeby kobiety publiczne zgromadzono w jednym wielkim domu schadzek, zlokalizowanym poza murami miasta. Pierwotnie infant don Juan przyznał licencję na budowę i eksploatację tej nowej instytucji kuznikowi królewskich wojsk Garcii de Albarrateguiemu, jednak rada miejska sprzeciwiła się tej decyzji, występując z oficjalną skargą do królewskiej pary. Jako że decyzja królewicza została podjęta z ewidentną

szkodą dla Salamanki, monarchowie zawyrokowali, iż inwestycja ma zostać wystawiona na publiczną licytację i oddana na wieczność temu, kto zadeklaruje najwyższą sumę. Równocześnie zobowiązali ewentualnego kupca do wypłacenia Garcii de Albarrateguiemu jednorazowego odszkodowania w kwocie dziesięciu tysięcy maravedfch, co miało pokryć jego dotychczasowe wydatki, obciążając go dodatkowo coroczną opłatą na rzecz rady miejskiej, mającą wynosić piętnaście tysięcy maravedi'ch. Zarządzenie to spowodowało zamknięcie burdeli znajdujących się w centrum miasta, doprowadzając do ruiny wszystkich tych, którzy zarabiali na życie, ciągnąc w ten czy inny sposób korzyści cudzej uciechy. W sumie z dnia na dzień pozostawiono na lodzie ponad setkę dziwek, raj fur ów i stręczycielek.

Nie tylko im zaszkodziła decyzja o powstaniu nowego domu schadzek. Na jego budowę przeznaczono plac targowy na przedmieściach, po drugiej stronie rzeki, znany jako Los Barreros. Było to miejsce położone w bezpośrednim sąsiedztwie cmentarza żydowskiego, co oczywiście zostało uznane za jawny afront przez wszystkich tych, którzy, zmuszeni wydanym niedawno dekretem o wygnaniu Żydów, dopiero co nawrócili się na chrześcijaństwo lub też, nie chcąc zmieniać wiary, ukrywali się w obrębie miasta. Również część mieszkańców uważała, że królewicz naumyślnie wybrał tę lokalizację. Nie na darmo po Kastylii krążyły liczne plotki na temat nienawiści następcy tronu do Żydów i konwertytów oraz jego okrutnego fanatyzmu. Rzeczywiście królewicz don Juan miał tak wielką obsesję na punkcie czystości krwi, iż głównym warunkiem przystąpienia do służby na dworze w Almazanie było posiadanie rodowodu starego chrześcijanina\*. Chodziły nawet słuchy, że pewnego razu, odkrywszy, iż jeden ze sług jest bliskim krewnym rodziny konwertytów, następca tronu własnoręcznie rzucił go na pastwę płomieni.

Faktem jest, że urodził się w 1478 roku, czyli dokładnie wtedy, gdy jego rodzice, w oparciu o bullę wydaną przez papieża Sykstusa IV, powołali do życia w Kastylii Trybunał Świętej Inkwizycji, którego celem było nie tyle karanie występków przeciwko wierze katolickiej, co - przede wszystkim - prześladowanie nawróconych Żydów, którzy potajemnie praktykowali dawną wiarę. Wieść niosła, że jednym z ulubionych zajęć królewicza w dzieciństwie była właśnie zabawa w fałszywych przechrztów i inkwizytorów.

\* Starymi chrześcijanami (cristianos viejos) nazywano w ówczesnej Hiszpanii mieszkańców niemających pochodzenia żydowskiego ani muzułmańskiego. Opowiadano na ten temat różne przedziwne historie. Ponoć pewnego razu jednemu z paziów królewicza, pierworodnemu synowi wpływowego sekretarza monarchów, nawróconego Żyda Fernanda Alvareza de Toledo Zapaty, przypadła w zabawie rola oskarżonego. Jeśli wierzyć plotce, po odczytaniu wyroku chłopcy występujący w roli inkwizytorów kazali mu rozebrać się do naga,

postanawiając spalić go na stosie. I rzeczywiście zostałby spalony, gdyby nie interwencja jednego ze starszych paziów, któremu szczęśliwie przyszło do głowy pobiec czym prędzej obudzić królową, która odbywała właśnie poobiednią sjęstę. Wobec powagi sytuacji Isabel wybiegła ponoć z komnaty w samej koszuli i bez pantofli, pędem udając się na podworec. Dotarła na miejsce dokładnie w chwili, gdy dzieci zabierały się do wykonania wyroku. Wszyscy uczestnicy byli tak bardzo zaabsorbowani zabawą, że nie zauważyli przybycia Jej Królewskiej Mości. Isabel zaś była do tego stopnia wzburzona, że podbiegła wprost do infanta i wymierzyła mu w obecności wszystkich siarczasty policzek, po czym natychmiast uwolniła więźniów i, okrywszy ich opończami, zabrała z sobą do pałacu.

Chociaż w kwestii traktowania niektórych nawróconych Żydów królowa nie pozostawała daleko za synem. Sądząc po licznych dowcipach krążących po mieście, wszystkim znana była historia pewnego studenta, którego postanowiono usunąć z Kolegium Świętego Bartłomieja, gdyż swym aroganckim zachowaniem dotkliwie dawał się we znaki kolegom. Chłopak pochodził z rodziny konwertytów, ale był spokrewniony z kimś bardzo wpływowym i powołując się na owe koneksje, twardo odmawiał opuszczenia szkoły. W tej sytuacji władze uczelni zwróciły się o pomoc do królowej, która niewiele myśląc, rozkazała, żeby wyrzucono studenta przez okno, jeżeli nie chce wyjść spokojnie drzwiami. No i poskutkowało.

Wracając do królewicza, był on drobnym i chorowitym młodzieńcem obdarzonym słabym charakterem, a jego głównym zajęciem stało się zaspokajanie swoich licznych kaprysów i knucie często bezdusznych intryg. Fernando de Rojas dobrze o tym wiedział, gdyż w przeszłości Diego de Deza zabrał go kilka razy na dwór, mając nadzieję, że jego obecność będzie dobrym przykładem i podniętą do nauki dla królewskiego pupila. Na nic się to jednak nie zdało. I nie żeby królewicz był tępy czy niedorozwinięty. Wręcz przeciwnie: był rozumny i nadzwyczaj pojętny, a na dodatek swoim starannym wykształceniem znacznie przewyższał rówieśników. Jednak jego despotyczny i kapryśny charakter oraz małoduszne i wręcz infantylne zachowanie pozostawiały wiele do życzenia. Pomimo to Diego de Deza kochał infanta jak własnego syna i wybaczał mu absolutnie wszystko, nie wyłączając zamięłowania następcy tronu do wizyt w burdelach. W skrytości ducha miał jednak nadzieję, iż po niedawnym ślubie z księżniczką Margaritą chłopak trochę się usatkuje.

Niestety ostatnie miesiące przyniosły pogorszenie niektórych dolegliwości fizycznych królewicza. Biskup jednak postanowił wykorzystać nawrót choroby, żeby zaprosić go do Salamanki, uważał bowiem, że jest to wspaniała okazja, żeby miasto mogło okazać następcy tronu swą gościnność.

Po dłuższym okresie rekonwalescencji w Medinie del Capo infant Juan musiał porzucić zamiar towarzyszenia królewskiej parze w podróży do Walencji de Alcantara, miasta leżącego w pobliżu granicy portugalskiej, gdzie jego siostra Isabella, wdowa po zmarłym sześć lat wcześniej królewiczu Alfonsie, synu byłego władcy Portugalii, miała poślubić Manuela I, aktualnego króla. Podróż odkładano już kilka razy, mając nadzieję, że królewicz wkrótce przyjdzie do siebie, jednak data ślubu była już tak blisko, iż dalsze odwlekanie wyjazdu nie wchodziło w grę. Tak więc, podczas gdy monarchowie, infantki i większa część królewskiego dworu zdążyła w stronę Walencji de Alcantara, królewicz wraz z małżonką, w towarzystwie niewielkiej grupy dworzan, ruszył do Salamanki, gdzie Diego de Deza miał zamiar podjąć go w swoim pałacu, otaczając dostojnych gości serdeczną troską i należytą opieką.

Minął zaledwie tydzień od dnia, kiedy otrzymano wiadomość o przyjeździe królewicza, i miasto w pośpiechu kończyło przygotowania do przyjęcia go, jak na następcę tronu przystało. Trzeba powiedzieć, że zarówno miastu, jak i samemu biskupowi bardzo zależało na tej wizycie. Minęło już dziesięć lat od ostatniego pobytu królewicza w Salamance. Diego de Deza pragnął wykorzystać okazję i namówić swojego pupila do pozostania tu na dłuższy czas, myśląc, że jeśli wszystko dobrze pójdzie i następca tronu oswoi się z miastem, być może zgodzi się na przeniesienie swego skromnego dworu do Salamanki. W ten sposób zacieśniono by jeszcze bardziej więzy pomiędzy dworem królewskim a Uniwersytetem, co w czasach tyłu politycznych i społecznych przemian mogło mieć nie lada znaczenie. Wszystko zależało od samopoczucia królewicza w ciągu najbliższych kilku dni.

Biskup podzielił się swoimi zamiarami i oczekiwaniami z radą miejską oraz z władzami Studium Generale, jak również z przedstawicielami najbardziej wpływowych okolicznych rodów. Uważał, że w tak doniosłej chwili należało zapomnieć o wzajemnych pretensjach i różnych mało istotnych incydentach i odważnie spojrzeć w przyszłość. Twierdził, że wszystko, co uda się zrobić, żeby przyczynić się do dobrego samopoczucia królewicza i jego dworu w Salamance, może już wkrótce przynieść oczekiwane owoce. Stąd też nawet ci, którzy jeszcze nie tak dawno mieli poważne zastrzeżenia co do niektórych rozporządzeń wydawanych przez następcę tronu, teraz skwapliwie zabrali się do brukowania i sprzątnięcia zapuszczonych ulic, próbując jak najprędzej zaprowadzić jaki taki porządek w mieście i polepszyć jego warunki higieniczne.

Na dodatek pośród miast wchodzących w skład dóbr królewicza rozwinęło się w ostatnich miesiącach coś w rodzaju rywalizacji w nadziei na pozyskanie jego względów, a co za tym idzie możliwego patronatu. Stąd też wszelkie uroczystości ku jego czci były

przygotowywane z niezwykłą starannością i wyjątkową hojnością. Nie inaczej działo się w Salamance, mieście będącym nowożytną kolebką wiedzy, przez niektórych uważanym z tego powodu za kastylijskie Ateny.

Wszystko to tłumaczyło niezwykle ożywiony ruch, jaki zaobserwował Rojas tego dnia na ulicach. Jednak jego uwagę zaprzętały zupełnie inne sprawy. Odkąd usłyszał od fray Antonia historię Pedra de Osmy, nie mógł przestać myśleć o jego nieszczęsnym losie. Czuł, że musi w jakiś sposób dotrzeć do słynnego *Tractatus de confessione* i jak najszybciej go przeczytać, na wypadek gdyby mógł on rzucić jakieś światło na sprawę śmierci fray Tomasa (choć w skrytości ducha miał nadzieję, że autor traktatu nie miał z nią nic wspólnego). Miał też inne powody, znacznie bardziej osobistej natury, żeby przeczytać traktat: pochodząc z rodziny nawróconych Żydów, szczególnie mocno interesował się kwestią spowiedzi, natomiast sprawa odpustów była jego prawdziwą obsesją. Nie tak dawno zabrał głos w dyskusji na ten temat podczas konkluzji organizowanych w Kolegium Świętego Bartłomieja i zdawał sobie sprawę, że jego stanowisko w tej materii jest niebezpiecznie bliskie herezji. Kierując się w stronę ulicy Serranos, znajdującej się w pobliżu zabudowań uniwersyteckich, raz jeszcze pogрузił się w rozmyślaniach nad tym drażliwym tematem, nie dochodząc jednak do żadnych sensownych wniosków. Czuł się jak noria, która swymi czerpakami w kółko wynosi w górę jedną i tę samą wodę. Ulica Serranos\*, nazwana tak ku pamięci osadników, którzy przybyli tu swego czasu z gór Asturii i Leónu, była ulicą kupców i sukienników. To do ich sklepów kierowali swoje pierwsze kroki studenci przybywający do Salamanki, żeby zakupić lub odnowić swą wyprawę i ubiór, a potem, po zakończeniu studiów, zbyć je za byle grosz. Stąd też co kawałek widać było sklepy oferujące łóżka, stoły, krzesła, skrzynie, pulpity, miednice, cebrzyki, chodniki, świeczniki, kłódki i wszelkiego rodzaju odzież i przybory potrzebne w codziennym studenckim życiu. W końcu Rojas zatrzymał się przed wejściem do jednego z lokali. Był to sklep, w którym nauczyciele i studenci zaopatrywali się w podręczniki, papier do pisania oraz drukowane książki. Jego właścicielem był Jacinto López, mieszkający wraz z córką w pokoju na piętrze. Na pierwszy rzut oka sklep nie różnił się niczym od innych, choć wszyscy w mieście wiedzieli, że tak naprawdę zajmuje się handlem zabronionymi książkami. Jeśli ktoś w Salamance pragnął kupić lub sprzedać jakieś dzieło, które zostało potępione przez Święte Oficjum, z konieczności musiał trafić właśnie tutaj. W tych przypadkach właściciel wołał córkę i zlecał jej pilnowanie drzwi, podczas gdy on sam kierował się na tyły sklepu, gdzie znajdowało się coś w rodzaju magazynu. Rojas wiedział z doświadczenia, że nie było takiej książki, której księgarz nie byłby w stanie zdobyć, jeżeli

tylko klient był w stanie zapłacić odpowiednią sumę. Kiedy komuś naiwnemu przychodziło na myśl zaprotestować z powodu wygórowanej ceny, Jacinto López niezmiennie odpowiadał:

- Przecież dobrze wiecie, jak wiele ryzykuję.

\* Serrano (hiszp.) - góral.

W rzeczy samej, nietrudno było sobie wyobrazić, że gdyby jakakolwiek wzmianka na temat robionych tu interesów dotarła do uszu inkwizycji, właściciel sklepu zostałby natychmiast skazany i spalony na stosie razem z całym towarem. Jednak jak na razie najwyraźniej nikt na niego nie doniósł. Niektórzy twierdzili, że pewnie ma jakieś konszachty z inkwizytorami i że przemykają oni oczy na jego interes, a on odwdzięcza im się, wyjawiając od czasu do czasu nazwiska niektórych klientów - oczywiście nie wszystkich, gdyż oznaczałoby to koniec tak lukratywnego interesu. Mówiło się nawet, że to skorumpowani członkowie inkwizycji dostarczają Lópezowi książki na sprzedaż - oczywiście w zamian za spory udział w zyskach - i że stąd właśnie biorą się tak wygórowane ceny. Jakkolwiek było, wydawało się oczywiste, że żadnemu klientowi przy zdrowych zmysłach nie przyszłoby do głowy donieść na księgarza - jednym dlatego, że nie chcieli pozbawić się jedynej dostawcy tego rodzaju dzieł, a innym dlatego, że nie chcieli się narażać, bojąc się, iż ich nazwisko wyjdzie na światło dzienne podczas procesu.

Mimo tych wszystkich plotek Rojas nie po raz pierwszy tu zachodził, tyle że do tej pory poszukiwał znacznie powszedniejszych i mniej niebezpiecznych prac. W końcu zdecydował się pchnąć drzwi i wejść do środka. Jak było do przewidzenia, o tej porze w sklepie nie było nikogo. Pomieszczenie było tak dokumentnie zastawione stołami i półkami pełnymi teczek, manuskryptów i drukowanych książek, że ciężko się było wśród nich poruszać. Rojas lubił wdychać unoszące się tu zapachy farby drukarskiej, skóry, papieru, pergaminu, a zwłaszcza nagromadzonego na półkach kurzu; niektórzy uważali, że zapach ten to zapach wiedzy.

- Miło mi was tu znowu widzieć - pozdrowił go księgarz zza biurka.

Miał niewiele ponad pięćdziesiąt lat; jego smutną twarz o żółtawej cerze zdobił wydatny nos, a resztki włosów, jakie jeszcze posiadał, skupiały się na karku i nad uszami. Jednak tym, co klientom najbardziej rzucało się w oczy, był zez. Jak głosiła plotka, dzięki tej wadzie wzroku, czy też może zalecie, był w stanie czytać dwie książki na raz - jedną jednym, a drugą drugim okiem - nie mieszając przy tym treści i toku zawartych w nich rozważań. Oczywiście nie było to łatwe do udowodnienia. Wydawało się natomiast oczywiste, że nic z tego, co działo się w sklepie, nie uchodziło jego uwagi.

- Mnie również jest bardzo miło, maestro\* Jacinto - odpowiedział Rojas.

\* Maestro (hiszp.) - mistrz, nauczyciel.

Naturalnie księgarzowi oficjalnie nie przysługiwał żaden tytuł, studenci jednak nazywali go w ten sposób, gdyż wiedział dosłownie wszystko na temat książek, a rozmowa z nim przyprawiłaby o rumieniec wstydu niejednego wykładowcę, co zresztą w niektórych przypadkach nie wymagało wcale nadzwyczajnej wiedzy. Księgarz, widząc, że klient nie bardzo może się zdecydować, żeby powiedzieć, o co mu chodzi, spytał:

- Czym mogę służyć?

- Hm - odchrząknął Rojas. - Poszukuję egzemplarza Tractatus de confessione Pedra de Osmy.

- Ach, rozumiem. No cóż, muszę przyznać, że to poważna sprawa, drogi przyjacielu - odparł enigmatycznie księgarz.

- Czy ma to oznaczać, że nie jesteście w stanie zdobyć tej książki?

- Nigdy nie usłyszycie ode mnie takiej odpowiedzi. Zapewniam was, że jeśli chodzi o książki, nie ma takiej, której nie byłbym w stanie zdobyć. Stwierdzam tylko, że to trudno dostępne i niebezpieczne dzieło.

- Do jakiego stopnia „niebezpieczne”? - chciał się dowiedzieć Rojas.

Maestro Jacinto podszedł do niego i na grubej warstwie kurzu pokrywającej jeden z leżących na ladzie tomów wypisał palcem kilkucyfrową liczbę. Kiedy się tylko przekonał, że klient zobaczył, co trzeba, zmasał ją grzbietem dłoni. Kwota była tak astronomiczna, że Rojas aż podskoczył, nie mogąc ukryć zdumienia.

- Myślę, że nie muszę wam wyliczać niebezpieczeństw, na jakie narażam się przy tego typu transakcjach - powiedział księgarz, wymownie gestykułując, zanim jeszcze młodzieniec zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

- Możecie mi wierzyć, że wcale nie miałem zamiaru protestować, nie mówiąc już o targowaniu się z wami. To był po prostu gest zdumienia.

- Jeżeli tak, to bardzo się cieszę. W każdym razie muszę wam powiedzieć, że są dzieła, których cena zależy nie tylko od ryzyka, na jakie się człowiek naraża - i które, nawiasem mówiąc, jest w tym przypadku ogromne - ale również od ilości dostępnych egzemplarzy. Niedostatek danego dzieła sprawia, iż nabiera ono wartości wyjątkowej, a w każdym razie niezwykle trudnej do wyceny, w związku z czym nawet najbardziej wygórowana cena może się okazać zbyt niska.

- Dobrze, dobrze - przerwał mu Rojas, niezbyt zachwycony obrotem, jaki zaczęła przyjmować rozmowa. - Chciałbym wiedzieć, kiedy mógłbym dostać książkę?

- Kiedy? No cóż, to zależy - odparł księgarz powściągliwie. - Zależy przede wszystkim od tego, kiedy będziecie w stanie dostarczyć mi wymienioną sumę.

- Teraz, natychmiast. Co wy na to? - spytał Rojas, wyjmując zza pazuchy sakiewkę pełną monet.

- Ależ... Ależ to wspaniale się składa, drogi przyjacielu! - wykrzyknął Jacinto po chwili wahania. - Muszę przyznać, że teraz to wy mnie zaskoczyliście. Zaczekajcie chwilę, zaraz wracam.

Zanim zagłębił się w mroczne zaplecze, przechodząc obok schodów, krzyknął do córki, żeby czym prędzej zeszła dół. Dziewczyna pojawiła się natychmiast. Miała niewiele ponad dwadzieścia lat i była bardzo ładna, chociaż można to było stwierdzić dopiero po bliższym przyjrzeniu się jej, gdyż była brudna i ubrana w łachmany. Bardzo prawdopodobne, że wyglądała tak z nakazu ojca, który pewnie nie chciał, żeby zwracała na siebie uwagę, jako że, jak powszechnie wiadomo, górale nienawidzą ostentacji. Czekając na księgarza, Rojas przypomniał sobie, że słyszał gdzieś, iż dziewczyna tak naprawdę nie jest jego córką, tylko konkubina. Jeżeli to prawda, pomyślał, to trzeba przyznać maestro Jacintowi, że ma dobry gust i potrafi dobrze ulokować swą fortunę. Pewnie wieczorami każe jej się umyć i ładnie ubrać, żeby mieć ją tylko dla siebie, jakby była jego najcenniejszym skarbem. A czasem może nawet na nią nie spogląda, bojąc się, żeby się nie zużyła od ciągłego patrzenia.

- Proszę - rozległ się nagle głos księgarza wychodzącego z zaplecza - oto Traktat o spowiedzi profesora Pedra de Osmy. Zapewne nie macie pojęcia, że byłem obecny przy tym, jak palono jego książki na podwórzu Uniwersytetu? Wcześniej przez dobrych kilka dni szukano po całym mieście egzemplarzy traktatu i w końcu zgromadzono ich tyle, że stos sięgał prawie dachu, co zresztą, muszę wyznać, bardzo mnie ucieszyło, gdyż zdawałem sobie sprawę, że im mniej ich ocaleje, tym wyższa będzie później cena. Mówi się, że odkąd w Kastylii powołano świętą inkwizycję, spalono już ponad sto tysięcy heretyckich ksiąg.

Rojas nie wierzył własnym uszom. Był do tego stopnia oburzony cynizmem księgarza, że przez moment miał ochotę opuścić lokal bez książki, jednak w końcu ciekawość i przemożne pragnienie przeczytania traktatu zwyciężyły. Po chwili miał go w ręce; był to niezbyt gruby tom wydrukowany in quarto na grubym papierze tłoczonym ze szmat, surowy i bez żadnych ozdób. Kartkując skromną książeczkę, niktby nie zgadł, że z jej powodu odbył się słynny proces, którego wynikiem był skazujący wyrok i auto de fe, nie mówiąc już o tragedii, jaką sprowadziła na autora i prawdopodobnie również na kilka innych osób. Miał nadzieję, że treść książki będzie przynajmniej tego warta.



- Weźcie sami, co wam się należy - zwrócił się Rojas do księgarza, podając mu sakiewkę. - Ufam wam.

- W naszej sytuacji - skwitował maestro z ironią w głosie - nie ma innego wyjścia: po prostu musimy sobie zaufać.

Kiedy Jacinto skończył liczyć monety, oddał Rojasowi sakiewkę, która wyglądała teraz znacznie skromniej. Książka pochłonęła większą część sumy, którą sekretarz biskupa wręczył mu na pokrycie kosztów śledztwa. Najgorsze jednak, że był to wydatek nadzwyczaj trudny do usprawiedliwienia.

- Życzę wam, żeby lektura książki okazała się jak najbardziej pożyteczna - powiedział księgarz na pożegnanie. - I nie zapomnijcie trzymać jej pod kluczem.

Rojas czuł się nieswojo po wizycie w mrocznym sklepiku, zupełnie jakby stał się współnikiem jakiegoś plugawego przestępstwa. Pomyślał, że to prawdziwa ironia losu: żeby przeczytać zabronioną książkę, człowiek musi na dodatek mieć do czynienia z tego rodzaju cyniczną pijawką. Szedł ulicą, przyciskając zdobyty tom mocno do piersi. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że po karku spływa mu zimna stróżka potu, ręce mu drżą, a serce bije jak młotem. Kiedy w końcu dotarł do Kolegium Świętego Bartłomieja, natychmiast zamknął się w pokoju i zabrał do czytania: *Decem sex sunt conditiones necessariae, ut magistri dicunt, ad hoc ut confiteatur et absolatur a sacerdote...* (Jak twierdzą mistrzowie, istnieje szesnaście niezbędnych warunków, żeby móc się wypowiedzieć i dostać rozgrzeszenie od kapłana...).

\*\*\*

## Rozdział 9.

Po zakończeniu lektury książki Pedra de Osmy Fernando skierował się do refektarza, gdzie jego koledzy siedli już do obiadu. Jedli szybko i bez większego entuzjazmu, jakby czynność ta było dla nich czymś uciążliwym, niedogodnością niepotrzebnie odciągającą od nauki. Zupełnie inna atmosfera panowała przy stole przeznaczonym dla profesorów: królowało tam wielkie ożywienie, a z dobiegających stamtąd strzępków rozmów Rojas wywnioskował, że tematem dyskusji jest mająca się już wkrótce rozpocząć wizyta królewicza oraz jej znaczenie dla przyszłości miasta.

- Gdzie się podziewałeś? - Rojas niespodziewanie usłyszał głos swojego przyjaciela Hilaria, który razem z kilkoma innymi uczniami zajmował się podawaniem do stołu. - Pukałem przed chwilą do twojej celi, żeby ci przypomnieć, że to już pora na obiad.

- Przykro mi - przeprosił go Rojas. - Byłem tak pochłonięty lekturą, że nawet nie usłyszałem pukania.

- Pamiętaj, że człowiek mądry nie samymi książkami żyje. Jeżeli nie chcesz zapaść na zdrowiu, musisz coś zjeść od czasu do czasu.

- Przypominasz mi matkę; nie wiem, co bym bez ciebie zrobił - odparł Rojas z ironią w głosie.

- A jak tam twoje sprawy?

- Bardzo dobrze. A czemu pytasz?

- Bo widzę, że jesteś jakby nieobecny i błędzisz myślami gdzieś daleko.- To tylko pozory. Pewnie ostatnio za dużo czytam, a za mało śpię.

- W takim razie pozwól, że nałożę ci podwójną porcję soczewicy z boczkiem.

- Dziękuję, ale jedna porcja zupełnie mi wystarczy. Wiesz przecież, że nie lubię chodzić z pełnym brzuchem: przytępia to umysł, a na dodatek powoduje wzdęcia.

- Może i masz rację - zgodził się Hilario.

Po obiedzie Rojas postanowił wybrać się na spacer nad Tormes. Lektura Traktatu o spowiedzi przygnębiła go i pogrążyła w zadumie. Nie znalazł w książce ani jednego stwierdzenia, które można by uznać za sprzeczne z wiarą katolicką, a refleksje autora były powodowane jak najbardziej uzasadnionym pragnieniem skorygowania niektórych błędów czy też ekscesów Kościoła związanych ze sprawami tak delikatnymi, jak wyznanie grzechów czy pokuta. Pewnie w innych czasach Pedro de Osma zostałby ogłoszony świętym, jednak na

swoje nieszczęście opublikował książkę w chwili, kiedy każde odchylenie od obowiązujących norm zaczynało być uważane za przestępstwo przeciw wierze.

Wychodząc z Kolegium Świętego Bartłomieja, Fernando zauważył czekającą przed bramą kobietę. Miała na sobie obszerny płaszcz i nakrycie głowy z welonem, który prawie całkowicie zasłaniał jej twarz.

- Czy to wy jesteście Fernando de Rojas? - spytała.

- Tak, to ja. Czym wam mogę służyć?

Zanim zdecydowała się odpowiedzieć na pytanie, kobieta spojrzała ostrożnie w jedną i drugą stronę, jakby była czymś zaniepokojona.

- Przyszłam, żeby prosić was o pomoc - odezwała się w końcu cichym głosem. - Skierował mnie do was bakałarz Alonso Juanes, przyjaciel mojego męża. Podobno jeszcze nie tak dawno studiowaliście razem na Uniwersytecie. - Tak, to prawda. Chętnie się dowiem, co u niego słyhać - odparł Rojas, szczerze zainteresowany.

- Pracuje jako adwokat dla nawróconych Żydów - wyszeptała kobieta. - A ja przychodzę do was, gdyż mój mąż został aresztowany przez Święte Oficjum.

- A o co się go oskarża?

- Jak to mają w zwyczaju, zausznicy inkwizycji podczas aresztowania nie chcieli nic na ten temat powiedzieć, ale domyślamy się, że został uznany za podejrzanego w sprawie śmierci fray Tomasa de Santo Domingo.

- Jesteście tego pewna? - spytał z niedowierzaniem Rojas.

- Tak twierdzi Alonso Juanes; to również on, biorąc pod uwagę powagę zarzutów, doradził mi, żebym zgłosiła się do was.

- A cóż ja mogę zrobić w tej sprawie?

- Możecie spróbować przekonać inkwizytorów, że mój mąż jest niewinny. Ostatnio bardzo podupadł na zdrowiu i obawiam się, że nie przetrzyma ponownych tortur. Bakałarz Juanes powiedział mi, że jesteście, jak my, konwertytą i że jesteście w dobrych stosunkach z biskupem.

- Rozumiem, że wasz mąż nie po raz pierwszy został aresztowany?

- Mąż jest jednym z lichwiarzy z placu Świętego Marcina. Inkwizycja już od dłuższego czasu depta mu po piętach; podejrzewamy, że komisarz ma ochotę skonfiskować nasz majątek. Dlatego aresztują go pod byle pozorem i próbują przyłapać na jakimś uchybieniu. A przecież nasza rodzina jest nawrócona już od kilku pokoleń, jesteśmy chrześcijanami z przekonania, praktykującymi i prawowiernymi wyznawcami katolickiej wiary.

- Wiecie może, czy zatrzymano więcej osób w związku z tą sprawą?

Kamienny manuskrypt - 7- Alonso Juanes wspomniał coś na temat kilku innych konwertytów, których też aresztuje się za każdym razem, kiedy coś się zdarzy. Wiecie przecież, że my, nowi chrześcijanie, zawsze jesteśmy pod lupą.

- Jak się nazywa wasz mąż?

- Miguel Alvarez; na placu Świętego Marcina mąż jest powszechnie znany. Błagam was, zaklinam na to, co dla was najświętsze - prosiła. - Musicie się postarać wyciągnąć go z więzienia, zanim jeszcze zaczną go torturować. Jego wątłe zdrowie nie pozwoli mu przetrwać męczarni.

- Proszę, zaczekajcie na mnie wewnątrz katedry, gdzieś przy bramie od strony Azogue. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wasz mąż jak najszybciej wyszedł na wolność.

- Niech Bóg ma was w swojej opiece.

Z początku Rojas wahał się, czy powinien iść prosto do więzienia inkwizycji, czy lepiej byłoby porozmawiać najpierw z biskupem. W końcu, nie chcąc tracić ani chwili, zdecydował się na pierwsze rozwiązanie. Zresztą więzienie znajdowało się tuż obok pałacu biskupa, stąd też, jeżeli zajdzie potrzeba, będzie mógł natychmiast zwrócić się do niego o pomoc. Ruszył więc wyciągniętym krokiem w stronę więzienia, zdecydowany powstrzymać zamiary komisarza. Był tak wzburzony, że szedł mamrocząc coś pod nosem i zupełnie nie bacząc na przechodniów mijanych po drodze. Pod żadnym pozorem nie pozwoli na to, żeby aresztowano kogokolwiek, a zwłaszcza jakiegoś konwertytę, w związku z zabójstwem fray Tomasa. Najpierw musi skończyć śledztwo i wyjaśnić, co się stało.

Zatrzymał się przed okazałym budynkiem. Na jego frontowej ścianie nie było żadnego znaku, który wskazywałby, że mieści się tu salamantyński oddział Świętego Oficjum, podlegający bezpośrednio trybunałowi inkwizycji w Valladolid. Tyle tylko że brama była z bardzo grubego drewna, wzmocniona różnego rodzaju okuciami. Zniecierpliwiony Rojas kilka razy z całej siły uderzył kołatką, jakby chciał dać do zrozumienia, że oto przybywa ktoś ważny lub wysoko postawiony. Po chwili dało się słyszeć skrzypienie otwieranego w bramie okienka.

- Co to za hałasy? - spytał odźwierny surowym tonem. - Czyżbyście pragnęli kogoś zadenuncjować?

- Muszę natychmiast porozmawiać z komisarzem.

- Kim jesteście?

- Nazywam się Fernando de Rojas i przychodzę z polecenia biskupa Diega de Dezy.

- Komisarz jest teraz zajęty. Przesłuchuje właśnie świadka i zapowiedział, że nie wolno mu przeszkadzać.

- Aleja muszę się z nim zobaczyć, jeszcze zanim rozpocznie przesłuchanie. To sprawa wielkiej wagi. Jestem człowiekiem, któremu zlecono przeprowadzenie śledztwa w sprawie zabójstwa fray Tomasa de Santo Domingo.

- Doprawdy? Dlaczego więc was nie znam?

- Dopiero całkiem niedawno zostałem mianowany ponadetatowym zausznikiem Świętego Oficjum.

- W takim razie powinniście mieć jakiś potwierdzający to dokument.

- Oczywiście - powiedział Rojas, sięgając do wewnętrznej kieszeni płaszcza. - Oto on - dodał, wsuwając pergamin pomiędzy kraty okienka. - Ale pośpieszcie się, gdyż to, co mam do powiedzenia komisarzowi, może uratować życie niewinnego człowieka.

- Tu u nas nikt nie jest niewinny, dopóki nie uda mu się tego udowodnić - zauważył odźwierny, oglądając dokument.

- Nikt? Nawet wy? - zażartował Rojas, próbując zjednać go sobie.

- My, ludzie na służbie Świętego Oficjum - odparł odźwierny z ironią w głosie - jesteśmy poza wszelkimi podejrzeniami. - W takim razie możecie mnie spokojnie wpuścić, bowiem należymy do jednego cechu.

- No dobrze, możecie wejść - rzucił w końcu mężczyzna, otwierając bramę. - Chodźcie za mną - dodał po chwili. - Powiadomię komisarza o waszym przybyciu.

Zeszli wąskimi krętymi schodami do lochu, po czym zagłębił się w ciemny cuchnący korytarz, którego ponury wygląd miał pewnie zastraszyć już na wstępie ludzi wiedzionych na przesłuchanie. Gdzieś z jego głębi dochodziły od czasu do czasu krzyki dręczonego człowieka. Rojas pomyślał z trwogą, że być może jest to właśnie lichwiarz, i przyspieszył kroku.

- Stójcie! Dokąd idziecie? - wykrzyknął odźwierny ze zdumieniem.

- To sprawa życia i śmierci - odkrzyknął krótko Fernando.

Po pokonaniu ostatniego zakrętu dojrzał drzwi znajdujące się na końcu korytarza. Wydawały się niedomknięte, gdyż przez szparę wydobywała się czerwona poświata. Zza drzwi dobiegały coraz wyraźniejsze głosy.

- Nie mam pojęcia, o co mnie oskarżacie ani czego się chcecie ode mnie dowiedzieć! - krzyczał ktoś, głośno szlochając.

- Przekręćcie no jeszcze raz korbę, może w ten sposób sobie coś przypomni - rozkazał ktoś inny stanowczo.

- Dobrze już, dobrze - zgodził się torturowany. - Powiedzcie mi tylko, błagam, co mam mówić. Powiedzcie, a przyznam się, do czego tylko chcecie, i zrobię, co trzeba...

- Dostyc tego! - oznajmił Rojas, otwierając drzwi jednym pchnięciem dłoni; było mu wszystko jedno, na co się naraża.

- Przybywam z rozkazu Jego Ekscelencji.

Wszyscy obecni w sali przesłuchań byli do tego stopnia zaskoczeni wizytą, że zastygli na moment w absolutnym bezruchu: aresztowany z grymasem bólu na twarzy, kat z ręką na korbie, notariusz, któremu przerwano w pół słowa, z otwartymi ustami, i wreszcie komisarz wskazujący oskarżycielskim palcem na nie wiadomo kogo. Po chwili jednak komisarz wykrzyknął, zmierzyszy wzrokiem nowo przybyłego:

- Jak śmiecie przerywać przesłuchanie prowadzone przez Święte Oficjum! Czyżbyście byli generalnym inkwizytorem? A może macie ochotę zastąpić podejrzanego na łożu tortur? Jeżeli o to wam chodzi, mogę natychmiast zadośćuczynić waszemu pragnieniu.

- Nazywam się Fernando de Rojas - przedstawił się młodzieniec - i, jak zapewne wiecie, jestem ponadetatowym zausznikiem Świętej Inkwizycji.

- Ach, więc to wy, słynny Fernando de Rojas! Miałem ochotę was poznać. Biskup wiele mi o was opowiadał.

- A mnie o was - zaznaczył Rojas, nie dając się zbić z tropu.

- Muszę wam powiedzieć, że nie jestem zwolennikiem stosowanych przez was metod, choć muszę przyznać, że - biorąc pod uwagę powagę sprawy - musimy wykorzystać wszystkie dostępne środki, żeby jak najprędzej wykryć morderców fray Tomasa. Ale powiedzcie, co was tu sprowadza?

- Doszło do moich uszu, że aresztowaliście pewnego konwertytę, niejakiego Miguela Alvareza, nie mając żadnych dowodów przeciw niemu. Czy można wiedzieć, co było powodem aresztowania?

- Obawiam się, że przybyliście zbyt późno - odparł pogardliwie komisarz. - Alvarez zmarł dziś rano w celi, podczas gdy torturowaliśmy innego fałszywego konwertytę. Wygląda, że przeraził się, słysząc wrzaski torturowanego, co samo przez się dowodzi jego winy.

Słowa komisarza do tego stopnia zdumiały Roj asa, że na dobrą chwilę odjęło mu mowę. Był zaskoczony nie tyle samą wiadomością o śmierci Miguela Alvareza, gdyż tej można się było spodziewać, co z powodu tonu głosu, jakim komisarz mu ten fakt zakomunikował.

- A czemu do tej pory nie zawiadomiliście o tym rodziny? - udało mu się w końcu wykrztusić.

- Zawiadomimy ich, kiedy skończymy przesłuchiwać resztę podejrzanych. Musimy jeszcze potwierdzić pewne zeznania, które mogłyby dowieść, że był winny.

Rojas zdążył się już otrząsnąć z pierwszego wrażenia i na nowo zaczęło go ogarniać oburzenie. Przestraszył się, że może stracić panowanie nad sobą.

- Czy moglibyśmy pomówić chwilę na osobności? - spytał w końcu.

- Dlaczego by nie. Chwila wytchnienia dobrze nam zrobi. Nie wyobrażacie sobie nawet, jaka to ciężka praca. Proszę, chodźcie ze mną; zaprowadzę was do celi, gdzie znajduje się ciało zmarłego. Przekonacie się na własne oczy.

Po drodze do cel więziennych minęli kilka sal, w których można było dostrzec najprzeróżniejsze narzędzia tortur, na sam widok których aresztowanym pewnie cierpła skóra z przerażenia. Rojas, który dobrze znał zwyczaje inkwizytorów, wiedział, że ich jedynym celem było doprowadzenie do tego, żeby podejrzany przyznał się do winy. Nieważne, czy więzień jest naprawdę winny czy niewinny, czy wie, o co się go oskarża, czy też w ogóle nie ma na ten temat pojęcia. Zresztą w Świętym Oficjum za najwartościowsze uznawano nie dobrowolne zeznania, lecz właśnie te, które zostały uzyskane w wyniku tortury. Inkwizytorzy doszli bowiem do przedziwnego wniosku: mianowicie, że pod wpływem bólu więzień zawsze mówi prawdę. W rzeczywistości jednak wielu aresztowanych przyznawało się pod wpływem tortur do popełnienia nawet tak bestialskich czynów, jakie w normalnych warunkach nigdy nie przysłyby im do głowy, podczas gdy inni więźniowie umierali na samą myśl o czekających ich mękach. Wszystko, byle jakoś się wydostać z tego przedziona piekła.

- Patrzcie, oto on - poinformował Rojasa komisarz, stając przed otwartymi drzwiami jednej z cel. - Podejdźcie bliżej, a przekonacie się, że nawet go nie tknęliśmy. Zabił go strach przed publicznym wyznaniem swej winy.

- Co chcecie przez to powiedzieć?

- Ze to on zatrudnił ludzi, którzy zamordowali fray Tomasa.

- Macie na to dowody?

- Wystarczyło na niego spojrzeć, żeby się o tym przekonać. A na dodatek miał jeszcze czelność pytać, dlaczego go aresztujemy. Potem, kiedy zamknęliśmy go w celi, grożąc torturami, od razu przyznał się do winy.

- I potwierdził to później w obecności notariusza?

- Niestety, już nie zdążył, ale udało nam się zatrzymać niektórych jego współników, którzy potwierdzili potem wszystko za niego. To dlatego nie wydaliśmy ciała rodzinie. Bowiem jeżeli w końcu zostałby oddany pod sąd i uznany za winnego - zaznaczył - jego szczątki musiałyby spłonąć na stosie. Tak nakazuje prawo.

- Domyślam się, że w tym przypadku wy skonfiskowalibyście cały jego majątek, czyż nie tak?

- Chyba nie chcielibyście, żeby wdowa po skazanym była w stanie opłacić kilku niewiernych, by nas zamordowali, prawda?

- Widzę, że nie tylko chępicie się tym, iż spoglądając komuś w twarz jesteście w stanie stwierdzić, co uczynił (a może wystarczy wam sam kształt nosa?), ale również uważacie, że potraficie przewidzieć, co dany człowiek zrobi.

- Nie rozumiem, skąd się biorą te wasze zuchwałe insynuacje.- To nie żadne insynuacje. Oskarżam was - powtórzył twardo Rojas - o to, że chcecie postawić przed sądem niewinnego człowieka, żeby przywłaszczyć sobie jego mienie.

- To, co mówicie, to zwykle oszczerstwo - zaprotestował komisarz. - I wiedzcie - dodał - że majątek zmarłego w żadnym przypadku nie stałby się moją własnością.

- Jakkolwiek by było, żądam, byście mieli przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby pozwolić rodzinie zabrać stąd jego ciało.

- A kimże wy jesteście, żeby mi rozkazywać?

- Muszę wam przypomnieć, że jestem jedyną osobą upoważnioną do przeprowadzania śledztwa w tej sprawie. I tak się składa, że mam już podejrzanego, którego zapewne wkrótce będziecie mogli aresztować. Dlatego też proszę was, żebyście uwolnili wszystkich aresztowanych konwertytów.

- A wy musicie wiedzieć, że ja mam wyraźny rozkaz aresztowania wszystkich konwertytów, których uznaję za niebezpiecznych lub podejrzanych, a ma to na celu uniknięcie wszelkich incydentów podczas pobytu królewicza don Juana w Salamance.

- Czyżby rozkaz ten uwzględniał torturowanie aresztowanych?

- Nie, chodzi tylko o ich zatrzymanie, ale oczywiście pomyślałem sobie, że jeżeli już tu są, dobrze byłoby się czegoś od nich dowiedzieć na temat śmierci fray Tomasa. Jeżeli o mnie chodzi, jestem pewien, że to sprawka jakiegoś nawróconego.

- Jeżeli waszym zamiarem jest skończenie raz na zawsze z konwertytami, powinniście zaproponować królowi, żeby wydał dekret o ich wygnaniu. Moglibyście się wtedy na własne oczy przekonać, jak szybko Kastylia wyludni się z wielu znakomitych, szlachetnych i wartościowych ludzi. Zapewniam was, że spotkałaby was niejedna niespodzianka! Jeśli jednak nie o to wam chodzi, powinniście zacząć traktować nawróconych tak samo jak wszystkich innych chrześcijan, aresztując ich tylko wtedy, kiedy zaistnieje uzasadnione podejrzenie, że popełnili jakieś wykroczenie przeciw wierze katolickiej lub, jak w tym przypadku, przeciw któremuś z przedstawicieli Kościoła lub Świętego Oficjum.



- Powtarzam raz jeszcze, że dostałem rozkaz aresztowania niektórych konwertytów, żeby uniknąć zamieszek w mieście.

- Czyżby istniał jakiś powód ku temu, żeby uznać Miguela Alvareza za niebezpiecznego? Z tego, co wiem, był takim samym dobrym chrześcijaninem, jak ja albo wy, a jednak został zatrzymany i to nie po raz pierwszy.

- W naszych archiwach można wyczytać, że sześć czy siedem lat temu widziano go, jak kupował w żydowskiej masarni.

- A nie pomyśleliście, że będąc lichwiarzem, mógł tam wstąpić w interesach?

- Ale wiemy też, że nigdy nie jadał mięsa wieprzowego. Mamy na ten temat zeznania jednej ze służących.

- Wy też, jak mniemam, nie jadacie wieprzowiny w piątki w Wielkim Poście. Czy to oznacza, że w te dni judaizujecie?

- To nie to samo! - odrzekł komisarz.

- Ależ oczywiście, że to nie to samo, gdyż wam nie wolno jeść wieprzowego mięsa jedynie przez kilka dni w roku, podczas gdy innych ten zakaz może obowiązywać przez cały rok, na przykład z powodu jakiejś choroby. Gdybyście mieli jakieś pojęcie na temat medycyny, wiedzielibyście, że są na świecie nieszczęśnicy, którzy, choćby bardzo chcieli, nie mogą nawet spojrzeć na wieprzowinę. Czy mamy prawo wymagać od nich, żeby sami skazali się na śmierć lub rujnowali zdrowie tylko po to, żeby nam dowieść, iż nie są Żydami? Nawiasem mówiąc, również biedacy nie jedzą mięsa wieprzowego... Nie mogą sobie na nie pozwolić! Czy ich również mamy za to karać? A jeżeli już, to czemu nie podejrzewać również i tych, którzy jadają wieprzowinę na co dzień i na dodatek się z tym publicznie obnoszą?

- Nie rozumiem, co chcecie przez to wykazać.

- Pragnę wam jedynie uświadomić, że owe domniemane dowody stanowią jedynie poszlaki, które dopiero należy dokładnie sprawdzić i potwierdzić.

- Widzę, że jesteście świetnie obznajomieni z teorią prawa, jednak przestępstwa wobec wiary to zupełnie co innego. Tu nie mamy do czynienia z faktami, lecz z sumieniem, i zupełnie nie interesuje nas zdrowie cielesne, lecz zdrowie duszy.

- Słuchajcie - przerwał mu Rojas. - Widzę, że w tej kwestii nie dojdziemy do porozumienia, dlatego chcę wam zaproponować pewien układ: ja nic nikomu nie powiem na temat waszej, nazwijmy to, nadgorliwości w kwestii prześladowania niektórych szczególnie majątnych nawróconych, a w zamian za to wy zaniechacie torturowania aresztowanych w

ostatnich dniach konwertytów i nie będziecie dalej szykanować rodziny Miguela Alvareza, której jeszcze dziś niezawodnie przekażecie ciało zmarłego.

Podczas gdy Rojas mówił, komisarz przyglądał mu się uważnie. Próbował rozważyć dokładnie w myślach warunki umowy, żeby się przekonać, czy jest ona dla niego korzystna, czy też zawiera jakiś podstęp.

- Jeżeli chodzi o śmierć fray Tomasa - mówił dalej Rojas - ja wezmę na siebie całe dochodzenie, natomiast wam pozostawię chlubę aresztowania winnych.

Rojas czuł się jak gracz, który w podbramkowej sytuacji stawia wszystko na jedną kartę. Jeżeli uda mu się przekonać rywala, że ma dobre karty, wygra licytację; jeżeli nie, nie tylko przegra, ale może nawet stracić życie. Szczęśliwie na jego korzyść działało to, że był w dobrych stosunkach z biskupem, który najwyraźniej nie ufał zbyt komisarzowi, czego dowodem był fakt, że w tej nadzwyczaj delikatnej sprawie postawił na kogoś niemającego nic wspólnego z inkwizycją. Musiało to mocno rozdrażnić komisarza, który był przecież najwyższym przedstawicielem Świętego Oficjum w Salamance i w normalnych warunkach jedyną osobą mającą prawo zajmować się przestępstwami przeciwko wierze i członkom Świętego Oficjum.

- Tym razem zrobię, jak mówicie - zgodził się w końcu komisarz. - Ale strzeżcie się, bowiem nawet najmniejszy błąd z waszej strony nie umknie mojej uwagi. Mam konfidentów w każdym zakątku miasta.

- Jestem przekonany, że jesteście z tych, co mają przyjaciół nawet w samym piekle.

- Na waszym miejscu nie żartowałbym sobie z niczego, co ma związek ze sprawami wiary.

- A ja na waszym miejscu nie próbowałbym ciągnąć z niej zysków.

- Jeszcze kiedyś drogo zapłacicie za waszą zuchwałość, możecie być tego pewni - pogroził mu na odchodnym komisarz.

Kiedy Rojas szedł już w stronę wyjścia, odprowadzany przez odźwiernego, zdał sobie sprawę, że nogi się pod nim uginają. Przez moment pomyślał nawet, że zaraz zemdleje. Na szczęście udało mu się jakoś utrzymać w pozycji pionowej, udając spokój. Kiedy w końcu znalazł się na ulicy, na dodatek zrobiło mu się niedobrze, zdołał się jednak opanować. Dobrze wiedział, że nikt nie może go zobaczyć w takim stanie. Musiał więc wziąć się w garść i cokolwiek by się działo, postarać się zachować pozorny spokój. Niestety czekało go jeszcze najgorsze: musiał powiadomić wdowę o tym, co się wydarzyło.

\*\*\*

## Rozdział 10.

Kobieta z niecierpliwością czekała na niego przed katedrą. Wyglądała jak ktoś nieuleczalnie chory, kto mimo orzeczenia lekarza i wbrew wszelkim prognozom oczekuje jeszcze na cud.

- Czy udało wam się zobaczyć z moim mężem? - spytała, próbując opanować dręczący ją niepokój.

- Niezmiernie mi przykro - odparł Rojas ledwie dosłyszalnym głosem. - Muszę was powiadomić, że wasz mąż umarł dziś rano.

Kobieta przyjęła tę wiadomość z głębokim smutkiem, choć wyraz jej twarzy wyrażał też pewną dozę spokoju. Poruszyła niebo i ziemię, próbując uratować męża, teraz jednak, kiedy dowiedziała się, że nadeszło to, co nieodwołalne, z ufnością zwracała się ku Bogu, nie śmiejąc sprzeciwić się jego woli.

- Stało się tak, jak przewidywaliście - zaczął jeszcze raz Rojas po krótkiej przerwie - nie był w stanie znieść myśli o czekających go mękach. Wyzionął ducha, zanim jeszcze zaczęto go torturować i, jak się zdaje, ani trochę przy tym nie cierpiąc. Nawet pilnujący go strażnicy nie zdali sobie sprawy, że umiera. Wiem, że nie wynagrodzi to straty, jaka was spotkała, ale udało mi się wymóc na komisarzu, że nie zostanie o nic oskarżony. W ten sposób inkwizycja nie będzie mogła skonfiskować waszego majątku i przynajmniej na jakiś czas zostawią was w spokoju.

- Jestem pewna, że zrobiliście wszystko, co w waszej mocy, i jak najszczerzej wam za to dziękuję. Wiedziałam, że mąż nie będzie w stanie tego przeżyć, pociesza mnie jednak to, że udało mu się uniknąć cierpienia.

- Musicie jak najprędzej porozumieć się z resztą rodziny, żeby czym prędzej odzyskać ciało i przygotować pogrzeb. Musicie działać dyskretnie, gdyż jutro do Salamanki przybywa królewicz z małżonką i zarówno biskup, jak i rada miejska pragną, by dzień ten był dniem radosnym dla miasta. W tej sytuacji lepiej nie zwracać na siebie uwagi. Rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć?

- Zrobimy, jak radzicie - zgodziła się kobieta. - Chciałabym raz jeszcze za wszystko wam podziękować.

- Chcecie, żebym was odprowadził?

- Nie, nie trzeba. Lepiej, żeby nikt was ze mną nie zobaczył.

- Dobrze, ale zanim odejdziecie, chciałbym was jeszcze o coś zapytać. Czy moglibyście mi powiedzieć, gdzie przyjmuje bakałarz Juanes? Mam mu coś ważnego do zakomunikowania.

- Zdaje się, że urzęduje gdzieś na początku ulicy Pozo Amarillo. Zapytajcie w gospodzie na rogu placu Świętego Marcina. Wydaje mi się, że kiedy przyszli po męża, tak właśnie mi powiedział. Prosił mnie wtedy, żebym natychmiast pobiegła do adwokata, chociaż w końcu nie było to konieczne, gdyż bakałarz Juanes zdążył się już dowiedzieć, co się wydarzyło, i po chwili sam stawiał się u nas w domu.

- Mieszkacie przy placu Świętego Marcina?

- Tak.

- W takim razie pozwólcie, że was odprowadzę; idę w tę samą stronę.

Kobieta szła skulona, jakby pomimo swej pozycji nie była przyzwyczajona do uprzejmości, lecz do pogardliwego traktowania i bycia przedmiotem złośliwych plotek i podejrzeń. Patrzyła pod nogi, błędząc myślami gdzieś daleko, skoncentrowana na swym bólu, nieobecna. Rojas też nie miał odwagi na nią spojrzeć. Dotarłszy do bramy Słonecznej, skręcili w ulicę Świętego Marcina, jedną z najbardziej ruchliwych ulic Salamanki, łączącą stare miasto z kościołem Świętego Marcina, wznoszącym się na placu o tej samej nazwie. U wylotu ulicy panowało wielkie zamieszanie, gdyż wyjazd utrudniały prace przy budowie olbrzymiego domu z kamienia, stawianego z polecenia doktora praw Rodriga Maldonado de Talavera. Rojas i towarzysząca mu kobieta wyglądali jak zjawy, przemykające się pośród popołudniowego zgiełku. Znalazłszy się na placu Świętego Marcina, pożegnali się ledwie dostrzegalnym ruchem dłoni, nie zamieniając z sobą ani słowa. Fernando miał ochotę powiedzieć wdowie coś na odchodnym, kilka słów dodających otuchy, ale bał się, że mogłoby to ją do reszty załamać.

Przed złożeniem wizyty Alonsowi miał zamiar pospacerować wśród straganów, żeby się trochę uspokoić. Targ mieścił się na okazałych rozmiarów placu o nieregularnym, raczej okrągłym niż kwadratowym kształcie. Jego środek przecinał wielki próg z licznymi podjazdami, a powierzchnia została dopiero co ubita na rozkaz królewicza, który kazał też wybrukować podcienia niektórych otaczających go domów. Rojas stwierdził z niejakim zdumieniem, że panująca tu atmosfera nie uległa zmianie. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że targ jak zwykle kipi życiem: sprzedawcy krzykliwie zachwalają swe towary, kupujący oglądają i targują się, wracający z wykładów studenci zmierzają do tawerny lub do domu, a złodzieje, stręczyciele i żebracy próbują na swój sposób zarobić na chleb... Co tu dużo mówić, serce miasta biło zwykłym rytmem, jakby zupełnie nic się nie wydarzyło.

Większość stałych straganów usytuowano w południowej części placu, pomiędzy kościołem Świętego Marcina, stojącym na jego zachodnim krańcu, a ratuszem. Z kolei same stragany były pogrupowane w zależności od sprzedawanych na nich towarów: z jednej strony owoce, a dalej drób, ryby, oliwa, bułki, sardynki, cytryny... z charakterystycznymi dla każdego artykułu zapachami, kolorami i hałasami. Nieco dalej znajdowały się kramy handlarzy odzieżą, a od wschodu, na najniższej położonej części placu, sprzedawali swój towar węglarze. W podcieniach kamienic oferowali usługi woskarze, powroźnicy, wytwórcy bukłaków, lichwiarze oraz sprzedawcy chleba, pszenicy i lnu, natomiast obok dawnego cmentarza parafialnego mieściły się sklepy sukienników. Górna połowa placu była zarezerwowana dla wędrownych kupców oraz na wszelkiego rodzaju uroczystości - organizowano tu miejskie festyny, korridy, turnieje, zawody, no i oczywiście publiczne egzekucje, stąd też miały tu swoje stałe miejsce pręgierz oraz szubienica - wystawione na ogólny widok, żeby wszyscy mogli je kontemlować i czuć ich groźną obecność.

Poza tym, na dwunastu czy trzynastu ulicach biegnących od rynku w kierunku poszczególnych dzielnic i bram miasta znaleźć można było sklepiki i zakłady należące do najróżniejszych kupców i rzemieślników. Tego dnia na ulicy Pozo Amarillo ustawił się śpiewak z katarynką; słowa jego pieśni opowiadały o dziewczynie, która przebrawszy się za chłopaka, ruszyła na wojnę z niewiernymi. Z dala dobiegał głos herolda miejskiego obwieszczającego, że w najbliższych dniach, z okazji wizyty królewicza z małżonką, ku uciesze zgromadzonej widowni kilku szlachetnie urodzonych śmiałków zmierzy się z bykami oraz weźmie udział w pokazowym turnieju.

Rojas wyobrażał sobie, że trudniąc się obroną praw nawróconych Żydów, Alonso będzie mieszkał w jakimś dyskretnym miejscu, jednak wyglądało, że jego przyjaciel należy raczej do tych, co to uważają, że najciemniej jest pod latarnią.

O tej porze w tawernie Gonzala Floresa było tak pełno, że ciężko się było przecisnąć przez tłum klientów spragnionych winą, najnowszych plotek oraz swobodnej pogawędki po wielu godzinach spędzonych w warsztacie lub na roli.

- Czy wiecie może, gdzie mieszka bakałarz Alonso Juanes? - spytał Rojas karczmarza, kiedy w końcu udało mu się jakoś dopchać do lady.

- Jak to gdzie? Tutaj - odparł mężczyzna, jakby pytano go o coś oczywistego.

- Co chcecie przez to powiedzieć?

- A no chciałem powiedzieć, że nasz drogi bakałarz wynajmuje tu u nas na piętrze sypialnię, natomiast interesantów przyjmuje w gospodzie, za tymi drzwiami, które widać tam, w głębi.

- A czy zastałem go przypadkiem?

- Chyba tak, zdaje się, że wypisuje tam jakieś papiery. Chcecie, żeby go zawiadomić o waszej wizycie?

- Nie trzeba, jestem jego przyjacielem i sam się zapowiem.

- W takim razie możecie się czuć jak u siebie w domu.

Ciągle jeszcze nie mogąc wyjść ze zdumienia, Fernando ruszył w stronę drzwi wskazanych przez karczmarza. Po chwili wahania, zdecydował się zapukać.

- Proszę, proszę - krzyknął ktoś ze środka.

Rojas otworzył drzwi i znalazł się w pokoiku zastawionym półkami pełnymi książek, teczek i papierów, w którym jednak najwięcej miejsca zajmował olbrzymi stół, a przy nim pół tuzina krzeseł. Jego przyjaciel kończył właśnie redagować jakiś dokument. Choć byli w tym samym wieku, sprawiał wrażenie znacznie starszego od Fernanda.

- Jak się macie, przyjacielu Alonso - powiedział Rojas na powitanie.

Tamten ze zdziwieniem podniósł głowę i uważnie przyjrzał się niespodziewanemu gościowi; na koniec przetarł oczy i wykrzyknął:- Na Boga, przecież to wy! Nigdy bym nie pomyślał, że kiedykolwiek moglibyście się tu pojawić. Cóż za niespodzianka! - dodał, obejmując kolegę. - Fernando de Rojas we własnej osobie!

- Wolałbym nie musieć się tu pojawiać w tych okolicznościach.

- Czy ma to oznaczać, że przybywacie z jakąś złą nowiną?

- Niestety tak - potwierdził Fernando. - Widziałem się z wdową po Miguelu Alvarezie. Niestety jej mąż umarł dziś rano w celi, zanim jeszcze zaczęto go torturować.

- Przeklęci synowie Lucyfera!

- Z tego, co wiem, komisarz próbował wmieszać Alvareza w zabójstwo fray Tomasa de Santo Domingo, oskarżając go o najęcie morderców, choć w rzeczywistości pragnął jedynie skonfiskować jego majątek, czego zresztą ponoć już wcześniej kilkakrotnie próbował. Wyobrażam sobie, że to dla was nie nowina.

- To prawda. Nie po raz pierwszy go aresztowano, jednak tym razem wydało mi się, że to coś poważniejszego; to dlatego, mimo oporów, postanowiłem uciec się do waszej pomocy. Mam nadzieję, że mi wybaczyacie.

- Ależ oczywiście - odparł Rojas, starając się go uspokoić. - Biorąc pod uwagę powagę sytuacji, zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby zapobiec oskarżeniu go w tej sprawie. Zagroziłem nawet komisarzowi, że powiadomię o wszystkim biskupa, z którym jestem w dobrych stosunkach, i wydaje się, że udało mi się odwieść go na razie od jego niecných zamiarów. Wymogłem też na nim obietnicę, że reszta aresztowanych nie zostanie

poddana torturom. Wygląda na to, że udało nam się dojść do porozumienia, nie wiem jednak na jak długo. Wyobrażam sobie, że macie swoje sposoby, by zorientować się, co w trawie piszczy.

Kamienny manuskrypt - 8- Oczywiście, mamy zaufanych ludzi, którzy informują nas o różnych sprawach. W najgorszym przypadku istnieje też zawsze możliwość przekupienia któregoś z zauszników Świętego Oficjum. Ponieważ nie dostają wynagrodzenia za swą pracę, często nietrudno jest przemówić im do kieszeni; oczywiście, jeżeli współpraca z nami nie pozbawia ich jakichś większych korzyści. Nie wiem, czy wiecie, że głównym majątkiem inkwizycji są sami heretycy. Jak to się złośliwie mówi, „jeśli nie palą, nie jedzą”. A więc kiedy nie palą, próbują przynajmniej handlować życiem i wolnością aresztowanych. To nie śmierć jest tym najgorszym, co może człowieka spotkać z ich strony.

- Byliście kiedyś w ich więzieniu?

- Niestety nie raz miałem już okazję tam gościć.

- W pewnej chwili, już po dyskusji z komisarzem, naszedł mnie tak okropny strach, że byłem przekonany, iż już nigdy nie uda mi się wydostać z tych piekielnych podziemi.

- Możecie mi wierzyć, że większość ludzi, którzy tam trafiają, nie dostępuje tego szczęścia; jednak znacznie gorsze jest ponoć tajne więzienie w Valladolid.

- Dlatego właśnie przyszedłem się z wami zobaczyć: chciałbym w jakiś sposób wam pomóc.

- Czy to prawda, że jeszcze nie złożyliście egzaminów bakałarskich?

- Tak, to prawda - przyznał z westchnieniem Rojas.

- Na co więc czekacie? Rozumiem, że w tych czasach możecie nie mieć ochoty na objęcie żadnego wysokiego urzędu, ale taki doskonały prawnik jak wy może się przecież poświęcić wielu innym sprawom. Coraz częściej gwałcone są prawa konwertytów, a większość z nich nie jest w stanie bronić się bez czyjejś pomocy.

- No cóż, wiecie przecież, co jest moją prawdziwą pasją.

- Tak, pamiętam, choć muszę przyznać, że zawsze uważałem, iż wasz upór, żeby przedłużać studia w nieskończoność i zamknąć się na wieki na Uniwersytecie, nie jest niczym innym jak tylko próbą ucieczki przed poważniejszymi obowiązkami.

- Dobrze już, dobrze, lepiej zmieńmy temat. Musimy zająć się czymś naprawdę ważnym, ale najpierw musicie mi przyrzec, że nie wyjawicie nikomu tego, co wam teraz powiem.

- Znacie mnie przecież, nie na darmo się przyjaźniliśmy. To prawda, że ostatnio trochę oddaliliśmy się od siebie, ale stało się to właśnie z powodu waszej obojętności wobec losu

Żydów i nawróconych po wydaniu królewskiego dekretu. Mogę was zapewnić, że ja nie zmieniłem się ani trochę, nie zmieniły się również uczucia, jakimi was darzę. Gdyby tak nie było, nie spotkalibyśmy się tu dzisiaj. Możecie więc być pewni, że nie pisnę ani słówka.

- Zdaję sobie sprawę, że to, co wam teraz powiem, wcale, ale to wcale wam się nie spodoba. Być może nawet słyszeliście już coś na ten temat, ale nie daliście temu wiary lub nie mieliście czasu, żeby tę wiadomość potwierdzić. Muszę być z wami szczery. Musicie wiedzieć, że na prośbę biskupa zostałem mianowany nadetatowym zausznikiem inkwizycji, żeby móc się zająć dochodzeniem w sprawie śmierci fray Tomasa de Santo Domingo i że, z różnych względów, nie mogłem odmówić. Oczywiście na początku starałem się jakoś wymigać - próbowałem się usprawiedliwić Rojas. - Jednak życie mojego ojca i całej mej rodziny ciągle jeszcze jest w niebezpieczeństwie.

Alonso Juanes przyglądał mu się z wielką ciekawością, lecz bez słowa, jakby z góry wiedział, co usłyszy, i jakby wcale go to nie dziwiło.

- I co wy na to? - spytał Rojas, widząc, że jego przyjaciel nie reaguje.- A cóż mam powiedzieć? Że nie mogę w to wszystko uwierzyć, czy że, wręcz przeciwnie, obawiałem się tego? A może chcecie, żebym się zgorszył i zaczął was obrzucać obelgami lub też żebym wam przebaczył i dał rozgrzeszenie? Wiem dobrze, w jakiej sytuacji znalazła się wasza rodzina. I właśnie dlatego byłem pewien, że prędzej czy później zmuszą was, żebyście splamili wasze dobre imię. Czyżbyście naprawdę myśleli, że można żyć w takim świecie jak nasz i pozostać bezstronnym? Poza tym, muszę wyznać, że coś już obito mi się o uszy, choć, jak sami przyznaliście, nie do końca mogłem w to uwierzyć. Dlatego też dziś rano postanowiłem wystawić was na próbę.

- Co chcecie przez to powiedzieć?

- Otóż to, że wysyłając do was żonę Miguela Alvareza, nie pragnąłem jedynie, żebyście spróbowali uratować jej męża; chciałem również sprawdzić, z kim trzymacie. Wydawało mi się, że jeżeli miało się okazać prawdą, iż zmuszono was do współpracy z inkwizycją, moim obowiązkiem było dać wam szansę, żebyście stanęli po naszej stronie. To wszystko.

- Choćby miało to wystawić na niebezpieczeństwo moje życie lub życie całej mojej rodziny?

- A nie szkoda wam waszej duszy i sumienia? Czyżby na nich ani trochę wam nie zależało?

- A gdybym odmówił tej kobiecie pomocy?



- Oznaczałoby, że to, co słyszałem, jest nieprawdą, i że nadal jesteście człowiekiem, którego kiedyś znałem: samolubnym i obojętnym wobec losu innych. Muszę przyznać, że zmartwiłoby mnie to znacznie bardziej niż potwierdzenie faktu, że zostaliście zausznikiem inkwizycji. Przeszło mi bowiem przez myśl, że to ostatnie mogłoby postawić was wreszcie twarzą w twarz z rzeczywistością i zmusić do reakcji. W końcu ktoś przecież musiał się zająć sprawą zabójstwa fraya Tomasa, a to, że powierzono ją właśnie wam, na krótszą lub dłuższą metę może się okazać korzystne.

- Czy chcecie przez to powiedzieć, że znacie mnie tak dobrze, iż przewidzieliście, co uczynię?

- Najlepszym na to dowodem jest nasze dzisiejsze spotkanie.

Nie da się ukryć, że argumenty Alvareza były nie do zbicia. Rojas natomiast nie był całkiem pewien, czy powinien być dumny ze swego dotychczasowego postępowania, czy też raczej poczuć się urażony, że padł ofiarą manipulacji ze strony przyjaciela. W każdym razie ucieszył się, że jest jeszcze na świecie ktoś, kto mimo wszystko nie przestał darzyć go swoim zaufaniem.

- Szczerze mówiąc, zupełnie już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć - wyznał w końcu. - Ale przestańmy zajmować się moją osobą. Najważniejsze, że walczymy po tej samej stronie. Dlatego wy też musicie być ze mną szczerzy.

- Jeśli chodzi o cokolwiek związanego z niesieniem pomocy naszym braciom konwertytom, możecie na mnie liczyć.

- Pomijając wszystkie inne okoliczności, wiemy, że aresztowania, które miały miejsce w ciągu tych kilku ostatnich dni, mają związek ze śmiercią fraya Tomasa. Zapewne inkwizytorzy są przekonani, że sprawcami są jacyś fałszywi nawróceni. Wiedzą, że zamordowany był doradcą Świętego Oficjum oraz jednym z salamantyńskich teologów, którzy najbardziej wyróżnili się swoimi ostrymi atakami przeciwko konwertytom. Jednak sądząc po dotychczasowych wynikach mojego śledztwa, wersja ta jest bardzo mało prawdopodobna. Chętnie dowiedziałbym się, jaka jest wasza opinia na ten temat.

- Możecie być pewni, że nie zrobił tego żaden konwertyta, w przeciwnym razie z pewnością coś obłoby mi się o uszy. Chociaż prawdą też jest, że gdybym wiedział coś na ten temat, najprawdopodobniej nie zdradziłbym się z tym przed wami. Ogólnie rzecz biorąc, wszyscy dobrze wiemy, że jakikolwiek akt zemsty ze strony nawróconych Żydów byłby szkodliwy dla naszej społeczności. Przypomnijcie sobie, co się wydarzyło dwanaście lat temu, kiedy zamordowano aragońskiego inkwizytora Pedra de Arbues, gdy odprawiał modły przed ołtarzem katedry w Saragossie. Kiedy tylko wiadomość o zajściu rozniosła się po

mieście, mieszkańcy podnieśli bunt przeciw konwertytom i doszło do tak gwałtownych zamieszek, że musiał interweniować sam corregidor\*, a mimo to wielu zaatakowanych ledwo uszło z życiem. Inkwizycja, ze swej strony, rozpętała zaraz potem falę tak brutalnych prześladowań, że nie ma w Saragossie rodziny nawróconych, w której nie byłoby zabitych lub aresztowanych. Skończyło się oczywiście na umocnieniu władzy królewskiej inkwizycji, co oznacza, że zamachowcy doprowadzili dokładnie do tego, czemu pragnęli swoim czynem zapobiec. Mogę was zapewnić, że nigdy więcej nie doszło tam do żadnego spisku.

\*Corregidor (hiszp.) - mianowany przez króla Hiszpanii gubernator kontrolujący przestrzeganie prawa w mieście lub prowincji.

A trzeba powiedzieć, że w Aragonii nie tylko konwertyci sprzeciwiali się działalności Świętego Trybunału, gdyż w opozycji stała również znaczna część miejscowych rodów magnackich, obawiających się zniesienia praw regionalnych i własnych przywilejów. Pamiętać też należy, że w Aragonii już od XIII wieku działała inkwizycja papieska, podlegająca bezpośrednio Watykanowi, której zadaniem było prześladowanie herezji katarskiej, stąd też stworzenie przez króla Ferdynanda podobnej instytucji, mającej prześladować nawróconych Żydów podejrzanych o sprzyjanie odrzuconej religii, było uważane za krok natury czysto politycznej. Na odmianę w Kastylii powstanie królewskiej inkwizycji nie napotkało żadnych przeszkód, jako że nie istniała tam wcześniej inkwizycja papieska, i zarówno miejscowi możnowładcy, jak i znaczna część ludu odniosła się przychylnie do nowej instytucji. Możecie więc sobie mniej więcej wyobrazić, w jakiej sytuacji znalazła się społeczność nawróconych po 1492 roku. To my jesteśmy teraz kozłami ofiarnymi: cokolwiek by się wydarzyło, to na nas padają zawsze pierwsze podejrzania.

- Rozumiem, że w tej sytuacji sama myśl o spisku nawróconych jest absurdalna, ale mogło przecież chodzić o jakiegoś pojedynczego zapaleńca, o kogoś, kto w desperacji zechciał się zemścić za jakąś krzywdę. Co myślicie o tej możliwości?

- Gdyby tak było, człowiek ten miałby prawdziwe kłopoty ze znalezieniem schronienia w mieście, gdyż wszyscy dobrze wiedzą, co może spotkać ludzi próbujących udzielić pomocy prześladowanemu konwertycie i jego rodzinie. Nie mógł również uciec, gdyż wiedzielibyśmy coś na ten temat. Salamanka to małe miasto.

- Jak wynika z moich dotychczasowych dociekań, jedynym podejrzany jest pewien student blisko współpracujący w ostatnich miesiącach z fray Tomasem; prawdopodobnie dzielili również łóżko. Co wy na to?

- Gdyby chodziło o konwertytę przybyłego spoza Salamanki, pewnie bym już coś o nim wiedział. My sami jesteśmy jako pierwsi zainteresowani tym, żeby studenci z

nawróconych rodzin nie pozwalali sobie na żadne ekscesy, gdyż najmniejszy wybryk z ich strony może nam przysporzyć ogromnych kłopotów. Wiadomo, że pośród nowych chrześcijan, podobnie jak wśród starych, znaleźć można ludzi różnego pokroju, z tą jednak różnicą, że my, zanim coś zrobimy, musimy się zawsze dwa razy zastanowić. Wystarczająco dokuczliwe jest to, że przychodzi nam ciągle lawirować pomiędzy różnymi nowymi nakazami i prawami, którymi z dnia na dzień coraz bardziej nas gnębią, i bronić się przed gwałtem i samowolą ze strony inkwizytorów. W każdym razie, jeżeli tylko dowiem się czegoś, dam wam znać. W takich sprawach lepiej zawczasu dmuchać na zimne, niż się potem sparzyć.

- Ja też powiadomię was, jeżeli zdarzy się cokolwiek, co miałoby związek ze społecznością nawróconych.

- Dobrze. Pomówmy teraz o czym innym. Powiedzcie, jak się miewają wasi rodzice? I czy macie zamiar się ożenić po uzyskaniu tytułu bakałarza?

- Rodzice jako tako dają sobie radę; niedawno byłem u nich w odwiedzinach. Również w ich stronach nastąpiły złe czasy dla społeczności nawróconych. Co do małżeństwa, jest to temat, który na razie nie spędza mi snu z powiek. A co nowego u was w tym względzie?

- Pamiętajcie Ruth?

- Jakże mógłbym zapomnieć o tak pięknej kobiecie!

- Zaręczyliśmy się jeszcze w dzieciństwie. Kiedy jednak z powodu licznych agresji i kradzieży sytuacja Żydów tak bardzo się pogorszyła, moi rodzice nawrócili się, przybierając nowe imiona i nazwiska. Tymczasem rodzina Ruth nie porzuciła starej wiary. Dlatego też przed pięcioma laty musieliśmy się rozstać. Początkowo miałem zamiar uciekać razem z nimi do Portugalii, gdzie wtedy zamieszkali, ale potem ogarnął mnie strach, że gdyby doszło to do uszu inkwizytorów, mogliby aresztować moich rodziców, oskarżając ich o judaizującego syna. Z tej samej przyczyny nie mówiłem o tym na Uniwersytecie. Odtąd co miesiąc piszemy do siebie długie listy. Naszym kurierem jest pewien portugalski kupiec, który od czasu do czasu odwiedza tę gospodę. Jakiś rok temu, po śmierci moich rodziców, postanowiłem dołączyć do Ruth i jej rodziny w Portugalii i powrócić na łono religii żydowskiej, jednak akurat wtedy król Manuel, zobligowany przez przyszłych teściów i małżonkę, wydał dekret o wygnaniu Żydów z Portugalii. Jak tego wymagała królewska umowa przedślubna, wypędzeni zostali zarówno Żydzi portugalscy, jak i ci, którzy przybyli do Portugalii po wysiedleniu z innych krajów. Dekret wszedł w życie piątego grudnia zeszłego roku, dając poszkodowanym dziewięć miesięcy na opuszczenie kraju. Dla wielu z nich była to już druga z kolei emigracja. Tym razem postanowiliśmy spotkać się na wiosnę w Antwerpii, gdzie mam przyjaciół. Tymczasem król Portugalii, namyśliwszy się, zmienił zdanie i zawiesił dekret o wygnaniu,

czy też, mówiąc ściślej, zamiast wysiedlenia wprowadził obowiązek przymusowego i natychmiastowego masowego nawrócenia, w pierwszej kolejności dzieci, a potem wszystkich Żydów, nie chciał bowiem, by wywieźli oni z kraju swe bogactwa, od których w dużej mierze zależał stan jego własnych finansów. Stąd też w tej chwili granica jest zamknięta zarówno dla nich, jak i dla nas. W tej sytuacji sprzedałem wszystko, co odziedziczyłem po rodzicach, i zamieszkałem w tej gospodzie, czekając, aż sytuacja się odmieni. Tu nie czuję się taki samotny i mogę pracować swobodniej i bezpieczniej niż w moim dawnym domu. Zdaję sobie sprawę, że zarówno w Portugalii, jak i tutaj sprawy mogą przybrać jeszcze gorszy obrót, ciągle jednak mam nadzieję, że już niebawem będziemy się mogli pobrać, wszystko jedno gdzie. Jeżeli to możliwe, może nawet w przyszłym roku.

- Muszę przyznać, że wasza historia szczerze mnie wzruszyła. Wiercie mi jednak, że mimo wszystko zazdroszczę wam: po pierwsze miłości, a po drugie wielkiej siły charakteru, jaką się wykazaliście.

- Mógłbym opowiedzieć wam niejedną historię znacznie bardziej wzruszającą niż moja, a przede wszystkim znacznie bardziej tragiczną. Przez moją kancelarię przewija się wielu ludzi, prosząc o pomoc w rozwiązaniu rozmaitych problemów. Ja przede wszystkim słucham ich cierpliwie i sam oto trochę ich już uspokaja. Potem robię, co w mojej mocy, choć niestety nie jest to wiele. Tyle że wiedzą, iż jest ktoś, kto jest w stanie zrozumieć ich tragedię i wziąć ich w opiekę.

Nagle dało się słyszeć pukanie do drzwi. Rojas w pierwszej chwili aż podskoczył ze strachu, Alonso jednak zachował spokój.

- Kto tam? - krzyknął.

- Alonso, jacyś ludzie dopytują się o was - poinformował go karczmarz.

- Powiedźcie im, proszę, żeby poczekali w gospodzie, i podajcie im na mój koszt dzban wina. Przyjmę ich za chwilę. Widzicie - zwrócił się do Rojasa - że pracy nam nie brakuje.

- Jeśli dowiecie się czegoś nowego w mojej sprawie, zawiadomcie mnie, proszę, zachowując jak największą dyskrecję.

- Oczywiście, nie obawiajcie się. Wyjdźcie tędy, proszę - powiedział, wskazując na drzwi ukryte za kotarą. - Tak będzie bezpieczniej. Wyjdziecie wprost na małą uliczkę, która doprowadzi was do ulicy Świętego Juliana.

Rojas podniósł się ospale. Chętnie zostałby tu jeszcze i pogawędził z przyjacielem do późnej nocy. Czuł potrzebę podzielenia się swoimi problemami z kimś, kto jest w stanie je zrozumieć, a przede wszystkim miał ochotę pojednać się ze starym znajomym. Kiedy Alonso

otworzył drzwi, stanęli na moment w progu, patrząc na siebie bez słowa. Nie bardzo wiedzieli, jak się pożegnać. W końcu objęli się mocnym uściskiem.

\*\*\*

## Rozdział 11.

23 września zjechał do Salamanki następca tronu z małżonką. Na ulicach powitały ich radosne dźwięki bębnów, trąbek i cytr, melodie hymnów i pieśni weselnych. Rojas zajął miejsce na murach broniących miasta od północy, skąd mógł wygodnie obserwować uroczystości powitalne mające się odbyć na rozległej równinie, tuż przed wjazdem do miasta. Zdawało się, że mieszkańcy na kilka godzin zapomnieli o swym niezadowoleniu, tłumnie stawiając się na przedmurzach. Pragnęli nacieszyć wzrok widokiem oddziałów lekkiej jazdy, tych samych, które w 1476 roku tak skutecznie wspomogły Królów Katolickich w bitwie przeciw wojskom portugalskim pod Toro (król Portugalii był wówczas zwolennikiem Juany\*, rywalizującej ze swoją ciotką Isabelą o tron Kastylii). Wszyscy podziwiali paradujących w zwartym szyku jeźdźców odzianych w odświętne stroje oraz konie w ozdobnej uprzęży. Kiedy goście dotarli w pobliże murów, wyszedł im na spotkanie powitalny orszak, a w nim rada miejska w pełnym składzie oraz biskup w towarzystwie członków kapituły katedralnej. Następnie wszyscy razem wjechali do miasta gościńcem z Zamory, przez bramę, przed którą jedenaście lat wcześniej Królowie Katolicy potwierdzili swą przysięgą prawa miejskie Salamanki. Potem odbyło się uroczyste przyjęcie przygotowane przez miejscową magnaterię i przedstawicieli Studium Generale.

\* Juana La Beltraneja (1462-1530) była oficjalnie córką króla Enriquego (Henryka) IV kastylijskiego, zwanego wymownie Enrique el impotente.]] prawdziwym ojcem był najprawdopodobniej doradca króla, Beltran de la Cueva (stąd jej przydomek; La Beltraneja)-, niewiele starsza Isabel (1451-1504), przyrodnia siostra Enriquego IV, była jej ciotką.

Mimo iż wiele mówiło się o urodzie księżniczki Margarity, Rojas szczerze zaskoczyła niezwykła biel jej lica, złoty kolor włosów, niebieskie oczy o rozmarzonym spojrzeniu, prosty nos, zmysłowe usta i, jakże by nie, jej smukła i kształtna kibić. Młoda małżonka następcy tronu miała na sobie suknię ze szkarłatnego jedwabnego brokatu ze stanikiem tkanym ze szczerego złota, krótką aksamitną pelerynkę podszytą gronostajami oraz satynowy szal z podszewką z jasnobrązowego adamaszku, wykończony srebrem i złotem, a z przodu zdobiony haftami. Głowę jej okrywał welon w niemieckim stylu, utkany ze złotej siatki przetykanej kolorowym jedwabiem. Królewicz wyglądał przy niej jak przedwcześnie postarzałe dziecko. Jego płaszcz, kaftan, koszula, pończochy czy kapelusz - wszystko było kunsztownej roboty i uszyte z najprzedniejszych tkanin, lecz wisiało na nim jak, nie

przymierzając, na patyku. Choć był szczupły i przeciętnego wzrostu, jego chude nogi robiły wrażenie zbyt słabych, żeby móc unieść resztę ciała. Na jego owalnej i nazbyt dziecięcej twarzy przeważały rysy odziedziczone po matce: oczy ni to niebieskie, ni zielone, trochę zbyt mięsisty nos o falistym profilu, jędrne usta o lubieżnym kształcie oraz gęste jasne włosy do ramion, układające się wokół policzków. Jego wątła, blada twarz z podkrążonymi oczyma była powodem licznych plotek, głoszących, że nazbyt intensywnie oddaje się swym małżeńskim obowiązkom, lub też, że Margarita to „zbyt potężne królestwo” dla takiego cherlaka.

Kiedy orszak znalazł się w mieście, powitał go chór dziecięcych głosów. Ich harmonijne śpiewy dochodzące z okien budynków oraz z licznych drewnianych podestów wzniesionych specjalnie w tym celu na wybranych placach, towarzyszyły gościom na całej trasie przejazdu. Dopiero co wybrukowane ulice zostały wymoszczone gałązkami tymianku i innych aromatycznych ziół, zaś fasady niektórych pałaców ozdobiono wspaniałymi gobelinami wyprodukowanymi w najlepszych flandryjskich warsztatach; na większości z nich można było podziwiać mitologiczne postacie i motywy.

Obok młodej pary jechał biskup, w którego pałacu mieli się zatrzymać; stanowiło to wyraz publicznego uznania ze strony pary królewskiej oraz rekompensatę za ogromne zasługi, jakie Diego de Deza oddał Kościołowi i Koronie. W pewnym sensie scena wjazdu była więc odzwierciedleniem wielkiego triumfu biskupa. Wbrew oczekiwaniom jego protegowany, Fernando de Rojas, przyglądał się orszakowi bez zbytnej uwagi. Niewątpliwie miał ważniejsze sprawy na głowie. Wodząc roztargnionym wzrokiem po ulicy, Fernando dostrzegł jednak w niewielkiej odległości od księżniczki kobiecą postać, która przykuła jego uwagę. Była to Jimena, piękna dziewczyna o delikatnych rysach i łagodnym spojrzeniu, w której Fernando był przez jakiś czas zakochany.

Jej ojciec, don Luis de Salazar, był mężem siostrzenicy założyciela Kolegium Świętego Bartłomieja i kilka lat wcześniej zwrócił się do rektora z prośbą, żeby ten podesłał mu jakiegoś ze swoich lepszych uczniów, który mógłby udzielać jego córce lekcji gramatyki, gdyż dziewczyna wykazywała nieprzeciętne predyspozycje do nauki. Uczynił to, jak się zdaje, usłyszawszy historię pochodzącej z Salamanki Beatriz Galindo, zwanej Łacinniczką, która dzięki swym zdolnościom i pociągowi do wiedzy została nauczycielką łaciny samej królowej Isabeli oraz jej córek. Don Luis pragnął więc dać swej córce możliwość stania się kobietą uczoną. Biorąc pod uwagę szlachetne pochodzenie i koneksje rodzinne uczennicy, rektor postanowił wysłać do niej swego najbystrzejszego i najlepiej przygotowanego ucznia, którym byłoczywiście nikt inny, jak właśnie Fernando. Tak więc chłopak zaczął chadzać do

pałacu Salazarów mieszczącego się przy placu Świętej Katarzyny, gdzie codziennie od czwartej do piątej po południu udzielał lekcji swojej podopiecznej. Młodym towarzyszyła zawsze guwernantka, która siadywała o dwa kroki od nich, przy jednym z okien, i zapadała w głęboki sen, kiedy tylko Rojas zaczynał perorować po łacinie.

Pewnego dnia młodzieniec stawił się w domu Jimeny z egzemplarzem słynnego dzieła Dantego Alighieri *Divina commedia*. Z wielkim entuzjazmem zaczął opowiadać dziewczynie o książce, po czym przeczytał jej krótki fragment w oryginalnym dialekcie tokańskim. Był to urywek z V pieśni *Piekła*, w którym piękna Franceska relacjonuje poecie historię swej miłości do Paola: „*Sfessun maggior dolore/che ricordarsi del tempo felice/nella miseria...*”. Potem Rojas zaproponował swej podopiecznej, żeby razem przeczytali tłumaczenie owego fragmentu na hiszpański, dokonane przed siedemdziesięciu laty przez don Enriquego de Aragon, markiza Villeny, które on sam, Fernando, dopracował i wygładził:

A ona: „Nie ma dotkliwszej boleści Niżli dni szczęścia wspominać w niedoli, I mistrz powiada o tym w swej powieści, Lecz skoro mię tak chęć twoja niewoli, Poznasz, skąd poszły nasze niepokoje, Wyznam, jak człowiek, co mówi, choć boli.

Raz dla zabawy czytaliśmy boje, Gdzie wpadł Lancelot w miłosne więzienie;  
Byliśmy sami, bezpieczni oboje.

Czasem nad księgą zbiegło się spojrzenie

I zdejmowało z lic barwy rumiane - Ale nas zmoгло jedno okamgnienie\*.

\* Tłumaczenie na język polski dopracował i wygładził Edward Porębowicz;

Podobieństwo pomiędzy sceną opisywaną w tekście i ich aktualną sytuacją było tak ogromne, że oboje poczuli nagły przypływ męcącego im w głowach pożądania. Po krótkiej przerwie podjęli jednak lekturę:

Kiedyśmy doszli, gdzie usta kochane

Rycerz całował w nieowładnej chęci,

On, z którym nigdy już się nie rozstanę,

Drżący do ust mych przywarł bez pamięci.

W tej chwili usta Fernanda znalazły się tak blisko ust Jimeny, że za moment pewnie stopiłyby się w pocałunku, jednak guwernantka, wybita ze snu niespodziewanie zaległa ciszą, położyła kres idyllicznej scenie.

Nazajutrz na uczelni powiadomiono Rojasa, że jego usługi nie będą już więcej potrzebne. „I powinniście być mi wdzięczni - poinformował go rektor - że udało mi się przekonać don Luisa, żeby pozwolił wam tu zostać i skończyć studia”. Wracając ze spuszczoną głową do swego pokoju, Rojas powtarzał w kółko ostatnie słowa Franceski:



Księga i pisarz Galeottem\* byli

Od tego dnia już nie czytali więcej.

Jeszcze długo Rojas zazdrościł Paolowi jego szczęśliwego losu. Przynajmniej Paolo mógł pozostać na zawsze u boku swojej ukochanej, choćby w samym piekle, a stało się to za sprawą Dantego, który poruszony tragiczną historią kochanków, unieśmiertelnił ich w swojej „Boskiej Komedii”.

Dante Alighieri, Boska Komedia, tłum. Edward Porębowicz, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1965, s. 44.

\* Galeotto - przyjaciel Lancelota, dzięki którego pośrednictwu rycerz uzyskał pocałunek od swojej ukochanej.

Tymczasem Fernando był sam, czuł się przeraźliwie osamotniony i nie miał siły zabrać się do niczego czy ochoty, żeby się z kimkolwiek widywać. Nie znajdował rozrywki ani pocieszenia nawet w książkach, bowiem za każdym razem, kiedy zabierał się do czytania, w jego wyobraźni pojawiał się wizerunek Jimeny. W końcu najbliżsi przyjaciele zaczęli się tak bardzo martwić jego stanem, że zwrócili się o pomoc do pewnej starej stręczycielki, prosząc, żeby zgodziła się pośredniczyć w amorach lub przy użyciu czarów uwiodła dziewczynę. Jednak ani Rojas nie miał zbyt wielkiej ochoty na to, żeby oddać swój los w ręce staruchy, ani przyjaciele nie dysponowali sumą potrzebną na opłacenie jej usług. Skończyło się na tym, że polecili mu wizytę u znanej im córki Koryntu, ale młodzieniec stanowczo odmówił. Kiedy wreszcie, po ciężkich trudach, Rojasowi udało się zapomnieć o miłosnym niepowodzeniu, ze zdwojonym zapałem zabrał się do nauki. Czy jednak rzeczywiście zapomniał o Jimenie? On sam był przekonany, że tak. Faktem jest, że do tej pory ani razu się z nią nie widział, a nawet nie miał żadnych wiadomości na jej temat.

Teraz Fernando podążał, na ile to było możliwe, w ślad za dworskim orszakiem, unoszony przez falę zalewającego ulicę tłumu. Ostatecznie udało mu się dotrzeć jakoś do katedry, gdzie biskup, po odśpiewaniu wraz z kanonikami uroczystego Te Deum, miał wygłosić mowę powitalną. Zanim królewicz don Juan i księżniczka Margarita zsiadli ze swych wierzchowców, żeby przekroczyć próg świątyni, po raz ostatni pozdrowili zgromadzonych przed portykiem ludzi. W tej właśnie chwili jak na komendę rozdzwoniły się wszystkie dzwony w mieście, bijąc na powitanie znamienitych gości.

Wieczorem, po kolacji, Rojas postanowił wyruszyć na poszukiwanie czegoś, co mogłoby go doprowadzić do tajemniczego studenta. W związku z odświętnym nastrojem panującym na ulicach we wszystkich niemal karczmach panował ogromny ruch. A trzeba powiedzieć, że w Salamance było ich tyle, iż, jak twierdzili niektórzy, wiewiórka mogłaby

bez żadnych przeszkód przemierzyć całe miasto, skacząc z jednej do drugiej, bez potrzeby stąpania po ziemi. Oczywiście wszystkie gospody były owego dnia otwarte i pełne po wręby. W końcu każdy pretekst jest dobry, żeby wino przeskoczyło, niczym owa wiewiórka, z beczki do dzbana, z dzbana do ust, z ust do żołądka, skąd wreszcie uderzało do głowy, rozwiązując języki. Jedni bowiem pod wpływem boskiego trunku intonowali pieśni, inni klęli na czym świat stoi, większość śmiała się, a nieliczni płakali; byli jednak i tacy, co zaczęli gadać ponad miarę.

Gospoda Pod Gwiazdą była jednym z miejsc najbardziej popularnych i uczęszczanych, zarówno przez przyjezdnych, którzy mogli tam znaleźć zakwaterowanie, jak i przez studentów oraz innych mniej lub bardziej podejrzanych osobników. Mieściła się poza murami miasta, nieopodal Tormesu, w połowie drogi pomiędzy bramą Rzeczną a kościołem Świętego Mikołaja, w jednym z najbardziej niebezpiecznych miejsc w okolicy. Komuś takiemu jak Rojas, spędzającemu większość czasu w czterech ścianach własnego pokoju lub pośród kolumn klasztornych krużganków, gospoda Pod Gwiazdą o tej porze dnia i w zaistniałej sytuacji musiała się wydać żywym obrazem ostatniego kręgu piekieł.

- Co wam podać? - spytała dziewczyna usługująca przy stołach.

Karczmarka była młodą kobietą o obfitych kształtach i nie protestowała, kiedy któryś z klientów próbował ją obmacywać, pod warunkiem że przy okazji coś zamówił.

- Dzban wina - rzucił Fernando bez namysłu.

- Wolicie nasze zwykłe czy z winnic Toro? - Może być zwykłe, dziękuję - sprecyzował Rojas, nie chcąc wyjść na wybrednego.

Po karczmach krążyły zawsze najróżniejsze pogłoski i plotki. Większość z nich nie miała oczywiście zbyt wiele wspólnego z prawdą, jeśli jednak umiało się oddzielić ziarna od plew, zawsze można było coś ciekawego wydedukować. Tej nocy głównym tematem rozmów była oczywiście wizyta następcy tronu. Przy sąsiednim stole kilku studentów rozprawiało o tym, jak wspaniale udały się uroczystości powitalne.

- Jak mogły się nie udać! - wykrzyknął jeden z nich lekceważącym tonem. - Możecie być pewni, że powitanie królewicza wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby nie dekret radców miejskich, w którym na wszystkich, co nie dostosują się do ich zaleceń, nakłada się karę grzywny oraz chłosty...

- Nie sądzę - przerwał mu jeden z kompanów. - Ludzie przecież uwielbiają tego rodzaju uroczystości.

- Zgoda, ale nie w tym przypadku. Mało kto darzy jeszcze sympatią naszego kapryśnego następcę tronu. Pomimo młodego wieku ma już na swym koncie zbyt wiele ekscesów.

- Mówcie, co chcecie - odezwał się jakiś pijaczyna siedzący przy innym stole - ale mnie bardziej się podobał pogrzeb dominikanina.

- Ciekawe, czego ktoś taki jak ty szukał na tak uroczystym pogrzebie? - zaczęli się wyśmiewać studenci.

- Słuchajcie - ciągnął dalej pijak, nie dawszy się zbić z tropu - jedyny problem z takimi pięknymi pogrzebami to to, że główny bohater jest tak bardzo zajęty udawaniem trupa, iż nie ma czasu, żeby je podziwiać.

- To z ciebie jest teraz niezły trup i to zabalsamowany w alkoholu - dociął mu jeden z żaków.

- Do mnie mówisz? Zabraniam ci... - zdołał jeszcze wybelkotać pijak, po czym padł twarzą na stół.

W tej chwili do rechoczącej grupy podszedł scholar, który właśnie wpadł do gospody. Był spocony i ledwo dyszał, ale widać było, że nie może się doczekać, by oznajmić kamratom coś ważnego.

- Słyszeliście nowinę? - wysapał, dosiadając się do stołu kolegów. - Zausznicy inkwizycji aresztowali właśnie maestra Rodriga de Basurto, podobno dlatego, że przepowiedział rychłą śmierć królewicza don Juana.

Rodrigo de Basurto był byłym uczniem Kolegium Świętego Bartłomieja, profesorem astrologii oraz autorem dzieła Praxis pronosticandi\*, które przyniosło mu wielką sławę w całej Kastylii. Rojas dobrze go znał, gdyż słuchał kiedyś jego wykładów, a później pomagał w opracowaniu tabel i almanachów mających pomagać w studiach astronomicznych i w żegludze.

\* Praxispronosticandi - Wykład o przepowiadaniu.

- Skąd wiesz, że go aresztowano? - zaczęła się dopytywać reszta scholarów.

- Na własne oczy widziałem! A poza tym wszyscyśmy przecież słyszeli, jak mówił, że królewicz nie wyjedzie żywy z Salamanki.

- Śmiem wątpić, że dostąpimy tego szczęścia - odrzekł beczelnie najbardziej zuchwały ze studentów.

- Eee tam, nie trzeba być przecież jasnowidzem, żeby coś takiego przewidzieć - zauważył inny. - Na pierwszy rzut oka widać przecież, że królewicz już długo nie pociągnie. Ani chybi cierpi na jakąś chorobę weneryczną od tego ciąglego dosiadania pięknych klaczy.

- Zamilknijcie, błagam - poprosił nowo przybyły. - To nie najlepszy moment, żeby głośno wygadywać takie rzeczy. Wszędzie pełno szpiegów - dodał, rozglądając się dookoła, zmuszając Rojasa do odwrócenia głowy i spojrzenia w inną stronę. - Z tego, co słyszałem - dorzucił jeszcze tajemniczym szeptem - już od samych narodzin życia królewicza towarzyszą różne złe wróżby. Mówi się, że w Sewilli, w miesiąc po jego przyjściu na świat i zaledwie tydzień zanim po raz pierwszy został, jak każe tradycja, pokazany w świątyni, słońce zgasło na dobrych kilka godzin, a potem jeszcze przez kilka miesięcy nie świeciło ze zwykłą siłą. Ponoć zinterpretowano to jako ewidentną oznakę słabowitości dziecięcia. W samej rzeczy nikt nie dawał potem złamanego grosza, że dożyje wieku właściwego do ożenku.

- No i tu się pomylili - przerwał mu jeden z kolegów - i to jeszcze jak. Nigdy nie widziałem tak pięknej kobiety jak księżniczka Margarita; i z takim charakterem.

- Chodzą słuchy, że podczas zaślubin - kontynuował tajemniczo nowo przybyły - miało miejsce tragiczne zdarzenie. Zdaje się, że podczas uroczystości ślubnych spadł z konia i stracił życie Alonso de Cardenas, co natychmiast zostało uznane za niepomyślną wróżbę, mającą oznaczać, że szczęście młodej pary nie potrwa długo. No i rzeczywiście, już po kilku miesiącach królewicz zaczął zapadać na zdrowiu.

- Ja tam słyszałem, że don Juan pochorował się od zbyt częstego kopulowania, co, jak twierdzą znawcy tej materii, rozmiękcza szpik w kościach i osłabia żołądek.

- A nie mówiłem, że strasznie wychudł i wygląda na wycieńczonego...

- Bo gdzież tu taki kawał baby dla takiego chuderlaka.

- A jednak mówi się, że za sprawą królewicza jest już brzemienna.

Tymczasem królewicz nie przejawia ponoć zbyt wielkiej ochoty na to, żeby zachować wstrzeźliwość, gdy jego małżonka jest w błogosławionym stanie. Choćby musiał w tym celu szukać ciepła w innych gniazdkach.

- Wszyscy przecież wiemy, że królewicz uwielbia lupanary. Pewnie nie może się już doczekać wizyty w naszym domu publicznym, który sam przecież kazał zbudować. - Zobaczymy, czy biskup mu na to zezwoli.

- Czyżby biskup był w stanie powstrzymać nawałnicę?

- Nie ma co ukrywać, czekają nas wyjątkowo burzliwe dzionki.

- Wczoraj pogrzeb, a dziś zabawa. Ciekawe, czy jutro będziemy się śmiać, czy płakać - skwitował nagle uroczyście od sąsiedniego stołu pijak, obudziwszy się ni stąd, ni zowąd.

Z tego wszystkiego Rojasa najbardziej zmartwiła wiadomość o zatrzymaniu de Basurty, którego miał za uczciwego człowieka i znakomitego astrologa. Podejrzewał, że powodem aresztowania była głównie jego kondycja nawróconego, być może również

przyjaźń, jaka od dawna łączyła go z żydowskim astrologiem Abrahamem Zacutem. Samo wróżenie czy przepowiadanie przyszłości nie były to bowiem czynności prześladowane przez inkwizycję, chyba że miały się łączyć z oddawaniem czci Diabłu. Stąd też zatrzymanie profesora niewątpliwie było częścią ogólnego planu oczyszczania miasta z konwertytów, realizowanego pod pretekstem przyjazdu następcy tronu. Przy okazji z ulic usunięto też ostatnie prostytutki i rajfurów, którzy nie wynieśli się jeszcze z terenu miasta, jak również żebraków i rzezimieszków różnej maści. Władze twierdziły, że kroki te przedsięwzięto w obawie, iż Salamanka mogłaby zrobić na królewiczu niekorzystne wrażenie w tak ważnej dla miasta chwili; drugim powodem była chęć zapobieżenia ewentualnym zamieszkom. Jak Rojas mógł się naocznie przekonać, środki te nie wszędzie spotkały się z dobrym przyjęciem, a niezadowolenie wśród mieszkańców miasta z dnia na dzień wzrastało.

Właśnie miał zamiar opuścić gospodę, kiedy zobaczył stojącego w progu żaka, ukrywającego twarz pod osłoną kaptura. Przybysz, gdy tylko zauważył go siedzącego w głębi mrocznej sali, obrócił się na pięcie i pędem wybiegł na ulicę. Rojas rzucił kilka monet na stół, obok stojącego tam dzbana, i ruszył za nim. Kiedy znalazł się na dworze, stwierdził, że zamaskowany osobnik kieruje się w stronę grupy chałup stojących tuż przy moście. Skierował się pędem w tamtą stronę, ale po kilku krokach zderzył się z dwoma przyczajonymi za rogiem łotrzykami, którzy, zaskoczeni, zaczęli wymachiwać mu przed nosem szpadami. Rojas, który nigdy nie nosił przy sobie broni, próbował zmierzyć się z nimi, używając sztachety wyrwanej z pobliskiego płotu, co wywołało kpiące salwy śmiechu jego przeciwników. Jednak chłopak nie dał się onieśmielić i zaczął ostro wywijać kawałkiem drewna, gotując się do ataku. Już miał ruszyć do przodu, kiedy nagle usłyszał, że zbliża się ktoś czwarty.

- Stać! - krzyknął groźnym głosem przybysz do pary rzezimieszków. - Zostawcie go w spokoju, jeżeli nie chcecie posmakować ostrza mojej szpady.

Tamci, zaskoczeni, zareagowali z opóźnieniem, co pozwoliło nowo przybyłemu zyskać nad nimi przewagę.

- W nogi! - wrzasnął w końcu jeden rozkazującym głosem. - Mamy ważniejsze rzeczy do roboty.

I bez słowa rzucili się biegiem w kierunku rzeki. Rojas popatrzył za nimi w zdumieniu.

- Patrzcie no tylko, uciekają, aż się kurzy. Znalazła się para odważniaków - zagaił nieznajomy kpiarskim tonem. - A wy lepiej byście zrobili, gdybyście się nie włóczyli po nocy po tym odludziu, i to na dodatek bez broni.

- Chyba będę musiał dostosować się do waszej rady - zgodził się Rojas, któremu głos mężczyzny wydał się dziwnie znajomy. - Ale, powiedzcie, komu zawdzięczam honor pozostania przy życiu?

- Nie mów, że mnie nie rozpoznałeś! - odparł zamaskowany, nie mogąc się dłużej powstrzymać od śmiechu. - Przecież to ja, Hilario - dodał, odkrywając twarz i podchodząc bliżej do Rojas. - Twój wierny druh i anioł stróż.

Fernando nie posiadał się ze zdumienia. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby to być właśnie on, jednak postanowił nie dać tego po sobie poznać:

- Mogłem się tego spodziewać. Któż bowiem narażałby własne życie, stając w obronie takiego idioty jak ja? Ale powiedz mi zaraz, skąd się tu wziąłeś o tej porze?

- Chciałem mieć cię na oku.

- Mnie?

- A kogóż by? Odkąd wróciłeś do Salamanki, zachowujesz się tak dziwnie, że zacząłem się o ciebie obawiać. Miałem nawet wrażenie, że celowo mnie unikasz. Dlatego właśnie postanowiłem cię śledzić. I muszę przyznać, przyjacielu, że nic z tego wszystkiego nie pojmuję.

- Nie dziwię ci się - przyznał mu rację Rojas - choć wszystko ma oczywiście swoje wytłumaczenie. Jeżeli mi obiecasz, że dochowasz tajemnicy, opowiem ci o wszystkim po drodze. W końcu przecież uratowałeś mi życie.

\*\*\*

## Rozdział 12.

Kilka dni po przyjeździe do Salamanki królewicz poczuł się gorzej, tym razem złożony nagłym napadem gorączki. Ku zdumieniu nadwornych lekarzy choroba nie tylko nie ustępowała, ale zdawała się dodatkowo komplikować. Do wystąpienia nowych objawów przyczynił się zapewne niezdrowy tryb życia następcy tronu oraz jego kateryczna odmowa pozostania w łóżku. W wieczór poprzedzający pojawienie się gorączki, don Juan uparł się na przykład, że musi koniecznie odwiedzić słynny już miejski lupanar. Naturalnie medycy próbowali odwieść go od tego zamiaru, namawiając do pozostania w łóżku, jednak w końcu nawet sam biskup nie był w stanie go zatrzymać. Skapitulowawszy, zavezwał do siebie Rojas z prośbą, żeby towarzyszył choremu i postarał się przynajmniej trochę kontrolować jego poczynania. Kiedy w chwilę potem obaj młodzieńcy zeszli się przed bramą, zdumiony królewicz wykrzyknął na powitanie:

- Ależ znam was przecież! Jesteście Fernando de Rojas, protegowany Diega de Dezy! Widzę że, podobnie jak ja nie macie nic przeciwko odwiedzinom w zamtuzie. Muszę przyznać, że nigdy bym się tego po was nie spodziewał. Odkąd pamiętam, mój preceptor stawiał mi was za przykład wzorowego chrześcijanina. Ale nie martwcie się - dodał na koniec z porozumiewawczym mrugnięciem oka - nie pisnę mu ani słówka.

O wiele trudniej przyszło biskupowi uzyskanie zgody don Juana na to, żeby towarzyszyło im kilku strażników z jegoświty, lekarz oraz nadworny podkomorzy. Na koniec przystał także i na to i cała grupa dotarła wreszcie do lupanaru, gdzie królewicz zapragnął koniecznie pójść pozdrowić Gardę de Albarrateguiego, bowiem nie miał zielonego pojęcia, że jego przyjaciel nie zarządza już interesem. Kiedy z wiadomych względów nie udało mu się urzeczywistnić owego zamiaru, naszła go ochota, żeby ugościć, na koszt skarbcza miejskiego, wszystkich klientów znajdujących się akurat w zamtuzie, czym oczywiście spowodował wielkie podniecenie i zamęt.

- Przypomnijcie mi - powiedział w pewnej chwili Rojasowi na stronie - żebym jutro koniecznie wydał dekret zarządzający, że wszyscy mężczyźni w Salamance, bez wyjątku, mają mieć prawo do odwiedzania miejskiego lupanaru dwa razy w roku na koszt rady. Bo musicie wiedzieć, mój drogi, że lud pozbawiony uciech cielesnych to lud nieukontentowany, a zatem skłonny do buntów przeciw swemu królowi i władzy w ogóle. Lepiej jednak - dodał na koniec - nie wspominajcie nic na ten temat biskupowi, bo wątpię, żeby to zrozumiał.

W końcu poprosił ojca domu, żeby pokazał mu kobiety z haremu, żadnej z nich nie ukrywając, aby mógł wskazać swą wybrankę na tę noc. Zarządzający lupanarem przywoływał więc kolejne ladacznice, a one ustawiały się w rzędzie na wprost Jego Wysokości. Przypatrujący się im królewicz zauważył, że dwie najpiękniejsze sprzeczą się, próbując zwrócić na siebie uwagę. Miał zaskoczony, podszedł do nich, mówiąc:

- Moje drogie, nie musicie się o mnie kłócić. Dziś czuję się szczególnie szczodry, uczynię więc to samo, co zrobił niegdyś mój przodek, król Salomon: zabiorę do łóżka was obie.

Wszyscy obecni przyjęli decyzję następcy tronu oklaskami i gromkimi wybuchami śmiechu; wyjątek stanowiły obie kobiety, które, niezbyt zachwycone, że będą musiały dzielić względy królewicza, cały czas ubliżały sobie i poszturchiwały się nawzajem.

- Widzicie, mój drogi? - zwrócił się królewicz do Rojasa, zadowolony z ogólnej wesołości wywołanej przez jego ostatnie słowa. - Jeżeli kiedyś postanowię przenieść mój dwór do Salamanki, możecie być pewni, że nie zrobię tego ze względu na Uniwersytet, lecz tylko i wyłącznie dla tego lupanaru.

Kiedy tylko królewicz zniknął w jednej z izb wraz z obiema ladacznicami, strażnicy stanęli przed drzwiami na warcie. Również lekarz i podkomorzy zajęli miejsca w pobliżu, gotowi w razie potrzeby interweniować. Rojas wolał wyjść na podwórko i pospacerować trochę. Noc była ciepła i spokojna, na niebie nie było ani jednej chmurki, która przyćmiewałaby wspaniały blask księżyca w pełni. Od czasu do czasu słychać tylko było śmiech lub jęki czy pomruki rozkoszy dochodzące z któregoś z okien. Po chwili wyszła do Rojasa jedna z dziewcząt.

- Nie wydaje wam się, że to grzech, żeby taki mężczyzna jak wy przebywał samotnie w lupanarze? - spytała go, szczerze zdziwiona.

Kiedy podeszła bliżej, Rojas przekonał się, że jest znacznie młodsza, niż można było sądzić po jej głosie, i niewątpliwie niebywale piękna. Miała mlecznobiałą skórę i płowe włosy. Jednak tym, co najbardziej zwracało uwagę, były wesołe błyski tańczące w jej oczach oraz szczerzy, niemal dziecięcy uśmiech. Miała na sobie krótką żółtą mantylkę, która stanowiła jeden z elementów ubioru wprowadzonego dekretem rady miejskiej w lupanarze.

- Nie martwcie się o mnie - odparł w końcu. - Nie przybyłem tu jako klient, tylko jako osoba towarzysząca.

- Należycie do służby królewicza?

- Nie całkiem.



- W takim razie, co stoi na przeszkodzie, żebyście mogli rozerwać się trochę, podczas gdy on się zabawia?- W innych okolicznościach chętnie posłuchałbym waszej rady, możecie mi wierzyć, dziś jednak mam co innego na głowie. Muszę być w pogotowiu na wypadek, gdyby mnie potrzebowano.

- W takim razie nie będę wam przeszkadzać. A jeśli kiedykolwiek będziecie mieli ochotę, zapytajcie o mnie. Tutaj wszyscy nazywają mnie Sabela.

- Zaczekajcie, nie odchodźcie jeszcze - poprosił nagle Rojas. - Możecie mi powiedzieć, czy dobrze was tu traktują?

- Zdarzało mi się pracować w gorszych warunkach, więc nie mogę narzekać. Zanim tu trafiłam, wynajmowałam dwupiętrowy domek, czysty i dobrze wyposażony, gdzie wiodłam zupełnie niezależne życie i mogłam przyjmować, kogo tylko chciałam. Kiedy jednak otwarto ten dom publiczny, wyrzucono mnie na bruk. Nie miałam innego wyjścia i musiałam przenieść się tutaj i tu pracować. Dawniej byłam jedną z podopiecznych starej Celestyny, być może słyszeliście kiedyś o niej.

- Wydaje mi się, że rzeczywiście coś o niej słyszałam. Czy to nie ta sama Celestyna, która zajmuje się stręczycielstwem i reperowaniem utraconego dziewictwa?

- Tak, między innymi. Odkąd zamknięto jej lupanar w centrum miasta, musiała zacząć się parać najróżniejszymi zajęciami. Niewątpliwie żadne z nich nie należy do zajęć świętych - dodała z ironią - ale za to jest na nie wszystkie wielki popyt pośród prawowiernych chrześcijan. Od dawna już nie wiem, co porabia.

W tej chwili z wnętrza domu dały się słyszeć podniesione głosy. Dobiegały z miejsca, gdzie przebywał królewicz, co natychmiast zwróciło uwagę Rojas.

- Wybaczcie - usprawiedliwił się - ale muszę zobaczyć, co się tam dzieje.- Idźcie, idźcie - odparła dziewczyna. - Możecie wrócić, kiedy tylko przyjdzie wam ochota; zawsze będziecie tu mile widziani.

Okazało się, iż don Juan poprosił, żeby podano mu wina, ale zarówno lekarz, jak i podkomorzy stanowczo się temu sprzeciwili, jeden mając na uwadze zdrowie królewicza, a drugi jego bezpieczeństwo, a to na wypadek gdyby wino okazało się skwaśniałe lub, nie daj Boże, zawierało jakąś truciznę. W odpowiedzi na to królewicz zagroził, że albo natychmiast dostanie wino, albo każe ich obu aresztować, urządzając na dodatek dziką awanturę. Właśnie w tej chwili w izbie pojawił się Rojas, któremu po długich a ciężkich trudach udało się go przekonać, żeby wszyscy razem wrócili do pałacu, gdyż jest już bardzo późno, i że tam, na miejscu, dostanie tyle wina, na ile tylko będzie miał ochotę.

Kiedy dojeżdżali do pałacu biskupiego, zaczęło świtać. Królewicz nie najlepiej wyglądał, ale Rojas przypisał to narastającemu w ciągu ostatnich dni zmęczeniu. On sam zresztą też nie czuł się najlepiej. Podkomorzy pomógł mu doprowadzić do sypialni i rozebrać don Juana. Podczas gdy zdejmowali z niego ubranie, po pokoju zaczęła się rozchodzić dziwnie cierpka woń, bardzo intensywna i niemiła, pomieszana z zapachem olejku lawendowego - jakby królewicz, nie chcąc wywołać odrazy u kobiet z lupanaru, próbował zamaskować smród swojego ciała świeższymi i bardziej aromatycznymi oparami. Rojasa zaskoczyła również przesadna chudość jego kończyn, dziwna lepkość skóry i wiotkość mięśni, zupełnie nieprzystająca do tak młodej osoby. Pomyślał sobie, że jeśli królewicz nie wyzdrowieje, jest mało prawdopodobne, żeby w przyszłości był w stanie udźwignąć ciężar Korony.

Kiedy Fernando dotarł wreszcie do swego pokoju w Kolegium Świętego Bartłomieja, była ósma rano. Zaledwie kilka godzin później ktoś zapukał do jego drzwi; był to sekretarz biskupa.

- Królewicz jest w bardzo ciężkim stanie. Jego ekscelencja prosi, żebyście natychmiast stawili się u niego.

Biskup czekał już na niego w swej komnacie, ze zmienioną twarzą, szklistymi oczami. Rojas nigdy jeszcze nie widział go tak przygnębionego.

- Zbudził się w straszliwych bólach - zaczął mówić zmęczonym głosem, przeciągając sylaby. - Ma bardzo wysoką gorączkę. Wciąż jeszcze majaczy. Czy wczoraj zdarzyło się coś szczególnego?

- Z tego, co wiem, nic dziwnego się nie stało. Na początku wyglądał na bardzo ożywionego; uparł się nawet, żeby pójść do łoża z dwoma dziewczkami naraz. Później zażądał wina, ale lekarz i podkomorzy, zgodnie z przepisami, nie zgodzili się na to. Byli bardzo stanowczy w tym względzie. Kiedy zobaczyłem go ponownie, stwierdziłem, że jest jakby trochę przybity, ale złożyłem to na karb zmęczenia.

- Pragnę by to, co wam teraz powiem, zostało między nami. Kilku z opiekujących się królewiczem medyków twierdzi, że może chodzić o przypadłość weneryczną. Czy myślicie, że wczorajszej nocy...?

- Wątpię. Jeżeli to prawda, królewicz musi cierpieć na tę chorobę już od dłuższego czasu. Niemożliwe, żeby objawiła się z dnia na dzień. Z tego, co słyszałem, owe przypadłości potrzebują czasu, żeby się wylegnać.

- Cokolwiek by to było, nie ma innego wyjścia: musimy czekać. I chcę was mieć pod ręką w tych krytycznych chwilach. Zaniechajcie więc na razie dochodzenia w sprawie śmierci fray Tomasa.

W ciągu następnych kilku dni stan zdrowia królewicza uległ pogorszeniu; gorączka nie ustępowała, a na skórze zaczęły się pojawiać dziwne plamy. Lekarze byli tak zbicz tropu objawami, że nie byli w stanie postawić jednoznacznej diagnozy, nie mówiąc już o zaleceniu jakiegoś leczenia. Większość z nich zrzuciła winę, oczywiście z zachowaniem należącego szacunku, na samego królewicza, podkreślając jego niezdyscyplinowanie oraz lekceważenie ich ostrzeżeń i zaleceń. Biskup w tym czasie krążył od wezgłowania chorego do swojej komnaty, skąd, przygnębiony sytuacją, słał do króla i królowej list za listem, dając w nich wyraz swej rosnącej zgrzyzocie w związku ze stanem zdrowia Jego Wysokości, zawsze tak uparcie ignorującego zalecenia medyków. W miarę jak stan don Juana ulegał pogorszeniu, biskupa coraz bardziej przytłaczał ciężar odpowiedzialności, w związku z czym kolejne listy były słać w coraz krótszych odstępach czasu, co sprawiało, że kolejni posłańcy zaczęli po drodze dościgać swoich poprzedników. Jednak tym, co najbardziej męczyło biskupa, nie była sama choroba następcy tronu, tylko jego samowola oraz brak przyzwoitości i umiaru. W efekcie coraz częściej zadawał sobie pytanie, czy on sam nie zepsuł go i nie rozpuścił ponad miarę, będąc jego preceptorem.

W takich momentach biskup potrzebował kogoś, komu mógłby zaufać, osoby, wobec której mógłby być szczery, nie obawiając się, że wykorzysta kiedyś w przyszłości jego chwilową słabość. Oczywiście nikt nie nadawał się do tej roli lepiej niż Rojas. Stąd też biskup poprosił go, żeby zamieszkał w pałacu dopóty, dopóki królewicz nie wyzdrowieje. Pewnego popołudnia wezwał go pilnie do swojej komnaty.

- Spójrzcie na mnie - odezwał się. - Wyglądam bardziej na pustelnika niż na biskupa. Jak tak dalej pójdzie, to mnie będzie trzeba niebawem pochować. Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym podyktować wam list do króla i królowej. Odprawiłem już mojego sekretarza, gdyż jutro czeka go długi i ciężki dzień.

- Wasza Ekscelencja może zacząć dyktować, kiedy tylko będzie miał ochotę - zgodził się natychmiast Rojas.

Biskup rozsiadł się w fotelu, wodząc po komnacie nieobecny wzrokiem, po czym cichym i przygasłym głosem, jakby wymawianie poszczególnych wyrazów sprawiało mu wielką trudność, zaczął dyktować:

Do Jaśnie nam Panujących Króla i Królowej, naszych Potężnych Władców i Zwierzchników.

Od ostatniego razu, kiedy to pisałem do Waszych Wysokości, Królewicz nieco poweselał, za co dzięki niech będą dane Najwyższemu. Jak się zdaje, po wypiciu soku, który podano mu dziś z rana, trochę przybyło mu sił. Potem przespał się jak należy i obudził wypoczęty. Teraz, to jest o szóstej po południu, podano właśnie Jego Wysokości kolację i zjadł, jak zwykł, bez apetytu, ledwo połowę kurzej piersi. Dano mu też do skosztowania goleni baraniej, której prawie nie tknął, a to, co zjadł, i tak zaraz zwrócił. Aż ciężko człowiekowi patrzeć na ten podły apetyt Jego Wysokości i że tak mało przykłada się do swego ozdrowienia.

Gdyby choroba Królewicza miała się przeciągnąć, a Wasze Wysokości nie musiałyby przedłużać Swej nieobecności w kraju, jestem pewien, że Ich obecność byłaby najlepszym lekiem na jego niedomaganie, gdyż zawsze okazuje duży respekt, przebywając w towarzystwie Waszych Wysokości, posłuszniej przyjmując medykamenta, z większą łatwością radując się i czyniąc potrzebne wysiłki. Błagam więc, żeby Wasze Wysokości zadysponowały, co mamy czynić, znajdując Królewicza w tym stanie. I jeśli, pisząc te słowa, ośmieliłem się wyrazić coś, co nie trafi do gustu Waszych Wysokości, proszę uniżenie, aby zostało mi to wybaczone, gdyż fatyga tych dni sprawia, iż sam już nie wiem, co dobre. Jedyne, co są w stanie doradzić medycy, to żeby podawać Królewiczowi bez ustanku, czy tow dzień, czy w nocy, cokolwiek pożywnego, już to soki, już jadło jakieś.

Niech Pan nasz zachowa w swojej opiece na wiele lat życie i Królewskie zdrowie Waszych Wysokości.

W Salamance, dnia dzisiejszego, tj. w piątek 29 września, o godzinie siódmej po południu.

Kapelan i pokorny sługa Waszych Wysokości, Episcopus Salmanticensis.

Kiedy tylko zakończyli pisanie, przybył podkomorzy z wieścią, że królewiczowi znów się pogorszyło. Natychmiast udali się go zobaczyć, zastając don Juana mającego i skręcającego się z bólu w pościeli. Opiekujący się nim lekarze wymieniali już tylko spojrzenia; wykorzystali wszystkie dostępne środki, tymczasem stan zdrowia ich podopiecznego nic a nic się nie poprawiał. Po powrocie do swej komnaty zdesperowany biskup poprosił Rojasa, żeby dopisał do listu post scriptum\

Już po zakończeniu niniejszego listu Jego Wysokość doznał nagłego ataku boleści i jego kondycja jeszcze bardziej się pogorszyła. Wszyscy tu obecni zaklinamy Wasze Wysokości, prosząc o natychmiastowe przybycie, gdyż ich obecność z pewnością będzie dla Niego najlepszym lekarstwem. Wiedzeni nagłą potrzebą, nie czekając na polecenie Waszych Wysokości, pozwalamy sobie natychmiast zawezwać do chorego Lekarza Królowej.

W oczekiwaniu na przybycie owego wielce szanowanego medyka oraz na wiadomość od królewskiej pary biskup kazał zawezwać kilku najbardziej znamienitych lekarzy z Uniwersytetu, żeby oni również wyrazili swą opinię. Podczas jednej z tych wizyt obecny był również Rojas. Królewicz miał takwymizerowane i pożółkłe oblicze, że przypominało raczej trupa czaszkę obciążoną pergaminem. Kiedy rozebrano go do badania, Fernando zauważył ze zdumieniem, że nie wyczuwa już ani śladu cierpkiego zapachu, który tak bardzo przykuł jego uwagę owej nocy. Skóra chorego nie była już lepka, za to pojawiły się na niej bardzo nieprzyjemne plamy i wypryski.

Lekarze uniwersyteccy przypisali te objawy źle wyleczonej ospie, jednak medycy królewicza bronili się, zapewniając, że owe dziwne pryszcze są całkiem nowe i nie mają nic wspólnego z ospą. Nie doszli też do porozumienia w kwestii źródła zaburzeń trawiennych królewicza.

- Rozbierając chorego, nie zwróciliście przypadkiem w ostatnich dniach uwagi na pojawienie się nieprzyjemnego, cierpkiego zapachu? - spytał Rojas lekarzy zajmujących zwykle miejsce u wezglowia chorego.

- Cierpki zapach, mówicie? - spytał jeden z nich, wyglądający na najważniejszego.

- Tak, bardzo intensywny, ostry i nieprzyjemny zapach, niczym smród zepsutych jajek.

- Nie, w żadnym razie nie wyczuliśmy tego rodzaju zapachu. Ale czy można wiedzieć, z kim mamy przyjemność? Kim jesteście i z jakiej racji uczestniczycie w tym konsylium?

- Jestem zaufanym człowiekiem Jego Ekscelencji.

- A jesteście przypadkiem lekarzem?

- Odbylem stosowne studia, choć jeszcze nie mam tytułu.

- W takim razie zamilczcie, proszę. Mamy wystarczająco dużo kłopotów z tymi wszystkimi, którzy są w posiadaniu tytułów - dodał z ironią.

- Jeżeli to o nas wam chodzi - wtrącił się jeden z lekarzy uniwersyteckich - wiedzcie, że od lat paramy się medycyną.

Rojas, który dowiedział się już tego, o co mu chodziło, wykorzystał rozpoczynając się dyskusję, żeby cichaczem opuścić sypialnię chorego. Spotkanie z lekarzami okazało się dla niego owocne, a po głowie zaczęła mu krążyć pewna myśl. Musiał jednak jeszcze sprawdzić to i owo. W tym celu udał się do kamerdynera królewicza z zapytaniem, czy pośród używanych przez niego pachnideł znajdował się olejek lawendowy. Kamerdyner, zdziwiony pytaniem, odparł, że nie; co więcej, stwierdził, że może zapewnić Rojasa, iż Jego Wysokość w ogóle nie używa pachnideł.

- Jeszcze ostatnie pytanie - rzucił Fernando przed odejściem. - Czy zauważyliście przypadkiem, ubierając lub rozbierając królewicza, silną i bardzo niemiłą woń, jakby popsutych jajek?

- Nie, panie - zaprzeczył stanowczo kamerdyner. - Jedyne zapachy typowe dla ciała Jego Wysokości lub ciała kogokolwiek w podobnym jak on stanie, do czego zresztą jestem już przyzwyczajony; na pewno nic zbliżonego do tego, co tu opisujecie, ani do niczego innego; nic oprócz zapachów, które występują od początku jego choroby.

- Dobrze, to wszystko. Proszę, nie wspominaj nikomu o naszej rozmowie.

Wydawało się jasne, że jeśli królewicz sam nie użył pachnidła, musiały to zrobić dziewczęta w lupanarze, próbując zamaskować ów odrażający zapach. Tylko dlaczego nikt oprócz niego i, prawdopodobnie, owych dwóch kobiet, go nie wyczuł? A jeżeli źródłem zapachu nie było ciało królewicza, tylko jakaś substancja, którą go nasmarowano? Ale jaka substancja? I, przede wszystkim, po co ktoś miałby to robić? Próbował coś sobie przypomnieć. Czy mogło chodzić o jakąś maść mającą zwiększyć męskość lub podtrzymać erekcję? A może była to trucizna? Myśl ta zaświtała mu nagle z pewnością tego, co oczywiste - niczym błyskawica oświetlająca w jednym mgnieniu oka to, co do tej pory spowijały mroczne cienie. Fernando przypomniał sobie, że czytał gdzieś kiedyś, iż jeśli ktoś chce otruć króla lub jakiegoś innego znacznego wielmożę, musi to zrobić w chwili jego nieuwagi i używając trucizny, której nie podaje się drogą doustną, gdyż ludzie tego autoramentu stosują zwykle wszelkie dostępne środki ostrożności, żeby upewnić się co do nieszkodliwości spożywanego jadła. Jeżeli nie dba o to sam zainteresowany, robi to za niego ktoś z jego otoczenia. Rojas widział zresztą na własne oczy, że służący byli zmuszani do kosztowania potraw i napojów, które serwowano następcy tronu, żeby upewnić się, iż nie zawierają trucizny.

Jeżeli jego podejrzenie miało się okazać słuszne, musiał natychmiast zacząć działać. Stąd też skierował się do komnaty biskupa, żeby powiadomić go o swoim odkryciu.

- Otruty?! Królewicz otruty?! - wykrzyknął biskup, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy. - Ależ to niemożliwe.

- Obawiam się, że to prawda.

- Przecież zarówno kucharz, Juan Cacho, jak i kamerdyner, Juan de Calatayud, to całkowicie pewni i zaufani ludzie, poza tym codziennie na oczach podkomorzego ktoś kosztuje jedzenie z każdej miski czy talerza przeznaczonych dla królewicza. To samo robi się za każdym razem, kiedy do kuchni przynosi się cokolwiek ze spiżarni.

- Jeżeli to, co przyszło mi do głowy, jest prawdą, królewicza otruto nie tutaj, tylko w lupanarze, a truciznę podano mu nie w jedzeniu czy picciu, ale poprzez skórę.

- Przez skórę?! Cóż za bzdury mi tu opowiadacie?

- Zaklinam Waszą Ekszelencję na wszystkie świętości i proszę, byście mi zaufali i poprosili lekarzy, żeby wzięli pod uwagę możliwość, iż królewicz został otruty jakąś substancją działającą przez skórę, najpewniej przy pomocy smarowidła o odrażającym zapachu. Możliwe, że jest już za późno, ale koniecznie trzeba powiedzieć medykom, żeby spróbowali natychmiast coś zrobić. Z całą pewnością dadzą wiarę słowom Waszej Ekszelencji. Ja tymczasem postaram się sprawdzić, czy moje podejrzenia są słuszne i dowiedzieć, jakiej użyto trucizny.

- Dobrze, zrobię, o co mnie prosicie - zgodził się biskup. - Sytuacja bowiem jest rzeczywiście beznadziejna; jednak w zamian za to stanowczo żądam, żebyście zachowali absolutną dyskrecję w tej sprawie. Póki nie przedstawicie mi wystarczających i niezbitych dowodów, nie pozwolę, żeby zaczęto rozpowiadać na prawo i lewo, jakoby królewicz został otruty w Salamance.

- Jeżeli Wasza Ekszelencja uważa, że tak będzie lepiej, zachowam wszystko w jak największym sekrecie - obiecał na odchodnym Rojas.

\*\*\*

## Rozdział 13.

Rojas miał świadomość, że choćby nie wiem ile dowodów mu przedstawił, Diego de Deza nie da się łatwo przekonać, iż królewicz został otruty. Z całą pewnością biskup obawiał się, że jeśli to, co mówi Fernando, okaże się prawdą, straci zaufanie króla i królowej, co będzie oznaczać całkowite fiasko jego politycznych aspiracji. Rojas już od dawna wiedział, że różnica między nim a biskupem polega na tym, iż Diego de Deza działa, mając na uwadze jedynie swój własny interes, podczas gdy jego motywacją było zamiłowanie do prawdy. To jednak w tej chwili było mało ważne. Teraz należało przede wszystkim jak najszybciej złożyć wizytę owym dwu kobietom, które obcowały z królewiczem tamtej nocy.

Kiedy tylko Rojas znalazł się na podwórzu lupanaru, natknął się na Sabelę, rozczesującą włosy na słońcu. Po raz pierwszy widział ją teraz w świetle dziennym i całkiem nieumalowaną, gdyż dziewczyna, jak się zdaje, przed chwilą wyszła z łaźni. Wydała mu się o wiele piękniejsza niż tamtej nocy.

- Nie spodziewałam się, że tak szybko do nas wróćcie! - zawołała dziewczyna na jego widok.

- Tym razem to nie do was przychodzę - pospieszył z wyjaśnieniem Rojas.

- Naprawdę?! - wykrzyknęła z niezadowoloną miną.

- Ale być może będziecie w stanie mi pomóc - dodał, nie zdając sobie sprawy z popełnionego nietaktu. - Muszę się natychmiast zobaczyć z dziewczętami, które spędziły noc w towarzystwie królewicza. - Czyżby aż tak dobrze się o nich wyrażał? - spytała dziewczyna z ironią w głosie.

- Nie mam czasu na żarty - odparł zniecierpliwiony Rojas. - To sprawa życia lub śmierci.

- Cierpliwości. Zaraz zaprowadzę was do Rosy. Będziecie się musieli nią zadowolić, gdyż Alicja opuściła nas już kilka dni temu. Mieszkały w tej samej izbie.

- Czy powiedziała wam cokolwiek, nim odeszła? - dopytywał się dalej Rojas, nie mogąc ukryć zaskoczenia.

- Nie miała na to czasu. Wymknęła się, nawet nie żegnając z żadną z nas, zupełnie jakby przed czymś uciekała.

- A co w ogóle wiecie na temat tej kobiety?

- Prawdę powiedziawszy, niewiele; tyle tylko, że zawsze miała pecha.



- Co chcecie przez to powiedzieć?

- Nic takiego. Ale patrzcie, oto i pokój Rosy - zmieniła temat, wskazując drzwi jednej z izb, tej samej, w której gościł przed kilkoma dniami królewicz.

Następnie zapukała do drzwi i spytała koleżankę, czy może otworzyć, gdyż przyszedł męczyzna pragnący z nią pomówić.

- Dobrze, wpuście go - zawołała Rosa z pokoju.

- Gdybyście mnie potrzebowali, będę na podwórzu - rzekła jeszcze przed odejściem Sabela.

Dziewczyna siedziała na łożu, cerując tunikę. Była mniej więcej w tym samym wieku co Sabela, wyglądała jednak na znacznie starszą i przemądrzałą.

- Mam właśnie przerwę na odpoczynek, nie poinformowano was o tym? - burknęła na powitanie.

- Chciałbym tylko pomówić z wami przez chwilę - usprawiedliwił się Rojas. - Chodzi o coś naprawdę ważnego, choć nie macie się czym niepokoić.- Ja nic nie wiem o żadnych ważnych sprawach; wiecie przecież, czym się trudnię.

- Opowiedzcie mi, co się wydarzyło owej nocy, kiedy gościł tu królewicz.

- A co się niby miało wydarzyć? To samo, co zawsze.

- Ciekawi mnie, czy miało miejsce cokolwiek, co zwróciłoby waszą uwagę.

- Jeżeli chodzi wam o rozmiary królewskiego penisa lub jego męską potencję, muszę wyznać, oczywiście zachowując należyty respekt dla Korony, że nie zauważyłam nic szczególnego.

- Opowiedzcie mi wszystko po kolei.

- Czyżbyście się lubowali w plotkach - spytała pogardliwym tonem - lub należeli do owych ludzi, co odczuwają rozkosz, słuchając opowieści o tym, co czynią inni?

- Zapewniam was, że chodzi o coś naprawdę ważnego.

I że jeśli nie opowiecie wszystkiego mnie - spróbował pogrozić jej Rojas - będziecie musieli zdać sprawę sędziemu.

- W takim razie opowiem wam wszystko, co chcecie. Cóż mi innego pozostało?

- Mogę was zapewnić, że nie spotka was nic złego. A przy okazji oddacie nieocenioną przysługę Koronie.

- Dobrze już, dobrze. Jeżeli tak bardzo wam na tym zależy, opowiem wam, co się wydarzyło; nie mieszajcie mnie tylko w żadne intrygi.

- Macie na to moje słowo - zapewnił ją Rojas.

- W pierwszej chwili królewiczowi bardziej spodobała się Alicja, co mnie zresztą zbyt nie zmartwiło, bowiem na koniec doszliśmy do porozumienia, postanawiając podzielić po równo między siebie wszystkie jego podarki. Po tym, jak skończył obcować z Alicją, królewicz chciał spółkować ze mną, ale nie był w stanie. Poprosiłam go, żeby się nie przejmował i zaczekał, aż jego męskość wróci do formy, jednakza nic nie chciał dać za wygraną. Alicja, widząc, jak bardzo się męczy, oznajmiła, że posiada pewien specjalny balsam, który jest w stanie dać mu siłę najbardziej ognistego ogiera. Królewicz w pierwszej chwili trochę się wahał, jednak potem zrobił to, co zrobiłby każdy mężczyzna na jego miejscu, czyli postanowił spróbować. Alicja wydobyła słoje, który miała schowany pod łóżkiem i zaczęła smarować don Juanowi szmatką piersi i brzuch, starając się sama przy tym nie ubrudzić. Była to jakaś straszliwa mikstura - dodała - o bardzo nieprzyjemnym zapachu. Choć zdawało się, że królewiczowi sprawiało wyraźną przyjemność to jej smarowanie.

- Czy zauważyliście w owej chwili coś dziwnego w zachowaniu królewicza?

- Kiedy Alicja skończyła, powiedział, że czuje się zmęczony, co bardzo mnie ucieszyło, bowiem wcale mi się nie uśmiechało, żeby miał na mnie lec wysmarowany tym plugastwem. Po chwili stwierdził, że bardzo chce mu się pić i poprosił, żebyśmy posłały po wino. No a dalej sami wiecie już, co się stało.

- Czy zauważyliście, co zrobiła Alicja z resztą balsamu?

- Kiedy tylko królewicz się oddalił, schowała słoje z powrotem pod łóżkiem. Potem podzieliłyśmy się monetami, które dostałyśmy od don Juana, i poszłyśmy spać. Następnego dnia Alicja wyszła bardzo wcześnie i zdaje się, że poszła w kierunku mostu. Więcej jej tu nie widzieliśmy. To wszystko, co wam mogę opowiedzieć.

- A nie wydało wam się dziwne, że nie wróciła?

- Tutaj takie rzeczy zdarzają się bardzo często. Jedne dziewczyny odchodzą, a później wracają. Inne uciekają z jakimś niegodziwcem, który bałamuci je, a potem porzuca. Natomiast to, że odeszła, bardzo nie spodobało się naszemu patronowi w zamtuzie; najwyraźniej winna mu była jakieś pieniądze. W takich przypadkach zwykle czeka się trochę, żeby zobaczyć, czy aby nie wróci, bowiem dziewczęta, które z własnej woli wracają do domu, są potem uleglejsze. No ale jeżeli Alicja nie wróci, trzeba będzie znaleźć inną na jej miejsce.

- Czy moglibyście mi opisać Alicję?

- Ciemnowłosa, z czarnymi oczyma - zaczęła niechętnie dziewczyna - prosty nos, raczej wydatne usta. Mniej więcej tego samego wzrostu co ja; no, może odrobinę niższa i

trochę chudsza - dodała, dumna ze swoich bujnych kształtów - chociaż z większymi niż ja piersiami.

- Czy ktoś się o nią potem dopytywał?

- Może jakiś klient. No bo któżby inny?

- Dobrze. Proszę, nie mówcie nikomu o naszej rozmowie. Bo jeśli nie - przestrzegł ją - moglibyście mieć kłopoty.

- Nie martwcie się, mamy tu wystarczająco dużo kłopotów, żeby nie musieć szukać dodatkowych poza domem - odparła dziewczyna, wracając do szycia. - A teraz, za waszym pozwoleniem, muszę zacerować tę tunikę, bo używam jej do pracy.

Rojas nie miał już żadnej wątpliwości co do tego, że królewicz został otruty. Pozostawało mu tylko jeszcze ustalić czym, no i - przede wszystkim - dlaczego. Jaki powód mogła mieć ku temu dziewczyna, której królewicz nigdy wcześniej nie widział na oczy? Czyżby ktoś ją opłacił? To jasne, że wszyscy, którzy choć trochę znali następcę tronu, wiedzieli, że prędzej czy później będzie chciał odwiedzić lupanar i że, przy odrobinie szczęścia, będą tam mieli świetną okazję, żeby niepostrzeżenie targnąć się na jego życie. Któż jednak mógł za tym wszystkim stać?

Kiedy Rojas znalazł się ponownie na podwórzu, zobaczył, że Sabela karmi kury. Zatrzymał się na ganku obrośniętym winoroślą, żeby móc popatrzeć przez chwilę, jak biega za kurami niczym mała dziewczynka. - Już odchodzicie? - krzyknęła do niego, nie przestając gonić ptaków.

- Mam jeszcze mnóstwo roboty - poinformował ją Fernando. - Czy domyślacie się, gdzie mogła się udać Alicja?

- Nie - odparła. - Nie miałam z nią wiele do czynienia.

- Jeżeli przypomnicie sobie cokolwiek, co wydawałoby się wam ważne, albo gdyby pojawił się tu ktoś, pytając o nią, podejdźcie proszę do Kolegium Świętego Bartłomieja i zapytajcie o studenta o imieniu Hilario; on przekaże mi waszą wiadomość.

- A wy jak macie na imię?

- Nazywam się Fernando de Rojas.

- A możecie mi powiedzieć, czym się zajmujecie?

- Powiedzmy, że poszukiwaniem prawdy.

- To trochę dziwna profesja, zwłaszcza w świecie, w którym wszyscy bezwstydnie udają i kłamią - skomentowała ironicznie Sabela.

- Jeszcze się zobaczymy - powiedział na pożegnanie Rojas, kierując się w stronę bramy - Ach, jeszcze jedno - dodał wychodząc - wiem, że nie muszę wam tego powtarzać, ale proszę, żebyście z nikim nie rozmawiali o tym wszystkim.

Po drodze myślał o ostatnich słowach Sabeli: wystarczyło trochę poszperać, żeby zdać sobie sprawę, że wszystko było jedynie maską i przebraniem; w istocie nic nie było tym, na co na pierwszy rzut oka wyglądało. A jednak ktoś przecież musiał spróbować odkryć prawdę, choćby była nie wiadomo jak głęboko ukryta. Czy był jednak na to przygotowany? Stwierdził, że na razie musi się zastanowić: może w którejś z przeczytanych przez niego ksiązek była jakaś wzmianka na temat trującej rośliny albo substancji, która mogłaby działać przez skórę, a przy tym miała nieprzyjemny zapach; jednak absolutnie nic nie przychodziło mu do głowy. Poszedł więc do biblioteki kolegium i przeglądał od deski do deski szósty tom dzieł Dioskurydesa\*, mówiący o śmiertelnych truciznach oraz odtrutkach przeciw nim, nie znalazł jednak nic, co odpowiadałoby opisowi poszukiwanego przez niego specyfiku. Zawiedziony, właśnie miał się zabrać do przeglądania, nawiasem mówiąc, bez zbytniego przekonania, innych ksiąg traktujących o właściwościach ziół, kiedy stanął mu przed oczami fray Antonio. Jeżeli był ktoś, kto mógłby mu pomóc w tej sprawie, tym kimś był niewątpliwie brat zielarz z klasztoru Świętego Stefana.

\* Pedanius Dioskurydes (ok. 40 - ok. 90 n.e.) - grecki lekarz, botanik i farmakolog, żył i pracował w Rzymie. Był autorem pięciotomowego dzieła De Materia Medica przetłumaczonego w średniowieczu na kilka języków (m.in. arabski) i szeroko używanego w Europie do XVII w. Zawiera opisy około 600 ziół leczniczych, 90 minerałów i 30 innych substancji pochodzenia zwierzęcego. Dioskurydes dużo podróżował po krajach basenu Morza Śródziemnego, przez jakiś czas, za cesarza Nerona, mieszkał też i pracował w Rzymie.

O dziwo nie znalazł go w ogrodzie, lecz spoczywającego na posłaniu w celi i otoczonego gęstą chmurą dymu z liści tabaco. Miał przymknięte oczy i rozanielony wyraz twarzy.

- Wybaczcie, że przeszkadzam w waszych sennych marzeniach na jawie - rzekł Rojas, ledwie przekroczywszy próg celi.

- Jakże się cieszę, że was widzę, drogi przyjacielu. Wy nigdy mi nie przeszkadzacie...

- Co wiecie na temat trucizn? - spytał Fernando, przechodząc natychmiast do rzeczy.

- Czyżbyście uważali, że liście tabaco to trucizna?! - wykrzyknął zdumiony dominikanin.

- Proszę, żebyście wybaczyli mój brak opanowania; moje pytanie nie ma nic wspólnego z waszymi błogosławionymi liśćmi.

- W takim razie muszę wam wyznać - zaczął fray Antonio - że jest w nich coś, co powoduje ciągle pragnienie wdychania tego dymu; jakaś substancja, która sprawia, że jeśli choć jeden raz ich zakosztujesz, nie możesz potem przestać. Od kiedy po raz pierwszy uległem tej pokusie...

- Jeżeli nie macie nic przeciwko temu - przerwał mu Fernando - opowiecie mi to przy innej okazji. Teraz musimy zająć się człowiekiem, który znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Być może uda nam się zrobić coś, co mogłoby go uratować lub przynajmniej ulżyć mu w agonii.

- Czyżby chodziło o królewicza? - spytał fray Antonio, zrywając się z posłania.

- Skąd wiecie?

- Wszyscy w Salamance bez przerwy rozprawiają o jego chorobie.

- W każdym razie proszę, byście zachowali naszą rozmowę w tajemnicy. Jestem przekonany, że królewicz został otruty, nie wiem jednak czym. Dlatego pomyślałem sobie, że być może wy moglibyście mi pomóc. Wiecie przecież tak wiele na temat roślin i innych rozmaitych substancji.

- Oczywiście zrobię to, o co mnie prosicie, chociaż muszę przyznać, że trucizny to nie moja specjalność. Czytałem co prawda na ich temat wszystko, co napisał Dioskurydes, zresztą pewnie już zdążyliście zajrzeć do jego dzieła, ponadto zebrałem też nieco informacji w klasztorach, które udało mi się odwiedzić w życiu, oraz w kilku innych miejscach, jakie ogólnie moglibyśmy określić mianem non sanctos.

- Czy słyszeliście kiedykolwiek o jakiejś truciznie lub jądzie, który wcierałoby się przez skórę w postaci smarowidła i który wydzielałby silny i nieprzyjemny zapach?

- Coś jak zepsute jaja? - spróbował uściślić fray Antonio.

- No właśnie! - przytaknął Rojas.

- Obawiam się, że substancja, której szukacie, nie ma nic wspólnego ani z ziołami, ani z żadnym zwierzęcym jadem. To zapewne minerał, najprawdopodobniej realgar, zwany również sandakiem, lub też inny, znany jako aurypigment. Są one bardzo do siebie podobne; różni je jednak kolor, gdyż jeden jest czerwony, a drugi najczęściej żółty. Obydwa znaleźć można w kopalniach lub jaskiniach; rahj al ghar to arabska nazwa znacząca właśnie „jaskiniowy pył”. Po starciu na proszek można je zmieszać z oliwą lub baranim łojem, uzyskując coś w rodzaju kleistego smaru podobnego do oleju zmijowego. Jeśli rozsmaruje się go na skórze ofiary, zostaje wchłonięty przez pory, przenikając do krwi i do głównych narządów. Dla zamaskowania wstrętnego zapachu używa się go zwykle wespół z jakimś aromatycznym olejkiem, na przykład oleum lavandulae.

- Zupełnie zapomniałem wam o tym wspomnieć - przyznał Rojas. - Odór smarowidła był pomieszany z zapachem lawendy.

- Moglibyśmy mieć też do czynienia - ciągnął dalej zakonnik - choć to raczej wątpliwe, z substancją zwaną sublimatem i będącą pochodną rtęci, czyli żywego srebra. Nazywa się tak ze względu na sposób otrzymywania, który polega na poddaniu rtęci działaniu ognia aż do uzyskania substancji lotnej, w podobny sposób, w jaki czynią to alchemicy. Sublimat jest równie skuteczny jak dwie poprzednie trucizny, nie ma jednak równie ostrego zapachu; poza tym niełatwo się nim posługiwać.

- Czy istnieje jakieś antidotum na tego rodzaju trucizny?

- Nie ma na nie odtrutek w dosłownym tego słowa znaczeniu, a to, że stosuje się je zewnętrznie, znacznie utrudnia ich wydalanie. Kiedy trucizna przeniknie przez skórę do wnętrza ciała, właściwie nic już nie da się zrobić. Jad powoli niszczy główne narządy wewnętrzne, a ofiarę czeka długa i straszliwa agonía. Poza tym objawy z łatwością można pomylić z objawami najrozmaitszych dolegliwości; dlatego te środki są tak bardzo niebezpieczne.- Czy ma to oznaczać, że dla królewicza nie ma już ratunku?

- Obawiam się, że jeżeli użyto którejs z tych właśnie trutek, pozostało nam jedynie modlić się, żeby jego męki trwały jak najkrócej. W rzeczywistości bowiem królewicz jest już od dawna martwy.

- Pomyśleć tylko, że mogłem mu tego wszystkiego oszczędzić! - wykrzyknął Rojas, całkiem załamany. - Znalazłem się razem z nim w sypialni tuż po tym, jak zaaplikowano mu truciznę, ale byłem przekonany, że nieprzyjemny zapach i lepkość skóry były objawami choroby. Cóż ze mnie za głupiec! Chodziłem przecież na zajęcia z medycyny i powinienem był zdać sobie sprawę z tego, co się wydarzyło.

- Nie mogliście przecież wiedzieć, że chodzi o truciznę, nie mówiąc już o truciznie tego rodzaju. Nawet Dioskurydes tylko mimochodem wspomina w swoich księgach o istnieniu tych środków i to w rozdziale opisującym leki uzdrawiające, gdyż wiecie zapewne, że ta sama substancja może służyć jako lekarstwo i jako śmiertelna trucizna, w zależności od tego, jak się ją przyrządzi i zaaplikuje. No a sublimatu w czasach Dioskurydesa nie znano.

- A jednak nie powinienem był...

- Teraz na pewno nie powinniście się tym zamartwiać - przerwał mu zakonnik. - Jedną z prawd, jakich jeszcze nie zdążyliście się nauczyć, być może nawet najważniejszą, jest to, że nie wszystko można znaleźć w księgach, nie o wszystkim też wyklada się na Uniwersytecie; również samo życie jest dla nauki nauczycielem, a wy jesteście jeszcze bardzo młodzi. Poza tym nie zapominajcie, że jak dotąd jesteście jedyną osobą, która w ogóle zorientowała się, co

się wydarzyło, co oznacza, że macie wielki talent do obserwacji i wyciągania wniosków.-  
Czemu jednak służą me zdolności, jeśli jest za późno, żeby czemukolwiek zaradzić?

- Waszą misją nie jest to, żeby unikać zdarzeń, tylko żeby stwierdzić, co się wydarzyło, oraz jeżeli to możliwe, pomóc w pojmaniu winnych. Tylko w ten sposób możemy oddać sprawiedliwość ofiarom, przynajmniej tutaj, na ziemskim padole. Ani my, ani nikt inny nie jest w stanie uniemożliwić ludziom popełniania przestępstw. Nawet Bóg, mając do dyspozycji całą swoją wielką moc, nie może im zapobiec, w przeciwnym razie zostalibyśmy bowiem pozbawieni naszej wolnej woli.

- Mając na względzie moje własne dobro, żywię nadzieję, że macie rację. Późno już, pora na mnie - dodał. - Być może teraz, wiedząc już, z jakim rodzajem trucizny mamy do czynienia, medycy będą mogli przynajmniej ulżyć królewiczowi.

Kiedy tylko Rojas dotarł do pałacu, przedstawił biskupowi rezultaty swoich indagacji, ten jednak, straciwszy zupełnie panowanie nad sobą, w żaden sposób nie chciał ich przyjąć do wiadomości.

- Chcesz, żebym uwierzył, że don Juan został otruty smarowidłem przez jakąś ladacnicę? - skwitował oburzony.

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa - wyjaśniał Rojas - ktoś zapłacił tej kobiecie za to, co zrobiła, choć jest to jeden ze szczegółów, które muszę jeszcze dokładnie wyjaśnić. Jeżeli zaś chodzi o truciznę...

- Na Boga, zapomnijcie o całym tym szalonym pomysle!

- Przykro mi, ale nie mogę - nalegał Rojas. - Wasza Ekscelencja musi mi zaufać. Stosownie poinformowałem się w tej kwestii i nie ma absolutnie żadnych wątpliwości co do rodzaju trucizny, choć niestety jest już za późno, żeby uratować życie królewicza. Jako gospodarz, przyjaciel i preceptor następcy tronu Wasza Ekscelencja ma obowiązek zbadać, co się wydarzyło.- Musicie wiedzieć, że wszyscy lekarze, i to bez wyjątku, stanowczo zaprzeczają, jakoby mogło chodzić o otrucie - usprawiedliwił się biskup. - Pomimo to zastosowali wszystkie możliwe środki, ale, jak można się było spodziewać, bez żadnego rezultatu. Większość z nich uważa, że mamy do czynienia ze zwykłym napadem gorączki, choć istnieją różnice zdań co do przyczyny. Możliwe, że przyjazd ojca, naszego miłościwego króla, sprawi, że don Juan wróci do zdrowia.

Tutaj Diego de Deza wyjaśnił Fernandowi, że tuż przed jego powrotem otrzymał pismo zawiadamiające, że król jest już w drodze. Z tego, co wiadomo, don Fernando wyjechał z Walencji de Alcantara natychmiast po otrzymaniu alarmującego listu od prałata, w którym prosił go o przybycie do łoża chorego syna. Ponadto królowi towarzyszył królewski medyk i

sekretarz, doktor Juan de la Parra. „Jak wiadomo, z pochodzenia konwertyta”, dorzucił biskup z przekazem. Z treści listu wynikało, że obawiając się, iż nie uda im się dotrzeć na czas, jechali co koń wyskoczy, co kawałek zmieniając podwody. Stąd też oczekiwano, że lada chwila pojawią się w pałacu.

- Proszę was, byście pomogli mi zorganizować ich wizytę.

Kiedy w końcu zjawił się król, królewicz był już umierający, choć ciągle jeszcze świadomy. Na jego widok don Fernando padł na kolana u brzegu łoża i, tonąc we łzach, mocno przytulił syna. Potem próbował podnieść go na duchu, błagając, by nie tracił nadziei, gdyż to dzięki niej niejedyn ciężko chory jest w stanie powrócić do zdrowia.

- Przypomnij sobie, jak kilka lat temu targnięto się na moje życie w Barcelonie - dorzucił. - Byłeś tam ze mną i powiedziałaś mi wtedy z wielką powagą, że życie uratował mi ów złoty łańcuch o grubych ogniach, który naonczas nosiłem na szyi i który potem złożyłem w ofierze klasztorowi w Montserrat. Błagam cię więc, żebyś i ty zaufał teraz Bożej Opatrzności.

Wszystko to jednak na nic się zdało. Królewicz, wzruszony słowami ojca, którego ledwo zdołał rozpoznać, niedługo potem skonał w jego ramionach, pocieszany przez biskupa, gdyż nawet doktor De la Parra nie był w stanie uczynić absolutnie nic, żeby go ratować. Oprócz nich czuwali w owej chwili przy królewiczu: jego żona, księżniczka Margarita, dyżurni lekarze, kilku dworzan i służących, bardzo zasmucony profesor Pedro Martir de Anghiera\* oraz Rojas. Ten ostatni, wzruszony, zaczął powtarzać w myślach strofy wiersza swego ukochanego Jorgego Manriquego, jakby chodziło o słowa modlitwy:

Niech pomni uśpiona dusza, niech myśl ożywi, niech się ocknie, niech spojrzy, jak się życie wykrusza i wszystko śmierć chłonie, w wielkiej ciszy...\*\*

\* Pedro Martir de Anghiera (1457-1526) - z pochodzenia Włoch, nadworny kapelan Królów Katolickich; historyk hiszpańskiej konkwisty, jako pierwszy nazwał ląd odkryty przez Kolumba Nowym Światem (Mundus Novus). W późniejszym okresie został członkiem Rady Indii powołanej przez króla Carlosa V (późniejszego cesarza Karola V).

\*\* Cytat pochodzi z pierwszych strof słynnego wiersza Jorgego Manriquego (1440-1479) Coplaspor la muerte de supadre (Strofy na śmierć ojca).

Był 4 października, dzień świętego Franciszka z Asyżu, który nie był bynajmniej świętym szczególnie miłym sercu biskupa. Król rozkazał, by w listach do królowej przemilczano na razie smutną nowinę. Zgodnie z jego wolą i aż do odwołania w kierowanych do niej pismach informowano o postępującym nasilaniu się choroby królewicza, mając nadzieję, że w ten sposób zarówno ona, jak i królewskie córki przygotują się powoli na



fatalny finał. Diego de Deza uparł się, żeby samemu obmyć ciało zmarłego i odziać je w dominikański habit, zamiast, jak kazał zwyczaj, w habit świętego, w którego dniu odszedł z tego świata.

\*\*\*

## Rozdział 14.

Zwłoki następcy tronu zostały przetransportowane do katedry o świcie 5 października. Odbyło się to bez uroczystej procesji, jedynie w obecności króla, księżniczki Margarity (która na tę okazję przywdziała habit z białej zgrzebnej wełny podbity czarnym futrem), biskupa oraz kilku innych najbliższych królewiczowi osób, wśród których nie zabrakło rzecz jasna Rojasa, a także, co zwróciło szczególną uwagę wszystkich zebranych, żałośnie wyglądającego Brutusa, wiernego psa don Juana, którego nie zdołano w żaden sposób odciągnąć od zwłok jego pana (Brutus był chartem niezbyt wielkich rozmiarów o sierści w białoczarne łaty, silnych kończynach i nieszczęśliwie urodziwej mordzie).

Królewicz został pochowany przed głównym ołtarzem, u stóp fresku przedstawiającego Sąd Ostateczny. Dla wielu poddanych uczestniczących w uroczystościach pogrzebowych wraz z następcą tronu legły tam, aczkolwiek nie na długo, wszystkie nadzieje Kastylii.

Po pogrzebie król ruszył na spotkanie królowej i córek, infantek doñi Marii i doñi Cataliny, żeby osobiście przekazać im tragiczną nowinę i spróbować jakoś je pocieszyć. Tymczasem mieszkańców Salamanki raz jeszcze obudziły dźwięki dzwonów żałobnych, do których wkrótce dołączyły się głosy heroldów przemierzających miasto wzdłuż i wszerz ze smutnym orędziem i związanymi z nim jeszcze smutniejszymi zarządzeniami: Słuchajcie, słuchajcie, słuchajcie, mieszczki i mieszczanie, bo naturalnym jest i niechaj i tu tak się stanie, że gdzie najdotkliwsza objawia się szkoda, by tamże panowała największa żałoba, zwłaszcza kiedy wasale, mieszczanie i wieśniacy Najjaśniejszego swego Pana tracą; dlatego niech wiedzą wszyscy mieszkańcy prześwietnego miasta Salamanki oraz jej okolic, że dekretem kapituły katedralnej, corregidora oraz rajców miejskich zarządza się, że jutro, to jest w sobotę, podczas nieszporów, oraz w najbliższą niedzielę podczas sumy odprawione zostanie nabożeństwo żałobne za duszę przedwcześnie zgasłego królewicza don Juana, władcy Salamanki, który znalazł wieczny spoczynek w naszej prześwietnej katedrze.

W tym celu wspomniani członkowie kapituły, corregidor oraz rajcy miejscy dysponują, żeby wszyscy mieszkańcy Salamanki oraz jej okolic stawili się na nabożeństwie żałobnym, o którym wcześniej była mowa; żeby ci, co mogą, stawili się w białych szatach żałobnych ze zgrzebnego samodziału, a reszta z głowami przysłoniętymi kapturem, jak już wcześniej zarządzono i ogłoszono. Żeby panny i zamężne niewiasty oraz ich córki

przywdziały żałobne welony, a dziewczki służebne stawily się z głowami okrytymi czarnymi chustkami, pod groźbą utraty całego swego stroju, gdyż wszyscy nieodzownie i bez wyjątku okazać mają smutek i ból z powodu utraty swego Pana i Władcy. Ogłasza się też wszem i wobec, że uroczystość ta jest ostatnią, podczas której w Kastylii wdziewa się na znak żałoby szaty z białego samodziału, zgodnie z pradawnym zwyczajem naszego królestwa.

Ponadto członkowie kapituły, corregidor oraz rajcy miejscy nakazują, żeby teje soboty w południe zamknięte zostały wszystkie sklepy, kramy i warsztaty, pozostając nieczynne do poniedziałku rano, pod karą grzywny dwóch tysięcy marawedich, przeznaczoną na roboty publiczne w mieście.

Ponadto członkowie kapituły, corregidor oraz rajcy miejscy nakazują, żeby nikt, bez względu na swą wiarę, dostojęństwo, kondycję, stan czy urząd, nie miał na sobie żadnych klejnotów - ani ze srebra, ani ze złota czy pereł, ani strojów ze zdobnych czy strojnych tkanin lub z jedwabiu w radosnych kolorach, pod karą ich utraty.

Ponadto członkowie kapituły, corregidor oraz rajcy miejscy nakazują, żeby odtąd i aż do odwołania żaden krawiec nie ośmielił się skroić ani uszyć ubiorów z jedwabiu, szkarłatu ani innej tkaniny w radosnych kolorach, pod karą utraty równowartości uszytych w ten sposób ubiorów na rzecz garderoby Ich Królewskich Mości.

Ponadto, jako że w czasach naznaczonych bólem, smutkiem i żałobą nie ma miejsca na przyjemności i uciechy, nakazuje się, żeby odtąd i do odwołania wszelkie uroczystości zaręczynowe, ślubne oraz chrzciny odbywały się bez udziału kobz ani tamburynów, ani fujarek, ani lutni, ani żadnych innych uciesznych instrumentów, i że wspomniane uroczystości mają się odbywać dyskretnie i w jak najmniejszym gronie, bez tańców i śpiewów w budynkach ani poza nimi, a wszystko to pod karą odebrania winnemu czwartej części jego majątku i przekazania go na rzecz wspomnianej wcześniej garderoby; i że na tego, kto by grał na którymś z wymienionych instrumentów, nakłada się tę samą karę, a w razie gdyby własnego mienia nie posiadał, karę stu batów.

Ponadto nakazuje wspomniany już pan corregidor, żeby wszyscy Moryskowie zamieszkujący w mieście i jego okolicach naszyli na swe stroje żałobne z samodziału znak niebieskiego półksiężyca, pod dotychczas obowiązującymi karami, tak żeby mogli być w każdej chwili rozpoznani pośród chrześcijan jako Moryskowie.

Wydane z tej okazji edykty z obowiązującymi restrykcjami zostały również wywieszane na bramach katedry oraz na drzwiach najważniejszych kościołów parafialnych miasta, w kaplicy Świętego Hieronima i w kaplicy Orła, na słupach przed poszczególnymi wydziałami Uniwersytetu, na rogu ulicy Traviesa, na studni przed szpitalem uniwersyteckim,

na bramie magistratu i w kilku innych miejscach na placu Świętego Marcina, tak żeby nikt nie mógł się później wymawiać, twierdząc, że się o tych zarządzeniach nie dowiedział.

Kiedy kilka dni później w mieście pojawił się król z królową oraz infantkami, Salamanka zdążyła się już przeobrazić w miasto pogrążone w smutku i zgryzocie. Panujący tu zwykle gwar zastąpiła sztuczna i krępująca cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu biciem dzwonów, a różnorodność ludzi i ubiorów ustąpiła miejsca monotonii strojów żałobnych. Zaraz po przyjeździe Ich Królewskie Mości udały się na grób królewicza don Juana, przykryty teraz brokatowym kobiercem i pilnie strzeżony przez wiernego stróża, charta Brutusa, który zwinięty w kłębek na wysokiej poduszce ułożonej specjalnie dla niego obok nagrobnej płyty, nie oddalał się ani na krok od swego pana, chyba że musiał wyjść za potrzebą lub żeby powoli i bez apetytu zjeść kości, które wzruszeni mieszczanie zostawiali dla niego przed bramą katedry. Oplakawszy śmierć syna i brata, rodzina królewska udała się do pałacu biskupiego, gdzie Diego de Deza po raz kolejny zrelacjonował im, ze łzami w oczach, wszystkie szczegóły okrutnej choroby, która przedwcześnie zabrała następcę tronu, przy czym, rzecz jasna, zachował dla siebie wszystko to, co w tej materii udało się odkryć Rojasowi.

W ciągu następnych kilku dni, które król i królowa spędzili w Salamance w towarzystwie biskupa, Rojasa oraz kilku innych zaufanych osób, bez przerwy odbierali kondolencje i wyrazy współczucia pochodzące z rozmaitych zakątków ichrozległego królestwa oraz z niektórych ambasad. W listach informowano ich również o przyjmowanych oznakach żałoby, o których istnieniu mogli się zresztą naocznie przekonać: w bramach miast i miasteczek wywieszano czarne flagi, wieśniacy i rzemieślnicy na dobrych kilka dni przerywali pracę, ludzie przemierzali się po gościńcach ubrani w czarne płaszcze i kaftany, moiżni dosiadali koni przystrojonych w sięgające kolan czarne sukienne derki...

Tymczasem niemal natychmiast po pogrzebie po Salamance zaczęła krążyć plotka, jakoby królewicz został otruty jakimś jadowitym zieleń przez konwertytów, którzy, jak niosła wieść, mieli się w ten sposób zemścić na nim za to, że tak źle się z nimi obchodził. Rojas słyszał nawet na własne uszy, jak na targu odśpiewywano romans, w którym winą za śmierć następcy tronu obarczano doktora Juana de la Parrę, którego postać mieszała się w słowach pieśni z figurą Rodriga de Basurto, jako że medykwowi przypisywano zdolności wróżbiarskie:

Smutne, och jakże smutne wieści wiatr po Kastylii niesie, że królewicza don Juana złożyła niemoc straszna.

Czterech medyków go leczy, czterech najlepszych w Hiszpanii: jeden z nich puls mu mierzy, drugi przypatruje się twarzy, trzeci zaś misę dzierży z krwią, która chorego płami.

Brakuje tu tylko jeszcze doktora De la Parry wielkiego medyka i wieszcz, najlepszego z lekarzy.

Doktor sublimat ma w dłoni, do ust don Juanowi go wkłada, Trzy godziny i będzie po nim a wybił już trzeci kwadrans.

Naturalnie w związku z owymi plotkami wielu, nawróconych zostało aresztowanych i poddanych torturom, jednak na koniec uwalniano ich od wszystkich zarzutów i puszczano wolno, gdyż, jak stwierdzał broniący ich Alonso Juanes, nie mogli być więzieni jako winni zbrodni, której nie popełniono. Również Basurto został zwolniony z więzienia i powrócił do Kolegium Świętego Bartłomieja, gdzie zwierzył się Rojasowi, że odtąd ma zamiar wystrzegać się przepowiadania tego rodzaju wydarzeń, gdyż gdy wróżba się nie sprawdza, uważa się go za skompromitowanego, natomiast jeśli okazuje się, że słusznie przewidział, wszyscy wokół stwierdzają, że pewnie sam maczał palce w wypadku.

Oczywiście król i królowa nie dali wiary tak niedorzecznym plotkom, a co za tym idzie, samemu pomysłowi, że królewicz mógł zostać otruty, co, ma się rozumieć, bardzo ucieszyło Diega de Dezę.

Tak więc, wróciwszy do sił i wydawszy odpowiednie instrukcje co do ostatecznego pochówku syna, Isabel i Fernando postanowili powrócić, wraz z córkami i księżniczką Margaritą - która, jak się okazało, rzeczywiście była przy nadziei - do Alcala de Henares, gdzie mieli nadzieję znaleźć pocieszenie ze strony Francisca Jimeneza Cisnerosa, spowiednika królowej i arcybiskupa Toledo. Pomysł ten niezbyt przypadł do gustu biskupowi Salamanki, gdyż, po pierwsze, Cisneros był franciszkaninem, a po drugie, od czasu kiedy ich drogi zeszyły się w Kolegium Świętego Bartłomieja, Diego de Deza uważał go za swojego głównego rywala.

Przy grobie królewicza pozostał jedynie jego wierny chart, jako że królowej żal było oddzielać go od dawnego pana. Za każdym razem, kiedy próbowała zabrać go z katedry, pies powracał na swoje miejsce w pobliżu płyty nagrobnej i kładł się na poduszce. Leżał tam ze spuszczoną głową i z tak niesamowicie smutnym wyrazem ślepi, że aż przykro było na niego patrzeć.

Pewnego popołudnia, w porze sjeisty, w Kolegium Świętego Bartłomieja pojawił się zakrystian z katedry, dopytując o Rojasą. Przysyłali go biskup wraz z księdzem kanonikiem. Okazało się, że godzinę wcześniej, zaalarmowany szczekaniem psa, zakrystian wszedł do świątyni, żeby sprawdzić, co się dzieje, i oczom jego ukazała się sylwetka studenta

umykającego przez bramę od strony Azogue. W ślad za nim podążał dzielny chart, któremu udało się złapać scholara zębami za połę płaszcza i za nic nie chciał puścić swej zdobyczy. Zakrystian rzucił się za nimi w pogoń, jednak kiedy wybiegł na plac, zarówno po studencie, jak i po psie nie było już ani śladu. Niedługo później Brutus wrócił do katedry, dumnie niosąc w pysku kawałek sukna, jakby to było świeżo upolowane zwierzę lub jakieś inne imponujące trofeum.

Dotarłszy do świątyni, Rojas zaczął się bacznie rozglądać i już po chwili zauważył, że ktoś ruszył z miejsca płytę nagrobną i że wokół widnieją liczne krople krwi, co wskazywałoby, że Brutus ugryzł napastnika. Zaintrygowany, zaglądnął do wnętrza grobowca, odkrywając, że na prawym policzku nieboszczyka widnieje identyczne nacięcie, jak to, które wcześniej zaobserwował u fray Tomasa. Spróbował więc teraz dotknąć po omacku jego ust, gdzie natychmiast wyczuł kształt znajomego miedziaka na języku. Trochę trudniej przyszło mu odebranie Brutusowi tego, co tak uparcie trzymał w zębach, gdyż pies za nic nie chciał dać się przekonać, że ów brudny kawałek szmaty może się okazać niezwykle przydatny przy poszukiwaniach człowieka, który sprofanował grób jego pana.

Chociaż nowe odkrycia zdawały się w pełni potwierdzać teorię o otruciu królewicza, Rojas czuł się coraz bardziej zbity z tropu. Po pierwsze sam fakt, że student pojawił się w katedrze, żeby przypieczętować swym charakterystycznym znamieniem nową zbrodnię, nie tylko niczego nie wyjaśniał, ale wręcz przeciwnie: stawiał cały szereg nowych znaków zapytania. Czy mogło chodzić o spisek przeciwko Kościołowi lub Koronie? A jeśli tak, to dlaczego spiskowcy nie dali do tej pory żadnego znaku życia, dlaczego nie próbowali w jakiś sposób wykorzystać swoich czynów? Czyżby przygotowywali następne zabójstwa? I co miały oznaczać owe ślady pozostawiane na zwłokach? Czy rzeczywiście stanowiły coś w rodzaju podpisu, czy też były skierowane do kogoś, kto będzie umiał je zinterpretować i nadać im sens? Czy istniał jakikolwiek związek łączący królewicza z fray Tomasem, czy też śmierć tego ostatniego miała jedynie stanowić ostrzeżenie, swego rodzaju preludium do „właściwego” zabójstwa? Czy teraz, kiedy pojawiły się nowe dowody potwierdzające, że don Juan został otruty, należało nadal trzymać ten fakt w ukryciu, oczekując, że przestępcy, widząc, iż ich zbrodnia została odkryta, zrobią jakiś fałszywy krok i sami się zdemaskują, czy też lepiej od razu wszystko publicznie wyjawić? W rzeczy samej, Fernando nie był pewien niczego i nie omieszkał zwierzyć się z tego Diegowi de Dezie, który pomimo ciągle narastających plotek i związanego z nimi ryzyka zdecydował w końcu, że lepiej będzie nadal utrzymywać sprawę w sekrecie.

Jednak ani Rojas, ani biskup nie byli w stanie zapobiec temu, że wieść o zajściu w świątyni doszła do uszu króla i królowej. Monarchowie dowiedzieli się o wszystkim od kanonika katedry i natychmiast postanowili wziąć sprawę we własną rękę, nakazując czym prędzej przewieźć zwłoki syna do klasztoru Świętego Tomasza w Avili, gdzie miano go definitywnie pochować. 2 listopada doña Isabel wystosowała krótki list do księdza kanonika, oficjalnie prosząc o zgodę na przenosiny. Zaraz po jego otrzymaniu i skonsultowaniu sprawy z biskupem oraz z wysłannikiem Ich Królewskich Mości, Juanem Velazquezem, kanonik wyznaczył datę 8 listopada na uroczyste wyprowadzenie zwłok z katedry. W przeddzień tego smutnego wydarzenia biskup wezwał Rojasa do siebie do pałacu.

- Czy to prawda, że Wasza Ekszelencja również wyjeżdża?

- zapytał Dezę po wymianie przepisowych uprzejmości.

- W rzeczy samej - odparł biskup cierpko. - Nie mam zamiaru zostać ani minuty dłużej w tym tak nieżyczliwym i niewdzięcznym mieście. Bóg mi świadkiem, że miałem dla Salamanki wielkie plany, jednak wszystkie one skończyły, za przeproszeniem, w rynsztoku.

- A co będzie dalej z zadaniem, które Wasza Ekszelencja powierzył mi swego czasu?

- O tym właśnie chciałem z wami mówić. Oczywiście będziecie się dalej zajmować tą sprawą, aż do chwili pojmania sprawców. Teraz jednak rzeczy mają się nieco inaczej, bowiem nie chodzi nam jedynie o wykrycie, kto stoi za zabójstwem królewicza i fray Tomasa, jeżeli w ogóle są to te same osoby, lecz będziecie musieli również stwierdzić, kto i jakie intrygi knuje w obecnej chwili w mieście. Jesteśmy to dłużni Ich Królewskim Mościom, a poza tym jest to jedyny sposób na to, żebyśmy mogli odzyskać ich przychyłność. Jeżeli rzeczywiście, broń nas Panie Boże, mamy do czynienia ze spiskiem, musimy o tym wiedzieć jako pierwsi. Jak sami kiedyś rzekliście, nie możemy oczekiwać, że wszystko załatwią za nas donosy i oskarżenia, które zresztą w większości są interesowne lub fałszywe. Musimy koniecznie sami dowiedzieć się o wszystkim i to, jeżeli to tylko możliwe, zawczasu.- Cóż więc mam czynić? - zaczął się niecierpliwić Rojas.

- Wyostrzyć słuch i mieć oczy szeroko otwarte. I w stosownej chwili znaleźć się w odpowiednim miejscu. W tym celu musicie wkraść się w łaski tutejszych kół heretyków, jak również dobrze pilnować profesorów oraz waszych kolegów z Uniwersytetu: wszystkich, którzy wydadzą wam się podejrzani. Nie możecie też zapomnieć o konwertytach.

- Czyżbyście podejrzewali...?

- Nie obrażajcie się, proszę - przerwał mu biskup, gdyż dobrze wiedział, co Rojas ma na myśli. - Nie ma to absolutnie nic wspólnego z incydentem w więzieniu inkwizycji. Mnie ten komisarz jeszcze mniej się podobał niż wam; dokonane przez niego aresztowania były nie

tylko niesprawiedliwe, ale również mało wybiórcze, przez co jego działalność była ze wszech miar nieskuteczna. Dlatego też zażądałem, by go przeniesiono. Problem z nawróconymi nie polega jednak jedynie na tym, że mogą próbować powrócić do swej starej religii, mniej lub bardziej judaizując; tę sprawę mamy już pod jaką taką kontrolą. Teraz prawdziwym niebezpieczeństwem jest to, że niektórzy z nich zamierzają zreformować naszą wiarę. Możecie mi wierzyć, że wystarczą nam zupełnie fałszywe głosy podnoszące się wśród prawowiernych wyznawców naszego własnego Kościoła. Jeżeli pragniemy silnej Korony, potrzebujemy zwartej i jednolitej Kościoła. Naszym ostatecznym celem jest zbudowanie jednego królestwa z jedną religią i w tym względzie krzyż będzie zawsze wiernym towarzyszem miecza.

- Wasza Ekscelencja sugeruje więc, żebym stał się czymś w rodzaju...? - zawahał się Rojas.

- Czymś w rodzaju „szpiega”- biskup wpadł mu w słowo. - To znacznie mniej rażące określenie, niż to, które macie na myśli.- Ale przecież najpewniej wszyscy ci ludzie dobrze mnie znają i nie będą chcieli zaufać scholarowi od Świętego Bartłomieja.

- Pomyślałem już i o tym i zdaje mi się, że możemy się z tym problemem uporać w dość łatwy sposób. Jutro skoro świt przeniesiecie się do bursy bakałarza Velasco, gdzie macie już zarezerwowaną izbę. Zeby was odpowiednio zabezpieczyć, puścimy w mieście plotkę, że zostaliście wydaleny z Kolegium Świętego Bartłomieja z powodu waszych heretyckich poglądów i podejrzanego zachowania. Jak mniemam, otworzy to przed wami niejedno serce, co w naszej sytuacji może się okazać niezwykle korzystne. Musicie jednak zawsze działać z należytą ostrożnością, bowiem, jak sobie możecie łatwo wyobrazić, mamy w tej sprawie wiele do stracenia.

- Rozumiem - Rojas nie był w stanie wydusić z siebie nic więcej, myśląc o tym wszystkim, co go teraz czeka.

- Oczywiście nie jesteście już nadetatowym zausznikiem Świętego Oficjum, jako że śmierć królewicza znajduje się poza jurysdykcją inkwizycji. Choć wasze nowe stanowisko nie jest niczym oficjalnym, macie placet na robienie czegokolwiek, co uznacie za stosowne, z zabijaniem włącznie, jeżeli zaszłaby taka potrzeba. A teraz pozwólcie - dodał, zmieniając ton swej wypowiedzi - że przejdziemy do bardziej praktycznych aspektów waszej misji. Od tej chwili nie możemy się już więcej widywać, stąd też będziemy się porozumiewać przez jednego z moich sekretarzy; on będzie wiedział, gdzie was szukać. Gdybyście to wy chcieli się z nim skontaktować, zostawcie wiadomość w domu woźnego Uniwersytetu. Wasze zadanie nie oznacza, że będziecie musieli porzucić studia. Wręcz przeciwnie: będzie to



najlepsze alibi na czas trwania misji, którą wam powierzam. I jeszcze jedno: błagam, uzyskajcie wreszcie tytuł bakałarza praw! Uczycie się w Studium Generale już od dziesięciu lat i prowadziliście przecież nawet jakieś lekcje. Oczywiście postaram się zapewnić wam jak najlepsze warunki do nauki, zaopatrzę was również w środki na pokrycie wszystkich kosztów waszych działań. Dostaniecie wszystko, czego będziecie potrzebowali, musicie mnie tylko powiadomić. Na razie weźcie to - powiedział, wręczając mu sztylet, który wydobyl z jednej z szuflad biurka - z pewnością wam się przyda. Mam świadomość, że nie przepadacie za noszeniem broni, ale...

- Czy Wasza Ekscelencja sądzi, że jestem w niebezpieczeństwie?

- W tej chwili wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie, mój drogi. Dlatego lepiej będzie, jeżeli będziecie uzbrojeni. Potem, kiedy to wszystko się skończy, jeżeli będziecie mieli ochotę, możecie sprzedać sztylet; zapewniam was, że dobrze wam za niego zapłacą. Rękojeść jest ze szczerego złota - wyjaśnił - inkrustowana szmaragdami. To prezent, który miałem zamiar podarować królewiczowi w dzień jego urodzin.

- Nie wiem, czy powinienem go przyjąć.

- Nie opowiadajcie głupstw. Przyjmijcie go jako zaliczkę na poczet tego, co otrzymacie, jeżeli wszystko zakończy się po naszej myśli. Przygotowałem wam również Ust żelazny, na wypadek gdybyście mieli problemy z kimś znajdującym się po naszej stronie. No a teraz będziecie musieli już odejść - powiedział na zakończenie, wstając. - Przedtem jednak pozwólcie, że was uścisknę. Będzie mi was brakowało.

Objęli się na środku pokoju. Chociaż biskup żegnał się z nim nadzwyczaj wylewnie, Rojasowi zdało się, że w jego gestach było coś fałszywego. W milczeniu wyszli na korytarz, gdzie panowało niejako zamieszanie.

- Nie, tędy nie - powiedział Diego de Deza, widząc, że Fernando kieruje się w stronę głównej bramy. - Wyjdźcie lepiej przez drzwi dla służby; lepiej, żeby was nikt nie zobaczył. Jeden z moich ludzi będzie wam towarzyszył. Zarównow pałacu, jak i w kościele wszystko jest już przygotowane do jutrzejszych przenosin, które mają się rozpocząć z pierwszym brzaskiem.

Kiedy Rojas opuścił pałac, była już noc. Zaulek, na który wychodziły boczne drzwi, był na pierwszy rzut oka całkiem pusty, Fernandowi wydało się jednak, że wyczuwa obecność kogoś, kto czyha na niego w ciemnościach. W tej chwili nie miał jednak żadnej ochoty, żeby spróbować się przekonać, czyjego podejrzenia są słuszne. Kierując kroki w stronę swego dotychczasowego mieszkania, przypomniał sobie o rozmowie, którą odbył z biskupem zaraz po powrocie z wakacji. Od tego czasu sprawy tak bardzo się skomplikowały, że gdyby tylko

mógł, on sam równie chętnie opuściłby teraz miasto, w którym w przeszłości przeżył tyle szczęśliwych chwil. Oczywiście nie uszedł jego uwagi fakt, że wyrzucenie go z Kolegium Świętego Bartłomieja, chociaż pozorowane i będące częścią większego fortelu, można było również zinterpretować jako zawołaną groźbę, jako zapowiedź definitywnego wydalenia.

Jego koledzy kończyli właśnie kolację, nie miał jednak ochoty się z nimi widzieć, dlatego też od razu poszedł pożegnać się z rektorem, który, jak mógł się przekonać, był na bieżąco z planami biskupa. Potem Fernando udał się do swego pokoju i zabrał do przygotowania tobołka, do którego zapakował tylko najbardziej niezbędne rzeczy, gdyż rektor obiecał mu, że nikt nie wprowadzi się do jego izby. Na koniec poświęcił nieco czasu na napisanie kilku listów. Na wszelki wypadek.

\*\*\*

## Rozdział 15.

Choć Rojas wciąż jeszcze miał nadzieję, że przeprowadzka jest tylko tymczasowa, niełatwo przyszło mu opuścić mury Kolegium Świętego Bartłomieja, żeby przenieść się do bursy. Przyzwyczał się już do obowiązującego w nim niemal monastycznego trybu życia, tak bardzo sprzyjającego nauce, a przy tym pozbawionego rygorów i powinności zakonnych. Na dodatek miał tu przecież wielu przyjaciół i był lubiany i ceniony przez większość profesorów. Jednak najtrudniej przyszło mu się rozstać ze strojem scholara od Świętego Bartłomieja, który do tej pory określał go jako członka elitarnego grona bartłomiejczyków.

Wstał skoro świt z zamiarem odejścia przed obudzeniem się jego pozostałych mieszkańców, bowiem nie miał ochoty oglądać smętnych twarzy ani uczestniczyć w krępujących pożegnaniach. Zanim jednak udał się do bursy, żeby przenieść tam swoje rzeczy, podszedł ulicą Baldreseria do niewielkiej bramy w murach miejskich, zwanej Postigo Ciego\*. Nieopodal mieściła się kiedyś Mniejsza Synagoga, której budynek należał teraz do rady miasta. Widać stamtąd było jak na dłoni orszak żałobny - przejechawszy właśnie przez most, kierował się w stronę miejsca, gdzie królewicz został otruty, żeby następnie ruszyć traktem w kierunku Avili. Rojas przypomniał sobie, jak półtora miesiąca temu następca tronu wjeżdżał przez północną bramę do Salamanki.

\* Postigo Ciego (hiszp.) - dosł. ślepa brama.

W owej chwili nic poza przepowiednią Rodriga de Basurto nie wróżyło tego, co w niewiele dni później miało się wydarzyć. Zupełnie jakby w owej chwili - właśnie wtedy, kiedy miasto spodziewało się uzyskać uprzywilejowaną pozycję w Koronie - zawisła nad nim jakaś straszliwa klątwa. Chodziły nawet słuchy, że słynny Uniwersytet mógłby w dużej mierze stracić królewską łaskę.

Zaledwie kilka dni wcześniej wpadł Fernandowi w ręce wiersz znanego mu osobiście salamantyńskiego poety, Juana del Enziny, znakomicie odzwierciedlający uczucia, jakie nachodziły w owym okresie wielu mieszkańców miasta. W tej chwili całkiem niespodziewanie przyszedł mu do głowy fragment owego wiersza:

O piękna Salamanko, ile żeś utraciła!

Gdzież się podziiała ta cudowna chwila, kiedy witałaś królewicza, jego sercu miła.

Piękna go przyjęłaś, choć on cię brzydką zobaczył przez fatalną chorobę, co wszystko przeinaczy

I w ciemną zamieni najjaśniejszą z gwiazd.

Teraz on czuje się dobrze, bo z Bogiem zamieszkał, a ty źle, bo przecież ci na sercu ciężko, o smutna Salamanko, najsmutniejsze z miast!

Zanim oddalił się od miejskich murów, Rojas po raz ostatni spojrzął w dal, gdzie ślad żalobnego orszaku powoli gubił się za zakrętem gościńca - niczym czarny wąż wślizgujący się pod przydrożny kamień.

Bursa mieściła się przy ulicy Nowej, w niedalekiej odległości od Escuelas Mayores, a zarządzał nią niejaki bakałarz Velasco, człowiek o nie najlepszej reputacji, rodem z Valladolid, o którym krążyło wiele nader złośliwych plotek: było ich zbyt wiele jak na to, żeby wszystkie mogły być prawdziwe, choć nie były aż tak nieprawdopodobne, żeby żadna z nich nie miała okazać się prawdą. Mieszkało u Velasca około dwudziestu scholarów w wieku od piętnastu do dwudziestu czterech lat. Większość z nich pochodziła z dość zamożnych rodzin, choć nie aż tak bogatych, żeby rodziców stać było na wynajęcie osobnego mieszkania. Prawie wszyscy studiowali prawo kanoniczne lub świeckie, czyli kierunki najwyżej cenione w owych czasach wśród ludzi ich stanu, gdyż zawód legisty pozwalał znacznie poprawić status społeczny. Zadość czyniąc powinności zarządzającego bursą gospodarza, Velasco na samym wstępie jednym ciągiem wyrecytował Rojasowi regulamin obowiązujący w owej szacownej instytucji:

- Jestem gospodarzem tego domu i z tego względu winniście mi należy szacunek oraz posłuszeństwo. Codziennie o świcie macie opuścić pokój i udać się na poranne wykłady. Co wieczór dostaniecie świecę, która da wam możliwość uczenia się przez co najmniej trzy godziny. Drzwi wejściowe zamyka się na klucz tuż po zapadnięciu zmierzchu. Oprócz gospodyni, która ze względu na swój wiek mogłaby być waszą babką, do domu nie ma wstępu żadna niewiasta. Zabrania się podopiecznym gry w kości i karty; natomiast w niedziele po południu, jeśli macie ochotę, możecie grać z innymi żakami w bule, palanta lub piłkę. Do jedzenia będziecie dostawać co dzień funt baraniny, naturalnie z wyjątkiem Wielkiego Postu. Od czasu do czasu będę rewidował wasz pokój, żeby stwierdzić, czy nie trzymacie tam broni ani drabiny, która pozwoliłaby wam uciekać przez okno. Czy macie jakieś pytanie?

Rojasowi przyszło do głowy tyle pytań, że postanowił nie zadać żadnego, żeby od pierwszego dnia nie zdrzeć z gospodarzem. Poza tym święcie sobie przyrzekł, że pozostanie w bursie tak krótko, jak to tylko możliwe. Im wcześniej udamu się wywiązać z powierzonego zadania, tym prędzej powróci do swojej wytęsknionej kryjówki u Świętego Bartłomieja lub, w najgorszym razie, ucieknie z tego miasta, które również jemu zaczęło się ostatnio wydawać

trudne do zniesienia. Tak więc wziął swój nowy studencki płaszcz i biret i popędził na Uniwersytet, gdyż za żadne skarby świata nie chciał przegapić wyborów nowego profesora na katedrę teologii, mającego zastąpić fray Tomasa de Santo Domingo.

Rok akademicki zaczął się już przed kilkoma tygodniami, dokładnie 18 października, na świętego Łukasza, tymczasem ciągle jeszcze nie wybrano nowego profesora. W salamantyńskim Studium Generale profesorów wybierali studenci poprzez głosowanie. Bez względu na to, czy chodziło o profesora mającego zająć katedrę na stałe czy też o profesora tymczasowego (przybywającego na zastępstwo czy gościnne wykłady), procedura była zawsze taka sama. W pierwszej kolejności senat Uniwersytetu, złożony z rektora i tak zwanych konsyliariuszy (zarówno rektor, jak i konsyliariusze byli wybierani spośród studentów poprzez głosowanie), ogłaszał publicznie wakat na katedrze. Następnie chętni zgłaszali rektorowi swe kandydatury, w obecności kilku świadków i notariusza, a ten wstępnie oceniał ich zdadność i wyznaczał temat wykładu. Po wysłuchaniu wywodów poszczególnych aspirantów, studenci mający prawo głosu przystępowali do wyborów. Każdemu głosowi senat przypisywał odpowiednią wartość, która zależała od tego, ile lat studiów zaliczył głosujący, od uzyskanych przez niego tytułów i innych okoliczności osobistych, z powodu czego proces obliczania rezultatów tak bardzo się komplikował, że często ostateczna wartość głosu zależała od dość arbitralnej decyzji komisji.

Choć więc teoretycznie system był rozsądny i sprawiedliwy, w praktyce często podejmowano kontrowersyjne decyzje, za którymi stała korupcja czy też najzwyczajszy gwałt; trzeba bowiem pamiętać, że katedry i stanowiska profesorskie były źródłem znacznych zysków i innych niematerialnych korzyści, a wyborcy nierzadko znajdowali się pod dużą presją, nie mówiąc już o łapówkach, pogroźkach i innych aktach przemocy. Poza tym studenci coraz częściej zrzeszali się, tworząc tak zwane bractwa lub nacje, o przynależności do których decydowało miejsce pochodzenia. Stowarzyszenia owe nabrały z czasem takiego znaczenia, że w rezultacie wywierały zbyt wielki wpływ na decyzje poszczególnych ciał i organów zarządzających Uniwersytetem.

Jak można się było spodziewać, wybór nowego profesora na katedrę teologii był powodem ogólnego zaciekawienia, między innymi ze względu na okoliczności, w jakich zginął jego poprzednik, choć również dlatego, że od dłuższego już czasu katedrą tą rządili niepodzielnie bracia dominikanie. Poza tym chodziło przecież o jedną z najbardziej prestiżowych katedr na uniwersytecie, choć trzeba przyznać, że nie najważniejszą - od jakiegoś już czasu największym poważaniem zaczęły się cieszyć studia prawnicze. W rzeczy samej, profesor katedry teologii pobierał obecnie pensję w wysokości 3740 starych

marawedich, co było zaledwie połową sumy, jaką dostawali profesorowie w katedrach prawa kanonicznego czy prawa świeckiego.

W każdym razie dominikanie nie mieli zamiaru dopuścić, żeby katedra wymknęła im się z rąk, jak w przypadku konkursu, do którego obok ich kandydata stanął kiedyś Pedro de Osma. Tym razem byli zdecydowani użyć wszelkich dostępnych im środków, żeby zapewnić zwycięstwo swemu aspirantowi, którym był nie kto inny, jak fray Juan de Santa Maria, znacznie bardziej kompetentny niż jego poprzednik, ale cieszący się dużo mniejszą popularnością. W końcu jedyną osobą, która ośmieliła się stawić mu czoło, był Fernando de Roa, uczeń, a później również współpracownik i przyjaciel Pedra de Osmy, ten sam, który konkurował już wcześniej z fray Tomasem. Dominikanie uznali oczywiście stawienie się De Roy do konkursu jako jawny afront, gdyż uważali go za głównego podejrzanego - jeśli nie bezpośredniego sprawcę, to przynajmniej czołowego organizatora - w sprawie zabójstwa ich umiłowanego brata. Uważali też, że na jego ewidentną niekorzyść świadczy fakt, iż zajmuje katedrę filozofii moralnej od lat ponad dwudziestu, wystarczający czas, żeby przejść na emeryturę i pozostawić wolną drogę dla młodszych wykładowców.

Nigdy dotąd nie widziano na Uniwersytecie konkursu na obsadzenie katedry, który zgromadziłby tak wielkie tłumy i wzbudził podobne zainteresowanie. Już od poprzedniego wieczoru wokół budynku Escuelas Mayores zaczęły się gromadzić grupy studentów mające zamiar okazać poparcie swemu kandydatowi i zapewnić sobie miejsce w auli, gdzie aspiranci mieli wygłosić wykłady. Kiedy zapadła noc, nastroje wzburzyły się do tego stopnia, że rektor musiał wysłać paru pachołków, by pilnowali porządku wśród obecnych, rekwirując szpady i sztylety, istniało bowiem poważne niebezpieczeństwo, iż spór obu frakcji przerodzi się w zwykłą burdę i skończy zdemolowaniem uczelni. Jednak pomimo przedsięwziętych środków ostrożności następnego dnia rano niejeden z uczestników nocnego czuwania ocknął się z połamanymi żebrami czy rozbitą głową.

Choć wynik głosowania był łatwy do przewidzenia, Rojas pragnął uczestniczyć w ostatniej fazie wyborów, na wypadek gdyby udało mu się odkryć coś interesującego dla prowadzonego przez siebie śledztwa. Do tej pory jego przyjaciel Hilario zdawał mu regularnie sprawę z tego, co się działo na Uniwersytecie, teraz zaś czekał na niego w aula magna wydziału prawa kanonicznego - największej auli w całym Studium Generale - gdzie miały się odbyć obydwie odczyty.- Przybywacie na czas - powiedział Hilario, robiąc Rojasowi miejsce obok siebie. - Za moment będą zaczynać.

Pierwszy miał przemawiać Fernando de Roa, gdyż był starszy stażem i miał wyższy stopień naukowy. Miał lat około pięćdziesięciu, był wysoki i urodziwy. Poprzedniego

popołudnia odbyła się ceremonia wyboru tematu, polegająca na otwarciu na chybił trafił wybranej książki w trzech różnych miejscach, tak żeby rektor mógł dokonać selekcji trzech tekstów, z których każdy miał mieć objętość dwóch stron. Z tych trzech tekstów kandydaci mieli w obecności rektora i konsyliariuszy wybrać jeden, ten sam dla nich obu. Po głośnym odczytaniu wybranego tekstu, jako pierwszy zaczął swój wywód maestro Roa. Już po kilku zdaniach wszyscy słuchacze mogli zdać sobie sprawę, że jest znakomitym mówcą, doskonałym znawcą logiki - dyscypliny, której poświęcił pierwsze lata swej kariery na Uniwersytecie - gramatyki i retoryki akademickiej. Jednak większość obecnych była do niego wrogo nastawiona i ledwo co pozwalali mu mówić. Pomimo to Roa nie dał się sprowokować, zachowując niewzruszoną powagę, a na koniec udało mu się nawet uzyskać nieco oklasków oraz kilka luźnych okrzyków uznania. Kiedy schodził z katedry, żeby zająć przeznaczone mu na sali miejsce, jego dostojny wyraz twarzy nie zdradzał żadnej emocji. Najprawdopodobniej uważał swoje wystąpienie za zupełnie symboliczny akt, po którym niewiele można się było spodziewać.

Kiedy nadeszła kolej na fray Juana, na sali nastąpiła cisza, jak makiem zasiał, przerywana tylko tu i ówdzie ledwie dosłyszalnymi szeptami protestu, które natychmiast tłumiono. Dominikanin był tak bardzo przekonany o ogólnym poparciu dla swej kandydatury i o swej uprzywilejowanej pozycji w stosunku do rywala, że pozwolił sobie na rozpoczęcie wywodu złożeniem hołdu człowiekowi, który zapewne już niebawem będzie jego poprzednikiem na katedrze, dorzucając kilka pustych frazesów mających być deklaracją pokory:

- Za pozwoleniem wszystkich tu obecnych, Jego Magnificencji Rektora oraz prześwietnego senatu uczelni: zanim dam początek memu wykładowi, chciałbym wspomnieć fray Tomasa de Santo Domingo, od którego tak wiele i w tak miły sposób się nauczyłem i któremu moja skromna osoba nie dorasta nawet do pięt.

Potem nie powstydział się krytykować - raz ukradkiem, a potem znowu otwarcie i wręcz po prostaku - swojego konkurenta, co było w takich razach surowo zabronione, insynuując raz po raz jego uczestnictwo w zabójstwie fray Tomasa. Sam wykład okazał się mało oryginalny, pełen oklepanych zdań i banałów,"a ujęcie tematu czysto tomistyczne, w rygorystycznym stylu, który od dłuższego czasu propagował jego mistrz Diego de Deza. Nie okazało się to jednak żadną przeszkodą dla popleczników dominikanina, którzy zgotowali mu wspaniałą owację, wynosząc go na koniec na rękach z auli Uniwersytetu.

Po zakończeniu wykładów obydwaj kandydaci musieli odczekać swoje za drzwiami kaplicy Studium Generale, gdzie odbywało się podliczanie głosów zebranych w kilku sporych

amforach. Jak to było do przewidzenia, wyniki podano tym razem podejrzanie szybko, a rezultat nie stanowił dla nikogo żadnego zaskoczenia: znaczna większość opowiedziała się po stronie dominikanina. Kilka minut wcześniej maestro Roa poprosił swoich zwolenników, żeby rozeszli się spokojnie do domów, nie urządzać awantur - sprawa była ewidentnie przegrana, a on nie miał zamiaru znosić nowych upokorzeń. Teraz miało jeszcze tylko nastąpić oficjalne ogłoszenie werdyktu, od którego nie było możliwości odwołania, wydanie zarządzenia o obsadzeniu wakatu oraz uroczyste objęcie katedry przez zwycięskiego kandydata, którym w tym przypadku był cały zakon dominikanów oraz reprezentowane przez niego interesy.

- To doprawdy pouczające, z jakim spokojem Roa przyjął swą klęskę - stwierdził Rojas spacerujący z Hilariem po dziedzińcu Escuelas Mayores.

- Podejrzewam, że od początku wiedział, iż to z góry przegrana sprawa. Co byś jednak powiedział, gdyby się okazało - dodał podejrzliwym tonem - że na przykład jego prawdziwa wojna to coś znacznie poważniejszego i donioślejszego?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - odparł zakłopotany Rojas.

- Być może to, co przydarzyło się fray Tomasowi, i cała ta historia z katedrą - zaczął tłumaczyć Hilario - to jedynie zasłona dymna, mająca za zadanie odwrócić uwagę od czegoś naprawdę dla nas ważnego, czyli od śmierci królewicza, za którą mogą się przecież kryć jakieś ciemne polityczne machinacje.

- W takim razie - zauważył Rojas - powinniśmy być odtąd ostrożniejsi. Przede wszystkim trzeba będzie porządnie pilnować maestra Roy i jego zwolenników, dowiedzieć się, co knują, gdzie się spotykają i kto ich popiera. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, moglibyśmy się jutro spotkać, żeby to wszystko omówić. Teraz chciałbym pobyć trochę sam i spokojnie przemyśleć sprawę.

\*\*\*



## Rozdział 16.

Pomimo kielkujących mu w głowie podejrzeń, Rojasowi niełatwo było pogodzić się z myślą, że ktoś tak szlachetny i dobrze wykształcony jak Fernando de Roa mógłby być zamieszany w zabójstwo. Prowadziło jednak do niego wiele poważnych tropów i obowiązkiem Fernanda było ich zbadanie. Słyszał, jak na dziedzińcu Escuelas Mayores komentowano, że po zakończeniu wyborów maestro planował udanie się prosto do sali wykładowej, gdzie, jak gdyby nic istotnego się nie wydarzyło, miał wygłosić wykład z filozofii moralnej. Fernando postanowił pójść go posłuchać.

Aula okazała się prawie pusta, co na wykładach Roy należało do rzadkości; prawdopodobnie większość scholarów zdezerterowała, bojąc się, że ich obecność mogłaby zostać uznana za swego rodzaju poparcie dla przegranego profesora. Na pierwszy rzut oka Roa nie wydawał się tym przejęty, jak gdyby wszystko z góry przewidział i był przygotowany na reakcję studentów. Po zakończeniu wykładu pożegnał się ze swymi podopiecznymi i stanął przy drzwiach, czekając, aż opuszczą salę. Rojas postanowił zaczekać na niego przy słupie na dziedzińcu; wedle zwyczaju to właśnie tutaj profesorowie udzielali konsultacji i wyjaśniali wątpliwości studentów, gdyż podczas wykładów nie wolno było przerywać profesorowi.

- Powiedźcie, czym wam mogę służyć? - spytał go Roa bez zbytniego entuzjazmu.

- Nazywam się Fernando de Rojas i jestem studentem wydziału prawa, choć studiowałem również medycynę, astrologię, a nawet trochę teologii. Chciałbym wam powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu tego, co wydarzyło się dziś rano.

- Uprzejmie dziękuję za wyrazy współczucia, jednak, możecie mi wierzyć, sprawa ta nie ma dla mnie większego znaczenia. Jestem stary i zdążyłem się już przyzwyczaić do podobnych sytuacji. Ale czy przypadkiem to nie was dopiero co wyrzucono z Kolegium Świętego Bartłomieja?

- Widzę, że nowiny szybko się rozchodzą.

- Jak wynika z mojego doświadczenia, złe wieści rozchodzą się znacznie szybciej od dobrych; pewnie dlatego, że te ostatnie interesują niewielu, podczas gdy pierwsze znajdują całe rzesze miłośników. Nawiasem mówiąc, cieszę się, że wydalenie z kolegium nie popsuło wam zbytnio humoru.

- Również w moim przypadku nie było to wielkim zaskoczeniem. Jak to się mówi, była to po prostu kwestia czasu.

- Czym zatem mogę wam służyć?

- To nic ważnego, chciałbym zadać wam tylko kilka pytań. Jeżeli nie macie nic przeciwko temu - zasugerował - mógłbym odprowadzić was do domu.

- Nie wybieram się jeszcze do domu. Zwykle o tej porze chodzę przekąsić coś w zajeździe, który mieści się tu niedaleko, między kościołem Świętego Emilianiana a bramą Rzeczną. Jeśli tylko macie ochotę, możecie ze mną pójść, zapraszam. Uprzedzam was jednak, że nie jest to miejsce szczególnie komfortowe ani zbyt czyste, choć jedzenie jest tam naprawdę wyśmienite, a i towarzystwo niczego sobie. O tej porze zbierają się w karczmie tłumy rękodzielników, kupców i przyjezdnych, często przybywających z dalekich podróży, a ja lubię sobie z nimi pogwarzyć podczas obiadu. Wiedzą znacznie więcej o świecie i o życiu niż my, profesorowie.

- Chętnie będę wam towarzyszył, jeżeli tylko pozwolicie, że to ja was zaproszę.- W tej kwestii nie ma dyskusji, drogi przyjacielu. Karczmarz traktuje mnie jak domownika i za nic się na to nie zgodzi. Ale nie martwcie się, będziecie jeszcze mieli okazję zaprosić mnie w jakieś inne miejsce.

Zajazd mieścił się przy drodze wiodącej do San Juan del Alcazar, w dawnej dzielnicy żydowskiej, a w przeszłości należał do kanonika Ruya Pereza, którego imieniem ciągle jeszcze go nazywano. W izbie jadalnej, mieszczącej się na parterze po drugiej stronie podwórka, stało kilka prostokątnych stołów, przy których, jak zwykle o tej porze, panowało wielkie ożywienie. Kiedy tylko goście zobaczyli stojącego w progu Roę, natychmiast zrobili mu miejsce na jednej z ław. Rojas zaobserwował, że traktowano go z szacunkiem, a nawet z odrobiną podziwu, ale bez zbytnej ceremonialności, jakby rzeczywiście był kimś z rodziny. Maestro Roa przedstawił swego towarzysza jako studenta prawa i byłego scholara Kolegium Świętego Bartłomieja, co obudziło powszechną ciekawość.

- A więc byliście scholarem od Świętego Bartłomieja - zagaił jeden ze stołowników. - Wicie pewnie, co się na wasz temat mówi: Czego nie może sam biskup, to robi bartłomiejczyk; czego nie wie nawet król, wie scholar od Świętego Bartłomieja.

- Pierwsze słyszę - odparł Rojas. - Choć oczywiście cieszy mnie, że ma się nas w tak wielkim poważaniu. W każdym razie zasługa nie należy tylko do samych scholarów, lecz również do Studium Generale.

- Nie bądźcie tacy skromni - dorzucił trzeci, mówiący z wyraźnym aragońskim akcentem. - Znacie przecież powiedzenie: Quod natura non dat Salmantica non praestat\*.

\* Quod natura non Salmantica non praestat (łac.) - Czego natura nie dała, tego i Salamanka nie zapewni; Kto z przyrodzenia głupi i w Salamance sobie rozumu nie kupi.

W tej chwili pojawił się karczmarz, który przyszedł, żeby się z nimi przywitać i poinformować, co może zaoferować do zjedzenia. Miał tak wielki brzuch, że ledwo mógł się precyzyjnie pomiędzy stołami, nie przeszkadzając przy tym gościom. Kiedy przemówił, jego głos okazał się niespodziewanie wysoki i piskliwy.

- Roa, przyjacielu, dobrze że już jesteście! - rzucił na powitanie. - Widzę, że przyprowadziliście mi nowego stołownika. Mam nadzieję, że zasmakuje mu nasze jadlo. W kuchni - dorzucił - przyrządzają właśnie zupę serową i pieczone turkawki.

Przed odejściem zbliżył się do Roy i zaczął mu coś szeptać do ucha, nie tak cicho jednak, żeby Fernando nie mógł usłyszeć:

- Dziś rano przyszedł tu jakiś obcokrajowiec, pytając o was. Powiedziałem mu, że zjawicie się niebawem. Potem kazał sobie przygotować izbę, żeby trochę odpocząć; poprosił też, żebym wam powiedział, byście po obiedzie zaglądali do niego, gdyż ma z wami do pomówienia.

- Dobrze - przytaknął Roa - zrobię, jak mówicie. A teraz przynieście nam czym prędzej coś do picia, bo w gardle mi zaschło od tego gadania do czterech ścian, gdyż to właśnie, a nie co innego, robimy my, profesorowie, na wykładach.

- A co nowego słysząc po dzisiejszym konkursie? - spytał pewien sukiennik rodem z Bejaru, zwany przez wszystkich Tintorro\*, nie wiadomo, czy ze względu na barwniki, które stosował w swym warsztacie, czy też z powodu wielkich ilości czerwonego wina, jakie w siebie wlewał.

\* Tintorro (hiszp.) - potoczna nazwa czerwonego wina, zwykle nie najlepszego gatunku; pochodzi od słowa tinto, dosł.: ciemnoczerwony (vino tinto - czerwone wino), ale też: ufarbowany.

- Ano stało się to, czegośmy się wszyscy spodziewali - zaczął opowiadać Roa. - Mnie przypadły w udziale gwizdy i wyzwiska, podczas gdy dominikanin zebrał prawie wszystkie głosy.

- Gdybyście nam pozwolili stawić się na Uniwersytecie, daliśmy tym szubrawcom nauczkę.

- Ci niegodziwcy chcą wszystko zgarnąć dla siebie - dorzucił inny, rechocząc. - Nie wystarczą im nasze dusze, chcą nas też pozbawić majątku.

- Jak widzicie - powiedział Roa, zwracając się do Rojasa - nie ma lepszej okrasy dla dobrego jadła, jak miła pogawędka z przyjaciółmi.

- Odkąd ukradli katedrę biednemu Pedrowi de Osmie, nie chcą wypuścić jej z rąk - obstawał przy swoim sukiennik.

- Oby ich wszystkich wymordowano w nagrodę.

- Wyobraźcie sobie, że dziś rano na Uniwersytecie publicznie oskarżono mnie o zamordowanie fray Tomasa de Santo Domingo.

- Wygląda na to, że nie jesteście szczególnie oburzeni tym poważnym przecież oskarżeniem - rzucił Rojas, jak gdyby nigdy nic.

- A dlaczego niby miałyby mnie oburzyć to, co o mnie mówi banda tępaków, których jedynym celem jest usprawiedliwienie oddania katedry w ręce kogoś, kto zupełnie na to nie zasłużył? Nie zaprzeczę, że wiadomość o śmierci tego nawiedzonego szaleńca dosyć mnie ucieszyła, ale muszę was zmartwić: nie jestem człowiekiem czynu, a moją specjalnością są słowa.

- Czy Pedro de Osma nie zostawił po sobie innych uczniów? - pytał dalej Fernando.

- Obawiam się, że jestem jego jedynym uczniem i to na dodatek niezbyt wiernym.

- Co wyjaśnialoby - skwitował Rojas - dlaczego uważają was za głównego podejrzanego.- Wiecie przecież, co powiada Medea w tragedii Seneki: Cui prodest scelus, is fecit. Co oznacza - pozwólcie, że przetłumaczę na użytek naszych towarzyszy: „Ten popełnił zbrodnię, komu przyniosła ona korzyści”. Sentencja ta, jak pewnie pamiętacie, dała początek słynnemu pytaniu, które stawiali zawsze rzymscy sędziowie: Cui prodest?. Czyli: „Kto na tym skorzystał?”. A czarno na białym widać przecież - dodał z rezygnacją - że śmierć fray Tomasa nie przyniosła mi nic dobrego.

Podczas gdy pozostali biesiadnicy śmiali się, komentując głośno koncept mistrza, Rojas i Roa spojrzeli sobie w oczy. Zarówno profesor, jak i student świetnie zdawali sobie sprawę, że obaj udają, iż wiedzą o sobie znacznie mniej, niż w rzeczywistości wiedzieli, a jednak dalej ciągnęli tę farsę, być może w nadziei, że przeciwnikowi pierwszemu powinie się noga.

- A co powiecie na temat śmierci don Juana? - spytał zniechęca Rojas.

- Nie chcecie chyba oskarżyć mnie o zamordowanie również królewicza? - odparł Roa, okazując bezgraniczne zdumienie. - Nie wiem, jak mogło wam to przyjść do głowy, skoro don Juana zabiła choroba... No cóż - dodał po chwili namysłu - taką przynajmniej wersją nas uraczono.

- Niektórzy twierdzą, że to sprawka konwertytów.

- I nie jest to oczywiście żadna nowość; konwertyci są przecież zawsze wszystkiemu winni - dodał z przekąsem profesor. - Zaczynając od śmierci samego Chrystusa.

- Kto więc, waszym zdaniem, skorzystał na śmierci królewicza?

- No cóż, w rzeczy samej wiele osób mogło źle życzyć don Juanowi, jednak jest ktoś, dla kogo jego śmierć okazała się szczególnie korzystna.

- Jego śmierć korzystna? Co chcecie przez to powiedzieć?

- zapytał zdumiony Rojas.- Tak samo korzystna - zaczął wyjaśniać Roa - jak korzystna okazała się dla naszych monarchów śmierć królewicza don Alfonsa, jedyne go syna Juana II portugalskiego. Don Alfonso ożenił się z naszą infantką doña Isabel, tą samą, która teraz poślubiła nowego króla Portugalii, wuja swego pierwszego męża. Z tego, co wiadomo, nieszczęsny don Alfonso zmarł kilka miesięcy po ślubie w następstwie „opatrnościowego” upadku z konia podczas polowania. Jak widać, nie zaszedł w życiu zbyt daleko...

- Nie rozumiem, co insynuujecie?

- Widzę, że nie jesteście na bieżąco ze sprawami wielkiej polityki. Jak wiadomo, małżeństwo pomiędzy infantką Kastylii oraz Aragonii i następcą portugalskiego tronu zostało zaplanowane, oczywiście ze względów politycznych, jeszcze kiedy oboje byli dziećmi. Jednak kiedy przyszła pora na zaślubiny, naszym monarchom nie były one już na rękę, gdyż następca tronu, królewicz don Juan, był wtedy jeszcze bardzo mały, na dodatek słabego zdrowia i obawiano się, że nie przeżyje\*. Dlatego Królowie Katoliccy chcieli wycofać się z wcześniejszej umowy, próbując zerwać zaręczyny przy pomocy rozmaitych manewrów dyplomatycznych i kruczków prawnych. Jednak nic z tego nie wyszło i w 1490 roku doña Isabel poślubiła don Alfonsa, tyle że rok później jego koń w tak nieszczęsny sposób potknął się na leżącym na drodze kamieniu, że doña Isabel owdowiała, a Portugalia straciła następcę tronu.

\* W owej chwili obawiano się, że gdyby don Juan nie przeżył, po śmierci Królów Katolickich tron Kastylii i Aragonii wpadłby w ręce Portugalczyków, jako że następczynią tronu w pierwszej linii byłaby właśnie infantka doña Isabel; mówiąc wprost, gra szła o to, pod czyim berłem zjednoczą się oba królestwa.

- Nie chcę być niegrzeczny, ale muszę powiedzieć, że wasze insynuacje nie mają sensu - zaoponował Rojas. - Przecież, jak sami przed chwilą powiedzieliście, zaledwie przed kilkoma tygodniami infantka doña Isabel, po sześciu latach wdowieństwa, wyszła ponownie za mąż, poślubiając aktualnego króla Portugalii.

- Łatwo to wyjaśnić, drogi przyjacielu, dlatego kilka tygodni temu król i królowa nie mieli nic przeciwko temu mariażowi: gdyż nasz królewicz, wyszedłszy zwycięsko z kilku chorób, wbrew oczekiwaniom osiągnął wiek dojrzały i ożenił się z Margaritą Austriaczką, gwarantując w ten sposób sukcesję tronu Kastylii i Aragonii. Niestety jednak, w przeciągu dosłownie kilku dni wszystko wywróciło się do góry nogami.

- Możecie mówić trochę jaśniej?

- Nie wydaje wam się podejrzanym, że królewicz zmarł zaraz po tym, jak jego starsza siostra poślubiła króla Portugalii? W rezultacie teraz żona króla portugalskiego jest księżniczką Asturii i bezpośrednią następczynią hiszpańskiego tronu, czyli że za kilka lat, jeżeli Bóg nie zechce inaczej, zostaniemy poddanymi króla Portugalii. Tak więc wcale nietrudno stwierdzić, kto skorzystał na śmierci don Juana. Przecież nawet sami Portugalczycy zaczęli nazywać swego króla Manuelem I Szczęściarzem!

Supozycja Roy była interesująca, ale nie do końca przekonywała Rojasa. Być może była jedynie wybiegiem mającym na celu rozwianie podejrzeń dotyczących jego osoby. W każdym razie Fernando postanowił bliżej ją przestudiować, choćby tylko dla wprawy.

- Jednak, z tego co wiem, nie należeliście przecież do zwolenników królewicza - dociekał teraz dalej.

- Wszyscy, którzy znają mnie choć trochę, dobrze wiedzą, że nie darzyłem don Juana sympatią, gdyż był człowiekiem słabym na ciele i o jeszcze słabszym charakterze, czyli dokładną przeciwnością tego, co Arystoteles uważał za wzór dobrego władcy. Jednak w obecnej sytuacji i do czasu, kiedy będzie nam dane wybierać następcę tronu poprzez głosowanie, uważałem królewicza za mniejsze zło; za kogoś, kogo w razie potrzeby będzie można z łatwością zdetronizować i zastąpić kimś innym.

- W tak niewielkim poważaniu mieliście człowieka, którego wszyscy okrzyknęli kimś w rodzaju mesjasza, przyszłego odkupiciela Kastylii?

- W przeciwieństwie do tego, co się o nim mówi, nie uważałem królewicza za człowieka rozsądnego i odpowiedzialnego, lecz raczej za rozpieszczane dziecko, któremu na wszystko się pozwala i które w efekcie robi się egoistyczne, butne i kapryśne, a w przypadku naszego następcy tronu dodatkowo gburowate i pozbawione silnej woli. Jeżeli zaś chodzi o jego domniemane dobre wykształcenie, opowiem wam coś, co rzuci trochę światła na tę sprawę. Otóż dwa lata temu zatrzymał się tu, w tym zajeździe, pewien podróżny przybywający z Norymbergi. Był lekarzem i zwał się Hieronim Miinzer. Człowiek ten opowiadał, że kilka dni wcześniej odwiedził dwór królewski i poznał tam osobiście królewicza don Juana. Podobno już wcześniej słyszał, że nasz następca tronu jest tak świetnym znawcą retoryki i gramatyki, iż wszyscy, którzy mają możliwość go wysłuchać, wpadają w podziw. Hieronim Miinzer, który nie władał naszą mową, podszedł do królewicza, kierując do niego kilka słów po łacinie. Don Juan wysłuchał go ponoć, symulując wielką uwagę, po czym, kiedy przyszło rriu odpowiedzieć, poprosił swego opiekuna, żeby odpowiedział za niego, co ów oczywiście z wielką uprzejmością uczynił. Żeby wytłumaczyć

zachowanie królewicza, Miinzerowi powiedziano, że młodzieniec cierpi na jakąś chorobę języka i dolnej wargi, która to choroba nie pozwala mu mówić w jasny i zrozumiały sposób, co oczywiście gość w dobrej wierze przyjął do wiadomości. Wszyscy jednak dobrze wiemy, że owa choroba zaatakowała również głowę i serce królewicza. - A jednak ja sam przed kilkoma laty przebywałem z don Juanem przez jakiś czas na dworze i wszyscy wychwalali tam jego inteligencję, a maestro Pedro Martir de Anghiera uważał go za dobrego łacinnika. Na dodatek jego roztropność i dojrzałość sądów była tak wielka, że w owym czasie miano go za przykład puer senex\*.

- Sami to powiedzieliście: jako czternastolatek był podstarzałym dzieckiem, a w wieku lat dziewiętnastu przypominał już zgrzybiałego starca. Życie upłynęło mu w takim tempie, że wydawał się skazany na przedwczesną śmierć. Choć wcale nie twierdzę, żeby był człowiekiem podłym.

- Niemniej wszystkim wiadomo, że szczerze nienawidził Żydów i nawróconych.

- A czegoż innego można oczekiwać po synu... Królów Katolickich? Po człowieku, który od kołyski karmiony był nienawiścią i został ukształtowany przez dominikanina, na dodatek nie mogąc się przed tym wszystkim bronić z racji swej słabości?

- Przyznaję, że to, co mówicie, wydaje się zasadne - rzekł Rojas. - Ale wróćmy do sedna sprawy, czyli do pytania, kto zyskał na jego śmierci.

- Wyjaśniłem już dość obszernie tę kwestię, choć muszę przyznać, że jestem w tej sprawie jedną ze stron.

- Chciałbym się jednak jeszcze dowiedzieć - uściślił Rojas - co by było, gdyby więcej niż jedna osoba odniosła korzyści ze śmierci don Juana.

- W takim przypadku mielibyśmy kilku podejrzanych, co trochę skomplikowałoby sprawę. W każdym razie lista podejrzanych nie byłaby zapewne zbyt długa. Problem w tym, mój drogi przyjacielu, że życie jest zawsze znacznie bardziej złożone, niż twierdzą książki i niż zakładają zasady prawa.

\* Puer senex (łac.) - młodzieniecstarzec.

- A czy zemstę można by uznać za korzyść? - pytał dalej Rojas.

- Naturalnie, gdyż sprawia ona satysfakcję człowiekowi, który jej dokonuje.

- A co się dzieje, kiedy ktoś oplaca lub zmusza kogoś innego do popełnienia przestępstwa?

- W takim przypadku pytanie o to, kto skorzystał na popełnionej zbrodni, pomoże nam odkryć podżegacza, co jest zwykle rzeczą najtrudniejszą, ale nie bezpośredniego sprawcę, który być może nie ma z ofiarą nic wspólnego. Jednak, odkrywszy pierwszego, nie będzie

trudno trafić do drugiego. A teraz, jeżeli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym was poprosić, żebyście się zabrali do zupy, bo jeszcze nam się gospodarz obrazi. Pozwólmy teraz wypowiedzieć się naszym towarzyszom - dodał, kierując się do współbiesiadników - gdyż zawsze mają wiele ciekawych rzeczy do opowiedzenia.

Rojas miał w zanadru jeszcze wiele pytań, które chętnie zadałby profesorowi, ale nie chciał wyjść na przemądrzałego ani być nieuprzejmy w stosunku do reszty towarzystwa. Stąd też postanowił zająć się zupą. Córka karczmarza wniosła właśnie wielki dymiący garnek i postawiła go na stole, żeby wszyscy sami się mogli poczęstować. Bartłomiejczykowi, jako że był tu nowy, postanowiono dać tym razem pierwszeństwo. Zupa była taka gęsta i zawieszista, że można by w niej było postawić chochlę na sztorc i wcale by się nie wywróciła. Już po pierwszej łyżce Fernando stwierdził, że w życiu nie jadł czegoś równie smacznego. Nie był co prawda osobą szczególnie przepadającą za jedzeniem, ale umiał docenić dobrą strawę, kiedy miał ją przed sobą na talerzu, choćby myślami bujał całkiem gdzie indziej, jak w tej właśnie chwili.

Czując, jak ciepło wraca powoli do zziębniętych członków, Rojas jednym uchem słuchał teraz swoich towarzyszy, rozprawiających o rozmaitych trapiących ich sprawach: a to, że wzrósł poziom wody w rzece, która zaczyna grozić wylaniem; że podniesiono podatki, żeby móc sfinansować liczne kampanie wojskowe Ich Królewskich Mości; jak wielkie koszty spowodował pobyt królewicza w Salamance i jego pogrzeb; że właśnie aresztowano grupę miejscowych kobiet oskarżonych przez zauszników Świętego Oficjum o czary... W tej chwili jednak na stół wjechały turkawki przyprawione aromatycznymi ziołami i wszystkim od razu poprawił się humor.

- Nie ma nic, co bardziej rozweseliłoby rozmowę z przyjaciółmi niż dobre jadlo, nie sądzicie? - zwrócił się teraz Roa do Fernanda, mrugając porozumiewawczo okiem.

Kiedy przyszła kolej na owoce i słodycze, wszyscy już tylko śmiali się i żartowali, niektórzy nawet zaczęli podśpiewywać. A dzbany wina opróżniano w takim tempie, że dziewczyna służebna nie nadążała z przynoszeniem nowych. Ni stąd, ni z owąd podniósł się najstarszy z gości - ten, którego zwano Tintorro - i unosząc do góry swój kubek, zaczął przemawiać:

- Niewiele jest na świecie rzeczy tak wartościowych jak wino, gdyż w zimie nie ma nic, co lepiej ogrzewałoby łoże: wystarczy, że wychylę parę kielichów przed spaniem i przez całą noc nie zaznaję chłodu. To winem podszywam wszystkie moje kubraki, gdy idzie Boże Narodzenie: to ono rozgrzewa mi krew w żyłach, to ono podtrzymuje mnie przy życiu. To ono sprawia, że zawsze jestem wesoły, to dzięki niemu tryskam zdrowiem. Niech mi więc



wina nigdy nie zabraknie w domu, a niestraszne mi będą nawet najgorsze lata: nadgryziona przez myszy skórka od chleba wystarczy mi choćby i na trzy dni, bo wino przepędza smutek z serca lepiej niż złoto i korale, dodaje odwagi młodemu, a staremu siły, to od niego wszystko nabiera koloru, tchórz robi się odważny, a leń pracowity, to ono uspokaja umysł, ogrzewa żołądek, leczy cuchnący oddech, oziębłym przywraca potencję, sprawia, że zmęczeni żniwiarze mniej odczuwają trudy pracy na roli, pozwala wypocić gorączkę, leczy katar, pomaga na ból zębów... i ma jeszcze wiele innych właściwości, które mógłbym tu w nieskończoność wymieniać. No i ma tylko jedną wadę: że dobre jest drogie, a marne szkodzi. Tak więc to, co robi dobrze na wątrobę, wpędza sakiewkę w chorobę.

Cały ten wywód na cześć wina mocno rozśmieszył towarzystwo i sprawił, że zmartwienia Rojasa zaczęły powoli odpływać gdzieś w dal, w jakiś inny świat, który nic nie miał wspólnego z tym tutaj, a burzliwa i pełna napięcia rozmowa na ważkie tematy przeobraziła się w wesołe biesiadne docinki. Na koniec zafrasowany karczmarz musiał oznajmić gościom, że skończyło się wino w beczkach i że dopiero wieczorem może się udać do winiarni po nowe. Jak się zdawało, był to umówiony znak, na który wszyscy mieli powstać i pójść się zdrzemnąć po obiedzie. Jedyne Roa nie skorzystał z zaproszenia na sjęstę, gdyż musiał iść się zobaczyć z tajemniczym przybyszem.

Również Rojas nie miał zamiaru zbytnio się oddalać, schował się więc w bramie kościoła Świętego Emiliania, skąd mógł swobodnie obserwować wejście do zajazdu. Miał wielką ochotę poznać tajemniczego przybysza i zamierzał pójść śladem Roy, kiedy ten opuści gospodę. Czekając, aż się pojawi, zaczął się zastanawiać nad supozycją na temat śmierci królewicza, którą profesor sformułował podczas obiadu. Na początku wino nie pozwalało mu logicznie myśleć, jednak w miarę jak rozjaśniało mu się w głowie, zaczął podejrzewać, że być może Hilario miał rzeczywiście rację i profesorowi chodziło jedynie o odwrócenie jego uwagi i zmylenie trafego toku rozumowania. Nie to, że argumenty Roy nie wydawały mu się rozsądne, tylko że nie tłumaczyły w żaden sposób zabójstwa fray Tomasa. W kwestii tego ostatniego przestępstwa maestro Roa ograniczył się bowiem do stanowczego stwierdzenia swojej niewinności, nie wspominał o swoich domysłach ani nie starał się niczego wyjaśnić. Faktem było, że na pierwszy rzut oka śmierć zakonnika nie przyniosła mu żadnych korzyści. W takim razie kto skorzystał na śmierci fray Tomasa? Z całą pewnością nie król Portugalii!

W tej właśnie chwili Fernando przerwał swe rozmyślenia, gdyż zobaczył Roę wychodzącego z gospody w towarzystwie jakiegoś nieznajomego. Ze swojego miejsca nie był w stanie dostrzec jego twarzy, ale stwierdził, że jest tego samego wzrostu co Roa i, sądząc po

stroju, zapewne jest obcokrajowcem. Kiedy tylko upewnił się, w którą stronę się kierują, porzucił swą kryjówkę i ruszył za nimi.

- Rojas, przyjacielu! - krzyknął ktoś nagle za jego plecami, starając się zwrócić na siebie uwagę.

Zaskoczony Fernando odwrócił się i zobaczył przed sobą fray Antonia. Przyłożył palec do ust, prosząc go, żeby zamilkł, po czym popchnął go w stronę pobliskiej ściany, ukrywając przed wzrokiem oddalającej się pary, bowiem kątem oka zauważył, że i oni odwrócili się, usłyszawszy głos zakonnika.

- Jakże się cieszę się, że was widzę - wyszeptał fray Antonio.

- Zamilknijcie, błagam - syknął Rojas. - Chociaż teraz to już chyba wszystko jedno; spłoszyliście mi zwierzynę.

- Czyżbyście kogoś śledzili? Chcecie, żebym wam towarzyszył?

- Teraz już nie warto. Mają się pewnie na baczności.

- Bardzo mi przykro, możecie mi wierzyć - sumitował się zakonnik.

- Nie martwcie się, ja też nie jestem dziś w najlepszej formie do tak delikatnej misji.

- Słyszałem już, co wydarzyło się dziś rano na Uniwersytecie, no i o waszych kłopotach, mam na myśli wydalenie z Kolegium Świętego Bartłomieja. Prawdę powiedziawszy, mnie też nie najlepiej się ostatnio wiedzie. Przeor kazał mi zniszczyć wszystkie moje rośliny; nie tylko tabaco, ale również te jadalne, przy pomocy których miałem nadzieję rozwiązać problem głodu w Salamance, a kto wie, może nawet w całym królestwie. Najgorsze jednak jest to, że spalili mi też wszystkie nasiona oraz cały zapas moich ukochanych suchych liści tabaco. Nawet tej skromnej pociechy mi nie zostawili. I nie zgadnicie pewnie, co mi powiedział przeor: „Macie szczęście, że nie doniosłem na was inkwizycji; mógłbym was oskarżyć o szatańskie praktyki”. Co wy na to?

- W końcu więc stało się to, czego się obawialiśmy - podsumował Rojas. - Wasi bracia zakonni mają tak wielką obsesję na punkcie wydawania na pastwę płomieni wszystkiego, co im się na tym świecie nie podoba, że kiedy tylko widzą dym, natychmiast na myśl przychodzi im Szatan. Jeżeli zaś chodzi o nasiona, nie martwcie się: napiszemy do Kolumba, żeby przysłał nam następną porcję.

- Do Kolumba, mówicie? Chyba biedak ma na razie dość własnych problemów. Słyszałem, że monarchowie chcą mu odebrać część przywilejów, które przyznali mu niegdyś w kapitulacji z Santa Fe\*; jemu: człowiekowi, który poświęcił tej wyprawie całe swoje życie, talent i majątek! Żyjemy w ciężkich czasach, mój drogi przyjacielu, w czasach, w których króluje brak tolerancji i najzwyczajsze łupiestwo.

\* Kapitulacja z Santa Fe to dokument spisany w kwietniu 1492 roku w miejscowości Santa Fe koło Grenady, zawierający postanowienia umowy zawartej pomiędzy Królami Katolickimi i Kolumbem w związku z planowaną przez niego wyprawą do Indii.

- Zamilknijcie, jeżeli nie chcecie, żeby wtrącono nas do więzienia.

- Lepiej byłoby mi chyba w więzieniu niż w klasztorze, w którym prześladowuje się wszelkie nowości. Ale macie rację, lepiej nie dajmy im tej satysfakcji. Tak łatwo się nas nie pozbędą. Nawiasem mówiąc, znacie najświeższą nowinę? Po mieście chodzą słuchy, że lista wydatków poczynionych w Salamance w związku z przyjazdem królewicza, jego utrzymaniem, służbą, chorobą, tymczasowym pogrzebem, nabożeństwami żałobnymi i stosownym przygotowaniem miasta oraz przewiezieniem zwłok do Avili jest tak długa, że zajęła dobrych kilkaset stron. Człowiek, który mi to powiedział, zapewniał, że za sumę, jaką wydano na kupno samych świec i gromnic, rada miasta mogłaby utrzymać kilka setek rodzin przez okrągły rok! Na dodatek mówi się, że zużyto przy tym całe zapasy wosku, zgromadzone nie tylko w Salamance, ale również w Medinie del Campo, Segowii, Avili, Arevalo i Santa Maria la Real de Nieva; w sumie bez mała trzysta pięćdziesiąt funtów! Jeżeli to prawda, w tej chwili wszystkie ule w królestwie świecą pewnie pustkami. Najgorzej, że w Salamance nie ma już prawie świec. W sumie można więc powiedzieć, że śmierć królewicza nie tylko zostawiła nas bez grosza przy duszy, ale również pogrążyła w ciemnościach... Czy wy mnie w ogóle słuchacie?

- Tak, tak, słucham - odpowiedział trochę zniecierpliwiony Rojas.

- Nie odzywaliście się, więc myślałem...

- Jak mam się odzywać, jeśli nie dopuszczacie mnie do słowa? Będziecie mi teraz musieli wybaczyć, gdyż mam kilka ważnych spraw do załatwienia. Zostańcie z Bogiem.

- A wy idźcie z Bogiem, bo pewnie będziecie potrzebowali jego pomocy znacznie bardziej niż ja!

\*\*\*

## Rozdział 17.

Następnego dnia o świcie zbudziło Fernanda walenie w drzwi i głośne krzyki gospodarza: „Wstawać, lenie, bramy waszych wydziałów stoją już otworem!”. Umył twarz w wiadrze z lodowatą wodą stojącym przy studni na podwórku, po czym przysiadł na ławce koło furtki od strony ulicy, żeby posilić się kawałkiem czerstwego chleba i jabłkiem. Po chwili doszedł do wniosku, że dobrze byłoby pójść na Uniwersytet, po to między innymi, żeby sprawdzić, jakie nastroje panują tam po wczorajszym konkursie. Był już na ulicy, kiedy dopadł go zlany potem i zasapany Hilario. Przynosił najświeższe nowiny z miasta.

- Całe szczęście, że cię złapałem - zaczął mówić. - Zdaje się, że jakieś ranne ptaszki, choć nie zrozumiałem dobrze, czy byli to żacy zmierzający na wykłady, czy też powracający dopiero z nocnej hulanki, otóż studenci ci natknęli się przy fontannie koło bramy Rzecznej na niezbyt miłą niespodziankę. Z tego, co słyszałem, jeden z nich podszedł, żeby napić się wody, i odkrył w omszałym basenie wzdęty brzuch jakiejś niewiasty. Kiedy w chwilę później kilku odważniejszych wyjęło ją z wody, stwierdzili, że mają do czynienia z ciałem młodej i zupełnie nagiej dziewczyny. Jeden z nich orzekł, że widział ją kiedyś w miejskim lupanarze, dodając też, iż od dłuższego czasu jej tam ponoć nie widziano.

- Czy myślisz, że to ona? - zapytał Rojas, zaintrygowany wieścią. - Całkiem możliwe - odparł Hilario. - Dlatego od razu przybiegłem po ciebie. Z tego, co wiem, znaleźli ją studenci medycyny i zabrali do uniwersyteckiego szpitala, żeby maestro Nicola mógł ją zbadać.

- W takim razie trzeba lecieć - rzucił Rojas. - Nie musisz mi towarzyszyć, chyba nawet lepiej, żebym poszedł sam.

W salamantyńskim Studium Generale przywiązywano znacznie większą wagę do kwestii zbawienia duszy niż do uzdrawiania ciała, stąd też tradycyjnie anatomię studiowało się z ksiąg Galena i Awicenny, bez żadnych praktycznych zajęć. Jednakże od jakiegoś czasu na wydziale medycznym wykładał przybyły z Italii maestro Nicola Farnese, z pochodzenia Toskańczyk, który uważał, że studenci powinni się o wszystkim naocznie przekonać, stąd też, gdy tylko pojawiała się taka możliwość, zapraszał ich, ma się rozumieć w wielkiej tajemnicy, na przeprowadzane przez siebie sekcje zwłok. Nie było to takie proste, bo po pierwsze wszystko musiało się odbywać z zachowaniem ogromnych środków ostrożności, a po drugie niełatwo było znaleźć stosownego nieboszczyka. Szczęśliwie od czasu do czasu w nader zagadkowy sposób w uniwersyteckim szpitalu pojawiała się ciało straconego przestępcy,

zmarłego na ulicy żebraka czy też jakiegoś nieznanego, którego zwłoki wylądowały na śmietniku. W takich przypadkach należało czym prędzej przystąpić do akcji.

Rojas nieraz uczestniczył już w tych praktycznych lekcjach anatomii. Szpital znajdował się zaraz na początku wąskiej uliczki łączącej Escuelas Mayores z budynkiem wydziału sztuk wyzwolonych, dokładnie w miejscu, gdzie niegdyś wznosił się midrasz, czyli dom modlitwy i zarazem szkoła nieistniejącej już dzielnicy żydowskiej. Sekcje odbywały się zwykle w niedokończonej kaplicy, której budowę przerwano z powodu braku środków finansowych. Tam właśnie skierował swe kroki Rojas.

W drzwiach pomieszczenia stał na czatach jeden ze studentów, mający za zadanie nie dopuścić do środka nikogo obcego.

- Jesteś studentem medycyny? - spytał, kiedy tylko zobaczył Rojasa.

- Mam zaliczone dwa lata. Dowiedziałem się właśnie, że maestro Nicola ma robić sekcję i...

- Dobra, możesz wejść, ale najpierw musisz mi dać kilka groszy, no wiesz, na wydatki - chodziło o opłacenie tych, co przynieśli zwłoki.

- Masz - odparł Rojas, wręczając mu marawediego.

Wnętrze pomieszczenia było przestronne i jasne. Światło wpadało przez wielką dziurę w suficie, jako że w swoim czasie nie skończono układać poszycia dachu. Na środku sali stał profesor otoczony dwudziestką studentów, którzy rozlokowali się dookoła stołu, gdzie spoczywało ciało zmarłej. Rojasowi udało się wcisnąć pomiędzy dwóch kolegów, żeby móc się przyjrzeć kobiecie. Rzeczywiście, jej wygląd zdawał się odpowiadać rysopisowi przedstawionemu przez Rosę.

Z drugiej strony stołu Nicola Farnese zabierał się właśnie do pierwszego cięcia; dla niego były to tylko anonimowe zwłoki. Swym ostrym skalpelem wykonał na piersi dziewczyny nacięcie w kształcie litery T: z lewej do prawej nad piersiami, a potem od nasady szyi do górnej części brzucha. Kiedy skończył, otworzył ciało niczym książkę, żeby pokazać zebranym, co znajduje się w środku. Wyciąwszy kilka żeber za pomocą piły, przystąpił do wydobycia serca oraz płuc.

- Niektórzy z was uczestniczyli już w moich pokazach anatomii - zaczął objaśniać maestro. - Zwróćcie szczególną uwagę na stan niektórych organów tej kobiety. Czy obserwując je, któryś z was mógłby mi powiedzieć, na co umarła?

- Moim zdaniem utopiła się - odważył się cichym głosem zasugerować Rojas, odczekawszy najpierw chwilę. - No cóż, wszyscy wiemy, że znaleziono ją na dnie fontanny, nieprawdaż? Czy ktoś jednak mógłby wskazać bezpośrednią przyczynę śmierci?

Komentarz profesora wywołał śmiech na sali, Rojas jednak nie dał się zbić z tropu.

- Wydaje mi się, że płuca są pełne wody - wyjaśnił. - Stąd ich wielkie rozmiary.

- Otóż to - potwierdził Farnese, zadowolony z odpowiedzi. - Gdyby umarła, zanim wrzucono ją do wody, płuca nie byłyby tak nabrzmiałe, błyszczące i gąbczaste, nie sądzicie?

- Tak, to logiczne - przyznał Rojas.

- Nie byłyby też pokryte - dodał maestro Nicola - tą cienką warstewką piany. - Jak uważacie - pytał dalej z wyraźną ciekawością - utopiono ją czy był to wypadek i sama utonęła?

- Hmm, niełatwo utopić się w przypadkowy sposób w fontannie, chyba że ofiara była, na przykład, pijana.

- To prawda. Tym razem to ja zgrzeszyłem zbytnią naiwnością.

- Czy mógłbym oglądnąć ją z bliska? - poprosił Rojas.

- Oczywiście, podejdźcie, proszę. Bez obawy.

Zbliżywszy się do stołu, pochylił się nad kobietą i zaglądnął jej ukradkiem do ust. Profesor przypatrywał mu się, zaintrygowany, podczas gdy Fernando stwierdzał, że wewnątrz, tak jak przypuszczał, tkwi moneta, choć tym razem umieszczona pod językiem, być może, żeby zbyt łatwo się nie zgubiła. Rojas przeleciał wzrokiem po twarzy dziewczyny, zauważając zadrapanie na lewym policzku, po czym przystąpił do oględzin szyi, ramion, rąk...

- Jestem przekonany, że ją zamordowano - wyraził wreszcie głośno swą opinię.

- Czy moglibyście nam wyjaśnić, dlaczego tak sądzicie?

- spytał Farnese.- Patrząc uważnie, można stwierdzić - powiedział, wskazując na szyję i ramiona zmarłej - że w tej okolicy widnieją ślady dowodzące, iż ktoś siłą zanurzył ją w basenie, a potem przytrzymał na dnie, aż wyzionęła ducha. Ślady uderzeń i rany na ramionach i nogach świadczą o tym, że kobieta próbowała stawiać opór, do końca broniąc się przed śmiercią.

- Brawo, Caro Amico!\* - Choć doskonale mówił po hiszpańsku, Farnese wtrącał od czasu do czasu jakieś tokańskie słowo, żeby podkreślić swoje pochodzenie. - Widzę, że nie tylko jesteście świetnym obserwatorem, ale macie też dobrą intuicję.

- To nie moja zasługa, lecz wasza - odparł Rojas. - Całą moją wiedzę z anatomii zawdzięczam wam i waszym wykładom; nie po raz pierwszy biorę udział w prowadzonej przez was sekcji.

- Miło mi to słyszeć, no a przede wszystkim miło mi stwierdzić waszą skromność, z której jestem bardzo dumny, mimo że wygląda to na paradoks, gdyż prawdziwym

przywilejem jest posiadanie studentów takich jak wy. Pozwólcie mi zadać wam jeszcze jedno pytanie. Nie wydaje wam się dziwne, że morderca porzucił ciało w basenie, nie próbując ukryć go lub okaleczyć, żeby, w razie gdyby je znaleziono, nie można było poznać, kim była ofiara?

- Być może chodziło mu właśnie o to, żeby ofiarę odkryto i rozpoznano. Jednak, żeby móc się upewnić w tym względzie, musielibyśmy spytać o to mordercę. Teraz, jeżeli pozwolicie, muszę się oddalić.

- Nie chcecie zostać do końca sekcji? Wykorzystam okazję, żeby wyjaśnić budowę i sposób działania niektórych części ciała.

- Przykro mi, ale muszę teraz zająć się czymś innym.

\* Caro Amico (łac.) - Drogi Przyjacielu.

- W takim razie, addio\*. Mam nadzieję, że zobaczę was jeszcze kiedyś na moich wykładach. Wydaje mi się, że moglibyście mi pomóc podczas sekcji.

\* Addio (wł.) - do widzenia.

Torując sobie drogę do wyjścia, Rojas pomyślał, że rozsądniej byłoby zostać do końca, choćby po to, żeby nie wzbudzać podejrzeń, jednak nie mógł już dłużej wytrzymać widoku rozplatanego ciała kobiety. Nie uspokoiła go nawet myśl, że przecież w końcu sama była sobie winna, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa brała udział w zabójstwie królewicza don Juana, stąd też była współniczką człowieka, który później ją zabił. Zamordowano ją, jak zabija się zdrajcę, który zrobił już, co do niego należało. Rzecz jasna istniała też możliwość, że była niewinna i że zrobiła to, co zrobiła, pod przymusem lub oszukana przez kogoś. W takim razie ten ktoś zamordowałby ją, bojąc się, że go wyda, albo po prostu, żeby pozbyć się jej teraz, kiedy jej już nie potrzebowano i kiedy mogła stać się niewygodnym świadkiem. Jakkolwiek było, jedyne, czego Rojas mógł być pewien, to fakt, że prędzej czy później będzie się musiał zmierzyć z okrutnym i pozbawionym skrupułów mordercą.

Kiedy tylko znalazł się na ulicy, poczuł nagły przyływ mdłości. Oddalił się nieco od drzwi kaplicy i, oparłszy się obiema rękami o ścianę, pochylił do przodu z zamiarem zwrócenia wszystkiego, co miał w żołądku; jego wysiłki jednak okazały się jałowe - wydało mu się, że ma w sobie absolutną pustkę. Po chwili, trochę już spokojniejszy, wielkimi krokami zaczął oddalać się od szpitala. Czuł, że musi stąd natychmiast uciec i znaleźć kogoś, z kim mógłby porozmawiać, żeby jakoś powrócić do równowagi. Nawet nie zauważył, że nogi same niosły go w stronę miejskiego lupanaru. Zdał sobie z tego sprawę dopiero wtedy, kiedy stanął przed jego bramą, która, rzecz jasna, była o tej porze zamknięta naглуcho.

Zaczął się uporczywie dobijać do drzwi, aż wreszcie z któregoś okna na piętrze wyjrzała kobieta.

- Czy można wiedzieć, o co wam chodzi? Nie widzicie, że lupanar jest zamknięty?

- Muszę się natychmiast zobaczyć z Sabelą.

- Sabela śpi, to nie pora na wizyty. Czyżbyście nie wiedzieli, że tu się pracuje do późnej nocy?

- Zawołajcie ją, proszę. To bardzo pilne. Powiedzcie, że przyszedł Fernando de Rojas.

- Fernando de co? - krzyknęła z góry kobieta.

- De Rojas, ona już będzie wiedzieć, o kogo chodzi.

Po chwili Sabela własnoręcznie otworzyła bramę, wpuszczając go na podwórko. Miała na sobie nocną koszulę, była rozczochrana i patrzyła na niego zapuchniętymi oczami.

- Co was tu sprowadza? - spytała zasnym głosem.

- Przyszedłem, żeby wam powiedzieć, że znaleziono ciało Alicji. Leżało na dnie fontanny przy bramie Rzecznej.

- Boże święty! - krzyknęła Sabela, zegnając się. - Czy wiadomo, co jej się stało?

- Oficjalnie nie, ale miałem możliwość obejrzeć jej zwłoki w szpitalu uniwersyteckim i mogę was zapewnić, że ktoś ją utopił.

- Utopił? Ale dlaczego?

- Teraz nie ma to większego znaczenia, chciałem was tylko prosić, żebyście na siebie uważali i mieli oczy i uszy szeroko otwarte. Nie chcę was straszyć, ale obawiam się, że zabójca może się tu zjawić.

- Mój Boże, muszę zaraz zawiadomić Rosę.

- Powiedzcie jej, żeby pod żadnym pozorem nie wychodziła sama na ulicę, a jeśli tylko zauważy coś podejrzanego, niech mnie natychmiast zawiadomi.

- Jest chyba coś, co powinniście wiedzieć - wyszeptała po krótkiej przerwie speszona dziewczyna.

- Co takiego? - spytał Rojas, lekko zaniepokojony.

- Rosa kazała mi przyrzec, że nie pisnę wam na ten temat ani słowa - wyznała. - Otóż przed kilkoma dniami ktoś przeszukał jej pokój; ten sam, który zajmowała wcześniej z Alicją. Zauważyła, że skrzynia z ubraniami jest otwarta i że ktoś pozostawił wszystko w nieładzie. Kiedy zaczęła sprawdzać, czy czegoś nie brakuje, znalazła wśród rzeczy Alicji kartkę papieru. Pokazała mi ją, bo chciała się dowiedzieć, czy to tego mógł poszukiwać złodziej. Na kartce było coś narysowane, ale nie mogłyśmy dociec, co to takiego. Zaproponowałam jej, żebyśmy



pokazały wam ten rysunek, ale za nic nie chciała się zgodzić i kazała mi przysiąc na wszystkie świętości, że nic wam nie powiem.

- Intuicja mówi mi, że ten incydent potwierdza moje wcześniejsze obawy. Jak tylko Rosa się obudzi - zarządził - weźcie od niej ten rysunek, a przy okazji ostrzeżcie ją, że może się znajdować w niebezpieczeństwie; powiedzcie jej też, że ja jestem na razie jedyną osobą, do której może się zwrócić o pomoc. Zrozumieliście wszystko, co wam powiedziałem? - Dziewczyna przytaknęła. - Spróbuję zaglądnąć do was jeszcze raz, jak się wyśpicie.

- Jak wam się zdaje, czy mnie też może coś grozić? - odważyła się spytać Sabela.

- Nie wydaje mi się, choć tak naprawdę nie wiem. Na wszelki wypadek wy również powinniście na siebie uważać. Aczkolwiek nie chciałbym was niepotrzebnie straszyć.

- Muszę przyznać, że trochę się boję - wyznała. - W takich chwilach najbardziej mi smutno, że nie mam nikogo, kto by się o mnie zatroszczył.

- To nieprawda, macie przecież mnie - odparł Rojas, widząc, jak bardzo jest strapiona.- Bardzo wam jestem wdzięczna za współczucie oraz za to, że próbujecie mnie pocieszyć; to bardzo szlachetne z waszej strony, zwłaszcza iż macie do czynienia z kobietą mojej kondycji. Wyobrażam sobie - dodała - że jesteście pod wrażeniem tego, co się przytrafiło Alicji.

- Nie, to nie tylko o to chodzi - wyjaśnił Fernando. - Mówię to również dlatego, że naprawdę mi na was zależy.

- Na mnie? Zależy wam na mnie? - spytała Sabela, szczerze zdumiona.

- Pierwsze, co zrobiłem, kiedy tylko przekonałem się na własne oczy, że Alicja nie żyje, to przybiegłem prosto do was. Zrobiłem to zupełnie bezwiednie. Podejrzewam, że przyszedłem tutaj, gdyż czułem, że natychmiast muszę się z wami zobaczyć, by się upewnić, iż nic wam się nie stało. I, jeżeli mam być szczerzy, ja też czuję się bardzo samotny w tym całym zamieszaniu.

- Macie ochotę zostać? - spytała z prostotą Sabela.

Rojas nie musiał nawet odpowiadać. Sabela poprosiła go, żeby nie robiąc hałasu, poszedł za nią. Szybko wspięli się na górę po drewnianych schodach, po czym pobiegli na palcach korytarzem aż do drzwi pokoju dziewczyny, który okazał się raczej niewielką, choć dość jasną izdebką z oknem wychodzącym na rzekę. W środku znajdowały się wszystkie sprzęty potrzebne do wykonywania jej profesji: duże łóżko z dwoma siennikami, średniej wielkości skrzynia na ubrania i niewielki stolik, na którym stały pudełka z ekstraktami do upiększania i innymi dziwnymi miksturami, dzban z wodą, miednica oraz świeca - wszystkie te rzeczy wynajmowała od „ojca” lupanaru.

Oczywiście Rojas nie po raz pierwszy szedł do łóżka z niewiastą, można jednak powiedzieć, że od czasów owego nieudanego związku z Jimeną, Sabela była pierwszą kobietą, Kamienny manuskrypt - 14 która wywoływała w nim uczucia będące czymś więcej niż tylko cielesną uciechą. Tłumaczyło to, dlaczego był teraz tak bardzo zdenerwowany i niecierpliwy - znacznie bardziej niż kiedykolwiek indziej w podobnych okolicznościach. Kiedy tylko zobaczył Sabelę wyciągniętą nago na łóżku, wydało mu się, że krew uderza mu do głowy; potem, w miarę jak się do niej zbliżał, uczył, że jego ciało przeszywa nagły dreszcz i że kręci mu się w głowie. Zamknął więc oczy, pozwalając, by Sabela przejęła inicjatywę.

Gdyby godzinę później, kiedy się obudził, ktoś go zapytał, kim jest i gdzie się znajduje, nie wiedziałby chyba, co ma odpowiedzieć. Z jednej strony czuł się jak zupełnie inny, nowy człowiek, z drugiej zaś wydawało mu się, że wszystko wokół również się zmieniło. Gdyby nie to, że Sabela spała teraz u jego boku, byłby pewien, że wszystko to mu się tylko przyśniło. Jednak mógł zbliżyć twarz do jej ust i poczuć, że oddycha. Na wszelki wypadek dotknął jej ramienia, żeby własnoręcznie się przekonać, iż ma koło siebie kobietę z krwi i kości, a nie nocną zjawę. Jej cudowną krew, cudowne kości i, przede wszystkim, jej cudowną skórę. W jej szyi czy w jej ramieniu dostrzegał teraz wyraz całej boskiej mocy. Jego raj mieścił się na ziemi. Jakże daleko wydawało się znajdować absolutnie wszystko poza tą małą izdebką nad brzegiem rzeki; jakże dalekie wydały mu się wszystkie problemy, gnębiące go w ostatnich tygodniach; jakże obce zdawało się wszystko poza Sabelą.

- Witaj, Sabelo - odezwał się, kiedy zobaczył, że dziewczyna zaczyna się przeciągać niczym kotka. - Nawet nie wiesz, jaki pochmurny był dzisiejszy dzień do chwili, kiedy się przebudziłaś - dodał poufale. - Niech Bóg błogosławi niebo, które cię zesłało.- O Boże, pewnie jest już strasznie późno! - wykrzyknęła dziewczyna, wyjrzawszy przez okno. - Musimy natychmiast wstać i pójść pomówić z Rosą.

- A ja, naiwny, przez moment myślałem, że jesteśmy w raju! - zawołał Rojas, udając rozczarowanie.

- Już najwyższy czas, żebyście zstąpili z powrotem na ziemię - stwierdziła dziewczyna, zaczynając się ubierać.

Znaleźli Rosę pożywiającą się samotnie w pokoju, z którego ostatnio prawie nie wychodziła. Kiedy opowiedzieli jej, jaki los spotkał jej zaginioną współlokatorkę, dziewczyna wybuchła rozpaczliwym płaczem, trzęsąc się jak osika. Próbowali ją uspokoić, mówiąc, że nie ma powodu, aby jej miało się cokolwiek przytrafić, że być może Alicja wpadła w złe towarzystwo i w końcu źle się to dla niej skończyło. Zapewnili ją, że Rojas będzie czuwał w

poblizu, na wypadek gdyby któraś z nich potrzebowała jego pomocy. W końcu poprosili ją o pokazanie tajemniczej kartki, mogącej mieć coś wspólnego ze śmiercią koleżanki.

Rosa podała im niewielki, pomięty kawałek papieru, na którym widniały jakieś tajemnicze kreski i znaki. Po prawej stronie u góry narysowano kółko z wpisaną w środku literą „I”, a pod nim symbol greckiego krzyża, crux quadrata, którego podstawa była połączona prostą kreską z końcem lewego ramienia, podczas gdy prawe ramię kończyło się strzałą. Poniżej widać było coś w rodzaju wydłużonego prostokąta, a po jego lewej stronie kilka linii wychodzących z jednego punktu; jedna z nich była dłuższa i ciągnęła się zygzakami, przerywana od czasu do czasu otoczoną kółkiem cyfrą. Te ułożone w naturalnej kolejności cyfry znajdowały się w miejscach, gdzie główna linia dzieliła się na dwie lub trzy odnogi, z których zawsze tylko jedna biegła dalej - raz prowadziła w lewo, raz w prawo, a kiedy indziej prosto - docierając na koniec do punktu oznaczonego większym kółkiem z literą „C”. Jak myślisz, co to może przedstawiać? - zapytała Rojasa zaniepokojona Sabela.

- Muszę przyznać, że nie mam pojęcia.

- Mnie to przypomina - ośmieliła się dziewczyna - jeden z tych pergaminów pełnych magicznych symboli, które mają przynieść właścicielowi szczęście lub odstraszać niebezpieczeństwa i złe duchy.

- Możliwe, aczkolwiek prawie zawsze zawierają one imiona lub inne możliwe do odczytania wyrazy; to dlatego wróżki nazywają je nomina\*. Jednak, w samej rzeczy, czasem można w nich też znaleźć figury i znaki. Czy Alicja wierzyła w tego rodzaju wróżby?

\* Nomina (łac.) - imiona.

- Nie wiem, czy w nie wierzyła, czy nie, faktem jest, że zawsze pod pierwszym lepszym pretekstem bawiła się w przepowiadanie przyszłości i inne czarodziejskie sztuczki. Nauczyła się tego wszystkiego od matki Celestyny, kiedy pracowała w jej zamtuzie.

- Być może chodzi więc o coś w tym rodzaju, co oznaczałoby, że kartka ta nie ma nic wspólnego z jej śmiercią.

- Mam nadzieję.

- Czy wiesz może, gdzie teraz mieszka stara Celestyna? Chciałbym pokazać jej tę kartkę, żeby pozbyć się do końca wszelkich wątpliwości.

- Ostatnie, co do mnie doszło, to że mieszka za miastem, w na pół zrujnowanym domu koło warsztatów garbarskich.

- W takim razie pójdę tam zaraz i spróbuję ją odnaleźć.

Garbarnie mieściły się na brzegu rzeki, pomiędzy kościołem Świętego Laurencjusza, znajdującym się na wprost bramy Cudów, a rzymskim mostem. Garbowanie skór było

ciężkim i niebezpiecznym zajęciem, a na dodatek niezbyt przyjemnym, głównie ze względu na produkty używane do ich oczyszczania i obróbki. Mimo to nie należał do rzadkości widok dzieci pracujących półnago wśród wielkich kadzi. W miarę jak Rojas zbliżał się do garbarni, coraz mocniej odczuwał mdlący i bardzo przykry zapach. Na podejściu prowadzącym od rzeki do bramy Zamkowej, nieopodal warsztatu znanego pod nazwą odwłaszacza, zauważył grupę walących się domów z suszonej cegły, w których dawniej mieszkało kilka mozarabskich\* rodzin. Skierował się w tamtą stronę z zamiarem zapytania o Celestynę. W pewnej chwili zobaczył, że z jednego z budynków, zupełnie pozbawionego drzwi i dachu, wychodzi jakaś starucha. Była to drobna kobieta o śniadej, pomarszczonej skórze, cała pokryta tak grubą warstwą kurzu, że ledwo można ją było zauważyć na tle zapyłonej ziemi, po której stąpała.

- Kogo szukacie? - krzyknęła do niego z daleka wysokim, skrzekliwym głosem.

- Szukam starej Celestyny, czy to wy? - spytał Rojas, kierując się w jej stronę.

- Ależ skąd! Celestyna już od dawna się tu nie pojawia.

- A nie wiecie czasem, gdzie mógłbym ją znaleźć? - próbował się dopytać Rojas.

- A kto jej szuka? - zapytała podejrzliwie kobieta.

Przez chwilę Fernando nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć. Czuł się trochę głupio wobec tej staruchy - niczym dziecko przyłapane na gorącym uczynku.

- Ktoś, kto potrzebuje jej usług - odparł w końcu.

- Jeśli powiecie mi, o co chodzi, może będę mogła wam pomóc.

- Może wiecie, co to takiego? - spytał po namyśle Fernando, wyciągając w jej stronę pomiętą kartkę.

\* Mozarabowie - chrześcijanie żyjący na Półwyspie Iberyjskim pod dominacją Arabów.

- A skąd niby mam wiedzieć? Nie umiem przecież czytać - odrzekła wymijająco, rzuciwszy okiem na rysunek.

- To nie litery, lecz rysunki - odparł Rojas.

- Co za różnica i tak niedowidzę. Wiecie przecież, że starość nazbyt przyjaźni się ze śmiercią, przez co jest siedzibą najróżniejszego rodzaju dolegliwości i chorób. Idźcie z Bogiem - pożegnała się nagle.

- Hej, zaczekajcie! - zawołał Fernando, rzucając niepostrzeżenie na ziemię marawediego. - Zdaje się, że zgubiliście monetę.

- Ach, rzeczywiście - krzyknęła, spoglądając na ziemię. - Toż to marawedi, którego miałam przy sobie.

- Widzę, że jeśli chodzi o monety, wzrok wam nie szwankuje - zauważył ironicznie Rojas.

- Nie mylisz się, synu, blask monet rozjaśnia mi spojrzenie.

- Jeżeli tak, to mógłbym pewnie sprawić, że wasze źrenice zaczną tańczyć z uciechy.

- Ciekawe w zamian za co? - zapytała podejrzliwie stara kobieta.

- Za kilka szczerych odpowiedzi na moje pytania.

- Jeżeli chcecie się dowiedzieć, gdzie mieszka kuma Celestyna - uprzedziła go - nie mogę wam w niczym pomóc, bo dawno jej nie widziałam. Gdziekolwiek by jednak mieszkała, na pewno jest jej lepiej niż tutaj. To obrotna kobieta, para się niemal trzydziestoma różnymi profesjami; takiej starej lisicy jak ona nigdy nie zabraknie chleba ani wina.

- Wiecie może, czym się ostatnio zajmuje?

- Tymi nielicznymi zajęciami, których nie zabroniła jej jeszcze inkwizycja. To dlatego poszła sobie stąd. Ona, która kiedyś opływała w zbytki, ostatnio nie była w stanie zarobić nawet na najędzniejszy żywot. - A co byście mi mogli powiedzieć na temat kartki, którą wam pokazałem?

- Ze to coś, z czym lepiej nie mieć nic wspólnego. Dobrze wam radzę: spalcie ten papier, bo jeszcze kiedyś pożałujecie, że go w ogóle znaleźliście.

- To żadna odpowiedź.

- Mówię wam dokładnie to samo, co powiedziałyby wam na moim miejscu stara Celestyna. Posłuchajcie mojej rady; żeby nie było, że przyszlście w to paskudne miejsce po próżnicy.

- Skąd wiecie, że ta kartka może mi zaszkodzić? Czy przypadkiem jesteście wróżką albo czarownicą?

- Czyżbyście myśleli, że będąc wróżką lub czarownicą mieszkałabym na tym śmietniku i ubierała się w łachmany?

- Macie rację - wycofał się Rojas. - Wybaczcie mi, proszę. Ale, powiedzcie, cóż takiego zobaczyliście na tej kartce, co mogłoby mi zaszkodzić? Czyżby to było jakieś przekleństwo czy urok?

- To zaproszenie do piekła, możecie mi wierzyć.

- Do piekła? Czyżby więc chodziło o coś w rodzaju mapy mającej ułatwić poruszanie się po piekle?

- Jeśli nie chcecie doprowadzić do swojej własnej zguby, gubiąc przy okazji i mnie, nie próbujcie dowiadywać się nic więcej na ten temat - odparła dobitnie. - A teraz idźcie już sobie wreszcie.

- Przyjmijcie wcześniej tych kilka monet i pomódlcie się za moją duszę.

- Tak właśnie zrobię. A wy z łaski swojej zróbcie to, co wam powiedziałam. Uwierzcie starej kobiecie, która, choćby ze względu na swój wiek, wie o tym świecie znacznie więcej niż wy.

Rozmowa ze staruchą nie tylko nie rozwiała żadnej z wątpliwości Rojas, ale wręcz sprawiła, że poczuł się jeszcze bardziej zagubiony i pełen niepokoju. Wątpił zresztą, żeby nawet sama Celestyna, jeśli - co mało prawdopodobne - udało mu się ją w końcu odnaleźć, mogła mu służyć jakąkolwiek pomocą. Najprawdopodobniej była co najmniej tak samo obłudna i podstępna jak ta i wyłudziłaby tylko od niego kilka monet, a może nawet i coś więcej. Z drugiej strony, wątpił, żeby rysunek miał cokolwiek wspólnego z wróżbami czy zaklęciami; może był to jakiś rodzaj mapy, chociaż wydawało mu się, że powinno raczej chodzić o coś w rodzaju alegorii, czyli o miejsce niemożliwe do odnalezienia w rzeczywistym świecie.

Po południu Fernando spotkał się z Hilariem, który poinformował go, że udało mu się wkręcić w niewielką grupkę przyjaciół Roy. Dowiedział się od nich, że zwolennicy profesora spotykają się kilka razy w tygodniu w jakimś tajnym miejscu, do którego miał nadzieję zostać kiedyś zaproszony.

- Czasami mam wrażenie - stwierdził na koniec - że w tym mieście szykuje się coś naprawdę ważnego. Może w końcu okaże się, iż Diego de Deza rzeczywiście miał powody do niepokoju. Swoją drogą, czy wiesz może, co się z nim dzieje?

- Z tego, co ostatnio słyszałem, przebywa z Ich Królewskimi Mościami na dworze. A jeśli chodzi o domniemany spisek, chyba nie bardzo się już tym wszystkim przejmuję. Jedynym problemem byłoby dla mnie stwierdzenie, po czyjej jestem stronie.

- Nie wydaje ci się, że w tym celu dobrze by było najpierw się dowiedzieć, która ze stron ma rację? - zapytał zdziwiony Hilario.

- Obawiam się, że zależy to tylko i wyłącznie od tego, z której strony się patrzy.- A przestępstwo? Czy w takim razie to, czy dany akt uzna się za przestępstwo, też zależy od strony, z której się patrzy?

- Przestępstwo zawsze jest przestępstwem - zdenerwował się Rojas - i jako takie musi zostać ukarane, niezależnie od jego motywacji czy celu.

- A jeśli popełni się je w imię szlachetnej sprawy?

- Rozumując w ten sposób, moglibyśmy usprawiedliwić wszystkie tortury i egzekucje czynione w imię Boże.

- Nie podejrzewałem, że jesteś aż do tego stopnia heretykiem.

- Nie byłbym heretykiem, gdybyś mnie w ten sposób nie przypierał do muru swoimi pytaniami.

- Czyżbyś w takim razie nie uważał, że mogą istnieć szlachetne lub uczciwe sprawy?

- Sprawy, drogi Hilario, choćby były nie wiem jak szlachetne czy święte, w rękach ludzi zawsze w końcu przeobrażają się w fałszywe lub sprzedajne, stając się źródłem wszelkiego rodzaju zła.

- Obawiam się, że przesadzasz.

- Zobaczysz, że kiedyś sam się o tym przekonasz i przyznasz mi rację - zapewnił przyjaciela Fernando. - A teraz, za twoim pozwoleniem, muszę udać się na nocleg do mojej nowej bursy.

Następnego dnia rano Rojas zajrzał do lupanaru, żeby się zobaczyć z Sabelą. Znalazł ją leżącą na łóżku w pokoju Rosy, całkiem załamana i zalana łzami. Na jego widok dziewczyna spróbowała się podnieść. Rosa spojrzała na niego z pogardą, jakby z góry zakładała, że to on jest wszystkim winien.

- Co się stało? - spytał Fernando drżącym głosem.

- To straszne, naprawdę straszne - zaczęła mówić Sabela, nie przestając płakać. - Dziś rano, kiedy się zbudziłam, znalazłam u wezłowia łóżka sztylet. Możesz pójść zobaczyć, ciągle jeszcze tam leży. Nie chciałam go nawet dotykać. Zabierz go stamtąd, błagam.

Kiedy Fernando wszedł do pokoju Sabeli, w jednej chwili poczuł, że nie jest on już tym samym miejscem, w którym zaledwie dzień wcześniej był taki szczęśliwy; jakby coś złowieszczonego zawisło w powietrzu, na zawsze go odmieniając. Nóż leżał na prześcieradle, tuż obok poduszki. Rojas podszedł nieufnie do łóżka, jakby się obawiał, że puginął w każdej chwili może na niego skoczyć. Z bliska mógł się przekonać, że chodzi o zwykły sztylet, z tych, jakich niektórzy studenci używają w bójkach. Wziął go ostrożnie do ręki, stwierdzając, że jest świeżo naostrzony, co zinterpretował jako ostrzeżenie, iż właściciel jest gotów rzeczywiście go użyć, gdyby przyszło co do czego. Zatknął go za pas, obok noża, który dostał od biskupa, po czym wrócił do pokoju, w którym znajdowały się dziewczęta.

- Zostawcie nas samych - poprosił Rosę, która wyszła bez szemrania.

- Możesz mi powiedzieć, co ja takiego zrobiłam? Dlaczego chcą mnie zabić? - zapytała natychmiast Sabela, całkiem roztrzęsiona.

- Zapewniam cię, że nic, ale to nic ci się nie stanie - spróbował ją pocieszyć Rojas. - Gdyby rzeczywiście chcieli cię zabić, już by to zrobili. Na razie jest to tylko ostrzeżenie, i to pewnie nie dla ciebie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ze groźba skierowana jest do mnie.

- Ale co się dzieje, o co w tym wszystkim chodzi? - chciała wiedzieć Sabela.

- Niełatwo to w kilku słowach wyjaśnić, ale opowiem ci wszystko, co udało mi się do tej pory ustalić. Masz prawo wiedzieć, skoro z mojej winy znalazłaś się w niebezpieczeństwie. Jeżeli nic ci wcześniej nie mówiłem - dorzucił - to tylko dlatego, że nie chciałem cię mieszać w tę sprawę. Teraz jednak nie ma to już znaczenia. Wątpię, żeby osoba, która podrzuciła sztylet, przejmowała się zbytnio tym, że jej zbrodnie mogłyby wyjść na jaw.

W miarę jak relacjonował Sabeli, co się dotychczas wydarzyło, zdawał sobie sprawę, że nie tylko nie udało mu się do tej pory odkryć winnego, ale że na razie to on, Fernando, był zdany na łaskę i niełaskę owego nieprzyjaciela. Nie na próżno przecież udowodnił mu tej nocy, że zna każdy jego krok, no i przede wszystkim, że zna wszystkie jego słabości. Wyglądało również na to, że student działa według planu i że ma dobrą i pewną kryjówkę, co pozwala mu ciągle jeszcze przebywać w Salamance i robić, na co tylko ma ochotę, zamiast uciekać do jakiegoś innego królestwa z dala od Kastylii, do któregoś z miast, gdzie nikt nie będzie go szukał i gdzie jego zbrodnie pozostaną bezkarne. Z drugiej jednak strony fakt, że student groził mu teraz przez Sabelę, mógł również oznaczać, że on, Fernando, w niebezpieczny sposób depta mu po piętach, że jest coraz bliżej. Jednak myśl ta, zamiast dodać mu odwagi i sił do kontynuowania śledztwa, groziła mu teraz całkowitym paraliżem, nie miał bowiem zamiaru wystawiać na niebezpieczeństwo życia Sabeli. W każdym razie było już stanowczo za późno na odwrót - ani biskup, ani inkwizycja nie pozwoliłoby na to. Poza tym Fernando wątpił, żeby student siedział z założonymi rękami. Więcej nawet, był pewien, że jego adwersarz nie spocznie, dopóki prawda na temat śmierci królewicza nie wyjdzie na jaw, choćby musiał w tym celu znowu kogoś zabić. Tak więc treść ostrzeżenia, które przekazano mu za pomocą sztyletu, była całkiem jasna.

- Gdyby przynajmniej na dworze świeciło słońce - westchnął Rojas, spoglądając w okno. - Od jak dawna go już nie oglądamy?

\*\*\*



## Rozdział 18.

Od śmierci królewicza w Salamance i okolicach dzień w dzień nie przestawał padać deszcz. Wody Tormesu wezbrały tak obficie, że rzeka zaczęła grozić wylaniem; obawiano się, że w każdej chwili może zalać domy i pola na przedmieściach przy moście, co zdarzało się już wcześniej przy wysokiej wodzie. Podobnie rzecz się miała z obydwoma mniejszymi rzeczkami - Potokiem Cudów i Potokiem Świętego Dominika - które przecinały miasto z północy na południe, oddzielając od siebie trzy wzgórza: Świętego Wincentego na zachodzie, Świętego Izydora pośrodku i Świętego Krzysztofa na wschodzie (to ze względu na nie nazywano często Salamankę miastem trzech wzgórz). Wewnątrz murów miejskich nawet te nieliczne ulice, które na rozkaz don Juana zostały pospiesznie wybrukowane, nie były wolne od wszechobecnego błota, którego poziom w niektórych miejscach sięgał piędzi, utrudniając jazdę wierzchem i w ogóle cały ruch oraz powodując kłopoty z aprowizacją w niektórych częściach miasta. Bite place i podwórza były całkowicie zalane wodą i do tego stopnia zabagnione, że tylko tu i ówdzie, niczym wyspy, wyrastały z nich fragmenty piaskowych skał. Również chłody przysły tego roku wcześniej niż zwykle, zapowiadając mroźną zimę, która rok w rok przez dobrych kilka miesięcy znęcała się nad miastem.

Podobnie jak życiu mieszkańców Salamanki, również śledztwu Rojasa groził zastój, pomimo jego bezustannych troski starań.

Jedynym solidnym dowodem, jaki udało mu się do tej pory znaleźć, była owa kartka z mapą, której znaczenia nikt nie był dotąd w stanie odgadnąć. Nawet jego przyjaciel zielarz, tak zazwyczaj bystry, nie potrafił zinterpretować rysunku, choć niewątpliwie znał go już na pamięć. Od kiedy przeor kazał zniszczyć jego ukochane rośliny, żył pogrążony w stanie głębokiego smutku i wyczerpania i tylko od czasu do czasu mobilizował się na tyle, żeby pójść i po raz kolejny poinformować Rojasa, że ma zamiar rzucić wszystko i towarzyszyć Kolumbowi w jego następnej wyprawie do Indii. „Jestem przekonany, że tam - stwierdził kiedyś - nabrałbym zapалу do nowych projektów i byłbym w stanie zgromadzić wystarczającą ilość sił i chęci, żeby móc je przeprowadzić”. Nawet zbliżenie się Hilaria do grupy popleczników profesora Roy nie przyniosło jak na razie żadnych efektów, gdyż ci, jak się zdawało, ciągle jeszcze obawiali się mu zaufać.

Rojas spędzał większość czasu z Sabelą. Kiedy dziewczyna pracowała, wychodził na ulicę, skąd pilnował wejścia do lupanaru, na wypadek gdyby pojawił się tam tajemniczy

student. Ten jednak od dawna już nie dawał znaku życia (ani śmierci), jakby również i on popadł w letarg. Godziny, które Rojas spędzał bez Sabeli, wlokły mu się tak beznadziejnie, że czasem zaczynał marzyć, żeby popełniono jakąś nową zbrodnię albo żeby w mieście wydarzyła się jakaś katastrofa czy rewolta, wszystko jedno co, byle tylko znowu zaczęło się coś dziać. Z drugiej strony tęsknił też za odległymi już czasami, kiedy spędzał całe dni na lekturze Petrarcki, z dala od świata i kaprysów okrutnego losu, w zaciszu swojej izby u Świętego Bartłomieja.

Pewnego popołudnia, kiedy siedział beczynn timer, obracając w dłoniach nieszczęsną kartkę papieru, nie wiedzieć czemu przypomniał mu się nagle jeden z dawnych profesorów Studium Generale, niejaki fray German de Benavente, franciszkanin, który po ustąpieniu z katedry i przejściu na emeryturę zaszył się w klasztorze, żeby w spokoju poświęcić się studiom nad czarownicami. Jak wówczas tłumaczył Fernandowi, wcale nie miał zamiaru zajmować się czarami, nie mówiąc już o ich zwalczaniu; pragnął jedynie odkryć, co się za tymi praktykami kryje, bowiem był święcie przekonany, że większość tego, co się opowiada na temat czarownic, bierze się z zabobonów i zwykłego szachrajstwa. W ten sposób miał zamiar zacząć walczyć z niedorzecznościami, jakie wypisywano według niego w niektórych księgach krążących wśród inkwizytorów, na przykład w owym słynnym *Malleus maleficarum*, znanym również jako *Młot na czarownice*, które to dzieło, jak zwykł był mawiać, nie bez kozery napisali dwaj dominikanie. Od owego czasu Rojas przestał się właściwie widywać z fray Germanem i od dawna już nie wiedział, co się z nim dzieje; teraz doszedł do wniosku, czy też raczej miał nadzieję, że jeżeli jest na świecie ktoś, kto byłby w stanie rozwiązać zagadkę tajemniczej mapy, tym kimś jest właśnie stary profesor. „W każdym razie - pomyślał - nic nie tracę, próbując go odnaleźć”.

Klasztor Świętego Franciszka wznosił się w zachodniej części miasta, dokładnie po przeciwnej jego stronie, co klasztor Dominikanów. Żeby dotrzeć tam z bursy bakałarza Velasco, wystarczyło pójść ulicą Traviesa, dalej zaułkiem De los Moros w dół, nad Potok Cudów, który przekraczało się przez mały mostek. Teraz należało już tylko obejść mur klasztorny, dochodząc do bramy głównej, mieszczącej się z drugiej strony murów. Kiedy Fernando znalazł się w przedsionku klasztoru, był o mały włos od tego, żeby zakręcić się na pięcie i natychmiast wrócić, skąd przyszedł; obawiał się, że mógłby usłyszeć, iż wiekowy profesor opuścił już ziemski padół albo że jest w klasztorze, ale wcale nie ma ochoty go przyjąć. W końcu jednak zdobył się na odwagę, a w kilka minut później prowadzono go już do celi fray Germana.- Cóż za niespodzianka, drogi przyjacielu! - wykrzyknął na jego widok zakonnik.

- Cieszę się, że znajduję was w tak dobrym zdrowiu - powitał go Fernando.

- Skąd wy tutaj? - spytał fray German, wielce zaintrygowany. - Nie mówcie, że w końcu zdecydowaliście się wstąpić do klasztoru?

- Obawiam się, że na to jest jeszcze za wcześnie, czy może raczej za późno, sam nie wiem.

- Nigdy nie jest za późno, żeby przystąpić do służby Bożej. I nikt nigdy nie wie, gdzie i kiedy czeka go jego osobista droga do Damaszku. W każdym razie gorąco was do tego namawiam, gdyż w naszym zakonie mógłby być z was wielki pożytek. Ale powiedzcie, cóż was tu sprowadza?

- Przyszedłem prosić o waszą opinię - zaczął wyjaśniać Fernando - jako eksperta w sprawie czarów i czarownic.

- Na waszym miejscu nie mówiłbym tego takim ironicznym tonem. Pewnie nie wiecie, co na ten temat powiada Malleus maleficarum - skarcił Rojas, jakby miał do czynienia z pierwszym lepszym scholarem. - Otóż mówi, że największą z herezji jest niewiara w istnienie czarownic; miejcie się więc na baczności!

- Ależ przecie wy sami nieraz mi powtarzaliście, że wszystko, co ma związek z czarami, to tylko wyraz zabobonów i ludzkiej głupoty.

- To prawda - zgodził się zakonnik. - Przyznaję, że znaczna część tego, co się przypisuje czarownicom, to tylko czcze wymysły oraz owoc najzwyczajniejszej ignorancji, inne znów fakty w naturalny sposób można wytłumaczyć; nie oznacza to jednak, drogi przyjacielu, że należy całkowicie zanegować istnienie czarownic i czarów.

- A nie wydaje wam się, że za tą obsesją na punkcie czarownic stoi jedynie strach i uprzedzenie w stosunku do niewiast? - Nie mówię - odparł ze spokojem fray German - że w niektórych przypadkach tak nie jest, przykładem niech będzie ta nieszczęsna para dominikanów. Istnieją jednak niezbite dowody na to, że niektóre kobiety rzeczywiście oddają cześć Diabłu i wchodzą z nim w układy, żeby w zamian za to uzyskać magiczne czy też nadprzyrodzone moce. Na tym właśnie polega różnica - wyjaśnił - między wrózkami a czarownicami, że te pierwsze nie muszą wchodzić w konszachty z Szatanem ani adorować go, żeby móc wykonywać swoją pracę.

- Coś mi się widzi, że studia nad tematem zamiast was uodpornić, uczyniły was bardziej łatwowiernym - zażartował Rojas. - A może to po prostu kwestia wieku?

- Źle czynisz młodzieńcze, naigrawając się ze mnie. Kiedy zacząłem badać tę sprawę, byłem tego samego zdania co wy, ale od tamtego czasu tyle przeczytałem i tyle widziałem, że nie wydaje mi się to już takie oczywiste. I nie chodzi o to, w jakim stopniu czyny czarownic

godzą w wiarę katolicką lub w jaki sposób powinniśmy je karać, gdyż jedynie Bóg w swej nieskończonej mądrości jest w stanie to osądzić... To, co mnie niepokoi i fascynuje zarazem, drogi przyjacielu, to fakt, że istnieją na świecie różne tajemne zjawiska, które wymykają się jakiegokolwiek próbie racjonalnego wytłumaczenia. Lecz dajmy sobie lepiej spokój z tym tematem, gdyż kto wie, czy nie kryje się tu gdzieś jakiś dominikanin, mogący odesłać nas obu ciupasem na stos.

Fray German wykorzystywał każdą nadarzącą się okazję, żeby odsądzić od czci i wiary braci dominikanów, których miał za pysznych, aroganckich i nader niebezpiecznych. Jak było ogólnie wiadomo, pomiędzy oboma zakonami trwała odwieczna rywalizacja, która z czasem coraz bardziej przybierała na sile. Od swego pojawienia się w Salamance w XIII wieku obie reguły cieszyły się wielką popularnością, co sprawiało, że były głównymi konkurentkami w staraniach o pozyskanie wszelkich darowizn i zapisów, no i, rzecz jasna, niektórych co ważniejszych katedr w Studium Generale, mimo iż w mieście istniało przecież wiele różnych zakonów i reguł.

- To, o co chcę was zapytać - przeszedł do sedna Rojas - ma związek ze śledztwem, które prowadzę i które ma na celu odkrycie sprawców pewnego przestępstwa.

- A cóż robi tak dobrze wykształcony i inteligentny młody człowiek jak wy na służbie wymiaru miejskiej sprawiedliwości? Czyżbyście aż tak bardzo potrzebowali pieniędzy?

- Mogę was zapewnić, że nie o to chodzi.

- W takim razie o co? - spytał coraz bardziej zaintrygowany zakonnik.

Rojas od samego początku obawiał się nadejścia tej chwili: momentu, kiedy będzie musiał zwierzyć się swemu staremu przyjacielowi i nauczycielowi, uważając przy tym, żeby nie powiedzieć zbyt wiele.

- Będę z wami szczery. Z polecenia biskupa zajmuję się badaniem sprawy śmierci fray Tomasa de Santo Domingo.

- Na Boga! - wykrzyknął oburzony zakonnik. - Czyżbyście całkiem postradali rozum? A może przeszliście na stronę wroga, a teraz wodzicie mnie na pokuszenie?

- Ależ nie, wysłuchajcie mnie, błagam! Istnieją powody wielkiej wagi, które zmusiły mnie do przyjęcia tego zadania; nie muszę wam chyba przypominać, jakie warunki musiałem niegdyś zaakceptować, chcąc uratować życie mego ojca.

- Przekłęci dominikanie! - krzyknął fray German, wygrażając zaciśniętą pięścią nieobecnym wrogom. - Powiniennem był się tego domyśleć; nawet nie wiecie, jak bardzo mi przykro.

- Możecie mi wierzyć, że dla mnie to jeszcze przykrzejsze, w tej chwili jednak moim największym pragnieniem jest skończyć jak najprędzej z tą misją, żeby móc powrócić do jednego, co tak naprawdę mnie interesuje, czyli do moich studiów.

- W takim razie możecie liczyć na moją pomoc - zapewnił go mnich.

- W pierwszym rzędzie chciałbym, żebyście mi powiedzieli, czy mówi wam coś ten rysunek - mówiąc to, Rojas podał mu zmiętą kartkę. - Jak myślicie, czy może mieć on coś wspólnego z jakimś rodzajem czarów?

- Pozwólcie, że zobaczę. Hmm... Zdaje się, że to, co widać tutaj, pod literą „I”, to grecki krzyż, choć ze wszech miar osobliwy. Natomiast figura narysowana obok mogłaby, sądząc po kształcie, przedstawiać grób lub, być może, jakiś rodzaj łodzi. Jeżeli zaś chodzi o linie na dole, według mnie przedstawiają drogę, której należy się trzymać, przemierzając coś w rodzaju labiryntu, żeby dojść do końcowego kółka oznaczonego literą „C”. Wszystko wskazywałoby więc na to, że mamy do czynienia z pewnym rodzajem mapy.

- Czy myślicie, że może ona przedstawiać piekło, czyli Infierno?

- Tak, to możliwe.

- W takim razie litera „C” mogłaby oznaczać Cielo, czyli niebo.

- Hmm, muszę przyznać, że to całkiem rozsądna supozycja - przyznał zakonnik, choć bez zbytniego przekonania.

- Chodziłoby więc o trudną drogę prowadzącą z piekła do nieba.

- Na to przynajmniej wydają się wskazywać strzałki. „I” może jednak również oznaczać Kościół, Iglesia, który jest jedyną drogą prowadzącą po śmierci do nieba; stąd wzięłyby się symbole krzyża i grobu. Tak więc labirynt mógłby przedstawiać trudności, które należy pokonać, żeby się dostać do nieba. W każdym razie wydaje się oczywiste, że mamy do czynienia z alegorycznym rysunkiem. I nic nie wydaje się wskazywać na to, iżby miał on jakikolwiek związek z czarami. Ale powiedzcie, co ma to wszystko wspólnego ze śmiercią fray Tomasa?

- Tego na razie nie mogę wam niestety wyjawić - odparł Rojas po chwili krępującej ciszy.

- A jest coś jeszcze, czego mógłbym się dowiedzieć? - spytał fray German z przekąsem.

- No cóż; na przykład, że zabójca zostawił monetę w ustach fray Tomasa.

- Monetę?

- Właśnie tak. Monetę. Taką samą jak ta - powiedział Rojas, pokazując miedzianego marawediego.

- Widzę, że w Studium Generale nie nauczyli was absolutnie niczego z mitologii - zaczął mnich. - Gdyby nie to, wiedzielibyście, że w starożytnej Grecji grzebano zmarłych, dając im na drogę monetę, a dokładniej srebrnego obola, którego umieszczano pod językiem lub na zamkniętych powiekach nieboszczyka. Chodziło o to, żeby zmarły mógł zapłacić Charonowi, mającemu przewieźć go swą łodzią na drugą stronę Styksu, czyli mitycznego jeziora czy rzeki, która, jak może wiecie, oddzielała świat żywych od zaświatów, czyli od miejsca, w którym przebywali umarli i które zwano też Hadesem, a to ze względu na zarządzającego nim boga...

- Dobrze wiem, kim byli Hades i jego świta - przerwał mu Rojas. - Nie widzę jednak związku...

- Wszystko w swoim czasie, drogi przyjacielu - próbował go uspokoić fray German. - Na razie jedyne, co do czego możemy mieć pewność, to że morderca jest osobą wykształconą.

- Do tego sam już doszedłem, gdyż, jak na razie, jedynym podejrzanym jest pewien student, choć wyobrażam sobie, że nie wnosi to do sprawy nic nowego...- A na cóż czekaliście, żeby mi to powiedzieć? - spytał zakonnik z wyrzutem.

- Chciałem, żebyście potwierdzili moje podejrzenia, za co zresztą jestem wam bardzo wdzięczny.

- No dobrze już, dobrze. Z drugiej strony trzeba wziąć pod uwagę - wrócił do swego wywodu fray German - że w tym przypadku mamy do czynienia z miedziakiem, czyli z monetą o bardzo niskiej wartości. Myślę, że przy jej pomocy morderca chce zwrócić uwagę na to, że ofiara to człowiek fałszywy i marnego pokroju, co w odniesieniu do przedstawiciela Kościoła stanowi bardzo poważne oskarżenie.

- Muszę wyznać, że w żadnym wypadku nie przyszłoby mi to do głowy - przyznał Rojas, zdumiony tokiem rozumowania zakonnika. - Myślałem, że moneta może oznaczać chęć ubliżenia Panu Bogu czy też znieważenia wiary katolickiej.

- No cóż, jedno nie przeszkadza drugiemu. Zastąpienie Przenajświętszego Sakramentu monetą o niskiej wartości to niewątpliwie ciężka obraza dla naszej wiary, zwłaszcza jeśli przedmiotem zniewagi jest ciało znakomitego teologa, któremu zapewne nie dano okazji do wypowiedzenia się przed śmiercią.

- Jest jeszcze coś - oznajmił Rojas. - Zmarły miał zadrapanie na policzku.

- Chcecie przez to powiedzieć, że nie była to zwykła rana, tylko celowe zadrapanie?

- Tak jest - potwierdził Rojas. - Myślę, że może chodzić o coś w rodzaju podpisu czy charakterystycznego znaku, który zabójca pozostawia, żebyśmy mogli rozpoznać popełniane

przez niego zbrodnie, nie wyjawiając przy tym swej tożsamości. Albo że jest to wiadomość przeznaczona dla kogoś konkretnego. Sam już nie wiem...

- Może i macie rację. Chociaż podpis ten - dodał zakonnik, jakby po prostu głośno myślał - miałby sens tylko wtedy, gdyby zabójca już wcześniej kogoś zamordował albo miał zamiar zrobić to w przyszłości, a tak przecież nie jest. Czy może nie mam racji? - zapytał nagle podchwytliwie.

Rojas musiał przyznać, że fray German przechytrył go tym razem, zresztą on sam niechcący się wygadał. Teraz nie miał już innego wyjścia: jeżeli chciał liczyć na jego dalszą pomoc, musiał mu wszystko do końca wyjawić.

- Tak naprawdę nie chodzi jedynie o zabójstwo fray Tomasa - zaczął ostrożnie - ale również o śmierć królewicza don Juana, jak również pewnej ładacznicy, która posłużyła winowajcy za niezbędną współniczkę oraz wykonawczynię owego drugiego morderstwa.

- Na Boga! Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedzieliście?

- Bardzo mi przykro - zaczął się usprawiedliwiać Rojas - ale obiecałem biskupowi, że nie będę o tym z nikim rozmawiał. Oficjalnie królewicz umarł na skutek choroby. Co do kobiety, zginęła zaledwie kilka dni temu, a dokładniej w ten sam dzień, kiedy trafił do moich rąk ten rysunek. Był on ukryty w skrzyni, w której trzymała swe szaty w miejskim lupanarze. Naprawdę, nie wyobrażacie sobie nawet, jak bardzo mi przykro...

- Dobrze już, nie wracajmy więcej do tego - uciał fray German. - Mam więc rozumieć, że wszystkie trzy ofiary zostały naznaczone w podobny sposób?

- Jeżeli chodzi o królewicza, został otruty przez tę nieszczęsną kobietę, która została do tego prawdopodobnie zmuszona przez studenta. Don Juan zresztą nie umarł od razu, tylko kilka dni później, w pałacu biskupim. Już po pogrzebie student sprofanował jego grób, żeby włożyć mu do ust monetę i zadrapać policzek, o czym miałem możliwość przekonać się na własne oczy. Natomiast ciało kobiety zostało znalezione pewnego ranka w basenie fontanny z takimsamym zadrapaniem na twarzy i monetą w ustach, tyle że tym razem pod językiem.

- Co potwierdzałoby moją supozycję - zaznaczył zakonnik z zadowoleniem.

- Czy zadrapanie na twarzy kojarzy wam się z czymś?

- Być może chodzi o diabelską pieczęć.

- Diabelską pieczęć?

- Mówi się, że Diabeł cechuje swych adeptów, robiąc im szponami znak na ciele, najczęściej właśnie na twarzy. Możliwe, że zabójca przy pomocy tej pieczęci, czy też, jak mówicie, podpisu, chce nam oznajmić, że działa w imieniu Szatana lub że zawarł z nim jakieś przymierze.

- Naprawdę uważacie, że za tym wszystkim może się kryć coś diabolicznego? - spytał nieufnie Rojas.

- Nie jest ważne to, co ja czy ty możemy o tym wszystkim sądzić; ważne jest, co ma na myśli autor przestępstw.

- Lub też to, co chce, żebyśmy sądzili.

- Możliwe - zgodził się mnich. - A tak w ogóle, wierzycie w istnienie Szatana?

- Nie mogę stwierdzić ani że wierzę, ani że nie wierzę. Moim zdaniem Diabeł to nic innego jak zło, które zamieszkuje w nas samych; tyle że wolimy widzieć je pod konkretną postacią.

- Nie powiecie mi chyba, że nigdy nie byliście kuszeni przez Diabła?

- Hmm... Chyba rzeczywiście coś sobie przypominam: kiedyś Szatan próbował mnie przekonać, żebym został dominikaninem - zażartował Rojas. - Ale nie obawiajcie się, udało mi się oprzeć pokusie.

- Jeszcze zobaczycie, że kiedyś objawi się wam prawdziwy Diabeł - przestrzegł swego rozmówcę zakonnik, grożąc palcem. - A wtedy nie będziecie umieli go rozpoznać. No i wówczas to ja będę się mógł trochę pośmiać. - Diabeł to tylko metafora czy też personifikacja zła.

- Wiecie jednak dobrze, co mówi w tej kwestii doktryna Kościoła.

- Tak, aczkolwiek musicie pamiętać, że istnienie Diabła zostało uznane za dogmat wiary dopiero przez Sobór Laterański IV, który odbył się w 1215 roku, czyli niecałe trzysta lat temu.

- Jakże bym mógł o tym zapomnieć, skoro to właśnie na tym soborze została zatwierdzona reguła naszego zakonu. Wiecie przecież, że uczestniczył w nim nasz założyciel.

- Jak również - dorzucił Rojas z przekąsem - niejaki Dominik Guzman.

- W rzeczy samej, to tam właśnie się poznali, choć, jak możecie sobie wyobrazić, od samego początku nie przypadli sobie do gustu. Powiadają, że święty Dominik miał czelność zaproponować świętemu Franciszkowi, żeby połączyli obie reguły w jedną, jednak ten miał ponoć odrzec, że dla Kościoła lepiej będzie, jeśli oba zakony pozostaną niezależne. No i stąd wzięła się nasza późniejsza rywalizacja i niesnaski. Ponadto, dla nikogo nie jest chyba tajemnicą, że to za sprawą świętego Dominika w niektórych królestwach wprowadzono papieską inkwizycję; to dlatego potem dominikanie zajęli się praktycznymi aspektami jej działania.

- Muszę wam przypomnieć, że również franciszkanie dorzucili swoje trzy grosze do rozwoju Świętego Oficjum.



- Ale dopiero znacznie później - zaznaczył zakonnik. - Poza tym zrobiliśmy to, mając jedynie na celu przeciwstawienie się surowości i okrucieństwu dominikanów.

- Wracając jednak do kwestii Diabła...

- Widzę, że macie na jego punkcie prawdziwą obsesję - zauważył z ironią fray German. - Czyżbyście mieli zamiar poddać krytyce również i to, co na temat Szatana mówi Pismo Święte?- Ale przecież nie ma tam ani jednej wzmianki na temat jego prawdziwej natury czy kondycji!

- W tym właśnie leży problem, drogi przyjacielu, że niektórzy zabierają się do czytania Biblii bez odpowiedniego przygotowania, robiąc to na własny rachunek i ryzyko. Nie są w stanie dotrzeć do prawdziwego znaczenia zawartych w niej słów i w efekcie znajdują tam tylko to, co pragną znaleźć.

- Zgodzicie się chyba jednak ze mną, że czasem wręcz wskazany jest powrót do źródeł.

- Nie, jeśli chodzi o podstawowe dogmaty naszej wiary.

- Z przykrością stwierdzam, że mówicie teraz jak pierwszy lepszy dominikanin - zwrócił mu uwagę Rojas. - Powinniście jeszcze tylko wezwać do odesłania na stos wszystkich tych, którzy nie są tego samego zdania, co wy.

- Nie macie racji - bronił się franciszkanin. - Korygować to nie to samo, co karać.

- A niezgadanie się z czyjąś opinią, to nie to samo co herezja czy apostazja\* - stwierdził stanowczo Rojas.

- Zupełnie zapomniałem, jak bardzo jesteście biegli w prowadzeniu dysput teologicznych - skapitulował zakonnik. - Jesteście w stanie każdego zapędzić w kozi róg. Żałuję tylko, że tym razem po prostu nie macie racji.

- Tak czy owak, tym, co mnie w tej chwili najbardziej interesuje, nie jest żadna kwestia teologiczna, tylko schwywanie mordercy, który ma już na swoim koncie kilka ofiar i może się właśnie szykować do popełnienia następnej zbrodni.

- W takim razie zobaczymy, czy jesteśmy w stanie ustalić, co wiąże ślady zadrapań, monetę oraz mapę, gdyż niewątpliwie pomoże nam to w odkryciu przestępcy, o którym, jak twierdzicie, do tej pory wiemy jedynie, że jest studentem.

\* Apostazja - całkowite wyrzeczenie się wiary chrześcijańskiej.

Jeśli chodzi o znaki pozostawione przez mordercę, to właśnie sobie przypomniałem, że w starożytnej grece istniał pewien wariant słowa ófiolō (od którego, jak wiecie, pochodzi nazwa monety, czyli wyraz „obol”, będący adaptacją łacińskiego obólus; przy okazji chciałbym zwrócić waszą uwagę na podobieństwo tego ostatniego terminu do słowa diabólus,

pochodzącego od greckiego *óio.fiokóe*), którym określano w epoce hellenistycznej pewien znak używany przez aleksandryjskich filologów w przypisach do starożytnych tekstów. Chodzi o termin *óiefelóe*, po łacinie *obelus*, oznaczający pierwotnie ostro zakończony patyk (jak łatwo zauważyć, to od niego pochodzi słowo „obelisk”). Mianem tym określano poziomą kreskę na lewym marginesie manuskryptu, która miała oznaczać, że dany wiersz jest „bękartem”, czyli że jest fałszywy, podrobiony, czy też dopisany w późniejszym okresie. Początkowo oznaczano w ten sposób teksty Homera, później jednak zaczęto stosować ów znak również w dziełach innych autorów. Tak więc nasz złoczyńca raz jeszcze pragnie nam oznajmić, że jego ofiary to bękarty, ludzie fałszywi czy też zdegenerowani, a więc zasługujący na jak najbardziej haniebny rodzaj śmierci.

- A jak ma się to wszystko do naszej mapy?

- Jak mogliście się przekonać, zabójca wydaje się być dobrze obznajomiony z greckim antykiem, stąd też tam właśnie powinniśmy szukać związków. Już na pierwszy rzut oka znaczące jest to, że na rysunku zamiast łacińskiego widnieje grecki krzyż, choć być może jest to tylko nic nieznaczący zbieg okoliczności. Nie możemy mieć jednak żadnych wątpliwości co do tego, że obydwa znaki rozpoznawcze pozostawione na ciałach ofiar mogą być interpretowane zarówno według greckiego, jak i według chrześcijańskiego klucza. Zadrapanie na twarzy może więc być aleksandryjskim znakiem wskazującym na fałszywość tekstu lub też słynną diabelską pieczęcią, podczas gdy moneta w ustach ofiary może oznaczać obol dla Charona lub zniewagę skierowaną do naszego Pana, Jezusa Chrystusa; a może chodzi wręcz o to wszystko naraz. Choć więc mapa na pierwszy rzut oka wygląda na bardzo zagadkową, według wszelkiego prawdopodobieństwa odnosi się do jakiegoś miejsca związanego ze światem antycznej Grecji czy też po prostu ze światem pogańskim i równocześnie z religią katolicką, a konkretnie z Diabłem.

- Czy macie pojęcie, o jakie miejsce może chodzić? - spytał Rojas, próbując ukryć zdenerwowanie.

- Już od dłuższej chwili pewna myśl błąka mi się po głowie...

- A czy mógłbym wiedzieć, co to takiego?

- Przykro mi, ale obiecałem mordercy, że nic nikomu nie powiem - odparł zakonnik, udając obrażonego.

- Widzę, że nie spodobało wam się, iż chciałem dotrzymać danego słowa i zachować tajemnicę.

- A co sobie wyobrażaliście? Przychodzicie zobaczyć się ze mną po raz pierwszy od nie wiadomo jak długiego czasu, prosicie, żebym wam pomógł w rozwiązaniu zagadki, a

potem dowiaduję się, że nie powiedzieliście mi najważniejszego. I na dodatek chcecie, żebym był zadowolony!

- Przeprosiłem was już i w końcu wszystko przecież opowiedziałem. Cóż jeszcze mogę zrobić? Wydaje mi się, że zachowujecie się jak dziecko.

- Jeszcze tylko tego brakowało, żebyście mnie obrażali! Macie szczęście, że reguła świętego Franciszka każe nam płacić dobrem za zło i to nawet w stosunku do najgorszego wroga; gdyby nie to... Ale lepiej zapomnijmy o sprzeczce i powróćmy do rzeczy - westchnął zakonnik. - Nie wiem, czy wiecie, że istnieje legenda, która mówi, że Herkules, słynny pogański bohater, którego Grecy nazywali Heraklesem, przybył kiedyś na te tereny w związku z jedną ze swoich słynnych prac i że w miejscu, gdzie powstała później Salamanka, założył akademię, w której miano nauczać wszystkich istniejących nauk. Mówi się, że w tym celu wykuł ogromną jaskinię w jednym ze wzgórz i złożył w niej kodeksy z zakresu siedmiu sztuk wyzwolonych składających się na trivium i quadrivium\*, których to sztuk, jak mniemam, uczono was w czasie studiów. Następnie zwołał do nowo powstałej akademii wszystkich okolicznych mieszkańców, jednak ci okazali się tak prymitywni i ciemni, że nie byli w stanie owych wspaniałości docenić. Dlatego Herkules postanowił powrócić do swoich prac, pozostawiając w jaskini wyrzeźbioną na swoje podobieństwo statwę, mającą dar odpowiadania na wszystkie zadawane jej pytania, bez względu na to, jak trudne mogły się wydawać. Tubylcy potraktowali ową statwę jako wyrocznię i przychodzili do niej jak do samej Sybilli. Akademia przetrwała pod tą postacią przez wiele wieków, ale, jak mówi legenda, zniknęła nagle, kiedy Jakub apostoł przybył do Hiszpanii i nawrócił jej mieszkańców na prawdziwą wiarę. Tak wyglądają mityczne początki naszego Studium Generale, a opowiada o tym Raoul Le Fevre w drugim tomie swego dzieła Le Recueil de Histoires de Troyes z 1464 roku.

- Co oznaczałoby - zauważył zaintrygowany Rojas - że w Salamance Uniwersytet powstał wcześniej niż samo miasto.

- Istnieją jednak również inne, starsze księgi - kontynuował swą opowieść fray German - których autorzy twierdzą, że podczas ostatniej ze swych prac, kiedy to Herkules zstąpił do Hadesu w poszukiwaniu psa Cerbera, udało mu się wykopać \* Siedem sztuk wyzwolonych (a właściwie siedem umiejętności godnych wolnego człowieka) dzielono na dwie mniejsze grupy: wstępne trivium, obejmujące gramatykę, dialektykę (czyli logikę) i retorykę, oraz przygotowujące do studiów na wyższych wydziałach quadrivium, czyli geometrię, arytmetykę, astronomię i muzykę. Bezpośrednie przejście do zaświatów, prowadzące przez słynną pieczarę. Jak mówi legenda, była to droga, którą dużo później

wykorzystał Diabeł, przedostając się w te okolice, żeby szerzyć swe nauki i zwalczać Chrystusową wiarę. Stąd też, kiedy w 1102 roku, po ostatecznym odbiciu Salamanki przez chrześcijan, przybył tu Raimundo Burgundzki\* wraz z pierwszymi osadnikami, mówiło się, że w owej grocie Diabeł we własnej osobie daje lekcje czarnej magii i tajemnych praktyk. Owa przeklęta pieczara miała ponoć z tak wielką siłą przyciągać ludzi nie tylko z Salamanki, że w połowie XII wieku biskup Berengario postanowił wznieść na jej miejscu katedrę, na której dziedzińcu niewiele później powstał nasz Uniwersytet, ufundowany w 1218 roku przez Alfonsa IX, króla Leónu. W ten sposób chciano ostatecznie skończyć z miejscem powiązaniem z kultem Szatana, którego korzenie sięgały na dodatek pogańskich czasów, przez co uważano je za podwójnie niebezpieczne.

Jednak, jak się zdaje, nie było to jedyne wejście do jaskini, gdyż niemal natychmiast po mieście zaczęły krążyć wieści na temat innych grot, mieszczących się ponoć po obu stronach wzgórza, na którym powstawała katedra. Jedna z nich miała się znajdować od zachodu, pośród skał, na których wznosił się niegdyś zamek warowny (zburzony, jak wiecie, na rozkaz króla Enriquego IV w 1472 roku), czyli, nawiasem mówiąc, w bezpośrednim sąsiedztwie dzielnicy żydowskiej. Druga jaskinia miała się ponoć mieścić na wschodnim stoku wzgórza, obok dawnych murów rzymskich. Z czasem na miejscu pierwszej grotki zbudowano kościół Świętego Jana, a na miejscu drugiej kościół Świętego Cypriana, w związku z którym zaczęto ostatnio znów wspominać starą legendę.

\* Rajmund Burgundzki (ok. 1059-1107), hrabia Galicji i małżonek Urraki Kastylijskiej, późniejszej królowej Kastylii i Leónu (panowała już po jego śmierci, w latach 1109-1126). W jej nowej wersji nie wspomina się już ani słowem o Herkulesie i o jego pracach, natomiast jest ona związana z postacią dużo nam bliższą w czasie i przestrzeni, choć wiadomo przecież, że człowiek ten nigdy za życia nie był w Salamance. Chodzi o don Enriquego de Aragon, markiza Villeny, który, podobnie jak Wirgiliusz, był uważany za maga i nekromantę i który, nie bez kozery, jest autorem dzieła z 1417 roku, zatytułowanego Dwanaście prac Herkulesa.

- Jak również świetnego Traktatu astrologicznego oraz śmiałego przekładu Boskiej Komedii Dantego, nie mówiąc o wielu innych znakomitych dziełach. Co jednak ma on wspólnego z waszą opowieścią? - spytał Rojas, zdumiony, że po raz kolejny natyka się na postać tego, jakże osobliwego, autora.

- Otóż, jeżeli wierzyć legendzie, don Enrique był jednym z siedmiu uczniów, którzy wzięli udział w lekcjach prowadzonych przez Szatana w krypcie kościoła Świętego Cypriana przy świetle nigdy niegasnącej świecy. Po zakończeniu nauki don Enriquemu przyszło

pozostać w pieczarze, gdyż, jak wcześniej ustalono, miało to być zapłatą za otrzymaną wiedzę. Jednakże dzięki swemu wielkiemu sprytowi i inteligencji don Enrique zdołał się stamtąd wydostać. Jedni utrzymują, że schował się w jakiejś beczce czy kadzi, inni, że skrył się w kościele za ołtarzem, przeczekując tam do zapadnięcia zmroku. Jednakże w chwili, kiedy opuszczał świątynię, nagle pojawił się Diabeł. Don Enrique salwował się ucieczką, ale biegnąc, zgubił swój cień, który Diabłu udało się pochwycić.

Summa summarum”, chcę przez to powiedzieć, że być może nasza mapa ma coś wspólnego z tą słynną legendą, w której świat pogański i kult Szatana mieszają się i współistnieją na tej samej scenie, którą jest pieczara mająca prowadzić wprost do piekła czy też do zaświatów. Być może przy pomocy tych skojarzeń student chce jedynie dodać szlachetności swoim zbrodniczemu czynom lub też po prostu zrobić wokół nich dodatkowe zamieszanie, jednak nie mogę się uwolnić od wizji, w której jest on czymś w rodzaju Abaddona, anioła zagłady, przybyłego z najgłębszych otchłani, żeby dokonać zemsty, zabierając z sobą dusze tych, którzy okazali się za życia szczególnie niegodziwi. Ale cóż, powiedzcie mi teraz, co wy o tym wszystkim sądzicie? - spytał Rojas, który siedział pogrążony w zadumie.

\* Summa summarum (łac.) - podsumowując (dosł. suma sum).

- Jeżeli mam być szczery, muszę przyznać, że nie pierwszy raz słyszę o tej nieszczęsnej pieczarze i związanej z nią legendzie, nigdy jednak nie przyszłoby mi do głowy, że może mieć równocześnie źródła mityczne i pewne realne podstawy.

- Mój drogi, wszystkie mity i legendy mają w sobie coś z rzeczywistości. I za każdą legendą można zwykle znaleźć inną, jeszcze starszą, podobnie jak pod każdym chrześcijańskim kościołem znajdowała się zwykle pogańska świątynia lub miejsce jakiegoś magicznego kultu; może nawet diabelskiego - dodał z ironicznym gestem. - Nie bez przyczyny niektórzy uważają, że Salamanka to magiczne miasto.

- Na szczęście - obwieścił uroczyście Rojas - to nie magia przydaje jej teraz sławy i splendoru tylko Uniwersytet.

- A kto powiedział, że część studentów, którzy przybywają tu co roku, nie szuka w Salamance całkiem innego rodzaju wiedzy, niemającej nic wspólnego z tą, którą szczyli się nasz Uniwersytet? W rzeczywistości niektóre przedmioty, jakie wykłada się w Studium Generale, nie są wolne od podejrzeń; taka, dajmy na to, astrologia, której tak wielkim jesteście miłośnikiem, zawiera wiele nader podejrzanych treści.

- Rozumując w podobny sposób - oburzył się Rojas - można by stwierdzić, że większość tego, co wielu ludzi uważa za magię, nie jest niczym innym jak czystą astronomią.-

Bowiem niełatwo jest, drogi przyjacielu, wytyczyć linię rozdzielającą jednoznacznie różne rodzaje wiedzy. Na dodatek wydaje się, że inkwizytorzy stawiają sobie za główny cel pomieszanie wszelkich pojęć, pewnie dlatego, że a rio revuelto, ganancia de pescadores\*. A na koniec, czy wiecie może, jaką sentencję senat Uniwersytetu ma zamiar umieścić w przedsiönku Escuelas Mayores? Omnium scientiarum princeps Salmantica docet (Salamanka pierwsza naucza wszelkiej wiedzy). Czyli włączając, podejrzewam, te okultystyczne oraz...

\* A rio revuelto... (hiszp.) - hiszpańskie przysłowie, mówiące, iż w mętnych wodach łatwiej łowić ryby.

- Proszę, wróćmy jednak do rzeczy - przerwał mu zniecierpliwiony Rojas. - O ile was dobrze zrozumiałem, uważacie, że ta nieszczęsna pieczara naprawdę istnieje, a nawet, że nasza mapa mogłaby do niej zaprowadzić, nieprawdaż?

- Moim zdaniem tak właśnie jest - odpowiedział zakonnik z prostotą.

- Założmy więc, że litera „C” to cueva, czyli pieczara. Co w takim razie oznacza „I”?

- To jasne, że nie chodzi już o Kościół jako instytucję; słowo iglesia może jednak również oznaczać konkretną świątynię.

- W takim razie mielibyśmy do wyboru trzy kościoły. Czy myślicie, że może chodzić o katedrę?

- Z waszej relacji wynika, że to właśnie tam zamordowano fray Tomasa i że tam również ciało królewicza zostało sprofanowane przez studenta. Jednakże, jeżeli prawdą jest, że katedra została wybudowana dokładnie w miejscu głównego wejścia do jaskini, mało prawdopodobne, żeby mogło ono stać otworem.

- Nawiasem mówiąc, nie wiem, czy wiecie, że biskup i członkowie kapituły katedralnej nie mogą dojść do porozumienia, gdzie ma zostać wzniesiona nowa katedra, a od tego zależy przecież los obecnej świątyni. Słyszałem, że kapituła katedralna jest zdania, iż najpierw powinno się wyburzyć stary kościół, by na jego miejsce wybudować nowy, zajmując dodatkowo teren, na jakim mieszczą się obecnie krużganki z dziedzińcem oraz część pałacu biskupiego. Biskup jednak uparł się, że obecna katedra powinna pozostać tam, gdzie stoi, a nowa ma zostać wzniesiona obok. Prepozyt\* jest przekonany, że Diego de Deza nie chce, aby prace budowlane dotknęły jego rezydencji, ale być może biskupowi chodzi o to, żeby nie zostało odkryte wejście do jaskini?

\* Prepozyt - przewodniczący kapituły katedralnej.

- Co potwierdzałoby nasze przypuszczenie, że wejście to jest na razie bardzo dobrze strzeżone.

- W takim razie zostały nam jedynie dwa kościoły.

- Jeżeli, jak zwykle na mapach, część górna odpowiada temu, co znajduje się na północy, a prawa strona przedstawia wschód, wszystko jednoznacznie wskazywałoby na kościół Świętego Cypriana. Na dodatek to z tym właśnie kościołem wiąże się nowożytna legenda.

- Załóżmy więc, że chodzi o ten właśnie kościół. Czego jednak mam tam szukać?

- Myślę, że jakichś drzwi lub klapy mogącej maskować wejście do jaskini.

- Ale gdzie? - dopytywał się dalej Rojas.

- Jak wiecie, rzeczony kościół mieści się przy wspinającym się do góry podejściu De Carvajal, stąd też budowniczy wykorzystali nierówność terenu, żeby skonstruować kryptę pod apsydą środkowej kaplicy; tej, która przylega do starych murów. Na początku pomieszczenie to służyło jako zakrystia, później jednak zaczęto tam chować zmarłych. Jeżeli w kościele miałyby się znajdować wejście do jaskini, to najpewniej mieści się ono właśnie w krypcie.

- Przychodzi wam coś jeszcze do głowy?

- Zdaję sobie sprawę, że to ja naprowadziłem was na ten trop, dlatego też czuję się teraz trochę winny. Proszę was więc, żebyście byli bardzo ostrożni; możliwe, że to trop fałszywy albo wręcz jakaś zasadzka.

- Gdyby wasza teoria okazała się słuszna, znaczyłoby to, że mapa nie wpadła mi w ręce przypadkiem, lecz że morderca tak właśnie zaplanował.

- Być może to jakieś wyzwanie. Możliwe, że student chce wam pokazać, jaki jest sprytny, wystawiając was na próbę. Dlatego błagam, żebyście od tej pory zachowali jak największą ostrożność.

- Jeśli jest tak, jak mówicie, będę musiał spróbować złapać go zniemacka.

- Jeżeli tylko on pierwszy was nie złapie.

- Zrobiło się późno - zauważył Rojas, wyjrzawszy przez okno celi. - Bardzo mi pomogliście. Nie wiem, jak mogę się wam odwdzięczyć.

- Nie popełniając żadnego głupstwa i zdając mi sprawę ze wszystkiego, co się będzie działo.

- Możecie być pewni, że niedługo znowu was odwiedzę.

- To samo powiedzieliście podczas naszego poprzedniego spotkania - odparł zakonnik, nie mogąc się powstrzymać od tego ostatniego wyrzutu, choć przy okazji objął Fernanda i mocno go uściśnął. - Poproście odźwiernego, żeby dał wam pochodnię - dodał - bowiem już za chwilę zrobi się całkiem ciemno.

\*\*\*





## Rozdział 19.

Kiedy Rojas wyszedł z klasztoru, stwierdził, że deszcz przestał właśnie padać, dając miastu chwilę wytchnienia - być może tylko po to, żeby nieco później zaatakować ze zdwojoną siłą. Fernando był do tego stopnia spięty i skoncentrowany podczas spotkania z fray Germanem, że teraz poczuł silny ból w skroniach. Ucieszył się więc, że nie musi się przejmować strugami wody lejącej się z nieba i może wrócić do bursy spacerem. Przeszedł przez mostek na Potoku Cudów, grożącym w każdej chwili wylaniem, po czym zaczął się wspinać stromą uliczką Maurów. Kiedy dochodził do furtki w starym ogrodzeniu, wydało mu się nagle, że ktoś go śledzi. Zaniepokojony przystanął, kryjąc się za rogiem jednego z domów. Chciał sprawdzić, czy rzeczywiście ktoś za nim idzie, nie usłyszał jednak nic poza odgłosem wody kapiącej z dachów; zdecydował więc, że pomaszeruje spokojnie dalej.

Po chwili znowu wydało mu się, że słyszy gdzieś w oddali odgłosy kroków. Doszedłszy do bramy miejskiej, zatrzymał się i zamiast przejść na drugą stronę, zaczął się za wyłomem starych murów, uważając, żeby nie zdradził go blask pochodni. I tym razem jednak nikt się nie pojawił. Znużony oczekiwaniem wychylił głowę zza ściany i zdało mu się, że po drugiej stronie ulicy mignął jakiś cień. Wychynął więc z ukrycia i podszedł kilka kroków w tamtą stronę, nie dojrzał jednak nic podejrzanego. Na wszelki wypadek postanowił jednak rozglądnąć się po okolicznych zakamarkach. W chwili kiedy zagłębiał się w bramę, chcąc sprawdzić, czy prześladowca nie schował się za rogiem po drugiej stronie, miał wrażenie, że ktoś przemknął chyłkiem za jego plecami. Chcąc zaskoczyć intruza, odwrócił się jednym skokiem, ale tym razem znowu nie dojrzał nikogo.

Wspinając się dalej stromą uliczką, nie przestawał machać łuczywem to w jedną to w drugą stronę, jakby się fechtował z niewidzialnym przeciwnikiem. Nagle przystanął; poczuł się idiotycznie, postanowił więc przestać się przejmować. Najwyraźniej rozmowa z zakonikiem poruszyła go do tego stopnia, że teraz miał wrażenie, iż podejrzany może się znajdować dosłownie wszędzie. Odetchnął pełną piersią, po czym ruszył dalej. Kiedy dotarł do ulicy Górali, całkiem opustoszałej o tej porze, wydało mu się, że gdzieś po lewej stronie mignęła mu postać biegnąca w kierunku kościoła Świętego Izydora. Nie mógł się powstrzymać i pędem ruszył w tamtą stronę. Kiedy mijał wejście do świątyni, coś nagle zwróciło jego uwagę. Zatrzymał się i bardzo ostrożnie podszedł do bramy. W migoczącym

świetle pochodni zauważył kartkę papieru, którą ktoś przygwoździł do drewnianych drzwi sztyletem; przeczytał wiadomość:

Nie idźcie dalej tą drogą, jeżeli nie chcecie skończyć tak samo, jak poprzednia trójka.

Nie miał większych trudności z odgadnięciem, kto ma być odbiorcą tej przestrogi, ani tym bardziej o jaką trójkę chodziło. Raz jeszcze sztylet mówił sam za siebie. W ostatnim czasie znajdował na swojej drodze zbyt wiele noży. Kościół Świętego Izydora znajdował się zaraz na początku ulicy Nowej, na której mieściła się jego bursa, ruszył więc w stronę domu. Dziś nie miał już siły na dalsze poszukiwania.

Tej nocy Roj asowi przyśnił się sen, który po obudzeniu uznał za proroczy. Szedł jedną z ulic Salamanki. Nagle zobaczył, że z przeciwnej strony zbliża się do niego wóz ciągnięty przez parę wołów, które z wielkim trudem przedzierały się przez błotniste kałuże. Kiedy wóz znalazł się tuż przed nim, Fernando musiał usunąć się na bok, żeby go przepuścić. Wozem powoził człowiek bez twarzy, a za nim, na pace, leżały zwłoki przykryte oponczą; za wozem podążał przywiązany na sznurku pies. Rojas ruszył dalej, ale po chwili naszała go ciekawość i zapragnął sprawdzić, do kogo należało przykryte peleryną ciało. Zawrócił więc, lecz już po kilku krokach stwierdził, że wóz zniknął. Wtedy nagle otworzyły się drzwi jednego z domów stojących przy drodze i pojawił się w nich człowiek ubrany w tunikę, zapraszając go do środka. Kiedy zauważył, że Fernando się waha, złapał go za rękę i wciągnął do wnętrza. Przemierzywszy korytarz, który wydawał się nie mieć końca, trafili wreszcie do długiego, wąskiego pomieszczenia, w którym znajdował się stół, a przy nim dziesięciu stołowników. Na środku jednego z dłuższych boków stołu były dwa wolne miejsca. Zaintrygowany Rojas spojrzał pytająco na mężczyznę. „Jesteśmy konwertytami, prawdziwymi nawróconymi - wyjaśnił nieznajomy - i zgromadziliśmy się tutaj, żeby uczestniczyć w ostatniej wieczerzy Jezusa Chrystusa. Choć prawdę powiedziawszy - dodał tajemniczo - on już zjadł kolację”. „Już późno, siadźcie, czekaliśmy na was”-rzucił rozkazującym tonem mężczyzna siedzący tuż obok wolnych miejsc. Kiedy Fernando usiadł przy stole, z przerażeniem stwierdził, że leżało na nim ciało Chrystusa podane na kolację. W tejże chwili pomieszczenie wypełnił silny blask, tak intensywny, że Rojas musiał zamknąć oczy. Kiedy znów je otworzył, znajdował się na dworze; stał na niewielkim wzgórzu, na niebie świeciło słońce, a jego twarz owiewał lekki wiaterek. Na wprost przed nim widać było Salamankę, nad którą piętrzyła się gruba warstwa ołowianych chmur, gęstych i ponurych. U jego boku stała kobieta, przyglądając się kilku krzyżom ustawionym na szczycie wzgórza. Od razu wiedział, że to Sabela, choć na początku wcale jej nie przypominała. „Co tu robią te

krzyże?” - spytał. „Te tutaj są już zarezerwowane - odparła dziewczyna z porozumiewawczym uśmiechem. - Nasze przyniosą dopiero za chwilę”.

Fernando obudził się zlany potem i gnębiony złowróżbnym przecuciem. Ogarnął go tak wielki niepokój, że wyskoczył z łóżka, postanawiając natychmiast pójść zobaczyć się z Sabelą. Położył już rękę na klamce, kiedy pojawił się gospodarz.

- Była tu jakaś kobieta, dopytując się o was - rzucił.

- Kobieta? Czego chciała? Wiecie, jak miała na imię? - spytał, przestraszony.

- Nie chciała mi nic więcej wyjawić. A mówiłem wam przecież, że nie życzę sobie w mojej bursie żadnych kobiet, tym bardziej...

- Nie martwcie się - przeprosił go Rojas, wychodząc na ulicę. - Mogę was zapewnić, że to się nigdy więcej nie powtórzy.

Był tak bardzo przejęty tym, co mogło się przydarzyć Sabeli, tak bardzo niezadowolony z samego siebie i pełen złych przeczuć, że nie mógł przestać powtarzać w myślach, raz i drugi, że ma tego wszystkiego powyżej uszu. Tak, miał dosyć całej tej mętnej sprawy, dosyć przestępstw, które nie miały z nim nic wspólnego; było mu wszystko jedno, kto je popełnił i jakie miał ku temu powody. Jedyne, czego pragnął, to żeby Sabeli nic się nie stało. Gdyby przydarzyło jej się coś złego, byłaby to wyłącznie jego własna wina i nigdy by sobie tego nie wybaczył. Przede wszystkim nie powinien był w żadnym razie przyjąć tej przeklętej misji. A jeżeli już ją przyjął, nie powinien był się zakochać w Sabeli. A jeżeli już nie udało mu się uniknąć i tego, powinien był natychmiast uciec z nią razem, nieważne gdzie, byle tylko daleko od Salamanki. Tymczasem zamiast postępować, jak nakazuje rozsądek, ładował się coraz bardziej i bardziej w całe to gnojowisko, z którego teraz ciężko mu się będzie wydostać cało i zdrowo.

W miarę jak zbliżał się do lupanaru, wzbierał w nim strach, mieszający się na zmianę z żalnością i gniewem. Kiedy w końcu dotarł na miejsce, popędził prosto do izby Sabeli. Jeszcze na korytarzu wydało mu się, że słyszy jakiś stłumiony krzyk, a potem coś jakby uderzenie. Kiedy był już przy drzwiach, usłyszał wyraźne odgłosy szamotaniny. Przerażony, jednym pchnięciem ramienia otworzył drzwi. Jego wzrok padł na klęczącą na łóżku Sabelę, nagą i próbującą wyrwać się z objęć mężczyzny, który, sądząc po stroju, był studentem i który jedną ręką trzymał ją w pasie, a drugą bił po plecach. Nie tracąc ani chwili, Fernando wyrwał zza pasa sztylet i rzucił się na napastnika, gotowy natychmiast z nim skończyć. Zaskoczony mężczyzna, robiąc unik przed celującym w niego ostrzem noża, odskoczył w bok, lądując na sienniku. Rojas wpadł na niego z takim impetem, że obaj stoczyli się na ziemię.

- Fernando, na Boga, zostaw go w spokoju! - krzyknęła z łóżka Sabela, która dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje. - Daj spokój, błagam, przecież to tylko klient!

Ale Rojas, ślepy i głuchy z wściekłości, nie przestawał znęcać się nad domniemanym mordercą. Jedną ręką przyciskał go do ziemi, a drugą walił na odlew po twarzy. Ten zaś, przekonawszy się, że nie jest w stanie wymknąć się z rąk napastnika, bezskutecznie wymachiwał rękami w poszukiwaniu czegoś stosownego do obrony. Wreszcie w pokoju pojawiła się para rajfurów, którzy na co dzień zajmowali się utrzymaniem porządku w lupanarze - teraz, zaalarmowani krzykami Sabeli, przybiegli zobaczyć, co się dzieje.- Na Boga, zabierzcie stąd tego człowieka, błagam, bo przecież mnie zabije! - wyrzucił z siebie poszkodowany łamiącym się głosem.

- Nie dawajcie mu wiary, to przestępca, przestępca...! - ryczał Rojas, nie przestając tłuc leżącego.

Kiedy w końcu pacholkom udało się go obezwładnić, okazało się, że mężczyzna ma twarz całą we krwi i nie jest w stanie podnieść się o własnych siłach. W tej chwili do izby wszedł padre lupanaru, chcąc się przekonać, co to za hałasy. Choć nie był wysoki, wyraźnie budził respekt.

- Znacie go? - spytał stanowczym tonem napadniętego, wskazując ruchem głowy w stronę, gdzie znajdował się Rojas, mocno przytrzymywany przez pacholców.

- Ależ skąd! Ten człowiek albo zupełnie zwariował, albo musiał mnie z kimś pomylić.

- Co się właściwie wydarzyło?

- Chędożyliśmy się najspokojniej w świecie z dziewczyną, kiedy nagle pojawił się ten szaleniec i bez słowa rzucił na mnie z nożem. Jeżeli mi nie wierzycie, to ją spytajcie.

- Czy to prawda? - rzucił padre w stronę Sabeli.

- To prawda - zaczęła tłumaczyć dziewczyna - ale...

- Znasz go przypadkiem? - przerwał jej gwałtownie.

- Ona nie ma z tym wszystkim nic wspólnego! - wtrącił się do rozmowy Rojas, który zaczął sobie zdawać sprawę z fatalnej pomyłki i nie chciał mieszać Sabeli w całą tę awanturę.

- Błagam was o wybaczenie. Wszystko to jest wynikiem straszliwej pomyłki. Od dobrych kilku dni poszukuję pewnego studenta, który od kilku miesięcy zalega z czynszem, i właśnie przed chwilą wydało mi się, że widzę go wchodzącego do lupanaru. Myśl, że ma zamiar w ten sposób roztrwonić należne mi pieniądze, tak bardzo mnie rozwścieczyła, że ruszyłem w ślad za nim. Byłem święcie przekonany, że wszedł do tej właśnie izby, teraz jednak muszę przyznać, że się pomyliłem.

- Czyżbyście uważali, że brak spłaty prywatnego długu to wystarczający powód, żeby wywoływać taki skandal w miejscu publicznym? - spytał gospodarz.

- Chciałem dać mu tylko nauczkę, widzę jednak, że nieco przeholowałem...

- Zdaje się, że wściekłość zupełnie pomieszała wam zmysły - wtrącił się poszkodowany.

- Jeszcze raz proszę, żebyście mi wybaczyli krzywdę, jaką wam wyrządziłem - odparł pospiesznie Rojas. - W ramach rekompensaty, proszę was, żebyście sami wzięli z sakwy, którą mam przy sobie, tyle ile uważacie za stosowne. Również wam - dodał, kierując się do gospodarza - chciałbym zadośćuczynić za wszystkie szkody i kłopoty.

- Niech wam będzie - zgodził się padre. - Dajcie no tę sakwę, a ja już podzielę wszystko jak trzeba. Sabelo, poproś Rosę, żeby ci pomogła obmyć z krwi tego biednego studenta. A was - zwrócił się do Rojasa - puszczyć wolno, ale nie chcę was tu nigdy więcej widzieć. Zmykajcie czym prędzej, zanim się rozmyślę. Wy zaś - rozkazał pachołkom - odprowadźcie go do wyjścia, żeby czegoś po drodze nie zbroił.

Fernando był tak bardzo zbity z tropu i zawstydzony tym, co się wydarzyło, że poczuł wielką ulgę znalazłszy się wreszcie na ulicy, choć pachołkowie na koniec najzwyczajniej wykopali go z burdelu. Żałował tylko, że nie miał okazji choć przez chwilę porozmawiać z Sabelą, by jej wytłumaczyć, iż jeżeli wdał się w bójkę, to jedynie z powodu obawy, że mogłoby się jej przydarzyć coś złego. Z miłości do Sabeli wymyślił też to idiotyczne kłamstwo, chociaż z jego pomocą udało mu się wybawić ją z opresji, nie wyjaśniając zbyt wiele. Był bowiem święcie przekonany, że gdyby tylko spróbował powiedzieć prawdę, pogorszyłby tylko sprawę, doprowadzając z pewnością do wyrzucenia dziewczyny z zamtuza. Szczęśliwie cała ta farsa, zainspirowana słowami samego poszkodowanego, pozwoliła do pewnego stopnia załagodzić awanturę, choć faktem również było, że teraz nie będzie już mógł postawić nogi w lupanarze. „Chociaż, z drugiej strony - myślał Fernando - może tak właśnie będzie lepiej; Sabela będzie tu teraz pewniejsza, ja natomiast będę się mógł poświęcić bez reszty rozwiązywaniu tych wszystkich kłopotów, jakich sobie napytałem. Tak, wyjdę z tego, choćbym musiał zapukać do samych bram piekielnych!”

Podjeżdżał, że student pewnie się już dowiedział o tym wszystkim, co się wydarzyło w zamtuzie, i że mógł się w każdej chwili pojawić, by móc się z niego naśmiać do woli; teraz jednak wcale go to nie martwiło, więcej nawet, pragnął, by tak się stało. „Kiedy sięga się dna - pomyślał w pewnej chwili - można przynajmniej mieć pewność, że cokolwiek by się działo, nie upadnie się jeszcze niżej”. Szedł w strugach deszczu przez miasto, kiedy nagle znów poczuł za plecami czyjąś złowrobną obecność. Nie zatrzymując się, oglądnał się przez ramię.

Tym razem nie był to tylko cień ani złudzenie spowodowane strachem albo obsesjami, czy też po prostu zwykły wytwór wyobraźni. Choć tajemniczy człowiek nie znajdował się daleko, Fernando nie był w stanie go rozpoznać, gdyż miał na głowie kaptur, spod którego nie było widać twarzy. Bez żadnego kłopotu mógł jednak stwierdzić, że jego płaszcz był z jednej strony postrzępiony i brakowało sporego kawałka materiału. Był już tak bardzo zmęczony przedzieraniem się wśród strug deszczu przez tonące w błocie ulice, że skrył się za rogiem, postanowiwszy zaczekać na swego prześladowcę. Przyłgnął do muru i, żeby dodać sobie otuchy, mocno ścisnął w dłoni sztylet podarowany mu niegdyś przez biskupa. Cokolwiek by się działo, miał zamiar stawić czoło napastnikowi i jeżeli to możliwe, spróbować go schwycić... Albo nawet zabić, gdyby było trzeba; lub zginąć samemu, jeśli nie będzie innego wyjścia... Cokolwiek, byle tylko skończyć raz na zawsze z tym koszmarem.

Zaczajony w swej kryjówce już po chwili usłyszał kroki nieznanego, który z pewnością przyspieszył, jak tylko stracił go z oczu. Po chwili tajemnicza postać szybkim krokiem przemaszerowała przed nosem Rojasasa.

- Dlaczego mnie śledzicie? - wrzasnął zza rogu, unosząc w górę puginał.

W strugach deszczu ledwie widział niewyraźną postać przeciwnika. Ten, zaskoczony, odwrócił się jednym skokiem, próbując odruchowo zasłonić się szpadą, ale obszerny płaszcz krępował jego ruchy i nie udało mu się uniknąć ciosu - ostrze sztyletu wbiło się w jego prawe ramię. Pchnięcie okazało się tak silne, że aż się zatoczył, wypuszczając z ręki szpadę, która zatonała w ogromnej kałuży na środku ulicy. Zdołał jednak wyslizgnąć się jakoś z rąk Rojasasa, z miejsca rzucając się do ucieczki. Tym sposobem w jednym okamgnieniu Fernando przeobraził się ze ściganego w ścigającego.

Nie dzieliła ich co prawda zbyt wielka odległość, ale Rojas był do tego stopnia przemoknięty i ubłocony, że nie mógł biec szybciej, miał jednak nadzieję, iż uciekinier, z powodu odniesionej rany, w końcu straci siły. Jednak to właśnie Fernando o mały włos jako pierwszy nie skończył na ziemi, wdepnąwszy nagle w kałużę błota. Tymczasem domniemany student, wykorzystując swoją chwilową przewagę, skręcił na najbliższym rogu, po czym po raz kolejny jakby zapadł się pod ziemię. Tym razem Fernando nie miał jednak zamiaru tak łatwo się poddać.

Tak długo pędzili w gęstych strugach deszczu, że teraz nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Na początek przebiegł więc tam i z powrotem uliczkę, w której zniknął uciekinier, próbując znaleźć jakąś kryjówkę, otwarte lub niedomknięte drzwi, cokolwiek, co mogłoby go naprowadzić na właściwy trop. W następnej kolejności zbadał jedną po drugiej wszystkie przecznice, w które mógł skręcić. Jedna z nich wydała mu się dziwnie znajoma. Poszedł więc

niedaleko, stwierdzając, że to ten sam zaułek bez wyjścia, w którym student zniknął mu z oczu, kiedy po raz pierwszy go ścigał. Zbity z tropu, zaczął się dobijać do kolejnych domów, mając zamiar je wszystkie przeszukać, kiedy nagle koło jednej z furtek zauważył ślady krwi. Nie namyślając się, pchnął ją z całej siły; z drugiej strony znajdowało się wąskie podwórko, a na jego końcu szopa, w której przechowywano drewno i gdzie najwyraźniej zaganiano czasem zwierzęta gospodarskie. Przetrzęsając szopę w poszukiwaniu studenta, Fernando odkrył w jej tylnej części drzwi zamknięte na skobel. Otworzył je, ze zdumieniem stwierdzając, że stoi ni mniej, ni więcej, tylko na wprost kościoła Świętego Cypriana.

- To nie może być przypadek - zamruczał sam do siebie, kierując się w stronę świątyni.

Zorientowawszy się, że drzwi kościoła są zamknięte na klucz, z wściekłością zaczął się do nich dobijać. W okienku jednego z sąsiednich domów pokazała się głowa zaalarmowanej hałasem kobiety.

- Cóż wy wyprawiacie?! - krzyknęła. - Nie widzicie, że o tej porze w kościele nie ma nikogo?

- Jestem wysłannikiem biskupa - przedstawił się Rojas. - i muszę się koniecznie natychmiast dostać do środka.

- Jeśli tak bardzo wam pilno, idźcie zbudzić zakrystiana; mieszka tuż obok, koło starych murów.

Dom zakrystiana przylegał do bocznej ściany kościoła. Wybudowano go, wykorzystując fragment starego muru zakończonego basztą. Była akurat pora obiadu, toteż zakrystian nieprędko zareagował na pukanie. - Idę, już idę. Czy można wiedzieć, czego chcecie? - warknął w końcu ktoś zza drzwi.

Dopiero kiedy Rojas podał mu list uwierzytelniający, który dostał od biskupa, wsuwając go dołem, pod drzwiami, kościelny zdecydował się otworzyć.

- Musicie natychmiast wpuścić mnie do kościoła. To bardzo ważne - próbował popędzać go Fernando. - Prowadzę śledztwo wielkiej wagi.

- Śledztwo? Co chcecie przez to powiedzieć? - zaczął się dopytywać zakrystian, lekko zaniepokojony.

- Nic wam do tego - odparł Rojas. - Zróbcie jedynie to, co wam poleciłem.

- No dobrze, już idę - oznajmił w końcu z nieco większą pokorą.

Prawie natychmiast wyszedł ubrany w płaszcz, dzierżąc w dłoni wielki pęk kluczy. Po chwili brama kościoła stała otworem. Fernando spytał go jeszcze:

- Możecie mi powiedzieć, gdzie mieści się krypta?

- Pod samym ołtarzem.

- A czy oprócz was ktoś jeszcze ma klucze do kościoła?

- Z tego, co wiem, w katedrze chyba mają klucz.

- A wiecie przypadkiem, czy do kościoła zagląda ktoś o jakichś dziwnych porach?

- Czy chodzi wam o tę nieszczęsną legendę? Musicie wiedzieć, że to tylko czece gadanie. Z tego, co wiem - wyjaśnił - poza nabożeństwami nikt tu nie bywa.

- Posłuchajcie mnie dobrze - powiedział zniecierpliwiony Rojas. - Gdybym nie wrócił przed zapadnięciem zmroku, pójdziecie do klasztoru Świętego Stefana. Spytajcie tam o fray Antonia, zielarza. Opowiecie mu, co się wydarzyło, i poprosicie, żeby udał się do klasztoru Świętego Franciszka po fray Germana; oni już będą wiedzieć, co mają dalej robić. Zrozumieliście?

Zakrystian zastanowił się chwilę, po czym skinął głową, choć nie wyglądał na do końca przekonanego. Fernando nie miał jednak czasu, żeby powziąć jakiegokolwiek inne środki ostrożności. Wszedł do kościoła, prosząc tylko na koniec mężczyznę, żeby zostawił drzwi uchylone.

Kościół okazał się mały i ubogi; właściwie w środku było pusto, jeśli nie liczyć wizerunku Chrystusa za ołtarzem, oświetlonego dwiema grubymi świecami. Fernando wziął do ręki jedną z nich i zaczął się rozglądać. W pobliżu wejścia widać było świeże ślady błota i kałuże; tu i ówdzie dostrzec też się dało na ziemi krople jakiegoś ciemniejszego i bardziej lepkiego płynu. Idąc ich tropem, Fernando dotarł do apsydy, gdzie w kącie odnalazł otwór w posadzce, a w nim wąskie i bardzo strome kamienne schody prowadzące w dół. Stwierdził, że muszą one prowadzić do słynnej krypty. Ścisnął mocniej w rękę świecę, na wypadek gdyby musiał jej użyć do obrony, po czym zaczął powoli schodzić w dół. W rzeczy samej już po chwili znalazł się w niewielkiej krypcie o łukowatym sklepieniu, którą najwyraźniej skonstruowano pod ołtarzem, wykorzystując ostry spadek terenu. Zarówno na schodach, jak i na podłodze widać było ślady błota i nieliczne plamy krwi, co wskazywało, iż student musiał tędy przechodzić. Następnym zadaniem było odnalezienie wejścia do jaskini. Fernando zbadał dokładnie kamienne ściany oraz płyty nagrobne na posadzce, szukając zamaskowanych drzwi lub klapy - bez skutku. Nie znalazł też ani śladu żadnego mechanizmu, który mógłby cokolwiek otworzyć.

Jedynym, co zwróciło jego uwagę, był napis widniejący na środkowym nagrobku: Te prosterne atque signum crucis fac (Padnij i zrób znak krzyża). A gdyby tak chodziło o jakieś zaszyfrowane polecenie albo hasło? Zaintrygowany, klęknął na płycie z napisem i zaczął się żegnać, ale, jak można się było spodziewać, nic się nie wydarzyło. W tej chwili zauważył



jednak na jednym z kamieni, które miał przed sobą, jakiś dziwny znak, coś, co mogło być marką kamieniarza, miało jednak kształt, który wydawał mu się dziwnie znajomy. Był pewien, że gdzieś już wcześniej widział coś podobnego. Nie ruszając się z miejsca, wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcz mapę. Podobnie jak list uwierzytelniający od biskupa, kartka była wilgotna. Rozłożył ją ostrożnie, stwierdzając, że rzeczywiście ten sam kształt figurował na tajemniczym rysunku: był to grecki krzyż, crux quadrata, z dodatkową linią łączącą podstawę z końcem lewego ramienia oraz prawym ramieniem nietypowo zakończonym strzałką. Czyżby chodziło o sposób kreślenia znaku krzyża? Od czoła do piersi, od piersi do lewego ramienia, a potem od lewego ramienia do prawego? Gdzie jednak należało nakreślić ów wymagowany znak krzyża? Klęknął ponownie na płycie, stwierdzając, że kamień, w którym wykuto tajemniczy znak, znajduje się mniej więcej na wysokości jego piersi. Dwie kamienne kostki wyżej byłaby więc góra krzyża, a dwie niżej, na tej samej osi, jego podstawa; na kamieniach zaś po lewej i po prawej stronie odnaleźć powinien końce ramion. Zaintrygowany, oparł dłoń na kostce znajdującej się na wysokości czoła; natychmiast poczuł, że kamień zaczyna się poruszać, usuwając nieco w głąb ściany. W następnej kolejności popchnął dolny kamień, z którym stało się zupełnie to samo, potem jeszcze lewy, a na koniec prawy. Kiedy ten ostatni skończył się poruszać, w krypcie rozległ się nagle głośny hałas dobywający się gdzieś spod podłogi, jakby ktoś puścił w ruch jakiś skomplikowany mechanizm. W rzeczy samej po chwili tylna krawędź płyty nagrobnej, na której klęczał Rojas, uniosła się nieco do góry. Wstał, włożył palce do jakby specjalnie w tym celu wykutej szczeliny, po czym, ku własnemu zdumieniu, bez większego wysiłku udało mu się unieść płytę w górę. Wtedy jego oczom ukazały się następne schody.

Znajdująca się poniżej krypta była nieco większa od poprzedniej. Również i tu nie było nikogo, a przynajmniej nikogo żywego, gdyż na ziemi widać było kilka otwartych grobowców straszących szkieletami, a w kącie piętrzyła się sterta ludzkich kości. W kilku miejscach Fernando dostrzegł też nowe ślady krwi, co oznaczało, że gdzieś tutaj musiało być jakieś przejście prowadzące dalej. Teraz przynajmniej już wiedział, że klucz do zagadki powinien się znajdować na mapie. Prawdopodobnie prostokąt narysowany obok krzyża oznaczał któryś z grobowców. Tylko który? Oglądnął je wszystkie po kolei, stwierdzając, że wszystkie z boku mają jakieś napisy. W większości były to tylko imiona i daty, czasem dodatkowo jakieś krótkie epitafium. Jedno z nich natychmiast przykuło jego uwagę: Post mortem, ultro resurges (Po śmierci zmartwychwstaniesz po drugiej stronie). Tak, on chciał przecież znaleźć się po drugiej stronie! Trochę mniej mu się spodobało, że w tym celu będzie musiał najpierw umrzeć... Choć, rzecz jasna, nie trzeba chyba rozumieć tego aż tak całkiem

dosłownie. Być może wystarczyłaby śmierć symboliczna albo udawana. W tym momencie wpadł na pomysł, że mógłby na próbę położyć się w grobowcu. To, że miałby leżeć obok ludzkiego szkieletu, nie budziło w nim odrazy ani strachu, sprawiało jednak, że czuł się trochę śmiesznie. Nie mówiąc o tym, że czyn ten był najzwyczajszą profanacją. Bez względu na wszystko postanowił jednak spróbować - w końcu, jeżeli chce iść dalej, nie ma innego wyjścia. Ułożywszy się więc na plecach u boku nieboszczyka, przeleżał dłuższą chwilę ze świecą opartą na piersi, próbując nie myśleć o śmierci. Już miał zamiar skapitulować, kiedy zauważył, iż z bocznej ściany niszy wystaje okrągły kamień. Pchnął go z całej siły. Wtem, ni stąd, ni zowąd, coś się pod nim rozsunęło i, nie mogąc nic na to poradzić, stoczył się w dół po krótkiej stromiźnie. Co ciekawe, szkielet nie towarzyszył mu w tej niespodziewanej podróży, z czego wywnioskował, że musi być jakoś przymocowany do kamienia.

Na szczęście spadek nie był zbyt wielki i świeca nie zgasła. W jej świetle mógł teraz stwierdzić, że tym razem znalazł się w prawdziwej jaskini. Zobaczył, że na jednym z występów skalnych leży kilka pochodni, a obok, w drewnianej skrzynce, hubka z krzesiwem i skałką do rozniecania ognia. Fernando wziął do ręki pochodnię i zapaliwszy ją od świecy, postanowił dokładniej zbadać grootę. W głębi kilka korytarzy rozchodziło się na różne strony. Spojrzał ponownie na mapę, stwierdzając, że po lewej stronie grobu narysowane były trzy kreski, a jedna z nich, ta znajdująca się po prawej stronie, była dłuższa i kończyła się strzałką. Postanowił raz jeszcze zawierzyć mapie, kierując się w stronę prawego korytarza. Kiedy zagłębiał się w czarną otchłań, nie mógł przestać myśleć o tym, co może go czekać na końcu tunelu. Cokolwiek by to jednak było, czuł się gotów stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu, byle tylko schwytać wreszcie studenta. Po tym, co wydarzyło się tego przedpołudnia w lupanarze, postawił to sobie za punkt honoru.

Od pewnego miejsca mijane ściany ożyły nagle, wypełnione rysunkami zwierząt. Najpierw jego oczom ukazała się salamandra w płomieniach, potem wielka ropucha, a następnie zmija otoczona pożerającymi się nawzajem małymi żmijkami. Wizerunki bestii były wręcz naturalistyczne, a ich kolory tak żywe, że istotnie napawały strachem. Budziły grozę nie tylko swoim szkaradnym wyglądem, ale i tym, że miały idącego swym widokiem: patrząc na nie, miało się wrażenie, że potwory zaczynają się poruszać i za chwilę rzucają na człowieka ze ściany, kiedy zaś odwracało się wzrok, było jeszcze gorzej, bo człowiek zaczynał sobie natychmiast wyobrażać w ciemnościach ich agresywne i złowieszcze ruchy. Za zakrętem Rojasowi ukazała się nagle sylwetka jakiegoś monstrum z wijącymi się smoczymi głowami, a obok niego kilka skrzydlatych koni, które ustępowały miejsca całemu pochodowi coraz straszniejszych bestii i potworów. Był pośród nich nawet bazyliżek.

Fernando rozpoznał go po charakterystycznej głowie, wężowatym ogonie, ptasich szponach i kogucim czubie; nie odważył się spojrzeć mu w oczy, na wypadek gdyby legendy okazały się prawdziwe\*.

W końcu, pragnąc powściągnąć wodze rozszalałej wyobraźni, Rojas zaczął powtarzać jak zaklęcie jedną ze strof markiza de Santillana\*\*:

Widziałem, jak dzikie bestie i pokraczne maskary opuszczały swe jaskinie, grotty i pieczary.

\* Legendarny bazyliszek był znany ze swojego straszliwego spojrzenia - kto popatrzył mu w oczy, natychmiast umierał.

\*\* Markiz de Santillana, właściwie Íñigo López de Mendoza y de la Vega (1398-1458) - hiszpański rycerz i poeta tworzący na pograniczu średniowiecza i renesansu.

I, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, bestie zniknęły. Fernando sam już nie wiedział, czy to rysunki się skończyły, czy zniknęły prawdziwe potwory. Nie miał jednak najmniejszego zamiaru oglądać się do tyłu, żeby to sprawdzić wystarczająco dużo trudności sprawiało mu skupienie się na dalszej drodze. Musiał uważać, żeby się nie zgubić, gdyż korytarz co jakiś czas dzielił się na dwie lub trzy odnogi i za każdym razem musiał stawać i spoglądać na mapę, by się zorientować, którą z nich ma wybrać. Każde rozwidlenie było oznaczone rzymską cyfrą otoczoną kółkiem. Według mapy miało ich być w sumie dziewięć - jak kręgów piekielnych u Dantego. Trzy pierwsze rozwidlenia nie przysporzyły Rojasowi większych trudności, jednak kiedy dotarł do czwartego, stwierdził, że coś się tu nie zgadza, gdyż na rysunku widniały dwie odnogi, podczas gdy w rzeczywistości były aż trzy. Fernando doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej tej trzeciej zapomniano narysować. Na mapie korytarz po prawej stronie był zaznaczony jako prawidłowy, musiał się więc zastanowić, czy skręcić w prawą odnogę, czy wybrać środkową. Nie mógł mieć pewności, o którą tak naprawdę chodziło. A może to nie była pomyłka, lecz zasadzka, za pomocą której próbowano odstraszyć intruzów. Spróbował sprawdzić, czy dalszy bieg któregoś z tuneli mógłby mu pomóc podjąć słuszną decyzję, ale nie znalazł nic interesującego. W końcu zdecydował się wybrać środkowy korytarz, mając jednak zamiar zawrócić, gdyby szybko nie pojawiło się następne rozwidlenie. Szedł już dłuższą chwilę, kiedy dostrzegł wreszcie kółko na ścianie i nowe rozgałęzienie tunelu. Szedł z taką niecierpliwością, wypatrując cyfry w kółku, że zupełnie nie zauważył dziury w podłodze tunelu. Kiedy zdał sobie sprawę, że traci grunt pod nogami, było już za późno. Zaczął spadać na łeb na szyję i tylko w ostatnim przeblysku świadomości zdało mu się, że w kółku, zamiast cyfry V, widniała strzałka wyraźnie wskazująca w dół.

\*\*\*

## Rozdział 20.

- Fernando de Rojas?! Odpowiedz, dlaczego nas szukasz, z jakiego powodu nas prześladujesz?

Dudniący głos dochodził jakby zza gęstej mgły czy zza kotary utkanej z włochatych pajęczyn. Głowa bolała go tak okropnie, że nie był w stanie się skupić; nie miał też pojęcia, gdzie się znajduje. Spróbował rozchylić powieki, ale ciążyły mu, jakby były przyklejone do oczu. Zaczął macać na oślep dookoła siebie, aż w końcu doszedł do wniosku, że leży na jakimś posłaniu.

- Co ci uczyniliśmy? Powiedz, co ci zrobiliśmy złego? - rozbrzmiał znowu ten sam głos, wbijając się w mózg Fernanda, niczym klin, w który ktoś uderza młotem.

Chciał się odezwać, ale mu się nie udało. Miał wrażenie, że ma usta pełne piachu. Potem spróbował się podnieść, lecz również bez skutku. Przy każdym najmniejszym ruchu czuł, jakby w stawy wbijano mu ostrza noży. Nie mógł też dłużej znieść owego natrętnego głosu, który z takim uporem żądał od niego wyjaśnień.

- Kim jesteście? - spytał wreszcie nieśmiało.

- To my, twoi pobratymcy. Nie poznajesz nas? - usłyszał w odpowiedzi. - Znajdujesz się przed sanhedrynem.

Zdumiony, odwrócił się w stronę, z której do niego mówiono. Nieopodal posłania zobaczył kilku starców siedzących na ziemi, oświetlonych blaskiem grubych świec zamocowanych na ścianach jaskini. Nie był w stanie rozróżnić rysów twarzy poszczególnych osób, ale wydało mu się, że ma przed sobą surowe, pomarszczone oblicza. - Chyba żartujecie, przecież ja nie jestem Żydem - zaprotestował.

- Ależ jesteś, choćbyś nawet nie zdawał sobie z tego sprawy - odparł sucho jeden ze starców. - Twój ojciec, Hernando de Rojas, jest judaizującym konwertytą; z tych, których w naszym języku nazywamy anusim, czyli przymuszeni. A i ty, w głębi duszy, też do nich należysz.

- Mówię wam, że to kłamstwo - krzyknął Rojas, z trudem przewracając się na bok. - Mój ojciec jest konwertytą, tak jak niegdyś jego rodzice, a teraz jego dzieci.

Jego słowa najwyraźniej zgorszyły starców. Przez chwilę szeptali coś między sobą, aż wreszcie jeden z nich zabrał głos:

- Czyżbyś nie zdawał sobie sprawy, że twój ojciec zawsze udawał? Robił to, żeby samemu nie zginąć i żeby oszczędzić wam problemów. Wiesz chyba, co mówi się o prawdziwych Żydach; jesteśmy jak płynny metal: dostosowujemy się do każdej formy, lecz nasza istota nigdy nie ulega zmianie.

- Dlaczego chcecie zbić mnie z tropu? - spytał zrozpaczony Rojas.

- My? - wykrzyknął ze szczerym zdumieniem ten, który wydawał się cieszyć największym autorytetem. - Przecież to ty wdarłeś się do naszej kryjówki z nie wiadomo jak niecnymi zamiarami. Znaleźliśmy cię zabłąkanego, umierającego w jednym z korytarzy. Zdaje się, że uderzyłeś się w głowę i straciłeś przytomność. To dzięki nam udało ci się przeżyć.

- W takim razie jestem wam wdzięczny i bardzo wam dziękuję - odparł Rojas, trochę już spokojniejszy. - Powiedzcie, co mogę dla was zrobić?

- Prosimy cię tylko o jedno - wyjaśnił starzec. - Żebyś się nawrócił na dawną religię; pragniemy, byś powrócił na łono prawdziwej wiary, wiary twego ojca i przodków.- To, o co mnie prosicie, jest niemożliwe - odparł Fernando, próbując zachować spokój. - Nikt nie jest panem swej wiary. To sprawa sumienia.

- Również my jesteśmy przekonani, że to kwestia sumienia. Teraz, kiedy udało nam się odnaleźć cię i uratować, nie możemy przecież pozwolić, byś powrócił do stada owieczek Chrystusa.

- Ale przecież ja nie prosiłem was o ratunek. Zwłaszcza wiedząc, jaką miałbym zapłacić za to cenę.

- Gdybyśmy cię nie znaleźli, możesz być pewien, że już byś nie żył. Albo znalazłby cię ktoś mniej litościwy.

- Jestem pewien, że tak by się stało, gdyby taka była wola Boża - zgodził się Rojas.

- A jednak Bóg zechciał, żebyśmy to my cię uratowali. Nie wydaje ci się, że to znaczący przejaw Jego woli?

- Błagam was, nie próbujcie mi mącić w głowie. Nie mam teraz siły na żadne łamigłówniki. Powiedzcie mi tylko, co robicie w tym okropnym miejscu?

- Mieszkamy tu, nie wiedziałeś o tym? Od kiedy przed pięciu laty nasi monarchowie zdecydowali się wypędzić nas z królestwa, to nasz jedyny dom. Jak możesz sobie wyobrazić, wielu z nas nie miało najmniejszej ochoty na to, żeby opuścić Salamankę. Dlaczego mielibyśmy to uczynić? Przecież miasto należy w tym samym stopniu do nas, co do nich, a może nawet do nas bardziej. Tak więc udawaliśmy tylko, że wyprowadzamy się z aljamy\*, i

tymczasem ukryliśmy się tutaj. Tutaj mieści się nasz nowy dom i nasza synagoga; na jednej z jej ścian od nowa wyryliśmy słowa: Oto jest brama Pana, przez nią wejdą sprawiedliwi.

- Ale dlaczego właśnie tutaj?

\* A jama (hiszp.) - społeczność żydowska lub arabska; dzielnica zamieszкана przez ową ludność; tutaj: dzielnica żydowska.

- Już nasi przodkowie wykorzystywali tę jaskinię, kiedy w XII wieku przybyli tu z Prowansji jako osadnicy. To tutaj rozszyfrowywano tajemną wiedzę zawartą w Kabale i, z pokolenia na pokolenie, przekazywano jej sekrety wąskiej grupie uczonych. Kilku członków tego sanhedrynu należy do owych nielicznych wybrańców.

- Ależ nie! To, co słyszę, po prostu nie może być prawdą! - wykrzyknął Rojas. - Powiedzcie, mam gorączkę i majaczkę, prawda? A może to sen i za chwilę obudzę się w moim pokoju?

- Dlaczego nie chcesz zaakceptować tego, co rzeczywiste? Jesteśmy ludźmi z krwi i kości, tak samo jak ty.

- Zobacz, możesz nas dotknąć - powiedzieli, podnosząc się z ziemi.

- Nie, błagam, nie zbliżajcie się do mnie! - krzyknął Rojas, odwracając się do nich plecami.

- Nie obawiaj się, nie splamimy cię naszymi grzechami - oświadczył jeden ze starców.

- Pamiętaj, że jesteśmy twymi braćmi - dodał inny.

- Dlaczego nas odtrącasz? - zapytał trzeci. - A może zapłacono ci, żebyś nas odnalazł i zadenuncjował?

Kiedy Rojas ponownie odwrócił się w ich stronę, stwierdził, że teraz na odmianę usiedli koło jego posłania.

- Ależ ja nie miałem pojęcia, że w ogóle istniejecie - usprawiedliwiał się. - To znaczy, chciałem powiedzieć, że nie wiedziałem, iż w Salamance są jeszcze jacyś Żydzi.

- Niewątpliwie wiesz bardzo niewiele o tym, co się dookoła ciebie dzieje, młodzieńcze; jakbyś przez te wszystkie lata żył zamknięty pośród ksiązek, nieświadomy niczego. Czy kiedykolwiek odwiedziłeś aljamę? - mówił dalej z coraz większym oburzeniem trzeci członek sanhedrynu. - Czy zainteresowałeś się choć trochę tym, w jak nędznych warunkach przyszło nam żyć? Czy słyszałeś kiedyś o masowych nawróceniach spowodowanych naukami Vicentego Ferrera\*? Czy wiesz coś na temat kazania, które wygłosił w 1411 roku w Nowej Synagodze i które, na domiar złego, spotkało się z aprobatą niektórych z naszych braci? Wiedziłeś, że jeszcze na długo przed wydaniem przez monarchów dekretu o wypędzeniu niektórych z nas wyrzucono z aljamy, przesiedlając poza

mury miasta? Nas, którzy przybyliśmy tu jako osadnicy w czasach, kiedy na miejscu, gdzie wznosi się dziś Salamanka, były jedynie puste pola!

- Macie rację, do tej pory niewiele o was wiedziałem - przyznał smętnie Rojas. - Wierzcie mi, że nie miałem również pojęcia o istnieniu jaskini, w której się teraz znajdujemy.

- W takim razie, co tu robisz?

To pytanie całkiem go zaskoczyło; zupełnie jakby zapomniał o celu swej wizyty w podziemnej grocie. Zastanowił się przez chwilę.

- Przybyłem tu, podążając tropem pewnego przestępcy - wyznał w końcu. - Chodzi o zabójcę fray Tomasa de Santo Domingo, profesora Studium Generale.

- Ach, więc o to chodzi. Myślisz, że to my go zamordowaliśmy, prawda? Pomyślałeś sobie pewnie: „bez wątplenia powodów im nie brakuje”. Ale nie, chłopcze, nie jesteśmy zbrodniarzami. Zresztą, nie mamy nawet możliwości, żeby popełnić czyn tego rodzaju. Cóż zresztą moglibyśmy osiągnąć dzięki śmierci fray Tomasa?

- Nie powiedziałem przecież, że was podejrzewam.

\* Vicente Ferrer (ok. 1350-1419) - hiszpański dominikanin z Walencji, kanonizowany w 1458 roku przez papieża Kaliksta III. Przez wiele lat jeździł po Europie jako wędrowny kaznodzieja; jest uważany przez historyków za jednego z najbrutalniejszych hiszpańskich prześladowców Żydów (jego słynna dewiza to „chrzest albo śmierć”). Pod wpływem jego kazań w 1391 roku w Walencji doszło do słynnego pogromu w dzielnicy żydowskiej.

- W rzeczy samej nie miałyby to sensu, jako że, jak mówisz, nie miałeś pojęcia o naszym istnieniu. Ale teraz? Czy teraz uważasz, że mamy z tym zabójstwem coś wspólnego?

- Ależ skąd. Dlaczego miałbym was podejrzewać?

- Wyobrażam sobie, że jeśli nie uda ci się szybko odnaleźć sprawców, będziesz potrzebował kozła ofiarnego. A któż lepiej się do tego nadaje niż my? Zresztą, jesteśmy już przyzwyczajeni do tej roli. Nie mam racji?

- Być może, ale wierzycie mi, że nie to mnie tu sprowadziło. Przyszedłem, śledząc przestępcę, i wygląda na to, że się po prostu zgubiłem.

- W naszym mniemaniu już dawno temu się zagubiłeś, synu, tylko za nic nie chcesz się do tego przyznać.

- Znacie to miejsce lepiej ode mnie, może moglibyście mi pomóc odnaleźć zbrodniarza? Nie wiem dokładnie, kim jest, wiem jedynie, że to student. Nie widzieliście przypadkiem w jaskini kogoś, kto wydałby się wam podejrzany?

- Nie da się ukryć, że przez jaskinię przewijają się wielu konwertytów. Nie obraż się o to, co ci teraz powiem, ale nie powinieneś ufać żadnemu z nich. Nie chodzi mi oczywiście o



tych, którzy tylko udają, że się nawrócili, gdyż ci po prostu nie mieli innego wyjścia, jeśli chcieli ujść z życiem, i w głębi serca nadal są z nami. Chodzi mi o autentycznych konwertytów. Niektórzy z nich są tak głęboko przekonani o prawdziwości swojej nowej wiary, że stali się bardziej papiescy niż sam papież i surowsi od Świętego Oficjum. Są i tacy, którzy pragną być bardziej czystszy i autentyczni niż starzy chrześcijanie. Wcale bym się nie dziwił, gdyby chcieli wszcząć jakieś reformy w Kościele, pragnąc, by powrócił do źródeł. Wiemy na pewno, że w jakimś miejscu tu, w jaskini, zbierają się na agapy\*, jak pierwsi chrześcijanie. Są takimi fanatykami, że nie zawahaliby się zabić każdego, kogo uznaliby za swojego wroga. Sam zobacz, do czego może doprowadzić ich szaleństwo.

\* Agapa (z gr. agape) - wśród pierwszych chrześcijan wspólny posiłek o charakterze religijnym.

Rojas słuchał całkiem osłupiały; miał wrażenie, że to on zaraz oszaleje. Nagle stwierdził, że czuje coś wilgotnego między nogami. Z przerażeniem zaczął obmacywać swe odzienie, stwierdzając, że ma zabandażowany członek.

- Cóżście mi zrobili? - wykrzyknął ze zgrozą, nie mając odwagi podnieść przykrywającej go derki, żeby sprawdzić, co mu się stało.

- Obrzezaliśmy cię tylko - wyjaśnił starzec z absolutną prostotą. - Nie powinieneś jednak tego odbierać jako kary. To tylko brit mila, obrządek mający przypominać o przymierzu zawartym przez Jahwe z Abrahamem, a więc po prostu znak twego powrotu do wiary przodków.

- Odkąd to mierzy się wiarę długością napletka? - spytał zjadliwie Fernando, na dobre zirytowany. - Czyżby to w tym miała tkwić owa istota bycia Żydem, o której mi wcześniej opowiadaliście?

- Zamilknij! - krzyknął święty mąż, zatykając uszy. - Nie zezwolimy na dalsze bluźnierstwa.

- A wy za czym pozwoleniem mnie obrzezaliście, jeśli można wiedzieć?

- Tym, które daje nam fakt uratowania ci życia.

- Czyżbyście nie zdawali sobie sprawy, że to, co zrobiliście, jest po prostu podłe?

- My jednak jesteśmy najzupełniej przekonani, że twój ojciec będzie z ciebie dumny, kiedy tylko się o wszystkim dowie.

- Mój ojciec, mówicie?! Gdybyście mieli jakiegokolwiek pojęcie o jego i moich losach, wiedzielibyście, że kilka lat temu musiałem poświęcić niemal wszystko, żeby uratować go przed spaleniem na stosie, i że, jako jego jedyny poręczyciel, musiałem oddać się na zawsze w ręce inkwizycji. To dlatego teraz muszę robić rzeczy, jakie wcale mi się nie podobają: na

przykład poszukiwać człowieka, który zamordował nieobyčajnego zakonnika i otruł królewicza ani trochę nie zasługującego na godność następcy tronu. Jeżeli w ogóle znalazłem się w tej jaskini, uwięziony, ranny i sponiewierany, to tylko dlatego, aby ratować życie mego ojca. Czy nie wydaje wam się, że to tragiczne? A teraz na dodatek wy, którzy uważacie się za moich braci i pragniecie przemawiać w jego imieniu, chcecie, bym zapłacił wam za to, że mnie uratowaliście. Nie wydaje się wam, że zapłaciłem już wystarczająco wysoką cenę za moje pochodzenie i że, jeśli już nie jest mi dane poczynać wedle własnej woli, powinienem przynajmniej mieć prawo wierzyć w głębi duszy w to, w co mam ochotę?

Podobnie jak niegdyś inkwizytorzy, członkowie sanhedynu oniemieli wobec nieprzeciętnej elokwencji Rojasa. Najwyraźniej jednak nie przejawiali zbyt wielkiej chęci, by tak łatwo dać uciec swej zabląkanej owieczce, swemu marnotrawnemu synowi. Przez chwilę rozmawiali między sobą po hebrajsku, po czym zabrał głos ten, który zdawał się cieszyć największym autorytetem:

- Nie jest to najlepszy moment na podejmowanie tak ważkich decyzji. Dlatego porozmawiamy ponownie, kiedy całkiem wydobrzejesz. Do tej pory możesz się uważać nie za naszego więźnia, lecz gościa. Radzimy ci jednak, żebyś podczas pobytu u nas nie próbował opuścić tego pomieszczenia, gdyż z łatwością mógłbyś znów się zgubić i wpaść w nowe tarapaty; nie wszyscy mieszkający tu, pod ziemią, są tak życzliwi i cierpliwi jak my. Teraz zawezwiemy lekarza, żeby cię opatrzył. Jeżeli zaś chodzi o twojego ojca, chcę ci powiedzieć, że wiemy, iż to porządny człowiek. I że to nie on ponosi odpowiedzialność za sytuację, w jakiej się znalazłeś. Winni temu są ci wszyscy szaleńcy, którzy nas prześladują. My zaś prosimy cię, żebyś nam wybaczył, jeżeli czymkolwiek ci ubliżyliśmy. Jeśli źle uczyniliśmy, musisz wiedzieć, że zrobiliśmy to w dobrej wierze.

Kiedy tylko starzec skończył mówić, wszyscy obecni, rzecz jasna z wyjątkiem Rojasa, podnieśli się i wyszli z grotty. Po chwili zaś pojawił się lekarz z młodym pomocnikiem. Kiedy już obmyli go i ostrożnie zmienili opatrunek, medyk polecił swemu towarzyszowi, żeby poszedł poszukać czegoś do ubrania dla rekonwalescenta.

- Powiedzcie, gdzie was jeszcze boli - poprosił po jego odejściu. - Pokażcie mi dokładnie gdzie.

- Czy gdzieś mnie boli? Spytajcie raczej, gdzie mnie nie boli.

- Dam wam do wypicia coś, co powinno ukoić ból.

Lekarz podał mu kubek zawierający ciemną, gęstą miksturę o nadzwyczaj nieprzyjemnym zapachu. Rojas przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, nie mogąc się zdecydować.

- Pijcie bez obawy - nalegał lekarz - nie otruję was przecież, nie mam nawet zamiaru was uspić. Jeżeli zaś chodzi o to - powiedział, wskazując na zabandażowany członek - chcę, żebyście wiedzieli, że nie miałem z tą sprawą nic wspólnego. To była decyzja sanhedrynu. Musicie jednak wiedzieć, że nie wszyscy, którzy tu mieszkamy, myślimy tak samo.

- Jednakże to oni o wszystkim decydują, nieprawdaż?

- Już niedługo. W istocie część z nas poważnie myśli o ucieczce do Portugalii. Jeżeli ja sam jeszcze stąd nie wyjechałem, to tylko dlatego, że ludzie mnie potrzebują. Jednakże większość z nas nie jest w stanie już dłużej znieść tej sytuacji, zwłaszcza teraz, kiedy, jak się zdaje, sanhedryn całkiem stracił głowę. Oni wszyscy są już bardzo starzy i nie mają zbyt wielkich chęci do życia, lecz większość z nas nie straciła jeszcze nadziei.

- Wiecie może, co zamierzają ze mną zrobić?- Wiem tylko, że łapią się wszystkiego, co możliwe, byle tylko móc tu zostać. Być może myślą, mając na uwadze wasze koneksje, że z zewnątrz będziecie mogli nam pomóc. To dlatego pragną, żebyście się nawrócili na judaizm; chcą mieć pewność, iż nie zdradzicie nas, kiedy puszczą was wolno.

- Ależ ja chętnie wam pomogę, pod warunkiem jednak że będziecie mieć poszanowanie dla mojego sumienia i że nikt nie będzie mnie do niczego zmuszał. Możecie im to przekazać. Dodajcie też, że jestem gotów o wszystkim zapomnieć, nawet o obrzezaniu, jeżeli zrezygnują ze swego zamiaru nawrócenia mnie na dawną religię.

- Niestety, znam ich aż za dobrze i wiem, że tak łatwo nie ustąpią. Nie zaufają wam, dopóki nie zaprzecie się publicznie chrześcijańskiej wiary i nie zawrzecie z nimi przymierza.

- Ale przecież to śmieszne. Czyżby nie zdawali sobie sprawy, że postępują zupełnie tak samo jak ci, których tak bardzo nienawidzą?

- Tak, wiem. Dlatego chcę wam pomóc stąd uciec.

- Czyżby to oznaczało, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo?

- W dzisiejszych czasach wszyscy jesteśmy w mniejszym lub większym niebezpieczeństwie, szczególnie w takim miejscu jak to. Jestem pewien, że wasi przyjaciele w każdej chwili mogą zacząć was szukać, a to może nas wystawić na ogromne ryzyko, gdyż z całą pewnością w niedługim czasie odnaleźliby grootę.

- Nie macie się co obawiać moich przyjaciół, jeżeli w ogóle się tu pojawiają.

- W każdym razie proszę, żebyście mi przysięgli, że nas nie zdradzicie. Wiem, że jesteście honorowym człowiekiem, dowiedliście tego z nawiązką.

- Możecie być pewni, że was nie zdradzę.- Patrzcie - powiedział, pokazując mu kartkę papieru. - Żebyście nie mieli trudności z odnalezieniem wyjścia z jaskini, sporządziłem dla was specjalny plan. Nie chodzi o to samo miejsce, przez które tu weszliście, ponieważ my go

nie używamy. Musicie bardzo uważać, gdyż jaskinia jest naprawdę ogromna, a my nie jesteśmy jej jedynymi mieszkańcami.

- Czyżbyście chcieli przez to powiedzieć, że...

- Mogę wam tylko powiedzieć, że chowają się tu wszyscy, których w ten czy inny sposób wypędzono z miasta, a nawiasem mówiąc, jest ich już teraz całkiem pokaźna liczba. My zadajemy się tylko z niektórymi i zobowiązaliśmy się pod przysięgą, że nie wyjawimy absolutnie nic na ich temat nikomu z zewnątrz. Nie będę przed wami ukrywał, że wśród mieszkańców tego mrocznego królestwa znajdują się naprawdę niebezpieczni ludzie. Dlatego pamiętajcie: musicie być bardzo czujni.

\*\*\*

## Rozdział 21.

Choć mapa sporządzona przez doktora była z założenia dokładna i szczegółowa, Rojas już wkrótce ponownie się zgubił. Tak bardzo pragnął wydostać się z tego koszmarnego miejsca i powrócić czym prędzej do przerwane go śledztwa, że w podnieceniu większość znaków mających naprowadzać go na właściwą drogę umykała jego uwadze, natomiast kiedy wreszcie udało mu się dostrzec jakąś wskazówkę, nie był w stanie zlokalizować jej na planie. Przez długie godziny błąkał się po podziemnych przejściach i korytarzach, mając wrażenie, że jeden nie różni się niczym od drugiego. Na koniec na dobre stracił panowanie nad sobą i zaczął biec na oślep, niczym oszalały, nie próbując się już nawet zastanawiać, czy obrany kierunek ma w ogóle coś wspólnego z mapą. W pewnej chwili, wypadając jak burza zza zakrętu jednego z tuneli, o mały włos nie zderzył się z nadchodzącym z naprzeciwka człowiekiem.

- Czyżbyście wy również zblądzi? - spytał uprzejmie nieznajomy. - Bo dla mnie to żadna nowina; zanim udało mi się w końcu zapamiętać drogę, też bez przerwy się gubiłem. Mogę was zapewnić, że w podziemiach wszelkie mapy okazują się zupełnie nieprzydatne. Stanowczo lepiej zdać się na węch i słuch. Tu, na dole, niemal wszystko jawi się naszym oczom tak samo, tymczasem każda pojedyncza grotta czy korytarz pachną w szczególny sposób. Wyobraźcie sobie, że pokonuję już ten labirynt z zamkniętymi oczami i to bez żadnej nici Ariadny. Wystarcza mi najzupełniej nos, no może czasem jeszcze przydają się uszy. Człowiekowi zdaje się, że pod ziemią panuje absolutna cisza, prawda? Tymczasem wcale tak nie jest. Posłuchajcie... Słyszycie monotony szum dobiegający gdzieś z oddali? To podziemne strumienie, których odgłosy zależą od ilości przepływającej wody oraz od kształtu i spadku koryta. Musicie bowiem wiedzieć, że mimo iż znajdujemy się głęboko pod ziemią, przepływa tędy kilka prawdziwych rzek i strumieni, jak również pulsuje nieskończona liczba mniejszych żył wodnych; jest tu nawet kilka podziemnych jezior. A co powiecie na temat szczurów? - dodał, zmieniając nagle temat. - Kiedy przemierzają się stadami, hałasują ogłuszająco, niczym jakaś wielka armia ruszająca do boju. Wiem, co mówię, gdyż w życiu brałem udział w niejednej bitwie.

Rojas był ciągle jeszcze tak bardzo zdumiony nieoczekiwanym spotkaniem, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Na dodatek wygląd rozmówcy nie działał uspokajająco, zwłaszcza tu, w podziemiach. Chudy, wysoki i odziany w łańchmany człowiek sprawiał

wrażenie prawdziwego upiora. Miał długą, zaniedbaną brodę i tak niezwykle wylupiające oczy, że miało się wrażenie, iż lada chwila wyskoczą z orbit i ruszą samodzielnie w świat. Głos jego był jednak melodyjny, o aksamitnej barwie; z tych, co to oczarowują i porywają słuchaczy, choćby nawet nie mieli zielonego pojęcia, o czym się do nich mówi.

- Wyglądacie na zmęczonego i trochę skołowanego - przemówiła znowu zjawa. - Nie powinniście się jednak lękać.

Wpatrywał się w Rojasa z dużą dozą sympatii i z pewnego rodzaju pobłażliwością, niczym ojciec spoglądający na dziecko, które nie potrafi jeszcze wybrnąć samodzielnie z trudnej sytuacji.

- Przekonacie się, że życie tu, na dole, jest znacznie prostsze niż na powierzchni. To mój dom, pozwólcie więc, bym został waszym Wirgiliuszem. Czytaliście może Komedie Dantego?

- Tak, czytałem - odparł onieśmielony Rojas.

- To świetnie, gdyż znajomość tego dzieła będzie wam tu wielce pomocna. Nie mówię tego, żeby was postraszyć, wręcz przeciwnie. W obecnych czasach piekło znajduje się raczej tam, na górze, w trybunałach i na stosach Świętego Oficjum, natomiast ci, którzy mieszkają na dole, mogą się uważać za prawdziwych szczęśliwców. W świecie, w którym królują kłamstwo i obłuda, prawo prześladowuje tych, którzy poszukują prawdy innymi drogami. Wszystko wywróciło się do góry nogami, czyż to nie zabawne? - zapytał z taką stanowczością, że Rojasowi nie pozostało nic innego, jak tylko przytaknąć. - Śmieście się więc, młody człowieku, śmieście się. Śmiech to najlepszy balsam dla ciała i duszy. Musicie wiedzieć, że nie ma takiego nieszczęścia, które nie dawałoby powodów do śmiechu, ani tragedii, która w głębi swej istoty nie zawierałaby zalążka komedii. Spójrzcie na mnie: straciłem w życiu wszystko i wyglądam jak jakiś cudak, a jednak nie przestaję się śmiać i od rana do wieczora zajmuję się rozśmieszaniem innych.

Fernandowi nie było jednak ani trochę do śmiechu. „No tak, głupiec znalazł sobie szaleńca na przewodnika”, pomyślał. Odkąd zaczął się zajmować tym nieszczęsnym śledztwem, miał wrażenie, że ludzie dookoła, nie wyłączając jego samego, zaczęli powoli tracić rozum. Najdziwniejsze jednak było to, że wszyscy dwoili się i troili, chcąc udowodnić obłęd innych, nie byli jednak w stanie zauważyć zalążków szaleństwa w swoich własnych głowach. W pewnej chwili zaczął już nawet podejrzewać, że może chodzi o jakiś nowy rodzaj epidemii, która atakuje nie ciało, lecz duszę i na dodatek nie pozwala choremu zdać sobie sprawy ze swojego stanu. Rojas miał ciągle jeszcze w pamięci zarazę, która w 1492 roku przez wiele miesięcy trzymała w szachu Salamankę, zmuszając znaczną część mieszkańców do

opuszczenia miasta i tak już zdziśniętego przez niewiele wcześniejsze wypędzenie Żydów. Oczywiście jak zwykle wielu ludzi utrzymywało, że to Żydzi wywołali chorobę, podobnie jak wcześniej obarczano ich winą za powodzie i wszelkiego rodzaju klęski. Ten nowy rodzaj zarazy był o wiele bardziej szkodliwy, gdyż niezwykle trudno było się uchronić przed jej niewidzialnym uściskiem. Aczkolwiek najgorsze chyba było to, że nikt nie wydawał się dostrzegać faktu, iż ostatnimi czasy Salamanka przeobraziła się w jeden wielki dom wariatów, durniów i melancholików.

- No to jesteśmy - odezwał się nagle przewodnik Rojas. - Możecie pójść przodem, tylko nie zapomnijcie o hasło.

- O hasło? - spytał cicho Fernando, nie mogąc ukryć zaskoczenia.

- Nie powiecie mi chyba, że z tego wszystkiego zapomnieliście hasła?

- Obawiam się, że tak właśnie się stało.

- Przecież nie jest ono wcale takie trudne do zapamiętania. Przypomnijcie sobie słowa, które Dante zobaczył wypisane na bramach piekielnych, tyle że wstak.

- Macie na myśli „lasciate ogni speranza voi chentrare”?

- Tak, tyle że po naszymu i odwracając sens pierwszego słowa. Nie „utraćcie”, tylko...

- Nabierzcie? Nabierzcie nadziei, którzy tu wchodzicie?

- W samej rzeczy! Wiedziałem, że z pewnością mnie nie zawiedziecie.

\* Lasciate ogni speranza voi ch'entrate (wł.) - Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie. Napis widniejący nad bramą piekielną w Boskiej Komedii Dantego.

Wyszedłszy zwycięsko z tej próby, Rojas skierował się w stronę miejsca, gdzie stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami odźwierny o wyglądzie Herkulesa. Ten, surowo marszcząc czoło, spytał go o hasło. Kiedy Fernando odpowiedział, strażnik otworzył bramę i, pozdrawiając go uprzejmym gestem dłoni, pozwolił przejść dalej. Wtedy oczom Rojas ukazał się niewielki korytarz prowadzący do olbrzymiej groty. Kiedy znalazł się w jej wnętrzu, zobaczył, że z jednej strony skały układają się w coś w rodzaju naturalnych schodów, na których, niczym w amfiteatrze, zasiadała duża grupa ludzi. Na dole, na niewielkiej okrągłej płaszczyźnie, stał jakiś człowiek, przemawiając do reszty zgromadzonych. Początkowo Rojasowi nie udało się go rozpoznać - wokół panował bowiem półmrok. Jednak kiedy tylko usłyszał jego głos, od razu zdał sobie sprawę, kto to.

- Jak wiedzą wszyscy, którzy mnie znają - mówił donośnym głosem maestro Roa, starannie wypowiadając poszczególne słowa - zawsze byłem zwolennikiem monarchii elekcyjnej, a nie dziedzicznej; jednak w obecnej chwili nie ma czasu na wzniosłe ideały; musimy myśleć w sposób praktyczny, wybierając pośrednie rozwiązania. Ponieważ, jak na

razie, królowie nie są wybierani poprzez głosowanie, chciałbym zaproponować, abyśmy zażądali, by wybór następcy tronu odbywał się w oparciu o trzy żelazne zasady. Pierwsza z nich głosi, iż ten, kto ma zostać królem, nie może być człowiekiem słabego charakteru ani osobą pozbawioną rozsądku czy wręcz pełni władz umysłowych, nie powinien również odznaczać się żadną ułomnością fizyczną, która pozostawałaby w sprzeczności z godnością królewskiego majestatu; gdyby zaś się okazało, że następca tronu posiada którąś z tych cech, powinien zostać zastąpiony przez innego członka panującej kasty lub dynastii. Druga zasada mówi, iż król powinien być człowiekiem poważnym i wzbudzającym szacunek, ale nie strach (co jest możliwe jedynie w przypadku osób naprawdę szlachetnych), musi też być oględny w wydatkach i nawykach; w przeciwnym razie powinien zostać natychmiast zdetronizowany. Wreszcie trzecia, najważniejsza zasada: że następca tronu ma zawsze pochodzić z kraju, którym będzie rządził, a nie z żadnej innej nacji; w razie gdyby ten ostatni wymóg nie został spełniony, cały naród miałby prawo, gdyby tylko uznał to za konieczne, powstać zbrojnie przeciw władcy i wybrać nowego króla.

- Tak jest! - krzyknął ktoś z widowni.

- Oczywiście! - dodał drugi.

- Zgadząmy się! - dołączyły się tu i ówdzie inne głosy.

- Niewątpliwie wszyscy wiecie - ciągnął dalej Roa - że po śmierci królewicza don Juana następczynią tronu jest jego siostra Isabel, obecna księżniczka Asturii, a przy tym żona króla Portugalii, co oznacza, że jeśli Bóg temu nie zaradzi, w krótkim czasie Portugalczyk zostanie ogłoszony królem Kastylii i Aragonii.

- Nie! Nigdy! Nie pozwolimy na to! - dało się słyszeć liczne głosy.

- Dajcie mu mówić dalej - zażądał ktoś inny.

- Zawsze twierdziliśmy - ciągnął mówca z rosnącym zapalem - że prowadzona przez naszych władców polityka przymierzy z obcymi mocarstwami, mająca się opierać na małżeństwach zawieranych przez ich potomstwo, mogła przynieść pewne natychmiastowe korzyści, jednak niosła też z sobą duże ryzyko. Otóż ryzyko to przeobraziło się właśnie w ogromne i całkiem realne niebezpieczeństwo. Możemy sobie więc zadać pytanie: co powinniśmy w tej sytuacji uczynić? Czy mamy milczeć, czy też zażądać wyjaśnień od królewskiej pary?

- Oczywiście że musimy działać! - odparł starzec siedzący w pierwszym rzędzie. - Nie możemy dalej stać z założonymi rękami. Wszyscy dobrze wiemy, że król Portugalczyk będzie rządził, mając na uwadze swój własny interes oraz korzyściswego ojczystego królestwa i że z



pewnością natychmiast pozbawi nas lokalnych praw oraz unieważni większość naszych przywilejów.

- Jeżeli nie macie nic przeciwko temu - zabrał głos Roa - w najbliższych dniach przygotuję rezolucję, która zostanie oddana pod publiczną debatę, po czym, jeżeli uznamy to za stosowne, przegłosowana na najbliższym zgromadzeniu.

- Zgoda - potwierdził starzec.

- Natomiast teraz, jeśli pozwolicie, chciałbym wam przedstawić przyjaciela, który dopiero co przybył z Portugalii, prosząc go, żeby nam opowiedział, co się dzieje u naszych sąsiadów. Bardzo proszę - Roa zwrócił się do kogoś stojącego za jego plecami. - Teraz wasza kolej.

Kiedy wypowiadał te ostatnie słowa, z cienia wyszedł młody człowiek ubrany w zagraniczne szaty. Rojas nie był do końca pewien, jednak wydało mu się, że to ten sam tajemniczy przybysz, którego widział wychodzącego z gospody w towarzystwie Roy.

- Pomimo mojego wyglądu ja również jestem Kastylijczykiem jak wy, chociaż od wielu lat przebywam na wygnaniu, z powodów, które nie mają w tej chwili nic do rzeczy. Spędziłem kilka ostatnich miesięcy w Portugalii i mogę was zapewnić, że od jakiegoś czasu nie wieją tam pomyślnie wiatry dla naszej sprawy. Jeśli chodzi o kwestię śmierci królewicza don Juana, wiele osób twierdzi, że król Manuel, zwany Szczęściarzem, w ten czy inny sposób maczał w niej palce, jednak jak dotąd nie znaleziono żadnych przekonujących dowodów na istnienie spisku. Wszystko sprowadza się do pogłosek, choć trzeba przyznać, że mają one solidne podstawy.

Z miejsca, w którym stał, Rojas miał możliwość zaobserwować, jak wszystkich obecnych ogarnia rosnący niepokój; było to jak wzmagający się pomruk wzburzonego morza.- Wiemy ponadto - mówił dalej przybysz - że sytuacja Żydów w Portugalii uległa ostatnio znacznemu pogorszeniu z powodu dwuznacznego stanowiska króla, który podejmuje w stosunku do nich ciągle nowe i często sprzeczne decyzje, starając się pogodzić osobistą chciwość z pragnieniem połączenia obu iberyjskich królestw. Doradcy zwrócili mu już uwagę, że nie będzie w stanie osiągnąć jedności politycznej, nie doprowadzając przedtem do jedności religijnej. Natomiast jego małżonka, księżniczka Asturii, wymogła na królu, żeby nie wpuścił do kraju ani jednego Żyda czy konwertyty przybywających z Kastylii. Być może zażądała również, by powołał do życia inkwizycję, której zadaniem byłaby kontrola i nadzór nad masowymi nawróceniami Żydów; aczkolwiek, przynajmniej na razie, nie jest to chyba możliwe do urzeczywistnienia.

- Zdaje się, że wszystko to potwierdza nasze najgorsze przeczucia - zauważył Roa, podsumowując wypowiedź gościa. - Jeszcze raz dziękujemy wam za te jakże wartościowe informacje.

- To ja dziękuję za waszą gościnność.

Rojas zdawał sobie sprawę, że sytuacja Żydów nie była tym, czym Roa i jego przyjaciele przejmowali się najbardziej. W ich oczach był to tylko jeszcze jeden dowód, że coś w trawie piszczy. Nie mógł jednak przestać myśleć o Alonso Juanesie i jego narzeczonej.

- Chwileczkę - podniósł głos Rojas, próbując zwrócić na siebie uwagę. - Chciałbym coś powiedzieć, zanim skończycie.

Zaintrygowany Roa skierował pochodnię w stronę, z której dobiegał głos, starając się zidentyfikować intruza.

- Kolega Rojas, cóż za niespodzianka! - zawołał. - Gdybyście mnie uprzedzili, że interesują was nasze pogawędki, sam bym was tu przyprowadził - dodał z przekąsem. - Zapewniam was, że nie przyszedłem tu po to, żeby was podsłuchiwać; prawdę powiedziawszy nie miałem pojęcia, że spotkam was tu na dole; muszę jednak przyznać, że wszystko, co mówicie, bardzo mnie interesuje.

- Nie wierzcie mu - odezwał się ktoś obok niego - to szpieg biskupa.

- To prawda - dorzucił inny. - Znam kogoś, kto widział ich kiedyś razem w pałacu biskupim.

- Gdyby był szpiegiem - zaczął go bronić Roa - nie działałby w tak jawny sposób. Jeżeli zaś chodzi o was - dodał, kierując się do ostatniego mówcy - muszę udzielić wam publicznej nagany, gdyż za waszą sprawą wyszło na jaw, że mamy swoich ludzi w otoczeniu biskupa.

- Proszę, wybaczcie mi niezręczność - przeprosił zawstydzony mężczyzna. - Musicie wiedzieć, że nie miałem najmniejszego zamiaru...

- W każdym razie - przerwał mu profesor - nie powinniście się przejmować moim przyjacielem Rojasem. Wiedźcie, że nasza działalność wcale go nie niepokoi, żeby nie powiedzieć, że w ogóle go nie interesuje. Sprawy zupełnie innej natury spędzają mu sen z powiek: na przykład to, kto zamordował fray Tomasa. Z tego co widać - dodał z nutą ironii w głosie - przejawia też szczególną wrażliwość na punkcie obecnej sytuacji Żydów i nawróconych.

- Bardzo wam jestem wdzięczny za to, że przemawiacie w mojej obronie; nie daję wam to jednak prawa do mówienia w moim imieniu - zaznaczył Rojas. - Niestety, muszę przyznać, że jest wiele spraw, które martwią mnie w tej chwili i niewątpliwie jedną z nich jest

ujęcie niebezpiecznego mordercy, aczkolwiek tym, na czym najbardziej mi zależy, jest uwolnienie od podejrzeń niewinnych ludzi, których inkwizytorzy upatrzyli sobie jako głównych podejrzanych w tej sprawie. Wszyscy dobrze wiecie, że odkąd z Kastylii i Aragonii wygnano Żydów, konwertyci przeobrazili się w kozła ofiarnego i są obwiniani za wszelkie nieszczęścia. Jednakże ani na waszych zebraniach, ani na ulicach Salamanki nie widzę, żeby ktokolwiek z tego powodu protestował. A wiecie, co się stanie, kiedy Święte Oficjum skończy z nawróconymi, wszystko jedno, prawdziwymi czy fałszywymi? Otóż wtedy przyjdzie kolej na was, na ludzi niezadowolonych z królewskich rządów.

I nic wam wtedy nie pomoże ukrywanie się w katakumbach...

- Ale o cóż wam chodzi? - zaprotestował jeden z uczestników.

- To, co mówicie, to czyste szaleństwo - dodał ktoś obok Rojasa.

- Kiedy przed pięciu laty wypędzono Żydów z Kastylii - ciągnął dalej Fernando, wcale się nie zrażając - z tego, co mi wiadomo, żaden z was nie zaprotestował ani nawet nie kiwnął palcem w ich obronie. Nie robicie tego również i teraz, kiedy na waszej ulicy aresztuje się nagle kogoś z konwertytów i to z tego jedynie powodu, że podejrzewa się go o judaizowanie. Nie zdziwcie się więc, jeśli wkrótce to wy będziecie torturowani, to wy będziecie gnici w więzieniu lub zostaniecie spaleni na stosie pod zarzutem herezji, apostazji lub też zwykłej zdrady. Bowiem, chcąc nie chcąc, jedziemy teraz na tym samym wozie. I jeśli wczoraj wyrzucono z niego Żydów, dziś to samo robi się z nawróconymi, jutro podobny los może spotkać was, starych chrześcijan krytycznie nastawionych do władzy.

- Dostyc tego! - zawołał starzec z pierwszego rzędu.

- To prowokacja! - odważył się krzyknąć ktoś inny.

Jeden po drugim zaczęły się do nich dołączać kolejne głosy protestu dochodzące z różnych stron widowni, aż w końcu nastał ogłuszający zgiełk. Roa nie przestawał nawoływać do zachowania spokoju. Kiedy wreszcie udało mu się doprowadzić do jakiejś takiej ciszy, postanowił zakończyć spotkanie: - To tyle na dziś, proszę, byście wszyscy udali się do domów na odpoczynek. Jeżeli zaś chodzi o naszego impulsywnego gościa, zajmę się nim osobiście. Znamy się nie od dziś.

Schodząc w dół po kamiennych stopniach Rojas zdał sobie sprawę, że wszyscy spoglądają na niego niezbyt przychylnie, a nawet pogardliwie, zupełnie tak samo, jak patrzyłoby się na przestępcę, który nie dość, że włamał się do naszego domu, teraz na dodatek chce nas pouczać.

- Nie ma się czemu dziwić - powiedział Roa, widząc osłupienie na twarzy Rojasa. - Nie zachowaliście się zbyt rozsądnie: pojawiacie się ni stąd, ni zowąd na tajnym zebraniu, po

czym mówicie, co wam ślina na język przyniesie. Jak już pewnie zauważyliście, nie wszyscy moi przyjaciele mają tyle cierpliwości co ja. Niektórzy mają już pewnie ochotę zażądać waszej głowy.

- Jeżeli udało mi się tu dotrzeć, to tylko dzięki przypadkowi oraz nieudolności waszych własnych strażników. Pomimo to wcale nie miałem zamiaru nikogo prowokować ani tym bardziej mieszać się w nieswoje sprawy. Znalazłem się w jaskini, podążając tropem pewnego podejrzanego.

- A więc to tak - odparł Roa, wyraźnie rozczarowany. - Uważacie zatem, że zabójcą jest jeden z moich popleczników?

- Nie wiem, gdyż nie udało mi się jeszcze stwierdzić tożsamości podejrzanego, jednak jestem pewien, że jego kryjówka znajduje się w tej przeklętej grocie. Wyobraźcie sobie moje zdumienie, kiedy chwilę temu odkryłem, że to wy przemawiacie na zgromadzeniu.

- Powiedzcie w takim razie, co każe wam myśleć, że podejrzany kierował się właśnie na nasze zebranie? - zapytał Roa wyraźnie poirytowany. - Powinniście przecież wiedzieć, że istnieje kilka wejść do jaskini i że pełno tu pojedynczychgrot i korytarzy; wszystkie one składają się na prawdziwy labirynt, a my zajmujemy jedynie jego część.

Choć profesor próbował za wszelką cenę zachować spokój, widać było, że czuje się urażony, iż mógłby zostać uznany za podżegacza do morderstwa. Z kolei Rojas był absolutnie przekonany o niewinności Roy, nie mógł jednak wykluczyć tego, że któryś ze zwolenników profesora mógłby być w jakiś sposób zamieszany w sprawę.

- Podejrzany wszedł do jaskini przez kryptę kościoła Świętego Cypriana - oświadczył.  
- Mogę was o tym zapewnić, gdyż szedłem za nim.

- Jeżeli rzeczywiście jest tak, jak mówicie, nie był to nikt z naszych, mogę wam to zagwarantować. My nigdy nie używamy tego wejścia - tłumaczył. - Nie jest ono praktyczne dla tak dużej grupy osób. Poza tym większość z nas nie wie nawet o jego istnieniu.

- W takim razie którędy się tu dostajecie?

- To teraz bez znaczenia. Powinniście jednak wiedzieć, że nie znajdziecie wśród nas zabójcy. Musicie mi uwierzyć. Zdaję sobie sprawę, iż sam fakt, że spotykamy się w podziemnej jaskini, może wzbudzić pewne podejrzenia, jednak w tych trudnych czasach, w jakich przyszło nam żyć, nie mamy po prostu innego wyjścia. Wiecie, że śmierć królewicza nie zmartwiła nas zbytnio, nie jesteśmy jednak przestępcami. Być może nadejdzie taki dzień, kiedy poprzemy bunt lub powszechne powstanie przeciw jakiemuś występniemu, nieprawemu lub despotycznemu władcy, jednak sami nie używamy gwałtu i przemocy. Nasz świat to świat słów i idei. Poza tym to oczywiste, że gdybym to ja z jakiejś przyczyny rozkazał zamordować

następcę tronu, nie zachowałbym tego w tajemnicy, lecz roztrąbiłbym na cztery wiatry. W trakcie naszego poprzedniego spotkania wytłumaczyłem wam już, kto mógłby odnieść korzyści ze śmierci don Juana. Mogliście się dotąd przekonać, że moje podejrzenia były w pełni uzasadnione i że stopniowo się potwierdzają. Inna sprawa, czy jesteśmy to w stanie udowodnić, ale przynajmniej poszlak nam nie brakuje.

- Jednak - upierał się Rojas - podejrzany ukrywa się gdzieś tu, w jaskini, i nie spocznę, póki nie uda mi się go odnaleźć.

- Oczywiście, jeżeli wcześniej sami się w niej nie zgubicie - ostrzegł go Roa. - Mówiłem wam przecież, że jaskinie są ogromne; to niemal prawdziwe podziemne miasto, coś w rodzaju antytezy tego, które znajduje się na górze; to najprawdziwsze zaświaty. Czy wiecie, że ukrywali się tu już starożytni mieszkańcy tych ziem, Wakceowie, zamieszkujący te tereny wspólnie z Wetonami\*, kiedy zostali zaatakowani przez Kartagińczyków?

\* Wakceowie i Wetonni - plemiona celtiberyjskie należące do ludów zamieszkujących w starożytności Półwysep Iberyjski.

- Widzę, że nie miałem dotąd najmniejszego pojęcia o historii Salamanki - przyznał Rojas.

- Otóż mówi się - kontynuował swą opowieść Roa - że kiedy w roku 220 przed Chrystusem wysłannicy armii Hannibala dotarli do Helmantiki czy Salmantiki, jak wówczas nazywano Salamankę, zastali wszystkie bramy stojące otworem. Zachowując należne środki ostrożności, weszli w obręb murów z zamiarem złupienia miasta, szybko jednak przekonali się, że zarówno na ulicach, jak i wewnątrz domów nie było nikogo; doszli więc do wniosku, że mieszkańcy po prostu uciekli. Żeby uczcić swe zwycięstwo, zaraz pierwszej nocy zorganizowali wielkie pijaństwo, wykorzystując w tym celu wino znalezione w piwnicach. Nad ranem, kiedy wykończeni zabawą Kartagińczycy posnęli, Wakceowie wyszli z jaskiń i, nie robiąc hałasu, poderżnęli gardła najeźdźcom, nie ponosząc przy tym żadnych strat ze swojej strony. Kiedy tylko Hannibal dowiedział się, co się wydarzyło, był tak pełen podziwu dla ich sprytu, że postanowił osobiście podbić miasto, robiąc zeń na koniec swego sprzymierzeńca; to dlatego brama Rieczna nosi też nazwę Luku Hannibala. Jeśli się dobrze zastanowić, Wakceowie zastosowali taktykę bardzo zbliżoną do konia trojańskiego, tylko że odwróconą.

- Bo z pewnością natchnął ich do tego sam Herkules, a jeśli nie, to przynajmniej jego słynny pomnik - zażartował Rojas, nie mogąc się powstrzymać, gdyż przypomniała mu się historia, którą słyszał od fray Germana.

- Nie wiem, od kogo o tym wszystkim słyszeliście - odparł ze zdziwieniem Roa - ale muszę wam wyznać, że ów pomnik naprawdę istnieje. Odnaleźliśmy go już dawno temu; był zakopany w jednej z grot. Jeżeli nie wierzycie, mogę go wam pokazać.

- A może mi jeszcze powiecie, że istnieje również i skarb, jak w jaskiniach w Toledo?!

- Nie wiem, skąd się w was bierze ten sceptycyzm. Nie mówimy przecież o legendach, lecz o faktach, na których potwierdzenie istnieją liczne dowody i świadectwa: na przykład ta słynna rzeźba. W końcu nie ma przecież znaczenia, czy Herkules był tu osobiście, gdyż jego postać to po prostu symbol, a legenda o nim jest pozostałością po czasach, które odeszły w zapomnienie. Mogę wam j ednak zapewnić, że przez tę jaskinię przewinęło się mnóstwo ludów. Zawsze nadzwyczaj praktyczni i przedsiębiorczy Rzymianie wykorzystywali niektóre korytarze bądź jako ścieki, bądź też jako podziemne zbiorniki i kanały, którymi rozprowadzano po całym mieście wodę wydobywaną z pobliskich źródeł. To oni również, podczas swych poszukiwań, odkryli w jaskini pozostałości z zamierzchłych czasów, jak również niewielkie złoża różnych minerałów, które natychmiast zaczęli eksploatować.

Natomiast mieszkający tu w późniejszym okresie Wizygoci wykorzystywali podziemne groty jedynie jako miejsce pochówku. Potem, podczas okupacji arabskiej, jaskinie znów przeżyły okres świetności, gdyż przyciągani przez ich magiczną moc, ściągali tu zewsząd alchemicy, uważając je za wręcz idealne miejsce dla swoich magicznych praktyk. Jednak w owym czasie miasto przeżyło tyle najazdów ze strony chrześcijan, że zostało doszczętnie zburzone i opuszczone, pozostając w końcu na ziemi niczyjej. Ten sam los spotkał również i samą jaskinię, w której, jak widzicie, znaleźć można prawdziwe korzenie Salamanki i jej słynnego Uniwersytetu.

Rojas znał już dalszy ciąg tej historii, o czym nie omieszkał powiadomić swego rozmówcy, który, zaskoczony, chciał oczywiście wiedzieć, w jaki sposób się o tym wszystkim dowiedział i jak udało mu się dotrzeć do jaskini. Rojas opowiedział mu więc o fray Germanie, którego Roa znał z dawnych czasów. Szczerze rozbawiła go wiadomość, że stary zakonnik jest teraz gorliwym badaczem czarownic oraz wielkim znawcą pogańskiej przeszłości miasta i wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z jaskinią.

- A w jaki sposób wam udało się tutaj dotrzeć? - chciał wiedzieć Rojas.

- To słynna legenda naprowadziła nas na ślad jaskini, o której istnieniu napomyka się mgliście w niektórych starych tekstach. Jak wiecie, według legendy wejście do podziemnej groty miało się znajdować w krypcie kościoła Świętego Cypriana. Dopiero po jakimś czasie odkryliśmy, że nie chodziło o wejście do pojedynczej groty, lecz o jedną z, nazwijmy to, widocznych części czegoś znacznie bardziej złożonego, poważnego i o głębszym znaczeniu.

Wiadomo, że im bardziej pragnie się coś ukryć, z tym większą siłą prawda próbuje wyjść na jaw, choćby symbolicznie czy też na swój sposób zamaskowana, na przykład pod postacią legendy, jak w tym przypadku. Zabraliśmy się więc do poszukiwania kolejnych wejść. Było to dwadzieścia pięć lat temu, kiedy dopiero co wyburzono stary zamek warowny. Dzięki temu odkryte zostało nowe przejście, znacznie wygodniejsze i pewniejsze niż stare. Dzięki niemu mogliśmy porządnie zbadać jaskinię. Na początku kierowało nami przede wszystkim zainteresowanie przeszłością, pozostałościami z czasów antycznej Grecji i Rzymu oraz zwykła ludzka ciekawość; szybko jednak zdaliśmy sobie sprawę, że ów podziemny labirynt w razie potrzeby może również służyć jako pierwszorzędna kryjówka. Tak więc po procesie Pedra de Osmę oraz po sprowadzeniu inkwizycji do Kastylji zaczęliśmy wykorzystywać jaskinię jako miejsce spotkań, tutaj też zaczęliśmy prowadzić niektóre nasze studia. Od tego czasu podziemia stały się naszą Akademią, a nawet naszym domem.

- Nie obawiacie się, że legendy krążące na temat jaskini mogłyby wam zaszkodzić?

- Wręcz przeciwnie, legenda nie tylko nie działa na naszą niekorzyść, ale stanowi świetną przykrywkę dla naszej działalności. Z jednej strony strach przed diabłem i inne zabobony trzymają większość ciekawskich z dala od jaskini, z drugiej zaś większość teologów i inkwizytorów uważa, że legendy oraz wszystko, co ma jakikolwiek związek z jaskinią, to zwykłe bajki, dlatego nie próbują nawet ich zwalczać. W każdym razie musicie wiedzieć, że nie jesteśmy jedynymi gospodarzami podziemi.

- Co chcecie przez to powiedzieć? - spytał Rojas, udając, że nie ma o niczym pojęcia.

- Od jakiegoś czasu coraz więcej ludzi szuka tu schronienia. Wiemy na przykład, że ukrywają się tu Żydzi, którzy po wydaniu królewskiego dekretu nie chcieli opuścić miasta.

- Utrzymujecie z nimi jakieś stosunki? - Nieraz oferowaliśmy im pomoc, lecz ich przywódcy są tak samo dogmatyczni i nieufni jak większość naszego kleru, twierdząc, że religia nie pozwala im na przyłączenie się do nas. A przecież w naszej Akademii są również i Żydzi, zresztą jakże by mogło być inaczej; przypomnijcie sobie, jak wielka przyjaźń łączyła Pedra de Osmę z Abrahamem Zacutem.

- Czy są tu również konwertycy? - spytał Rojas.

- U nas nie obowiązuje zasada czystości krwi, nie odróżniamy też starych chrześcijan od nowych ani nie jesteśmy nieufni w stosunku do tych, którzy z jakiegokolwiek powodu postanawiają zmienić wiarę. Byłoby to sprzeczne z naszymi ideałami. Dlatego więc mówienie o konwertytach nie ma tu żadnego sensu. Zresztą, wszyscy jesteśmy w jakiś sposób nawróceni; ja sam nawróciłem się na studia humanitatis\*, o których wiek temu rozprawił

Coluccio Salutati\*\*, nawiasem mówiąc, autor ciekawej alegorycznej interpretacji dwunastu prac Herkulesa; niestety jego dzieło nie przechowało się w całości.

\* Studia humanitatis (łac.) - studia humanistyczne.

\*\* Coluccio Salutati (1331-1406) - włoski polityk i humanista działający w renesansowej Florencji.

- A co powiecie na temat waszych poglądów politycznych? - próbował dociekać Rojas. - Wygląda na to, że popiera was wielu ludzi niezadowolonych z monarchów.

- Jak pewnie możecie sobie wyobrazić, nie tylko Żydzi i konwertyci padli ofiarą polityki prowadzonej przez Królów Katolickich. Poszkodowanych znaleźć też można w szeregach starych chrześcijan. Jedni z ich winy zubożeli lub stali się ofiarą różnego rodzaju nadużyć; inni stracili władzę bądź przywileje; większość nie może się pogodzić z płaceniem coraz bardziej wygórowanych podatków. Tylko Kościół, część możnowładztwa oraz ci, którzy w ten czy inny sposób dorobili się na obecnej sytuacji, a trzeba przyznać, że jest wśród nich spora liczba konwertytów, wydają się zadowoleni z królewskich rządów. Ważne jest to, żeby wszyscy nieukontentowani, włączając w to większość nawróconych, zechcieli sprzymierzyć się z nami we wspólnej sprawie. Dlatego przykładam tak wielką wagę do tego, żebyśmy zapomnieli, co nas różni, zwracając uwagę na wszelkie podobieństwa. Możecie być pewni, że prędzej czy później doprowadzimy do buntu przeciw królewskiej władzy.

- Posługując się intrygami, spiskiem, a nawet królobójstwem? - Rojas nie był w stanie powstrzymać się od tego pytania.

- Jak na razie, drogi przyjacielu, naszą jedyną bronią są słowa oraz idee. Dlatego właśnie założyliśmy naszą Akademię, coś w rodzaju tajnego uniwersytetu, prowadzonego równoległe do tego na górze i będącego bezpośrednim spadkobiercą uczelni, którą w swoim czasie stworzył w tej jaskini Herkules.

- Ciekaw jestem, jaką wyznajecie doktrynę? - zapytał Rojas, szczerze zainteresowany.

- Dużo by o tym mówić... W największym skrócie mogę wam powiedzieć, że jesteśmy zwolennikami monarchii elekcyjnej, w której mogłyby współistnieć różne religie i najrozmaitsze przekonania i gdzie wprowadzono by sprawiedliwszy podział powinności i przywilejów. Pragniemy też zreformować Kościół, przeprowadzając rewizję aktualnych dogmatów, metod działania oraz hierarchii kościelnej. Na koniec, jesteśmy całkowitymi przeciwnikami scholastyki oraz zdominowania Uniwersytetu przez studia teologiczne. Stąd też nawołujemy do powrotu do greckiego i rzymskiego antyku oraz do skierowania się w stronę wiedzy, której centralną osią byłby człowiek. Jak widzicie, nie ma w naszej jaskini nic magicznego, hermetycznego czy też diabelskiego; wszystko ma tu najzupełniej ludzki wymiar.



W okresie, kiedy Salamanka i jej Uniwersytet bronią się przed wyjściem z ciemności, to podziemne miejsce stało się, paradoksalnie, jedynym możliwym promieniem światła i nadziei.

- Przyznaję, że sformułowane w ten sposób, wygląda to bardzo zachęcająco - powiedział Rojas.

- Zapewniam was, że z bliska wygląda jeszcze lepiej. Chodźcie za mną tym korytarzem - powiedział, wskazując drogę. Chciałbym wam coś pokazać. Jestem pewien, że wam się to spodoba i że zachowacie należną dyskrecję wobec ludzi z zewnątrz.

\*\*\*

## Rozdział 22.

Kiedy dotarli do końca korytarza, Rojas musiał kilkakrotnie zamknąć i otworzyć powieki i to nie tylko z powodu zmiany natężenia światła. Jego zdumionym oczom ukazało się coś na kształt antycznej agory czy też forum otoczonego kolistym amfiteatrem, ze stopni którego wyrastały rzędy starożytnych rzeźb i kolumn. Podłoga była pokryta mozaikami przedstawiającymi różne historyczne i mitologiczne sceny, a tu i ówdzie stały grupki młodych mężczyzn ubranych w rzymskie tuniki i togi; jedni dyskutowali o czymś między sobą pod czujnym okiem profesora, inni zaś z zainteresowaniem słuchali wyjaśnień nauczyciela lub też czytali jakieś teksty, komentując je w różnych językach.

- Oto i nasza Akademia! - zawołał z satysfakcją Roa. - Tutaj nie istnieją dogmaty ani niepodważalne autorytety, nie ma też zabronionych czy ocenzurowanych ksiąg. Naszym szczytnym celem jest powrót do antycznych źródeł, a że musimy to robić w tych oto warunkach - dodał, wyciągając przed siebie ramiona, jakby chciał objąć wszystko, co go otaczało - chcieliśmy przynajmniej stworzyć jak najodpowiedniejszą ku temu atmosferę. Zdziwicie się pewnie na wieść, że wszystkie kolumny, rzeźby i mozaiki, które macie przed sobą, są najzupełniej autentyczne. Większość z nich znaleźliśmy w jaskini albo odkopaliśmy w różnych zakątkach miasta; inne cierpliwie zwoziliśmy z innych okolic. Natomiast rzeźba, którą widzicie w samym środku, to oczywiście owa słynna statua Herkulesa, naszego założyciela i patrona. Oczom Fernanda ukazała się rzeźba okazałych rozmiarów, przedstawiająca mitologicznego herosa nauczającego ze zwojem papirusów w dłoni. U jego stóp znajdowało się kilka skrzyń pełnych ksiąg, map i manuskryptów, wśród których dostrzec też można było różne przedmioty z drewna i ceramiki, starą broń, liczne stele i płyty z inskrypcjami, statuetki, narzędzia z metalu... Wszystko to składało się na swego rodzaju kompendium bogatej historii podziemnych jaskiń, pozostawione do użytku profesorów i scholarów.

Rojas, ciągle jeszcze oniemiały, rozglądał się po grocie, podczas gdy Roa zaczął przywoływać do siebie po kolei różnych studentów, którym, jak się zdaje, udzielał na ucho jakichś wskazówek, gdyż po wysłuchaniu go kierowali się zdecydowanym krokiem w różne części amfiteatru. Fernando był tak zauroczony widokiem, jaki rozciągał się przed jego oczyma, że ledwie mógł w to wszystko uwierzyć; nie był w stanie wydobyć z siebie słowa, jakby się bał, że czar mógłby w każdej chwili prysnąć.

- Nie widzieliście jeszcze najpiękniejszego - oznajmił Roa, zupełnie jakby czytał w jego myślach.

Wypowiadając ostatnie słowa, klasnął kilka razy w dłoń i, jak na zaklęcie, wszędzie dookoła zapłonęły pochodnie umocowane u zwieńczenia kolumn. W pierwszej chwili Rojasowi zdało się, że sklepienie jaskini otwarło się na oścież, ukazując wygwieżdżone niebo, jednak po jakimś czasie zaczął rozróżniać na rozjarzonym firmamencie znajome postaci.

- Wielki Boże! - wykrzyknął. - Toż to przecież kopia nieboskłonu ze sklepienia biblioteki Studium Generale!

- Obawiam się, że jesteście w błędzie, drogi przyjacielu, albowiem to nie kopia, lecz oryginał; choć trzeba przyznać, że malowidło w bibliotece powstało nieco wcześniej.

- Nie rozumiem. Jak to możliwe? - zapytał zdumiony Fernando.- Fresk znaj dujący się w studium - zaczął tłumaczyć Roa - jest naprawdę nieco wcześniejszy, jednak obydwa malowidła są dziećmi jednej i tej samej koncepcji. Tyle że fresk, który widzicie tutaj, jest doskonalszy i wierniejszy w stosunku do pierwotnego projektu.

- Czyżbyście wiedzieli, kto był jego autorem?

- Otóż ponad dwadzieścia lat temu, 21 sierpnia 1475 roku, teolog Pedro de Osma, astrolog Abraham Zacuto oraz gramatyk Antonio de Nebrija, studiujący niegdyś razem w Kolegium Świętego Klemensa w Bolonii, uroczyście postanowili zabrać się wspólnie do pracy nad sprowadzeniem nowych metod nauczania do Studium Generale w Salamance, gdyż, jak stwierdzili, Uniwersytet od jakiegoś czasu zaczął tracić renomę, popadając w barbarzyństwo i zaniedbanie. Zeby upamiętnić ten dzień, wspólnie zaprojektowali ogromne malowidło przedstawiające sklepienie niebieskie, mające symbolizować ich wielki reformatorski projekt. Chcieli stworzyć obraz firmamentu w układzie z owego konkretnego dnia, realny i alegoryczny zarazem. Tak więc przedstawia on wszystkie siedem planet oraz niektóre konstelacje z ósmej sfery, w które wpisano dwanaście znaków zodiaku, symbolicznie powiązanych z dwunastoma pracami Herkulesa, oraz personifikacje czterech wiatrów i emblematy siedmiu sztuk wyzwolonych.

Niestety, kilka lat później Pedro de Osma został skazany przez inkwizycję i pozbawiony katedry na Uniwersytecie, a prawie równocześnie Żyd Abraham Zacuto otrzymał bezwzględny nakaz nawrócenia się na chrześcijaństwo i w efekcie musiał szukać schronienia na skromnym „dworze mędrców” zgromadzonym przez don Juana de Zuñigę w pałacu w Zalamei de la Serena; tak więc na placu boju pozostał jedynie profesor gramatyki, próbując samotnie kontynuować ich wspólny reformatorski projekt oraz swoją prywatną walkę z przeciwnikami klasycznej łaciny, którym, jak wiecie, wypowiedział wojnę w swoim dziele

Introductiones latinae\*, powstałym w 1481 roku. Nawiasem mówiąc, podobnie jak wieki wcześniej Herkules, również Antonio Nebrija przybył do Salamanki z zamiarem przywrócenia studiów antycznych i przegnania barbarzyńskich praktyk z Uniwersytetu. Stąd też, kiedy w 1483 roku władze uczelni postanowiły zlecić malarzowi Fernandowi Gallego dekorację sklepienia nowej biblioteki, Nebrija nie zawahał się udostępnić mu projektu, który przygotował przed kilku laty wspólnie ze swymi dwoma przyjaciółmi. Jednak malarz nie trzymał się wiernie oryginalnej koncepcji, co spowodowało, że kiedy w 1486 roku malowidło zostało ukończone, Nebrija umył ręce od całej sprawy i postanowił opuścić Uniwersytet, trafiając również pod mecenat don Juana de Zuftigi, gdzie mógł się w spokoju poświęcić przygotowywaniu swojej Gramatyki języka hiszpańskiego oraz kilku słowników. Spotkał się tam oczywiście z Abrahamem Zacuto, który właśnie kończył Traktat o wpływach niebios, mający tak wiele wspólnego z malowidłem, które tu podziwiacie.

\* Introducciones latinae (lac.) - Wprowadzenie do łaciny.

- Kto jednak wpadł na pomysł namalowania fresku na sklepieniu jaskini?

- Na krótko przed śmiercią Pedro Martfnez de Osma przekazał mi wszystkie swoje papiery, wśród których znajdowała się również kopia pełnej dokumentacji ikonograficznej malowidła. Po tym, co się wydarzyło z freskiem namalowanym w bibliotece, zdecydowaliśmy, że Akademia zajmie się realizacją oryginalnego projektu. A efekt tego macie właśnie przed oczami.

Naturalnie półkolisty strop groty został dodatkowo podkuty i pokryty specjalnym podkładem, żeby umożliwić malowanie al fresco\*. Całe sklepienie pokrywało błękitne tło, na którym widać było liczne gwiazdy, lekko wypukłe, barwione złotem i zdające się migotać w świetle pochodni, oraz wizerunki gwiazdnych bóstw, konstelacji i innych postaci.

\* Al fresco (wł.; dosł. na świeżo, na mokro) technika wykonywania malowideł na mokrym tynku farbami z pigmentów odpornych na działanie wapna. Inną techniką malowania na tynku było al secco (wł.; dosł. na sucho); polegała ona na pokrywaniu suchego tynku barwnikami zmieszanyymi z wodą.

- Jak widzicie - zaczął wyjaśniać Roa - sklepienie dzieli się wyraźnie na trzy części, a każda z nich poświęcona jest jednemu z naszych mistrzów. W części należącej do Abrahama Zacuto widnieją podobizny Heliosa i Merkurego kierujących się w swych tryumfalnych powozach odpowiednio ku dziennemu i nocnemu schronieniu. Dalej widać znaki zodiaku odpowiadające drugiej części roku słonecznego, czyli Lwa, Pannę, Wagę, Skorpiona i Strzelca, których trajektorie oddzielają gwiazdozbiory nieba północnego od konstelacji południowych; po lewej stronie mamy gwiazdozbiory Wolarza, Herkulesa i Węża, natomiast

po prawej: Hydry, Kruka, Pucharu, Argo, Korony Południowej, Ołtarza i Centaura. Na koniec, w dolnej części, znajdują się podobizny głów mających symbolizować cztery wiatry.

Mówiąc to, pokazywał Rojasowi kolejne postaci zapełniające to fantastyczne sklepienie. W następnej kolejności Fernando mógł się przekonać, że w częściach poświęconych Pedrowi de Osmie i Antoniowi de Nebrija rozmieszczone zostały pozostałe gwiazdozbiory, planety i, co najważniejsze, symbole siedmiu sztuk wyzwolonych: gramatyki, dialektyki, retoryki, arytmetyki, geometrii, astronomii i muzyki.

- Zwróćcie uwagę na to - powiedział Roa - że podstawowa różnica pomiędzy sklepieniem autorstwa Fernanda Gallega i tym tutaj polega właśnie na obecności emblematów przedstawiających dziedziny wiedzy, których wykładanie rozpoczął w jaskini Herkules. Druga rozbieżność to sposób przedstawienia samego herosa, bowiem w bibliotece występuje on nagi, zbrojny w maczugę i dzierżący w rękę skórę lwa nemejskiego, jakby gotował się do ataku, podczas gdy tutaj widzimy go w roli krzewiciela oświaty, w momencie zakładania swego studium w jaskini, jednym słowem kładącego kamień węgielny pod budowę przyszłego Uniwersytetu oraz naszej Akademii. Tak więc, jak widzicie, nasze malowidło jest znacznie bogatsze w treści i w ogóle pod każdym względem wspanialsze niż to w bibliotece.

- Niewątpliwie tak właśnie jest - przyznał Rojas, oszołomiony cudami jawiącymi mu się przed oczyma.

- Autorem fresku jest pewien słynny florencki malarz, którego imienia nie mogę wam na razie wyjawić.

- Dziwne to czasy - skomentował Rojas - w których doskonalsze dzieło musi kryć się w podziemnej jaskini, a jego twórca pozostać anonimowy, podczas gdy na górze panoszy się i triumfuje przeciętność.

- W takim razie uznacie zapewne za cudowny zbieg okoliczności fakt, że nasze malowidło znajduje się dokładnie pod bibliotecznym, jak gdyby było jego piekielnym odbiciem, chociaż, przynajmniej dla nas, jest ono niebiańskim przeciwieństwem piekła na powierzchni ziemi. Najbardziej zaskakujące jest jednak to - ciągnął Roa z rosnącym entuzjazmem - że i nasze sklepienie ma za zadanie chronić i zdobić zbiory biblioteczne. Tyle że w naszym przypadku nie chodzi o księgi z pergaminu czy papieru, lecz z kamienia; w rzeczywistości bowiem ten wielki fresk - wyjaśnił na koniec - nie jest niczym innym, jak ilustracją do tego, co nazywamy kamiennym manuskrytem.

- Co chcecie przez to powiedzieć? - spytał zaintrygowany Rojas.

- Pójdźcie za mną, a przekonacie się na własne oczy.

Skierowali się na tyły agory, wspinając się po stopniach amfiteatru na leżący wyżej ganek otoczony kolumnami. Stamtąd widać było jak na dłoni frontową ścianę jaskini. W świetle pochodni Fernando zobaczył, że znaczną jej część pokrywają litery koloru ochry.

- Spójrzcie tutaj - zachęcił go Roa.

Po bliższym przyjrzeniu się ścianie Rojas stwierdził, że to wcale nie litery, tylko rysunki zwierząt: byków, dzików, jeleni... Ich nieco topornie nakreślone kształty były jednak nadzwyczaj żywe w wyrazie; obok zwierząt widniały też ludzkie postaci, jedne uzbrojone w łuk i strzały, inne spoglądające w górę, w stronę całej serii kropek i kółek różnych rozmiarów, wśród których można było rozróżnić księżyc, słońce i nieskończoną liczbę gwiazd... Kawalek dalej widać było jakieś tajemnicze znaki, być może napisy w nieznanym języku. Potem nagle oczom Rojas ukazały się greckie teksty, które przeczytał, tłumacząc je sobie po cichu; jedne opowiadały dzieje Orfeusza, inne mówiły, jakżeby nie, o Herkulesie i jego dwunastu pracach, natomiast na samej górze widniała słynna dewiza wyryta w świątyni Apolla w Delfach, której autorstwo przypisuje się siedmiu różnym mędrcom: yvocni re avzov (poznaj samego siebie). Jednak większą część ściany zajmowały teksty łacińskie. Były tam sentencje, wiersze, epitafia, cytaty z różnych starożytnych autorów... wszystkie napisane łacińskim alfabetem. Na koniec Rojas zobaczył też teksty po arabsku i hebrajsku, które również udało mu się bez żadnych kłopotów odcyfrować i przetłumaczyć.

- Na tej ścianie - dodał na zakończenie Roa - widnieją świadectwa z przeszłości, które udało nam się tu odnaleźć; na pozostałych ścianach dopisywaliśmy nasze teksty. Pozostało jeszcze sporo wolnego miejsca. Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli zapełnić całego.

Rojas kroczył w milczeniu pośród kolumn, idąc w ślad za swoim przewodnikiem. Był pod wielkim wrażeniem kamiennego manuskryptu. W świetle pochodni widniejące na ścianach słowa wyglądały jak wypalone ogniem i krwią w żywym kamieniu.

- Tutaj, na honorowym miejscu - wskazał Roa - możecie zobaczyć dziewięć postulatów Pedra de Osmy; tych samych, za które go skazano i z powodu których stracił wszystko. To te same słowa, które sprawiły, że my musieliśmy się zaszyć w tej jaskini. Obok nich znajdują się niektóre wyjątki z Nowego Testamentu; pozostają one w całkowitej sprzeczności z dogmatami i praktykami dzisiejszego Kościoła. Dalej widnieją objaśnienia dotyczące astrologicznych symboli namalowanych na sklepieniu, oparte na cytowanym już wcześniej przeze mnie dziele Abrahama Zacuto. Jak widzicie, mamy tu również dekalog dobrego władcy, który ja sam zredagowałem w oparciu o Politykę Arystotelesa oraz nauki Pedra de Osmy.

Rojas przeczytał na głos kilka punktów dekalogu:

Król powinien dokładać wszelkich starań, żeby należycie dbać o dobro wspólne, troszcząc się szczególnie o dochody i inne wpływy mające służyć jego pomnażaniu.

Nie powinno się powiększać granic królestwa wbrew temu, co nakazują wymogi prawa. Wojna jest słuszna tylko wtedy, kiedy jej celem jest naprawienie jakiejś niesprawiedliwości. Dlatego też wojny mające na celu jakiegokolwiek podboje powinny zostać stanowczo odrzucone.

- Mam nadzieję, że wskazówki te okażą się kiedyś przydatne - skomentował Roa. - Często wyobrażam sobie, że kiedy my wszyscy odejdziemy już z tego świata, ta kamiennaściana przetrwa, zachowując bez żadnego uszczerbku pamięć o nas i o naszych ideach. Nie dajmy się jednak ogarnąć smutkowi... A teraz powiedzcie mi, co o tym wszystkim sądzicie?

- Muszę wyznać, że czuję się naprawdę wzruszony i zarazem pełen zachwytu.

- Do tego stopnia, żeby się do nas przyłączyć?

- Mam nadzieję, że tak, jeżeli tylko mi na to pozwolicie - odparł Rojas, nieco zdziwiony tą nagłą propozycją. - Wcześniej jednak muszę zakończyć moją misję.

- To prawda - przytaknął maestro Roa. - Przez chwilę zupełnie o tym zapomniałem. Muszę przyznać, że po kilku godzinach spędzonych pod ziemią trochę mąci mi się w głowie. To pewnie z braku powietrza - zażartował.

- Ja, niestety, nie jestem w stanie zapomnieć o tym, co mnie tu sprowadza - westchnął Rojas.

- Zanim ruszycie w dalszą drogę, muszę was ostrzec: w tej jaskini można spotkać naprawdę niebezpiecznych ludzi. I nie mam tu na myśli jedynie przestępców, bandytów czy zbiegłych więźniów, choć na nich też nietrudno się natknąć, lecz różne kalekie czy wręcz potworne istoty, całowicie upodłone i zdolne do wszystkiego. Większość z nich to ludzie chorzy bądź też szaleni, porzuceni tu przez własne rodziny, niektóre, nawiasem mówiąc, szlachetnego urodzenia. Włóczą się oni po podziemiach w poszukiwaniu jakiegoś nieostrożnego lub zagubionego wędrowca, którego mogliby najzwyczajniej w świecie pożyć. Dlatego lepiej jest zawsze poruszać się w większej grupie. Można się też natknąć na wyznawców Szatana...

- A to co za jedni? - spytał Rojas z zainteresowaniem.

- Jak już wam wcześniej wspomniałem, domniemana obecność Diabła w jaskini trzyma na dystans różnych ciekawskich, ale przyciąga też czasem jego wyznawców. Są tonajczęściej ludzie, którzy oddając mu cześć lub poddając się jego woli, mają nadzieję uzyskać nadprzyrodzoną moc lub też po prostu spełnić swoje prywatne ambicje czy cele.

Ludzie ci kryją się jednak w najodleglejszej i najgłębszej części jaskini, będącej równocześnie częścią najbardziej niebezpieczną.

- Czy byliście tam kiedyś?

- Wyznaję, drogi przyjacielu, że w tej jaskini są miejsca, których po prostu nie znamy; otchłanie, w które nikt, lub prawie nikt, nie odważył się dotychczas zapędzić. Są to groty, w których znaleźć można siarkę i których ściany pokryte są realgarem...

- Realgarem?! - Rojas wydał okrzyk zdumienia.

- Tak. To bardzo dziwny minerał, zwany też jaskiniowym pyłem. Jest niezwykle trujący.

- Ależ wiem, co to jest realgar. Czy wiecie przypadkiem, jak można dotrzeć do miejsca, gdzie się znajduje?

- Mówiłem wam już, że, powodowani ostrożnością, nie zbadaliśmy wszystkich zakamarków jaskini. Poza tym istnieje tu niepisane prawo, wedle którego poszczególne grupy mieszkańców podziemi nie wchodził sobie nawzajem w drogę i nie zapuszczają się na obcy teren.

- W takim razie skąd wiecie, że można tam znaleźć realgar?

- Pewnego razu - wyjaśnił Roa - znaleźliśmy w jednym z naszych korytarzy umierającego człowieka. Szukał tu pomocy. Na skórze miał resztki jaskiniowego pyłu. Niestety, nie byliśmy go w stanie uratować.

- Może wiecie przynajmniej, w którą stronę powinienem się skierować?

- Niedaleko od miejsca, gdzie kończy się jeden z używanych przez nas chodników, zaczyna się tunel, w który zagłębiają się zwykle wyznawcy Diabła. Z tego, co wiem, prowadzi on do rozwidlenia zaznaczonego kółkiem oraz cyfrą VIII.- A więc kółko i cyfra VIII... - powtórzył bezwiednie Rojas. - To mi zupełnie wystarczy.

- Mogę wam również zaoferować specyfik, który zabezpieczy was przed działaniem realgaru. Jeżeli jednak chodzi o samą wyprawę, obawiam się, że będziecie musieli odbyć ją sami. Gdybym z wami poszedł, wystawiłbym na niebezpieczeństwo Akademię oraz życie wielu ludzi.

- Nie martwcie się o mnie. Kiedy wchodziłem do jaskini, miałem świadomość tego, iż zstępuję do piekieł i że czeka mnie trudna droga, pełna prób i zasadzek; to droga, którą ktoś zaprojektował z myślą o mnie. Wiem też, że mogę zginąć podczas tej eskapady, ale jeśli uda mi się wyjść z niej cało, stanę się zupełnie innym, silniejszym człowiekiem. Gdybym teraz poddał się i poniechał wyzwania, nigdy już nie mógłbym spojrzeć nikomu w oczy, a to coś znacznie gorszego niż śmierć.



- Jestem przekonany, że powrócicie całkiem odmieniony - zgodził się Roa. - Przeobrażony w kogoś, kim w głębi duszy już jesteście, czyli w człowieka wolnego, sprawiedliwego i mądrego, albowiem działacie powodowani jedynie żądzą prawdy.

Zanim Fernando ostatecznie opuścił grotę, w której mieściła się Akademia, poszedł raz jeszcze rzucić okiem na astrologiczne malowidła oraz na kamienny manuskrypt.

- Ja również chętnie zostawiłbym po sobie jakieś świadectwo - wyznał swojemu przewodnikowi.

- Nie martwcie się. Ściana jaskini będzie na was czekać.

- Bardzo wam dziękuję - pożegnał się serdecznie Rojas.

- Za wszystko.

- Uważajcie na siebie - poprosił jeszcze Roa, obejmując go w serdecznym uścisku.

- Wy również; zależą od was losy tak wielu ludzi...W tej chwili podszedł do nich jeden ze scholarów. W jednej ręce trzymał parę pochodni, a w drugiej sakwę pokaźnych rozmiarów.

- Przedstawiam wam jednego z moich uczniów - powiedział Roa. - Ma na imię Felipe i zaprowadzi was do miejsca, w którym korytarz się rozwidła. W sakwie znajdziecie wodę i coś do zjedzenia, gdyby wasza wędrówka miała się okazać zbyt długa. Macie tu również ochronny balsam, gdyby przyszło wam mieć do czynienia z realgarem; pamiętajcie jednak, żeby dodatkowo koniecznie zasłonić chustką nos i usta.

- No to ruszajmy - zwrócił się Fernando do swego nowego przewodnika, nieco speszony tak troskliwym traktowaniem.

Przemierzywszy kilka kolejnych grot, zagłębili się w coś, co Rojasowi wydało się prawdziwym labiryntem podziemnych chodników. Niektóre z nich miały sklepienie z kamiennych płyt i od czasu do czasu odchodziły od nich krótkie odnogi zakończone stromymi schodami prowadzącymi w górę, z czego można było wnosić, że są w Salamance domy mające bezpośrednie zejście do zaświatów... Fernando zauważył też, że tu i ówdzie na końcu tunelu, z boku, widniało pokaźne zagłębienie, z którego wystawała olbrzymia obła bryła przypominająca młyński kamień, stojąca na czymś w rodzaju koleiny.

- To kamienie służące do zamykania korytarzy w razie niebezpieczeństwa - wyjaśnił Felipe. - W ten sposób możemy całkowicie odciąć grotę i korytarze należące do Akademii.

- W jaki sposób wprawia się te olbrzymie głazy w ruch?

- Robi to specjalny mechanizm poruszany wodą; to wymysł starożytnych Rzymian. To oni pierwsi oswoili wodę.

- Dobrze jest mieć tak potężnych sprzymierzeńców - przyznał Rojas.- No to jesteśmy - powiedział nagle Felipe. - Idąc dalej tym korytarzem, traficie prosto do tunelu, który zaprowadzi was do rozwidlenia.

- Dziękuję wam za wszystko.

- Niech Bóg ma was w swojej opiece.

\*\*\*

## Rozdział 23.

Zgodnie z zapowiedzią po niedługim czasie Rojas dotarł do rozwidlenia numer VIII. Co prawda podczas upadku, który zawiódł go przed oblicze sanhedrynu, zgubił starą mapę, jednak dobrze pamiętał, którą odnogą chodnika powinien teraz iść dalej. Po dobrej chwili marszu zauważył, że korytarz robi się coraz szerszy, aż w końcu przybrał rozmiary niewielkiego placu. Z jednej strony pod ścianą znajdowało się strome usypisko, wyglądające na pierwszy rzut oka na zwykłą kupę gruzu. Kiedy jednak Fernando zaczął się zbliżać w tamtą stronę, chcąc przyjrzeć się przyzmię, nagle nadepnął na coś, co rozgniotło się pod jego stopą z nieprzyjemnym chrzęstem. Pochylił się i z przerażeniem stwierdził, że była to małeńka dziecięca czaszka, najprawdopodobniej należąca do noworodka. Co gorsza, było ich więcej; po chwili przekonał się, że cały chodnik jest zasypany dziecięcymi szkieletami, całymi górami malutkich czaszek i kosteczek, które łamały się z trzaskiem przy dotknięciu, a nawet kiedy tylko zbliżyło się do nich płonąca pochodnię.

Zatrwożony Fernando spojrzał w górę i zobaczył, że otwiera się nad nim olbrzymi komin, coś w rodzaju odwróconego ogromnego lejka, którego górny wylot znajdował się zapewne na zewnątrz. Przypomnił sobie, że słyszał kiedyś, iż zakonnice klauzurowe pozbywały się owoców grzechu, wrzucając je natychmiast po urodzeniu do jakiejś studni, oraz że to samo robiły z noworodkami podrzucanymi przez nierządnicę pod klasztorną bramę; nigdy jednak nie próbował sobie wyobrazić szczegółów owego procederu ani nie podejrzewał istnienia takiej złowieszczej otchłani. Kiedy oddalał się stamtąd, próbując nie rozdeptywać czaszek, zaczął się zastanawiać, jakie straszliwe niespodzianki czekają jeszcze na niego po drodze.

Gdy dotarł wreszcie do ostatniego rozwidlenia, zaczął się nagle wahać. Przyszło mu nawet na myśl, żeby natychmiast zawrócić i zapomnieć o wszystkim raz na zawsze; dobrze jednak wiedział, że to niemożliwe, że nie ma innego wyjścia i musi dokończyć swą misję, docierając do kresu rozpoczętej drogi. Jeśli Orfeuszowi, Eneaszowi i Dantemu udało się powrócić z piekieł, dlaczego nie miałbym wrócić i ja?”, pomyślał, próbując dodać sobie otuchy. Jednak zamiast przypływu odwagi poczuł nagle ogromne znużenie, nagromadzone w ciągu ostatnich dni. Na dodatek stwierdził, że coraz ciężiej mu się oddycha, a na ścianach korytarza coraz częściej pojawiają się czerwone wykwity wydzielające ostre siarczany zapach. Być może był to ów groźny realgar... Na wszelki wypadek zatrzymał się na chwilę i

posmarował maścią ochronną wszystkie odsłonięte części ciała. Następnie wyjął chustkę, którą dostał od Roy, złożył ją na pół i obwiązał sobie twarz, zakrywając dokładnie nos i usta; dopiero wtedy ruszył dalej.

Po chwili chodnik zaczął się zwężać i opadać coraz bardziej stromo w dół, w końcu Fernando stanął przed pionową szparą w kształcie sromu, z której wnętrza wydobywał się czerwony odblask. Zanim zdecydował się przejść na drugą stronę, ostrożnie zaglądnął do środka, chcąc się upewnić, czy nie grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. Z drugiej strony szczeliny otwierała się całkiem spora grotka o regularnych kształtach, a w jej głębi, pochylona nad wiszącym nad ogniskiem kociołkiem, stała jakaś starucha, mieszając wielką drewnianą chochłą bulgoczącą miksturę. Pod ścianą leżały sterty drewna na opał, stało kilka wielkich kadzi oraz różnej wielkości garnki. W górze, w sklepieniu jaskini, dostrzec można było kilka dziur, przez które dym wydostawał się na zewnątrz jak przez komin. W tej chwili kobieta zaczęła mówić charczącym głosem:

- Zaklinam cię, Plutonie, władco głębi piekielnych, cesarzu przeklętego dworu, pyszny wodzu potępionych aniołów, panie siarczanego ognia buchającego z wrzących górskich wnętrzności, nadzorczo tortur i oprawców grzesznych dusz, rządco trzech furii: Tyzyfony, Megery i Alekto, włodarzu Styksu i Hadesu i jego podziemnych akwenów, ciemności piekielnych oraz nieludzkiego chaosu; ty, który podtrzymujesz harpie w locie i kierujesz stadami płochliwych, przeraźliwych hydr. Ja, Celestyna - w tej chwili Rojas wzdrygnął się tak niesamowicie, że o mało co nie padł jak długi na ziemię - najśłynniejsza spośród całej twojej klienteli, zaklinam cię siłą tych oto purpurowych liter oraz mocą krwi puszczyka, którą zostały one nakreślone, klnąc się na majestat słów i znaków widniejących na tym oto pergaminie, na cierpki i ostry jad żmijowy, z którego uczyniony jest olej, jakim smaruję to oto przedziwo, wzywam cię, abyś przybył jak najprędzej, żeby spełnić moją wolę.

Kiedy tylko starucha skończyła wypowiadać zaklęcie, chmara wiszących u stropu nietoperzy wzbila się nagle do lotu, kierując ku wylotowi groty, co zmusiło Roja do gwałtownego usunięcia się na bok.

- No, jesteś tu wreszcie - powiedziała starucha, zwracając głowę w stronę, gdzie chował się Rojas. - Założę się, że to ty jesteś Fernando de Rojas, o którym tyle mi opowiadano. No, wejdźże, nie bój się, od dawna już na ciebie czekam.

- Na mnie?!

- A na kogóż by innego? Czyżbyś znał jeszcze kogoś, kto nosi to samo imię i nazwisko co ty? Podejrzewam, że nie.

- Czyżby ten przeklęty Diego de Deza aż tyle ci zapłacił, że nie zawahałeś się zstąpić w najciemniejszą otchłań Hadesu, żeby mnie odnaleźć? A może jesteś po prostu tej samej klasy parszywym robalem, co on?

- Nie robię tego z chciwości - odparł Rojas. - Oczywiście nie powodują mną też te same przyczyny i cele, co w przypadku biskupa.

- W takim razie o cóż ci chodzi?

- Robię to, co robię, z lojalności i z miłości do prawdy.

- Lojalności w stosunku do tego łajdaka? Prędzej poszłabym do łóżka z krokodylem, niż usiadła przy stole z tym zramolałym hipokrytą.

- Jednak biskup pomógł mi w ciężkich dla mnie chwilach - usprawiedliwiał się Rojas.

- A ja, chcąc nie chcąc, jestem z tych, co nie zapominają o przysługach.

- Ze mną jest podobnie, możesz mi wierzyć. Ale wejdźże do środka, nie stój w przejściu. Podziemne przeciągi są bardzo niezdrowe. No chodź, podejdź bliżej... Chyba mi nie powiesz, że boisz się biednej staruszki?

Zbliżając się do kobiety, Fernando zdał sobie sprawę, że w jej ruchach jest coś dziwnego: jakaś mieszanina ociężałości czy niezdarności, być może również niepewności.

- Zauważyłam, że już spostrzegłeś, iż jestem ślepa... Nie musisz się jednak nade mną litować; jestem jak nietoperz: wyczuwam cię przy pomocy uszu. Niech no jeszcze wyrosną mi błoniaste skrzydła, a będę już całkiem jak one. Na wszystko przyjdzie czas, jeżeli przyjdzie mi dłużej mieszkać w tej przeklętej grocie.

Oczy kobiety były wyblakłe i wodniste, a pośród gąszczu zmarszczek na jej lewym policzku widać było wielką bliznę, która, choć nie wyglądała na świeżą, ciągle jeszcze tętniła, niczym drugie serce.- To ty jesteś ową słynną Celestyną? - spytał Rojas, jakby ciągle jeszcze nie mógł w to uwierzyć.

- Miło mi usłyszeć, że ciągle jeszcze o mnie nie zapomniano - odparła starucha. - Choć pewnie widząc mnie teraz, niełatwo przyjdzie ci uwierzyć, że tam na górze całkiem nieźle mi się powodziło. Zarządzałam jednym z najlepiej prosperujących burdeli w Salamance i miałam pod opieką aż dziewięć dziewczek, z których najstarsza nie miała jeszcze osiemnastu lat, choć najmłodsze pokończyły już czternaście. Zaglądali do nas zarówno młodzieńcy, jak i dojrzały mężczyźni, mniej lub bardziej dostojni księża, od biskupów do zwykłych zakrystianów. Kiedy tylko wchodziłam do kościoła, zdejmowali przede mną birety, jakbym była co najmniej jakąś księżniczką... Aż tu kiedyś ten przeklęty królewicz, podszczuwany przez Diega de Dezę, wpadł na pomysł, żeby zbudować miejski lupanar, rozkazując zamknąć wszystkie burdele znajdujące się w obrębie miejskich murów.

Teoretycznie zrobił to, żeby oddalić rajfurów i nierządnicę z okolic katedry oraz Studium Generale, chroniąc w ten sposób kleryków i scholarów od grzesznych pokus oraz pozbawić niewinne dziewice, o ile jeszcze takowe zostały, złego przykładu. W rzeczywistości jednakich jedynym celem było wyciągnięcie pieniędzy z interesu, żeby móc pospłacać długi pozaciągane przez tego rozpustnego młokosa i przez całą radę. No i tym sposobem z dnia na dzień zostałam na lodzie, bez grosza przy duszy, podczas gdy oni przejęli całą moją klientelę, przywłaszczając sobie nawet dziewczki, które ja sama przecież wszystkiego nauczyłam, które poważały mnie i kochały jak własną matkę; tak, tak: nazywały mnie mateczką Celestyną.

Wtedy to - ciągnęła dalej stara - musiałam się przenieść do zrujnowanego domu na przedmieściach, gdzie zamieszkała ze mną jedynie moja wierna Alicja, która na dodatek tej pory musiała pracować po kryjomu. Jednak interes szedł tak marnie, że w końcu, aby zarobić na kawałek chleba, musiałam zacząć się parać różnymi innymi zajęciami: pracowałam jako szwaczka, robiłam perfumy i różne upiększające mikstury, naprawiałam utracone dziewictwa, byłam stręczycielką, a nawet zajmowałam się czarami. Po jakimś czasie mój dom znów zappełnił się ludźmi poszukującymi lekarstwa na najróżniejsze dolegliwości albo pomocnej ręki, która dopomogłaby im w spełnieniu najskrytszych pragnień. Celestyno, pomóżcie mi w tym, Celestyno, zróbcie dla mnie tamto; mój dom był jak miejski rynek w dzień targowy, a przy okazji moja sakwa i spiżarnia zaczęły się całkiem porządnie wypełniać. Jednak, na moje nieszczęście, właśnie wtedy pojawił się ten zwyrodnialec, fray Tomas, i zaczął mnie odsądzać od czci i wiary w swych kazaniach, głosząc, że jestem starą wiedźmą i czarownicą i że stanowią poważne zagrożenie dla całej Salamanki. Tak długo o tym głądził, aż w końcu oskarżono mnie o czary, choć, co ciekawe, inkwizytorzy nie wspomnieli ani słowem o stręczeniu dziewcząt duchownym, co było przecież moim głównym zajęciem. W ciągu kilku dni tak się postarzałam, że sama siebie nie byłam w stanie poznać w zwierciadle. Jednak ten stary sodomita ciągle jeszcze nie miał dosyć i po jakimś czasie znów zaczął mnie atakować; nie spoczął, aż inkwizycja wytoczyła mi nowy proces, powołując się tym razem na jakiś tam dekret ogłoszony jeszcze przez Juana II i ponoć nadal obowiązujący w całej Kastylii, zgodnie z którym wiedźmy oraz czarowników karze się śmiercią. Tak więc po raz kolejny musiałam opuścić dom i porzucić cały swój dobytek, żeby ukryć się w tej ciemnej grocie, gdzie straciłam wzrok i ochotę do wszystkiego i gdzie jedynym, co mnie jeszcze utrzymuje przy życiu, jest chęć pomszczenia krzywd, jakie mi wyrządzono.- Mam więc rozumieć, że to ty ukartowałaś te wszystkie zbrodnie? - spytał Rojas oficjalnym tonem, żeby móc potem wszystko potwierdzić w zeznaniach.

- Tak jest. I bardzo jestem z tego dumna - zaznaczyła starucha. - Jedyne, czego tak naprawdę żałuję, to że nie mogłam zamordować ich wszystkich własnymi rękami. Szczęśliwie miałam kogoś, kto mógł to za mnie zrobić; a zresztą, to jeszcze nie koniec.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Rojas.

- Już niedługo o wszystkim się dowiesz. Ale najpierw musisz się chyba trochę przespać.

Ostatnie słowa kobiety dotarły do Fernanda jakby zniekształcone, równocześnie zaś zarysy przedmiotów, jakie widział wokół siebie, zaczęły się powoli rozmywać.

- Nie rozu... - zaczął Fernando, podczas gdy wszystko dokoła zdawało się odchodzić w niebyt.

Kiedy się ocknął, leżał przykuty łańcuchem do ściany jaskini. Poczul, że ma ścierpnięte ręce i nogi i kręci mu się w głowie, zaś gardło ma wyschnięte na wiór i zbiera mu się na wymioty, jakby zjadł coś niedobrego.

- Witaj w królestwie cieni - powitała go, śmiejąc się, Celestyna zduszonym głosem. - Czy jesteś gotów, żeby poznać całą prawdę?

- Czym mnie strułaś, ty stara wiedźmo?

- Po pierwsze, sam usnąłeś od oparów, które unoszą się znad kotła - poinformowała go, nie mogąc stłumić nieprzyjemnego, jazgotliwego śmiechu, który brzmiał jak skrzeczenie papugi. - Ja tak już do nich przywykłam, że zupełnie na mnie nie działają. Potem dałam ci tylko specjalny wywar, by cię obudzić. Ale nie przejmuj się, to nic groźnego.

- Co masz zamiar ze mną zrobić?- Na razie nie mam zamiaru cię zabić, jeśli tego się obawiasz, oczywiście pod warunkiem, że zgodzisz się ze mną współpracować.

- Nie licz na to - zaprotestował Rojas. - Poza tym pewnie już wkrótce przyjdą tu po mnie.

- Szczerze wątpię, żeby ktoś się odważył przyjść ci na ratunek, a nawet gdyby tak się stało, mogłabym cię przecież użyć jako zakładnika, by móc się stąd ulotnić; a musisz wiedzieć, że nikt nie zna tych podziemi tak dobrze jak ja; na dodatek moja ślepotą daje mi przewagę. Ale lepiej zmieńmy temat. Wiem, że nie możesz się już doczekać, by się o wszystkim dowiedzieć; opowiem ci więc historię mojej osobliwej zemsty...

Tu zawiesiła głos, chcąc dodać dramatyzmu swojej opowieści, i usiadła na kamieniu obok Roja, który, w rzeczy samej, pomimo zaistniałych okoliczności, niecierpliwie czekał na to, co miała do opowiedzenia. Pomyślał sobie, że jeżeli w końcu i tak czeka go śmierć, woli umrzeć, znając całą prawdę, choćby nawet nie miała mu się ona już do niczego przydać.

- Jakiś czas temu - zaczęła Celestyna lekko gardłowym głosem - spotkałam młodziutkiego studenta myszkującego w okolicach kościoła Świętego Cypriana. Biedak wyglądał na tak zagubionego i zdezorientowanego, że litość mnie wzięła, więc podeszłam, żeby się dowiedzieć, co mu się stało. Powiedział mi, że kilka miesięcy wcześniej przybył pieszo aż z Santiago de Compostela, niczym najprawdziwszy pielgrzym, żeby rozpocząć studia w Salamance. Nieborak słyszał kiedyś, że gdzieś tu znajduje się jaskinia, w której sam Diabeł naucza czarnej magii. Mimo iż rozpytywał po całym mieście, nie udało mu się ustalić, czy to prawda i gdzie ewentualnie mogłoby się znajdować wejście do owej nieszczęsnej jaskini. Poinformowałam go więc z całkowitym przekonaniem, że to prawda Diabeł już od dawna nie bywa w jaskini, ale że ja jestem jedną z jego najwybitniejszych uczennic i, żeby to udowodnić, pokażę mu, którędy można wejść do groty. Na początku spoglądał na mnie nieufnie, jakby podejrzewał, że jestem szalona. Nie mógł pewnie uwierzyć, że taka oberwana i bezzębna starucha może być zastępczynią Diabła na jego uniwersyteckiej katedrze w Salamance. Osłupiał jednak do szczytu dopiero wtedy, kiedy mu powiedziałam, że droga do jaskini prowadzi przez wnętrze kościoła.

- Vade retro\*, ty głupia starucho! - krzyknął oburzony. - Wiedz, że nie przyszedłem z tak daleka, żeby się pakować do kościoła. W tym celu mogłem sobie spokojnie zostać w Santiago, gdzie przynajmniej mamy wielką i zasobną katedrę. Jedyne, czego pragnę, to zobaczyć jaskinię.

- Czyżbyś nie słyszał nigdy przysłowia mówiącego, że diabelskie drogi bywają kręte i pełne niespodzianek? W takim razie - wyjaśniłam mu - nie powinno cię dziwić, że wejście do jaskini znajduje się we wnętrzu kościoła pod wezwaniem Świętego Cypriana, który, jak pewnie wiesz, zanim został świętym, był magiem i to wcale niezłej klasy. Dopiero znacznie później nawrócił się na chrześcijaństwo za sprawą pewnego dziewczęcia, któremu udało się oprzeć jego czarom.

- Nie interesują mnie te opowieści starej baby - odrzekł. - Musisz wiedzieć, że od dnia, kiedy opuściłem Santiago, moja noga nie postąpiła w kościele; nie wszedłbym do kościoła, choćbym miał umrzeć z zimna, ani nawet żeby się schronić przed pogonią. Mam w stosunku do tych miejsc tak wielką urazę, że za każdym razem, kiedy słyszę bicie dzwonu, robi mi się niedobrze i natychmiast biorę nogi za pas.

\* Vade retro! (łac.), w pełnym brzmieniu - Vade retro Satana!

- Idź precz, Szatanie!; formuła używana do odganiania złych mocy.- Obawiam się, że w tym przypadku - odparłam na to - jeśli chcesz, by spełniło się twoje pragnienie, będziesz musiał skapitulować i przekroczyć bramę kościoła.



Nie wyobrażasz sobie, ile mnie kosztowało, żeby go przekonać, iżby przeszedł przed figurą Chrystusa na ołtarzu i zszedł na dół, do krypty. Najzwyczajniej w świecie bał się, że mogłabym go na zawsze zamknąć w świętym miejscu. Na sam widok tego, jak dygotał, znalazłszy się we wnętrzu świątyni, uznano by pewnie, że opętał go sam Diabeł. Mógłby sobie spokojnie oszczędzić podróży do Salamanki w jego poszukiwaniu - jako żywo wydawał się mieć go w sobie. Nie wspomnę, co się działo, kiedy musiałam zrobić znak krzyża na ścianie krypty albo kiedy on sam musiał położyć się w grobowcu tuż obok szczątków duchownego.

- Tam, na górze - powiedziałam wreszcie, próbując go ostatecznie przekonać - znajduje się miasto Boże, natomiast tu, na dole, jest miasto Szatana, dlatego też radzę ci, chłopcze, żebyś się dobrze zastanowił nad tym, co robisz.

Kiedy wreszcie znaleźliśmy się w jaskini, zaczął się powoli uspokajać i widać było, że coraz bardziej mi ufa. Na koniec wydawał się tak głęboko przekonany, iż zstępujemy do najprawdziwszego Hadesu, że nie miałam większych problemów z wmówieniem mu czegokolwiek, na co miałam ochotę. W zamian za kilka obietnic, które mi złożył, oraz za inne przysługi, o których na razie nie będę wspominać, zaczęłam nauczać go tego wszystkiego, co rzeczywiście wiem na temat czarnej magii, oraz różnych innych sztuczek, które na bieżąco wymyślałam. Mój uczeń, którego poufale nazywam Asmodeuszem, gdyż nie chciał wyjawić mi swego prawdziwego imienia, przejawiał od początku tak wielką gotowość do czynienia zła, że zgadzał się absolutnie na wszystko, o co go prosiłam.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy stwierdziłam, że już czas, by zrobić z niego narzędzie mojej prywatnej zemsty. Powiedziałam mu więc, że to już koniec nauki i że, aby zaliczyć studia i zostać bakałarzem nauk tajemnych, będzie musiał poddać się kilku próbom oraz bez żadnych dyskusji wykonać wszystkie moje rozkazy. No i od tej chwili to on jest moimi oczami, rękami i stopami wewnątrz jaskini i poza nią.

Już od dawna wiedziałam z dobrych źródeł, że fray Tomas miał wielką słabość do chłopców, zwłaszcza młodziutkich i dobrze wykształconych. Tak więc nakazałam Asmodeuszowi, żeby zaczął chodzić na poranne wykłady teologii, gdyż, jak mu wyjaśniłam, trzeba jak najlepiej poznać strategię i doktryny stosowane przez nieprzyjaciela. Poradziłam mu też, żeby od czasu do czasu spróbował po lekcjach zbliżyć się do profesora, udając, że chce go poprosić o wyjaśnienia dotyczące wykładu; żeby zaczekał na niego koło słupa na dziedzińcu Escuelas Mayores, jak to jest w zwyczaju. Tym sposobem fray Tomas dosyć szybko zainteresował się nowym studentem i niebawem zaczął go zapraszać do swej

klasztornej celi pod pretekstem pokazania jakichś ważnych ksiąg i nauczania kilku innych rzeczy; no, pewnie rozumiesz, co takiego mam na myśli...

Wreszcie pewnego ranka mój uczeń oznajmił mi, że sprawa dojrzała i że zakonnik jest gotów zrobić absolutnie wszystko, o co by go tylko poprosił. Stwierdził, że przejął panowanie nad jego wolą, zwłaszcza od czasu kiedy obdarzył go pewnymi względami, co do natury których nie chciał się bliżej rozwodzić. Powiedziałam mu, żeby mi udowodnił, iż to wszystko prawda, przyprowadzając fray Tomasa pod jakimkolwiek pretekstem do jaskini, najlepiej jeszcze tego samego popołudnia.

- To dla mnie żaden problem - odrzekł, całkowicie pewny siebie.

Początkowo nie miałam wcale zamiaru zamordować fray Tomasa, chciałam tylko trochę go poszantażować, gnębić dopóty, dopóki nie zgodziłby się zawrzeć ze mną umowy, wedle której ja zobowiązałabym się puścić go wolno i nie wyjawiać nikomu jego wstydliwego sekretu, pod warunkiem że zgodziłby się na to, bym ja mogła spokojnie i z godnością wykonywać swój zawód, nie obawiając się, że w każdej chwili mogliby mnie zatrzymać zauszniczy Świętego Oficjum. Jednak kiedy fray Tomas był już na ulicy, o krok od wejścia do jaskini, w ostatniej chwili musiał coś przeczucić, drań jeden, bo nagle zmienił zamiar. Asmodeusz, który tak wiele w tej sprawie ryzykował, próbował go na wszelkie sposoby przekonać, obiecując mu nie wiadomo jakie cuda, jednak w końcu osiągnął tylko tyle, że zakonnik doszczętnie się wystraszył.

Nie było więc innego wyjścia i nie chcąc ryzykować, że polecą na skargę do biskupa, swego głównego współnika i przyjaciela, musieliśmy go zabić. No i, jak pewnie wiesz, fray Tomas rzeczywiście miał zamiar spotkać się z biskupem, kiedy Asmodeusz zaskoczył go przy głównym wejściu do katedry, gdzie nakazałam mu na niego czekać. Chłopak sam wymyślił, żeby włożyć zmarłemu do ust monetę i zrobić mu zadrapanie na policzku, jakby chodziło o jakieś diabelskie znamię. To również on wpadł na pomysł, żeby ukryć wśród ksiąg zakonnika anonimowy Ust, który miał skierować podejrzenia ku komu innemu. Wyobrażam sobie, że wszystkie te jego sztuczki osiągnęły zamierzony efekt, skoro do tej pory nie byłeś w stanie nas wyśledzić.

- A jak było ze śmiercią królewicza?

- Jak już ci wcześniej mówiłam, ten przeklęty sukinsyn razem z Diegiem de Dezą odpowiadał za to, że zamknięto mój lupanar i wyrzucono mnie na bruk. Tak więc jego przyjazd do Salamanki, ledwie kilka dni po śmierci fray Tomasa, wydał mi się najprawdziwszym zrzędzeniem opatrności. „Dlaczego by nie spróbować?”, pomyślałam sobie. W końcu i tak byłam skazana na to, żeby pozostać już na zawsze podziemią. Jeżeli

więc on zrujnował mi życie, ja miałam prawo zrobić z nim to samo. A może jego interesy jako pana i władcy Salamanki są ważniejsze niż moje? Niestety, tym razem mój młody adept nie mógł mi być pomocny, choć trzeba przyznać, że wielokrotnie próbował, bowiem niełatwo było zbliżyć się do królewicza, zwłaszcza że ty też kręciłeś się ciągle w pobliżu. Dlatego nie miałam innego wyjścia i musiałam zwrócić się o pomoc do Alicji, mojej byłej wychowanki. Jeżeli czegoś mogłam być pewna, to tego, że ten gówniarz prędzej czy później pojawi się w lupanarze. Tak więc wysłałam tam Asmodeusza z poleceniem przekonania Alicji do współpracy. Zaleciłam mu, żeby na dowód mojej hojności podarował jej naszyjnik, który od dawna jej się podobał. Alicja była bardzo łakoma na tego typu podarki, stąd też szybko na wszystko się zgodziła. Jej zadaniem było przekonać królewicza, żeby to ją wybrał podczas swej wizyty, co nie było szczególnie trudne, zważywszy iż była bardzo piękna i dobrze przeze mnie wyszkolona. Potem, kiedy znaleźliby się już sam na sam, miała go przekonać, by dał się posmarować maścią, którą specjalnie w tym celu przygotowałam i której domniemaną właściwością miało być dodanie mu siły i męskiego wigoru. W zamian za to obiecałam jej sporą sakiewkę pełną złotych monet, którą miałam schowaną na czarną godzinę. Wmówiłam jej też, że jeśli sporządzona przeze mnie mikstura zadziała, królewicz szczerze nas obie wynagrodzi, a mnie zezwoli na ponowne otwarcie burdelu w mieście. Na koniec mój wysłannik powiedział dziewczynie, że po zakończeniu misji powinna się z nim skontaktować, żeby zaprowadził ją do mojej kryjówki, gdzie zapłacę jej, ile uzgodniliśmy.

No i tak mniej więcej wszystko się potoczyło. Jednak, kiedy wyjawiliśmy Alicji, co się naprawdę wydarzyło, i uprzedziliśmy ją, że przez jakiś czas nie będzie mogła wyjść z jaskini, wściekła się niczym ranna bestia i zagroziła, że nas zadencjuje. Tak więc nie mieliśmy innego wyjścia: od tej pory nie mogliśmy spuścić jej z oka. Doszliśmy też do wniosku, że możemy ją wykorzystać, każde w swoim celu; ja już jestem stara, w jaskini jest tyle roboty, a Asmodeuszowi też przydałaby się dziewczka, i to nie tylko do pomocy. Aż tu pewnego dnia, kiedy obydwoje odsypialiśmy jakąś większą pijatykę, udało jej się uciec i, co jeszcze bardziej nieprawdopodobne, wyjść cało i zdrowo z jaskini. Asmodeusz znalazł ją kilka godzin później koło mostu i, ogarnięty słusznym gniewem, zaciągnął siłą do fontanny i utopił, jak już zresztą wiesz. Ja chciałam, żeby wyrzucił ją na śmietnisko, by pożarły ją tam psy, ale ten uparty osioł wołał ją zostawić na widoku, abyś przynajmniej ty się dowiedział, kim była ofiara oraz kto był jej domniemanym mordercą; co jest zresztą dowodem na to, w jak wielkim ma cię poważaniu.

Owego popołudnia, kiedy spotkał się z tobą w strugach deszczu, wbrew temu, co myślałeś, nie miał wcale zamiaru zrobić ci nic złego: chciał tylko z tobą pomówić. Jednak ty,

jak się zdaje, byłeś gotowy z miejsca go uśmiercić. Musisz przyznać - dodała z naganą w głosie - że nie najpiękniej się zachowałeś, raniąc go nożem w ramię. Na szczęście jednak udało mi się go wykurować. Teraz właśnie poszedł cię szukać, ucieszy się więc, kiedy się dowie, że sam trafiłeś prosto w paszczę lwa. W każdym razie mogę cię zapewnić, że nic ci nie zrobimy, jeśli tylko zgodzisz się nam pomóc skończyć z Diegiem de Dezą.

- Gdybyś знаła mnie choć trochę - odrzekł Rojas - wiedziałabyś, że nigdy nie wejdziesz z tobą w zмовę, choćby miało mi to uratować życie.

- Problem nie polega na tym, na ile ja cię znam, tylko do jakiego stopnia ty znasz samego siebie. Dopóki nie przyjdzie do próby, nikt nie wie, do czego jest zdolny. Spójrz na mnie: jeszcze do niedawna całkiem dobrze mi się wiodło z moimi dziewczkami czy gdy pracowałam jako swatka, dorabiając sobie różnymi drobniejszymi interesikami, no i patrz, jak skończyłam z winy tych łajdaków. Co się zaś tyczy mojego ucznia, nie chcę, żebyś miał do niego żal. W życiu nie widziałam nikogo, kto mordowałby tak bezinteresownie, a równocześnie z takim wielkim zapalem; jakby miał to we krwi. A jak dba o najdrobniejsze szczegóły! Aż mu kiedyś powiedziałam: „Zupełnie nie rozumiem, po co tak bardzo się wysilasz, przyozdabiając te morderstwa, skoro nie ma nikogo, kto byłby w stanie to docenić?”. „Nie masz racji - odparł. - W końcu Salamanka jest przecież kolebką wszelkich sztuk”. A żebyś wiedział, jak się zmienia, kiedy tylko zabiera się do czegoś; jak się umie przebierać, żeby go nie rozpoznano! Gdyby tylko zechciał, mógłby zostać znakomitym aktorem - nadaje się zarówno do tragedii, jak i do komedii, sama nie wiem, w czym jest lepszy. W każdym razie jednego jestem pewna: że przy pomocy tych swoich sztuczek mógłby wystawić do wiatru samego Diabła, gdyby tylko miał ku temu okazję. Poza tym jest świetnie wykształcony, prawie tak jak ty. Moim zdaniem, jesteście skazani na to, żeby się zrozumieć.

- Obawiam się, że trochę jednak przesadzasz, droga Celestyno - dał się nagle słyszeć głos dochodzący od wejścia do jaskini.

\*\*\*

## Rozdział 24.

- Święty Boże, Hilario, przecież to ty! - zawołał Rojas, rozpoznając przyjaciela.

- Hilario? - zaskrzeczała Celestyna.

- Tak, jestem Hilario - odpowiedział przybysz, zwracając się w jej stronę. - Tyle że akurat nie ten, którego ty masz na myśli - dodał, kierując się do Rojas.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie mów, że ciągle jeszcze nic nie rozumiesz!

- Jak to, znacie się? - wtrąciła starucha, całkiem osłupiała. - No tak... Teraz mam już pewność, że masz nie tylko czarci wygląd, ale i isticie diabelską naturę.

- Milcz, stara nierządniczo! - przerwał jej Hilario. - Powiedzmy raczej, że każde z was znało mnie tylko od jednej strony: tej bardziej widocznej, a tym samym mniej prawdziwej. Czyż nie tak, drogi przyjacielu?

- Chyba śnię - zawołał Fernando, nie mogąc wyjść ze zdumienia. - To po prostu nie może być prawda!

- Czyżby nic ci nie mówił ten opatrunek? - spytał Hilario, wskazując swoje unieruchomione ramię. - A może, niczym święty Tomasz, chcesz dotknąć rany, żeby się przekonać, że to naprawdę ja? Widzę, że całkiem oniemiałeś. Nie przejmuj się, mnie też zabrakłoby języka w gębie, gdybym znajdował się teraz na twoim miejscu. Jak to bowiem możliwe? Oto Hilario, twój przyjaciel, uosobienie niewinności, przeobraża się w bezdusznego przestępcę, podczas gdy ty, wielki scholar od Świętego Bartłomieja, protegowany biskupa i obrońca samego następcy tronu, Panie, świeć nad jego duszą, zostajesz wystrychnięty na dudka przez prostego chłopca służebnego, na dodatek kilka lat młodszego od ciebie.

- Nie jestem w stanie pojąć, dlaczego to wszystko zrobiłeś - powiedział Rojas, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Muszę cię pocieszyć: nie wiem tego nawet ja. Miałeś bowiem rację mówiąc, że nie zabija się dla idei, tylko dla uczucia, a moje serce jest pełne nienawiści, zazdrości, urazy... Byłem jak knot, czekający tylko, żeby go ktoś podpalił.

- Ale skąd się w tobie wzięło tyle nienawiści? - spytał Rojas, nie dając wiary słowom przyjaciela.

- Jeżeli tak bardzo cię to interesuje, opowiem ci pokrótce moją historię. Myślę, że masz prawo poznać prawdę, skoro z tak wielkim uporem mnie prześladowałeś...

W rzeczywistości pochodzę z jednego z najszlachetniejszych rodów z Santiago de Compostela; jednak, kiedy tylko matka wydała mnie na świat, ojciec wyrzekł się mnie, ubzdurawszy sobie, że nie jestem jego prawowitym synem. Matka przez dłuższy czas usiłowała go do mnie przekonać, zapewniając, że w jej rodzinie było wielu rudowłosych, ale on pozostał głuchy na wszystko: uparł się, że jestem owocem cudzołożnego związku. W końcu zamknął nas oboje w jednej z wież rodzinnego pałacu i wypuszczał tylko na mszę do kościoła. Potem stwierdził, że jak każdy ryży jestem synem samego Szatana. Powtarzał to tyle razy, iż w końcu ja sam w to uwierzyłem, a z czasem zacząłem nawet być z tego dumny. Matka jednak nie mogła przeżyć pogardy, z jaką ojciec nas traktował, i umarła, jeszcze zanim skończyłem trzynaście lat. Kiedy okres żałoby dobiegł końca, ojciec ponownie się ożenił, tym razem z panną niewiele starszą ode mnie, którą po niedługim czasie uwiodłem, mając nadzieję, że da ojcu następnego rudego syna. Niestety jednak dzieciak urodził się z ciemnymi włosami, a ojciec postanowiłstatecznie się mnie wyrzec; odebrał mi rodowe nazwisko i wyrzucił z domu, żeby móc uczynić jedynym spadkobiercą młodszego syna.

Chyba jednak w ostatniej chwili zaczął odczuwać wyrzuty sumienia, gdyż wysłał mnie na naukę do Studium Gramaticum, które właśnie otwarto w jednym z najstarszych klasztorów w okolicy, San Paio de Antealtares. W rzeczywistości była to skromna szkołka dla chłopców z biednych rodzin, założona przez notariusza Lopego Gómeza de Marzoę wspólnie z bratem, opatem klasztoru San Martin Pinario. Nauczyłem się w tym przybytku wiedzy akurat tyle, żeby zrozumieć, jak niewiele braciszkanie mieli mi do zaoferowania, dlatego też uciekłem, kiedy tylko nadarzyła się ku temu okazja. W szkole wiele się mówiło na temat Salamanki, aczkolwiek zawsze z pogardą, gdyż moi nauczyciele twierdzili, iż sam Diabeł udziela tu lekcji czarnej magii i to nie w uniwersyteckiej auli, tylko w jakiejś grocie, co samo w sobie było już wystarczającym powodem, żebym zdecydował się tu przybyć. Niestety prawie od razu zdałem sobie sprawę, że sława Uniwersytetu znacznie przewyższa jego rzeczywisty poziom, nie znalazłem również tego, czego tu szukałem, przynajmniej do czasu, kiedy poznałem starą Celestynę. Ale z tego co przed chwilą słyszałem, poznałeś już tę część historii. Ponieważ wyjechałem z Santiago, tak jak stałem, bez grosza przy duszy, chcąc studiować, musiałem się nająć do służby w Kolegium Świętego Bartłomieja. Już od pierwszej chwili zauważyłem, że byłeś tam jedynym studentem, który nie robił różnicy pomiędzy starymi chrześcijanami i konwertytami, a tym bardziej pomiędzy scholarami i chłopcami służebnymi. To sprawiło, że się z tobą zaprzyjaźniłem. W tym celu musiałem oczywiście udawać, że jestem kimś zupełnie innym, niż byłem w rzeczywistości, podczas gdy ty zdawałeś się tak bardzo naturalny i szczery... Kiedy później dowiedziałem się, że jesteś

konwertytą i że również nie miałeś łatwego życia, pomyślałem sobie, iż znajdę w tobie współnika. Jednak prawie od razu przekonałem się, że pomimo ciężkich doświadczeń nie żywisz do nikogo urazy, toteż z całych sił zacząłem cię nienawidzić. Nie mogłem też znieść wszystkich twoich cnót i zalet, z których, moim zdaniem, nie robiłeś dobrego użytku. Tak więc za tym, co ty brałeś za przyjaźń i podziw, kryła się w rzeczywistości zazdrość i nienawiść.

Dlatego kiedy pewnego dnia wyznałeś mi, że Diego de Deza zlecił ci odkrycie winnego zabójstwa fray Tomasa, zupełnie niechcący stałeś się nową podniętą dla moich poczynań. Od tej pory zacząłem celowo cię zwodzić. Bawiłem się z tobą w kotka i myszkę (chyba nie muszę mówić, kto był kim w tej naszej zabawie), zostawiałem za sobą fałszywe ślady, a potem wyjawiałem ci rzeczy, których sam nigdy nie byłbyś się w stanie dowiedzieć. Pozwoliłem sobie nawet na uratowanie ci życia, pamiętasz?

Jednym słowem, udało mi się wykorzystywać to, co dla kogoś innego byłoby przeszkodą. Pomimo wszystko ty, który masz się za znakomitego psa gończego, tym razem niczego nie byłeś w stanie wyniuchać. Nie myśl, że mówię to z pogardą. Wręcz przeciwnie. Wiem aż za dobrze, jak bardzo jesteś inteligentny i wykształcony. Jednak, jak stwierdził kiedyś fray Antonio i o czym ja sam też miałem możność się przekonać, twoja wiedza jest zbyt książkowa, za dużo w niej scholastyki; nawet miłość jest dla ciebie czymś z książki rodem. Tak, brakowało ci po prostu życiowego doświadczenia oraz, przynajmniej moim zdaniem, nieco podłości i sprytu. Jednak, jak sam widzisz, tego można się bardzo szybko nauczyć, zwłaszcza jeśli ma się odpowiednich nauczycieli. Mój przypadek jest najlepszym tego przykładem, a i ty, z tego, co wiem, chodzisz już uzbrojony i zacząłeś się lubować w sztyletach. Niezłego strachu napędziłeś mi wtedy na ulicy. Jednak, z drugiej strony byłeś tak bardzo przerażony że nawet mnie nie rozpoznałeś. A gdybym to nie był ja? To znaczy gdybym nie był tym, za kogo mnie wtedy wzięłeś? Gdyby w rzeczywistości był to ktoś całkiem niewinny, na przykład twój przyjaciel Hilario poszukujący cię z jakąś dobrą nowiną?

- Przykro mi, ale tu się mylisz - odparł Rojas z satysfakcją w głosie. - Zanim cię zaatakowałem, dostrzegłem, że u poły twego płaszcza brakowało kawałka materiału; tego, który wyszarpał Brutus, chart naszego królewicza.

- Tu quoque, Brute, fili mi (A więc ty też, Brutusie, mój synu?) - wydusił z siebie Hilario płaczącym i pełnym zaskoczenia głosem, jakby go właśnie zasztyletowano. - Nie przejmuj się, tylko zartowałem - dodał natychmiast, chichocząc. - Jak wiesz, to tylko ostatnie słowa Juliusza Cezara. Prawdą jednak jest, że właśnie wtedy, kiedy rozmyślnie się na mnie zaciąłeś, a potem tak zaciekle zaatakowałeś, ja akurat miałem zamiar po prostu z tobą

porozmawiać, występując w roli Hilaria, twego przyjaciela. Zamierzałem ci powiedzieć, że właśnie odnalazłem wejście do jaskini, a następnie sprowadzić cię tutaj. Podejrzywałem, sam nie wiem dlaczego, że podczas rozmowy z fray Germanem dowiedziałeś się czegoś ważnego, być może pojąłeś, co kryła mapa, albo domyśliłeś się istnienia tej jaskini. To dlatego poprzedniego dnia wieczorem chciałem napędzić ci strachu. Jednak po tym, co się wydarzyło nazajutrz w miejskim lupanarze, przestraszyłem się nie na żarty, że mógłbyś popełnić jakieś szaleństwo, narażając nas wszystkich na niebezpieczeństwo. Postanowiłem więc sam zadziałać, uprzedzając ewentualny bieg wypadków. Nie wyobrażałem sobie jednak, że mógłbyś mnie zaatakować; jak widać, nagromadziła się już w tobie wystarczająca ilość złości i rozpacz. Przez chwilę poczułem się nawet z ciebie dumny. Pomyślałem sobie, że jeszcze tylko trochę, a przeobrazisz się w taką samą krwiożerczą bestię jak ja.

- Nie ludź się, to się nigdy nie stanie - zaprotestował Rojas stanowczym tonem.

- Z tą samą pewnością jeszcze przed chwilą dałbyś głowę za swego przyjaciela Hilaria; no i zobacz, jak wszystko może się odmienić w ciągu jednej chwili. W każdym razie owego wieczoru nie miałem najmniejszej ochoty zostać z tobą dłużej, żeby się o tym przekonać.

- Dobrze zrobiłeś, gdyż zabiłbym cię bez mrugnięcia okiem.

- A co byś zrobił potem, zdając sobie sprawę, że zabiłeś Hilaria? - zapytał ironicznym tonem. - Nie masz pojęcia, ile bym dał za to, żeby móc zobaczyć wtedy twoją minę! Ale cóż... Teraz najważniejsze, że wreszcie tu jesteś. Powiedz, czy trudno było trafić? Czy miałeś po drodze jakieś kłopoty? W każdym razie gratuluję ci, gdyż odnajdując nas, ułatwiłeś mi zadanie. Jeżeli zaś chodzi o ciebie - dodał, zwracając się do Celestyny - chciałbym ci podziękować za pochwały, jakie wcześniej wygłosiłaś na mój temat. Tylko w jednym nie mogę się z tobą zgodzić: chodzi o moją domniemaną bezinteresowność. Tak naprawdę należała ona tylko do mojej roli. W ten sposób ty mogłaś być pewna, że mnie wykorzystujesz, podczas gdy w rzeczywistości to ja posługiwałem się tobą. Wiedz, że nie mam zamiaru nikogo więcej zabijać dla twojej korzyści. Wygląda na to, że znalazłem wreszcie swoje miejsce w świecie i mam teraz własne plany. Jednak, zanim się pożegnamy, stara wiedźmo, będziesz musiała w jakiś sposób zapłacić mi za dotychczasowe usługi. A może myślałaś, że robiłem to wszystko za darmo?

- No jasne, że ci zapłacę, nie myśl sobie - odparła Celestyna. - Zapłacę ci, kiedy tylko z pomocą twego przyjaciela zabijemy Diega de Dezę. - Ani Rojas, ani ja nie mamy zamiaru zabijać tego przeklętego biskupa. Z tym już koniec.

- W takim razie, co masz zamiar zrobić?



- „Co masz zamiar zrobić?”, spytała ropucha skorpiona - wyskrzecztał Hilario sarkastycznym tonem. - Ale jeśli już o to pytasz, odpowiem: mam zamiar zabić was oboje. A potem zwałę winę na owego słynnego studenta. Powiem, iż zmierzyłem się z nim, ale że, zraniwszy mnie w ramię, zdołał uciec. „Zobaczcie - dodał, jakby odgrywał teatralną rolę - uciekając, zgubił płaszcz, którego kawałek odgryzł mu kiedyś Brutus”.

- A niby po co miałbyś zabijać biedną starowinę? Jego, owszem, ale ja jeszcze przecież mogę niejedno dla ciebie zrobić.

- Ale cóż, jesteś biedna, ciągle to przecież powtarzasz...

- Zapewniam cię, że zostało mi jeszcze trochę złotych monet, które mam ukryte w jaskini.

- Nie wierzę! Zwodzisz mnie tylko, żeby zyskać na czasie.

- Jeżeli mi nie wierzysz, zaczekaj chwilę, to pójdę ich poszukać.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, pójdę razem z tobą. Nie mam do ciebie za grosz zaufania; pamiętaj, że jestem twoim uczniem.

Robiąc pierwszy krok w jej kierunku Hilario dostrzegł, że stara chowa coś pomiędzy fałdami spódnicy.

- Chwileczkę, co tam masz? - zapytał podejrzliwie.

Tymczasem Rojas, poważnie zaniepokojony obrotem, jaki zaczęły przyjmować sprawy, zaczął czynić próby wyswobodzenia się z łańcuchów, które, jak od pierwszej chwili udało mu się zauważyć, nie znajdowały się w najlepszym stanie z powodu panującej w grocie wilgoci.

- To tylko klejnot - odpowiedziała starucha - który znalazłam w rzeczach twojego przyjaciela.- Klejnot, mówisz? Pokaż mi go.

- Ja też mam prawo coś dla siebie zostawić - zaprotestowała Celestyna.

- Powiedziałem ci, żebyś mi go pokazała - rozkazał Hilario, łapiąc ją za ramię.

- Patrz, tu jest! - krzyknęła Celestyna, wydobywając sztylet, który wcześniej odebrała Rojasowi, i zamierzając się nim na chłopaka.

Pomimo zaskoczenia Hilariowi udało się odepchnąć od siebie nóż, którego ostrze drasnęło go tylko w policzek.

- Ucięłaś mnie, ty przekłeta starucho! - krzyknął, czując, że został zraniony.

Tymczasem Rojasowi udało się tak mocno szarpnąć łańcuchem, że wyswobodził jedną dłoń z kajdanów; potem wolną ręką uwolnił drugą.

- Chciałaś mieć sztylet tylko dla siebie? - krzyknął Hilario do Celestyny, wyrwawszy jej nóż z ręki. - Jak chcesz, to masz! - dorzucił, zamierzając się na nią.

- Ratunku! Pomocy! - zawołała starucha. - Ten sukinsyn chce mnie zamordować!

Rojas skoczył w ich stronę, pragnąc dopomóc kobiecie, ale było za późno. Kiedy dotarł w miejsce, gdzie stali, zobaczył już tylko jak Hilario z wściekłością wbija sztylet w jej szyję, a ta pada nieprzytomna na ziemię.

- W końcu jeszcze się okaże, że to był rzeczywiście klejnot - rzucił Hilario, widząc rękojeść sztyletu pobłyskującą w kałuży krwi.

- Za to ty jesteś najzwyklejszym kawałkiem parszywego śmiecia - wyrzucił z siebie Rojas, łapiąc go kleszczowym chwytem. - Ale nadeszła pora, żebyś zapłacił za popełnione występki.

- Chyba sobie żartujesz - wysapał Hilario, wijąc się jak piskorz. - Może i nadeszła pora, ale najwyżej na to, żebyzakończyć rozdział i przewrócić stronę - dodał, zadając Fernandowi cios łokciem w brzuch.

Rojas padł na kolana, skręcając się z bólu. Starczyło mu jednak sił na to, żeby schwycić przeciwnika za nogi i powalić na ziemię.

- Nie, jeżeli tylko będę mógł ci w tym przeszkodzić - zagroził mu przerywanym głosem, przyciskając z całych sił do ziemi.

- I co masz zamiar teraz zrobić? - spytał Hilario, macając dłonią w kałuży krwi Celestyny w poszukiwaniu sztyletu.

- Postawić kropkę na końcu twojej historii.

Rojasowi udało się usiąść okrakiem na ciele przeciwnika i teraz nie przestawał walić go pięściami po twarzy.

- To się jeszcze okaże - wyrzucił z siebie Hilario, dosięgając w końcu sztyletu.

Fernando dostrzegł nóż w ręku przeciwnika i w ostatniej chwili usunął się w bok, unikając ciosu. Tymczasem Hilario zdołał się podnieść, gotując do ponownego ataku. Wtem od strony wejścia do jaskini dały się słyszeć jakieś rozmowy oraz dudnienie zbliżających się kroków.

- Stać, w imieniu inkwizycji! - krzyknęli zgodnym chórem dwaj zausznicy Świętego Oficjum, kierując się biegiem w ich stronę.

Zaskoczony Hilario znieruchomiał na moment, a kiedy uniósł ponownie sztylet, zamierzając zadać Fernandowi śmiertelny cios, jeden z zauszników przeszył go szpadą.

- Bądź przeklęty! - wycharczał jeszcze tylko, po czym wyzionął ducha.

- Czy ten człowiek to Fernando de Rojas? - zapytał drugi z zauszników, zwracając się do kogoś trzeciego, kto nadchodził właśnie od strony wejścia do jaskini.

- Tak, to on - odpowiedział fray Antonio, nie mogąc ukryć rozradowania. - I, dzięki Bogu, znajdujemy go przy życiu! - Fray Antonio! - wykrzyknął Rojas wyraźnie wzruszony. - Jakże się cieszę, że was widzę!

- Choćby trudno wam było w to uwierzyć, tam na górze są jeszcze ludzie, którzy martwią się o was. Ale, powiedzcie, jesteście cali i zdrowi?

- Mniej więcej...

- A ten łajdak, który chciał was zamordować, czy to przypadkiem nie Hilario?

- Tak - przyznał ze smutkiem Rojas. - To on był mordercą, którego szukaliśmy. Ciągle jeszcze trudno mi w to uwierzyć. I pomyśleć, że cały czas miałem go o krok, prawie na wyciągnięcie ręki, i zupełnie nie byłem w stanie zdać sobie z tego sprawy.

- Byliście przyjaciółmi. A przyjaźń, podobnie jak miłość, często nakłada nam klapki na oczy. Popatrzcie lepiej, kto tu ze mną przyszedł!

- To ty? Oczom nie wierzę! - zawołał Rojas, dostrzegając nadchodzącą Sabelę.

- Jeżeli ciągle jeszcze nie możecie zawierzyć waszym oczom - zganiała go dziewczyna z uśmiechem - pozwólcie przynajmniej, by rozpoznały mnie wasze dłonie.

- Czy oznacza to, że mogę cię uściskać? - spytał Fernando, ciągle jeszcze zawstydzony swoim zachowaniem podczas ostatniej wizyty w zamtuzie.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo tego pragnę.

- Widzę w tym wszystkim, Sabelo, ogrom mocy Bożej.

- W czym, Fernando?

- W tym, że obdarzył cię tak cudowną urodą, a mnie dał możliwość ponownego jej oglądania. Mogę cię zapewnić, że nawet błogosławieni święci w niebie, mogący bezustannie cieszyć oczy widokiem Pana, nie doznają większej rozkoszy niż ja, widząc cię w tej chwili. - Niewątpliwie - wtrącił się zakonnik - to radość z tego spotkania sprawia, że bluźnicie.

- Macie rację - zgodził się Rojas. - Dlatego proszę was, żebyście mi wybaczyli. Ale, powiedzcie, czy to zakrystian, zgodnie z moją prośbą, o wszystkim was powiadomił?

- Wczoraj wieczorem przyszedł do mnie roztrzęsiony i powiedział, że zniknęliście we wnętrzu kościoła, przekazując mi wszystko, co mu poleciliście. Tak się złożyło, że ledwie kilka godzin wcześniej byli u mnie ci oto zausznicy inkwizycji, dopytując się o was. Poinformowali mnie, że poszukują was z polecenia Diega de Dezy, gdyż, jak się zdaje, gospodarz bursy wystosował do niego list, skarżąc się na wasze zachowanie. Tak więc poszedłem o wszystkim poinformować tych panów, a potem we trzech udaliśmy się do Sabeli, która również bardzo się o was martwiła. Chcieliśmy sprawdzić, czy wie coś nowego na wasz temat. Na koniec trafiliśmy wszyscy do fray Germana, a on wyjawiał nam historię

jaskini, choć stanowczo odmówił udania się na dalsze poszukiwania w towarzystwie pary zauszników inkwizycji, nierządniczy i dominikanina. Wyobraźcie sobie, że tak się właśnie wyraził.

- Nie miejcie mu tego za złe - przeprosił Fernando za zachowanie starego zakonnika. - Żyje z dala od świata i nie ma szczególnej sympatii ani do waszych braci, ani do kobiet, nie mówiąc już o Świętym Oficjum. Najważniejsze, że dzięki niemu, wam i Sabeli udało mi się wyjść cało i zdrowo z tej okropnej historii. Oczywiście również dzięki pomocy tych panów - dodał, zwracając się do członków inkwizycji - którzy uratowali mnie in extremis\*.

- Czy waszym zdaniem to oni - spytał Rojasa jeden z zauszników - są sprawcami śmierci fray Tomasa de Santo Domingo?

\* In extremis (łac.) - w obliczu śmierci; w ostatecznej konieczności; w ostatniej chwili przed śmiercią; w zagrożeniu.

- Tak jest.

- Czy wiecie, jak się nazywają?

- Morderca to student o imieniu Hilario, pracujący jako sługa w Kolegium Świętego Bartłomieja. Starucha natomiast była osobą, która namówiła go do popełnienia zbrodni; nazywa się Celestyna i była powszechnie znana w Salamance. To do niej odnosiła się litera „C” na mapie - dodał, zwracając się do fray Antonia.

- Czy udało się wam ustalić, jak się to wszystko odbyło?

- Tak. Oni sami wyznali mi to przed chwilą. Potem jednak student wyjawiał nam, że ma zamiar zabić nas oboje. Ja byłem zakuty w kajdany i nie byłem w stanie nic zrobić, żeby uratować starą.

- W tej chwili najważniejsze, żeby jak najszybciej oglądnął was lekarz - oznajmił fray Antonio. - Czy jesteście w stanie dojść o własnych siłach do kościoła Świętego Cypriana?

- Nie potrzebuję żadnego lekarza. Powiniennem jedynie trochę odpocząć. Proszę, żebyście poszli przodem z naszymi dwoma przyjaciółmi. W ten sposób będą mogli jak najprędzej powiadomić o wszystkim swoich przełożonych, jak również zlecić, żeby ktoś przyszedł zabrać stąd ciała. Wy natomiast pójdziecie uspokoić fray Germana, który zapewne niecierpliwie oczekuje naszego powrotu. Ja tymczasem zostanę tu z Sabelą, żeby trochę odpocząć. Już ona się mną zaopiekuje.

- Myślę, że rzeczywiście będzie to najlepsze rozwiązanie - potwierdził zakonnik, mrugając porozumiewawczo do Fernanda.

- W takim razie mam obowiązek poprosić was, byście tu niczego nie dotykali - odezwał się jeden z zauszników inkwizycji.

- Nie macie się o co martwić - uspokoił go Rojas.

- W każdym razie postaramy się jak najprędzej wrócić - obiecał drugi.- Lepiej nie spieszcie się i zróbcie wszystko jak należy. Ta dwójka nigdzie już nie ucieknie - zażartował Fernando.

- No tak, macie rację.

Kiedy tylko odeszli, Fernando powiedział Sabeli o swoich najnowszych odkryciach. Opowiedział jej o mieszkańcach jaskini i o tym, jak bardzo pomogli mu niektórzy z nich; również o wielkim niebezpieczeństwie, na jakie byliby narażeni, gdyby odkryli ich inkwizytorzy podczas przeszukiwania jaskini.

- Dlatego musimy ich natychmiast ostrzec, żeby mogli pozaślepić korytarze i pomóc wyprowadzić z jaskini Żydów, którzy się tu ukrywają.

- Żydów? - zapytała zdumiona Sabela.

- To bardzo długa historia - odparł Rojas. - Opowiem wam ją później. Na razie muszę poprosić maestra Roe, żeby jak najszybciej znalazł dla nich jakieś bezpieczne miejsce do czasu, kiedy będę im mógł oznajmić, że niebezpieczeństwo minęło.

- W takim razie nie traćmy czasu - powiedziała Sabela. - Możesz chodzić? Wesprzyj się na mnie.

- Czy na zewnątrz świeci słońce? - spytał Rojas, zanim ruszyli w drogę.

- Mam nadzieję, że tak. Po tylu deszczowych tygodniach dzisiaj rano wreszcie wyszło słońce.

- Chcę też, żebyście mi coś obiecali. Że dopóki nie wyjdziemy na światło dzienne, nie pozwolicie mi odwrócić się do tyłu. Teraz, kiedy wreszcie was odzyskałem, nie chciałbym znów was utracić, jak to się przytrafiło Orfeuszowi z Eurydyką. Chociaż w tym przypadku to ty przyszłaś tu na dół, żeby wyciągnąć mnie z piekła.

\*\*\*

## Epilog.

(Czyli co było dalej).

Stara Celestyna i student Hilario zostali osądzeni in absentia\* przez trybunał inkwizycji w Valladolid i skazani za uprawianie czarów oraz zabójstwo fray Tomasa de Santo Domingo, w związku z czym ich ciała zostały ekshumowane i pośmiertnie spalone w uroczystym auto de fe.

\* In absentia (łac.) - pod nieobecność, terminem tym określa się proces sądowy, podczas którego oskarżony jest nieobecny w związku z czym nie może się bronić.

Podczas procesu nie było mowy ani o śmierci królewicza, ani o zabójstwie Alicji. Fernando de Rojas raz jeszcze okazał posłuszeństwo biskupowi, nabierając wody w usta, w zamian za co udało mu się wypertraktować pewne ustępstwa na rzecz Żydów ukrywających się w jaskini. W efekcie pozwolono im wyjechać bez przeszkód do północnej Afryki, choć znaleźli się i tacy, którzy woleli mimo wszystko pozostać w Salamance, aczkolwiek nic nie wiadomo na temat miejsca ich pobytu.

Ostrzeżeni przez Rojasa i Sabelę Fernando de Roa i jego poplecznicy zdołali na czas zamknąć niektóre korytarze jaskini, dzięki czemu nie zostali wykryci przez Święte Oficjum; nikogo nie aresztowano, nie ponieśli też żadnych szkód materialnych. Na wszelki wypadek Akademia została na jakiś czas zamknięta, a niektórych tuneli nigdy więcej nie otwarto.

Na wyraźne polecenie królowej Isabeli zamurowano też wejście do krypty w kościele Świętego Cypriana. Jakiś czas później wyburzono zresztą cały kościół, a większość kamiennych bloków została zużyta do wybudowania wschodniej ściany nowej katedry. Po długich naradach i konsultacjach z architektami zdecydowano, że nowa katedra powstanie na północ od starej, na placu Azogue Viejo, w miejscu znajdującym się nad labiryntem podziemnych korytarzy prowadzących do Akademii maestra Roy, której główna aula, jak słusznie wywnioskował profesor, znajdowała się dokładnie pod budynkiem Escuelas Mayores. By wybudować katedrę musiano wyburzyć cały szereg domów należących do kapituły katedralnej, co sprawiło, że kanonicy utracili znaczną część dochodów. Jeżeli zaś chodzi o starą katedrę, to zburzono część lewej bocznej nawy oraz północne ramię nawy poprzecznej z jej piękną wieżyczką. W końcu obydwie świątynie mają jedynie wspólny kawałek grubego muru oraz dzwonnice. Mimo początkowych obaw podczas prac budowlanych nie ucierpiały ani pałac biskupi, ani Uniwersytet.

Zamurowano też na głucho zachodnie wejście do jaskini, znajdujące się pośród ruin starego zamku warownego. Od tego czasu miejsce owo zaczęto nazywać Skałką Celestyny. Jeżeli zaś chodzi o don Enriquego de Aragon, markiza Villeny, którego postać została pozbawiona cienia, po raz ostatni widziano go ponoć w słynnych Jaskiniach Herkulesa w Toledo, gdzie, jak wieść niesie, nauczał czarnoksiężskich sztuczek.

W 1498 roku, po śmierci Tomasa de Torquemady, którego, nawiasem mówiąc, pochowano w tym samym klasztorze, co królewicza don Juana, Diego de Deza został mianowany generalnym inkwizytorem, co miało stanowić nagrodę za liczne usługi oddane przez biskupa Koronie. W czasach, kiedy stał na czele hiszpańskiej inkwizycji, wykazał się szczególnym brakiem tolerancji wobec konwertytów oraz wielką mściwością i okrucieństwem. Zdarzyło się nawet, że sam król musiał przywołać go do porządku w związku z nadużyciami, jakich inkwizytor Kordoby, Diego Rodrguez Lucero, dopuścił się w stosunku do fray Hernanda de Talavery\*. W końcu w 1507 roku Diego de Deza został pozbawiony urzędu i zastąpiony przez kardynała Cisnerosa, swego odwiecznego rywala. Diego de Deza był też, między innymi, biskupem Jaenu (1498), Palencji (1500) oraz arcybiskupem Sewilli (1504) i Toledo (1523), choć tego ostatniego stolca nie zdążył już objąć, jako że zmarł 9 czerwca 1523 roku. Co ciekawe, w tym samym mniej więcej czasie lekarz Juan de la Parra, z pochodzenia Żyd konwertyta, został mianowany biskupem Almerii; przez wiele lat piastował również urząd zarządcy izby lekarzy i cyrulików.

\* Hernando de Talavera (1428-1507) - biskup Avili i arcybiskup Granady, spowiednik i doradca królowej Isabeli Katolickiej, później jej protegowany; w swoim czasie przeciwstawiał się stworzeniu inkwizycji, był też stanowczym przeciwnikiem nawracania Żydów i muzułmanów przy użyciu siły. Po śmierci królowej był prześladowany przez inkwizytora Grenady.

8 grudnia 1497 roku księżniczka Margarita Austriaczka, wdowa po królewiczu don Juanie, powiła przed czasem nieżywą córeczkę. W rezultacie 7 kwietnia 1498 Manuel I, król Portugalii, wraz z żoną Isabelą zostali ogłoszeni następcami tronu Kastylii. Niestety, 23 sierpnia 1498 roku Isabel zmarła, wydając na świat chłopca, który został ochrzczony jako Miguel de la Paz de Avis y Trastamara, stając się automatycznie księciem Asturii i następcą tronu Portugalii, Kastylii, Aragonii, Neapolu i, jak to określił Pedro Martir de Angleria, „wielkiego mnóstwa królestw”, jakie Królowie Katoliccy zgromadzili pod swoim berłem. Niestety chłopiec zmarł w lipcu 1500 roku, w wieku zaledwie dwóch lat. Trzy miesiące później don Manuel, który za nic w świecie nie chciał pożegnać się z nadzieją na przejęcie korony Kastylii i Aragonii, ożenił się z dołą Marią, trzecią córką Królów Katolickich, która

jednak zmarła w 1517 roku. Ponieważ w owym czasie dwie ostatnie córki monarchów były już na jego nieszczęście zamężne, musiał się więc ożenić z infantką Leonor, pierworodną córką jednej z nich\*. Leonor była więc siostrzenicą jego dwóch poprzednich żon, a przy tym siostrą Carlosa, przyszłego króla Hiszpanii i cesarza. Zawiedziony i zgorzkniały, don Manuel zmarł w 1521 roku. W 1536 roku, po kilku nieudanych próbach, jego synowi Juanowi III udało się wreszcie wprowadzić w Portugalii inkwizycję.

We wrześniu 1512 roku biskup Malagi, don Diego Ramirez Villaescusa, w imieniu Królów Katolickich złożył wizytę w Studium Generale w Salamance, żeby się osobiście przekonać o jego opłakanym stanie i przedsięwziąć reformy konieczne do przywrócenia odpowiedniego poziomu wiedzy na Uniwersytecie. Zaledwie dwa miesiące później władze Studium Generale wydały dekret nakazujący wszystkim przebywającym w obrębie murów uniwersyteckich porozumiewać się jedynie po łacinie. Z punktu widzenia maestra Antonia de Nebriji oznaczało to wielki tryumf nad barbarzyństwem i bez wątpienia stanowiło początek nowej ery w dziejach uczelni. Niestety rok później De Nebrija przegrał konkurs na objęcie głównej katedry gramatyki z niejakim Gardą del Castillo, który dopiero co ukończył studia, niczym szczególnym się nie zasłużywszy, oczywiście jeżeli nie liczyć tego, że był kandydatem wystawionym przez władze uniwersyteckie. Nebrija opuścił Salamankę, przyrzekając, że jego noga więcej tam nie postanie. Kiedy kardynał Cisneros dowiedział się, co się wydarzyło, zaproponował uczonemu objęcie katedry retoryki Uniwersytetu w Alcalá de Henares. Jego roczne uposażenie miało wynosić sześćdziesiąt tysięcy marawedich i sto faneg\*\* chleba, do czego dodano pewien bardzo szczególny przywilej: „niech czyta, na co tylko ma ochotę, a jeśli nie zechce czytać, to niech nie czyta; a pensję tę przyznaje się mu nie po to, żeby pracował, tylko żeby wynagrodzić wszystko, co do tej pory zrobił dla Hiszpanii”.

\* Leonor była córką Joanny Szalonej i Filipa Pięknego.

\* Fanega - dawna miara objętości używana w Hiszpanii i Portugalii, równa mniej więcej 55 litrom.

Z kolei fray German de Benavente napisał książkę na temat historii jaskiń w Salamance, ale nie odważył się jej wydać drukiem, obawiając się, że mógłby z jej powodu zostać skazany na stos. Jak na ironię losu zginął podczas pożaru klasztoru Franciszkanów. Według jednego z zakonników wrócił do swej celi, żeby uratować manuskrypt; niestety zarówno po nim, jak i po książce nie zostało ani śladu.

Fernando de Roa w krótkim czasie odszedł na emeryturę, porzucając katedrę filozofii moralnej. Nie zdecydował się na uczestniczenie w następnym konkursie na obsadzenie głównej katedry teologii i poświęcił się całkowicie prowadzeniu wykładów w Akademii oraz



dalszemu konspirowaniu przeciw królewskiej parze. W 1502 roku opublikował w Salamance komentarze do Polityki Arystotelesa, które stały się powodem niekończących się polemik. Choć zmarł w 1507 roku, jego propozycje dotyczące „szlacheckich rządów” zainspirowały serię buntów, mających miejsce w latach 1520-1521 w Kastylii, przeciwko rządowi cesarza Karola, oraz Projekt Wiecznej Ustawy, za pomocą którego „comuneros” zamierzali bronić lokalnego samorządu i ograniczyć władzę króla.

\* Comuneros (hiszp.) - członkowie tzw. comunidades (dosł. społeczności, wspólnot), samorządowych związków miast hiszpańskich, które wspólnie podniosły bunt przeciw panowaniu króla Carlosa V (późniejszego cesarza Karola I), wychowanego za granicą i zainteresowanego bardziej karierą polityczną w Europie, niż zajmowaniem się krajem, w którym zresztą rzadko bywał; jego rządy polegały głównie na ściąganiu wygórowanych podatków i obsadzaniu stanowisk kościelnych i państwowych swoimi zaufanymi ludźmi pochodzącymi spoza Hiszpanii; comuneros postulowali powrót do zarządzania krajem w stylu Isabeli i Fernanda, dziadków króla.

Fray Antonio de Zamora już wkrótce zrealizował swe marzenie i wyjechał do „Indii”, zabierając się w 1498 roku z Kolumbem na jego trzecią wyprawę (nawiasem mówiąc, dla admirała „mórz oceanicznych” i, już nie na długo, wicekróla i gubernatora Indii była to wyprawa niezwykle burzliwa i pełna przygód). Dawny brat zielarz miał większe szczęście, gdyż zamieszkał na stałe na Espanoli, w pobliżu powstającego na południowym wybrzeżu wyspy miasta Santo Domingo. Niektórzy twierdzą, że wystąpił z zakonu, ale nikomu nie udało się tego potwierdzić. Pewne jest natomiast, że był pierwszym człowiekiem, głośno sprzeciwiającym się wykorzystywaniu Indian do niewolniczej pracy, co wywarło wielki wpływ na młodego Bartolomego de las Casas, który za jego przykładem przywdział dominikański habit.

W maju 1498 roku adwokat konwertyta Alonso Juanes oraz Żydówka Ruth BenYashar wzięli ślub - w żydowskim obrzędzie - w Antwerpii, gdzie udało im się uciec z pomocą Rojasa. Jednak już kilka miesięcy później musieli stamtąd uciekać. Niektórzy twierdzą, że wyjechali do północnej Afryki, choć tak naprawdę wrócili pewnie do Kastylii.

Wiadomo, że zaraz po wyjściu z jaskini Fernando de Rojas udał się do pokoju Hilaria w Kolegium Świętego Bartłomieja. Pragnął odnaleźć jakiś ślad, cokolwiek, co rzuciłoby choć trochę światła na pochodzenie i postępowanie jego byłego przyjaciela. Na pierwszy rzut oka nic w pokoju nie wskazywało na to, że mieszkał tam morderca i wyznawca Szatana; w ogóle nie było w nim nic szczególnego. Fernando znalazł jedynie ukrytą pod łóżkiem drewnianą skrzynkę zamkniętą na klucz. Zabrał ją z sobą do bursy, gdyż obawiał się, że może zostać

zarekwirowana przez zauszników Świętego Oficjum. Kiedy wreszcie udało mu się ją otworzyć - oczywiście z zachowaniem pewnych środków ostrożności, gdyż nie miał pojęcia, co mogło się w niej znajdować - odkrył, że zawierała kilka książek, coś w rodzaju szkolnego zbioru sentencji zatytułowanego *Auctoritates Aristotelis et aliorum philosophorum* (Autorytatywne wypisy z dzieł Arystotelesa i innych filozofów) oraz pokaźną ilość odręcznych zapisków Hilaria. Były wśród nich listy, wiersze i różne inne teksty. Uwagę Rojasowi zwróciło coś, co wyglądało na początek komedii. Sztuka tak bardzo mu się spodobała, że postanowił sam ją dokończyć. Robiąc to, miał zamiar zamknąć pewien cykl swojego życia, przynajmniej symbolicznie.

Tak więc kilka miesięcy później, już w 1498 roku, wykorzystał dwa tygodnie wielkanocnych wakacji, żeby podjąć wątek komedii rozpoczętej przez Hilaria. W sumie udało mu się skompletować 24 akty. Z tego, co wiadomo, pisał w domu dalekich krewnych Sabeli, Tomego Gonzaleza i Antony Perez, w wiosce zwanej Tejares, niedaleko od Salamanki, dokąd oddalono dziewczęta z lupanaru na okres Wielkiego Postu. Zakończył pisanie dokładnie w tak zwany wodny poniedziałek, obchodzony w Salamance tydzień po świętach Wielkanocnych. Był to dzień, kiedy po ponad czterdziestodniowym okresie ogólnej abstynencji ładacznic z wielką pompą wracały do miasta „zza wody”, witane po drodze owacjami studentów. Święto kończyło się wspólną zabawą nad Tormesem: tańcami i jechaniem tradycyjnego placka. Choć Fernando nazwał swą sztukę *Komedią Kaliksta i Melibei*, jej główną bohaterką była tak naprawdę Celestyna, postać zainspirowana dziejami starej Celestyny, którą niegdyś osobiście poznał.

Komedia została po raz pierwszy wydana w lecie 1498 roku w Antwerpii, dzięki zabiegom Alonsa Juanesa. Była to publikacja anonimowa, nie zawierała też wstępu ani epilogu. Sztuka wzbudziła tak wielkie zainteresowanie, że rok później ukazało się następne wydanie, również anonimowe, w Burgos. Od tej pory Rojas, wspomagany przez przyjaciela, który pojawia się w książce pod pseudonimem Alonsa de Proazy (tak nazywał się ich wspólny nauczyciel gramatyki z *Escuelas Menores*) i występuje w charakterze korektora tekstu, zajmą się wprowadzaniem kolejnych zmian i coraz to nowych fragmentów tekstu, dodając też pewne informacje, nawiasem mówiąc mętne i niejednoznaczne, na temat autora sztuki. Tak więc w wersji wydanej w Toledo w 1500 roku, ciągle jeszcze anonimowej, pojawia się „list autora do przyjaciela”, w którym tenże wyjawia, że pierwszy akt nie jest jego autorstwa, lecz został napisany przez „pierwszego autora”, anonimowego pisarza obdarzonego wielkim talentem, nieżyjącego już, kiedy udało się odnaleźć jego „papiery”. Wreszcie autor podaje kilka szczegółów na swój temat, na przykład, że jest jurystą z zawodu,

i kończy list ośmiowierszowym akrostychem. Z kolei w strofach dodanych na samym końcu sztuki tym razem korektor wyjaśnia, że ów akrostych zawiera imię i nazwisko oraz miejsce urodzenia autora.

Jakby tego było mało, w 1502 roku, w drukarni Juana de Porrasa w Salamance, tej samej, która opublikowała Komentarze Roy, wychodzi wersja zatytułowana Tragikomedia Kaliksta i Melibei wzbogacona pięcioma nowymi aktami oraz prologiem. Dodatkowo na samym końcu dołożono trzy strofy, w których przeprosza się za wulgarność sztuki i podkreśla jej moralizatorski charakter. Poza tym w liście wspomina się, iż owym „pierwszym autorem” mógł być Juan de Mena lub też Rodrigo Cota, nie opowiadając się jednak za żadnym z nich. W następnych latach pojawiają się kolejne edycje, wśród nich wydanie z 1514 roku z Walencji z poprawkami Proazy (czyli Alonsa Juanesa), aż w końcu w 1526 roku w Toledo wychodzi wersja z dodanym środkowym aktem, przypisanym, bez żadnych dodatkowych wyjaśnień, niejakiemu Sanabrii.

Istnieje wiele powodów, dla których Rojas mógł chcieć zachować tak wielką powściągliwość, jeśli chodzi o autorstwo sztuki. Po pierwsze należy pamiętać, że pierwszy akt został w rzeczywistości skradziony prawowitemu autorowi i że człowiek ten został spalony na stosie wyrokiem inkwizycji. Nie można też jednak wykluczyć, że ta ulegająca ciągłym zmianom książka była w rzeczywistości tekstem pisanym jakimś szyfrem, pełnym tajnych wiadomości, pułapek, ukrytych nazwisk i najróżniejszych alegorii. Ale kto i w jaki sposób się nim posługiwał? Niestety ciągle jeszcze pozostaje to tajemnicą. W każdym razie zwraca uwagę fakt, że za życia autora dzieło nie zostało ani zakazane, ani spalone przez Święte Oficjum.

Inną ciekawostką rzucającą się w oczy jest to, że nie wiadomo absolutnie nic na temat życia Rojasa w okresie od 1498 (gdy pisze pierwszą wersję Komedii i wreszcie uzyskuje stopień bakałarza praw) do 1508 roku, kiedy to wraca, już bez Sabeli, do La Puebla de Montalban, a niedługo potem zamieszkuje na stałe w Talavera de la Reina. Niektórzy uważają, że w ciągu tych dziesięciu lat Fernando ciągle jeszcze pracował w tajemnicy pod komendą Diega de Dezy, wypełniając rozmaite misje dla hiszpańskiej Korony, i to nie tylko w Kastylii i Aragonii, ale również w Portugalii oraz w Indiach, gdzie być może spotkał się z fray Antoniem. Jeżeli jednak nawet tak było, faktem jest, że nie zachowały się żadne wzmianki na ten temat, przynajmniej związane z prawdziwym nazwiskiem Rojasa. Inni utrzymują, że Fernando schronił się wraz z Sabelą w domu maestra Roy i że przez jakiś czas wykładał prawo w podziemnej jaskini, równocześnie pisząc i aktywnie uczestnicząc w różnych spiskach; mówi się, że liczne tego dowody można znaleźć w kamiennym

manuskrypcie. Są też i tacy, którzy utrzymują, iż Fernando de Rojas wiódł podwójne, a nawet potrójne życie. Jakkolwiek było, wiadomo, że w styczniu 1509 roku, po kilku miesiącach spędzonych w rodzinnej miejscowości, Rojas przeniósł się ostatecznie do Talavera de la Reina, gdzie podjął pracę prawnika. Niedługo potem, wierny swemu pochodzeniu, ożenił się z Leonor Alvarez de Montalban, która dała mu siedmioro dzieci. Najstarszy z synów, Fernando, podobnie jak ojciec studiował prawo na Uniwersytecie w Salamance, uzyskując tytuł magistra - o jeden stopień wyższy od ojca. Wiadomo też, że w czerwcu 1525 roku teść Rojas, Alvaro de Montalban, został aresztowany przez Święte Oficjum z powodu pewnych komentarzy, jakie wygłosił w obecności swoich krewnych z Madrytu, u których był w odwiedzinach. Problem w tym, że czterdzieści lat wcześniej był już sądzony przez inkwizycję za judaizowanie i zmuszony do rekoncylacji. Oczywiście zwrócił się do zięcia, prosząc, żeby zajął się jego obroną, jednak trybunał nie zgodził się na to ze względu na zbyt bliskie pokrewieństwo z oskarżonym. W wyniku procesu został skazany na dożywocie oraz konfiskatę całego mienia, włączając w to połowę posagu córki, czyli około czterdziestu tysięcy marawedich. Występując jako strona poszkodowana, Rojas zażądał rewizji procesu i udało mu się uzyskać zwrot zarekwirowanej kwoty a dla teścia zamianę kary więzienia na areszt domowy.

Nie licząc tego incydentu, Fernando wiódł dostatnie i spokojne życie. Kilkakrotnie został wybrany na burmistrza Talavery, która liczyła w owym czasie około sześciu tysięcy mieszkańców, oraz jurystą rady miejskiej, co zaskarbiło mu poważanie i szacunek wśród mieszkańców miasta, zapewniając również znaczny dobrobyt. Oprócz domu przy ulicy Gaspar Duque, należącego do parafii Świętego Michała, posiadał winnice, folwarki, młyny, tłocznie, sady... Jeżeli chodzi o wielki sukces Celestyny, jak potocznie nazywano jegodzieło, skorzystali na nim jedynie drukarze oraz ci, którzy napisali liczne plagiaty i kontynuacje sztuki.

Poza zamiłowaniem do lektury, Fernando grał też doskonale w szachy, nie wiadomo jednak, czy jeszcze kiedyś wziął do ręki pióro, jeżeli oczywiście nie liczyć listów i innych dokumentów, których redagowania wymagała jego profesja; aczkolwiek są i tacy, którzy twierdzą, że wydał coś więcej, tyle że jak zwykle anonimowo. Wiadomo też, że był bardzo pobożny i że należał do Bractwa Niepokalanego Poczęcia. Nikomu, kto widywał go w owych czasach kroczącego w procesjach, nie przyszłoby nawet do głowy, że jego stateczny i łagodny wyraz twarzy mógł kryć tyle straszliwych sekretów. O niektórych z nich była tutaj mowa, inne ciągle jeszcze czekają na ujawnienie.

Rojas zmarł 8 kwietnia 1541 roku, w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat. Przed śmiercią zażyczył sobie, żeby go pochowano w klasztorze Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia przyodziawszy we franciszkański habit - ku pamięci fray Germana. Według testamentu jego majątek wynosił około czterystu tysięcy marawedich, przy czym trzecią część tej kwoty stanowiły pożyczki hipoteczne. Wśród ksiązek, które po sobie pozostawił, znaleziono tylko jeden egzemplarz Tragikomedii Kaliksta i Melibei. Ponieważ żaden ze spadkobierców nie chciał zatrzymać go dla siebie, został sprzedany za kwotę odpowiadającą wartości połówki kurczaka.

\*\*\*

## Podziękowania i literatura.

Mercedes Gómez Biesa, Antonio Sanchez Zamarreño i Philippe Merlo byli pierwszymi czytelnikami Kamiennego manuskryptu, dlatego też przysługuje im honorowe miejsce na tej stronie. Chcę również wyrazić podziękowanie Juanowi Antoniowi Gonzalezowi Iglesiasowi, który pomógł mi z łacińskimi tekstami; Juanowi Franciscowi Blanco, gdyż pożyczył mi kilka książek, których nigdzie nie mogłem znaleźć; Josemu Antoniowi Sanchezowi Pasie za jego mądre uwagi. Jednak książka ta nie znajdowałaby się teraz w rękach czytelnika bez skutecznej współpracy ze strony mojej agentki, Antonii Kerrigan, ani bez zaufania do mnie oraz znakomitego warsztatu pracy Amayi Elezcano i jej świetnego zespołu wydawniczego. Chcę również dać świadectwo wdzięczności dla wszystkich czytelników mojego zbioru opowiadań Muertos S.A. (Nieboszczycy SA) (2005), a zwłaszcza Rosie Navarro Duran, która cały czas mnie wspierała, oraz Ileanie Scipione, która przetłumaczyła książkę na rumuński; to moi czytelnicy byli zawsze dla mnie bodźcem i podniecią.

Każda książka jest owocem własnej wyobraźni autora oraz całej serii lektur; tym bardziej w przypadku powieści - w której pojawiają się postacie żyjące pięć wieków temu i których życie w wielu przypadkach nadal stanowi tajemnicę - osadzonej w mniej lub bardziej dokładnych realiach historycznych. Niemniej należy raz jeszcze przypomnieć, że powieść należy do świata fikcji i że, w związku z tym, autor pozwolił sobie na pewną swobodę. Oto lista tekstów i opracowań, które pomogły mi odbyć podróż w te fascynujące i tak mocno działające na wyobraźnię czasy:

Angel Alcalá i Jacobo Sanz Hermida, *Vida y muerte del príncipe don Juan. Historia y Literatura (Życie i śmierć królewicza don Juana)*, Valladolid, Junta de Castilla y León, 1999 (niektóre dokumenty odtworzone w powieści pochodzą właśnie stąd); Patrizia Botta, „La autoria de La Celestina” (Autorstwo Celestyny), w: <http://www.cervantesvirtual.com>; Jesus Luis Castillo Vegas, *Políticas y clases medias. El siglo XV y el maestro salmantino Fernando de Roa (Polityka i klasy średnie. Wiek XV i Fernando de Roa, profesor Uniwersytetu w Salamance)*, Valladolid, Universidad de Valladolid, 1987; Luis Cortes Vazquez, *La vida estudiantil en la Salamanca clásica (Życie studenckie w klasycznej Salamance)*, Salamanca, Universidad de Salamanca, 1989; Ubaldo de Casanova y Todoli, *Salamanca. Biografía de una ciudad, (Salamanca. Biografia miasta)*, Salamanca, Amaru, 2006; Emilio de Miguel Martínez, *La „Celestina” de Rojas („Celestyna” Rojasa)*, Madrid, Gredos, 1996; Gonzalo

Fernandez de Oviedo, Libro de la Cdmar Real delprncipe don Juan (Księga królewskiej alkowy królewicza don Juana), red. De Santiago Fabregat Barrios, Valencia, Universidad de Valencia, 2006; Luciano G. Egido, La Cueva de Salamanca (Jaskinia w Salamance), Salamanca, Ayuntamiento de Salamanca, 1994; Stephen Gilman, La España de Fernando de Rojas. Panorama intelectual social de „La Celestina” (Hiszpania Fernanda de Rojasa. Panorama intelektualna i społeczna „Celestyny”), Madrid, Taurus, 1978; Manuel Gonzalez Garcfa, Salamanca: la repoblación y la ciudad en la Baja Edad Media (Salamanka: miasto i proces jego ponownego zasiedlania we wczesnym średniowieczu), Salamanca, Centro de Estudios Salmantinos, 1988; Pedro Martinez de Osma, Comentario a la „Etica” de Aristóteles (Komentarz do „Etyki” Arystotelesa) (1496), red. De Ana Cebeira, Pamplona, Universidad de Navarra, 2002; Jose Maria Martinez Frias, El cielo de Salamanca (Niebo Salamanki), Salamanca, Universidad de Salamanca, 2006; Felbc G. Olmedo, SI., Nebrija en Salamanca (Nebrija w Salamance), Madrid, Editora Nacional, 1944; Luis E. RodriguezSan Pedro Bezares (red.), Historia de la Universidadde Salamanca (Historia Uniwersytetu w Salamance), 3 tomy, Salamanca, Universidad de Salamanca, 2002-2006; Fernando de Rojas (y „antiquo autor”) [i „stary autor”], La Celestina. Tragicomedia de Calisto y Melibea (Celestyna. Tragikomedia Kaliksta i Melibei), red. Francisco J. Lobera, Guillermo Seres, Paloma DiazMas, Carlos Mota, Iñigo Ruiz Arzalluz i Francisco Rico, Barcelona, Critica, 2000\*; Daniel Sanchez y Sanchez, La catedral nueva de Salamanca (Nowa katedra w Salamance), Salamanca, Ilustrisimo Cabildo de la Catedral, 1993; Manuel Villar y Macfas, Historia de Salamanca (Historia Salamanki), Księga V, Salamanca, Libreria Cervantes, 1974.

\* Polski przekład dramatu: Fernando de Rojas, Celestyna, tłum. Kazimierz Zawadowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1962.

\*\*\*